

AŁFRONT



Kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 2(5)
2018

ISSN 2544-3070

POEZJA

Spis treści

Poezja

Autorzy – Poezja	3
W(y)stępniak	9
Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki	10
Alejandra Pizarnik	13
Maciej Melecki	15
Mary O' Donnell	18
Rafał Kierzyńka	21
Victor Ficnerski	26
Saša Radojčić	29
Krzysztof Szatrawski	33
Refik Ličina	40
Konrad Wojtyła	44
Aglaja Janczak	47
Andrzej Muszyński	53
Jakub Bednarczyk	57
Mateusz Melanowski	60
Wiktor Gołuszko	63
Katarzyna Zwolska-Płusa	65
Waldemar Kazubek	69
Kazimierz Kyrcz Jr	73
Miłosz Waligórski	75
Mateusz Wabik	76
Dominik Żyburtowicz	81
Finał I OKP im. Pabla Nerudy: Beata Kieras, Anna Dwojnych, Klaudia Hagemajer	87
Wywiad: Poezja to urządzenie wielofunkcyjne – z Marcinem Orlńskim rozmawia Michał Domagalski	93
Jarosław Nowosad: Za mało Lipskiej – recenzja tomu wierszy Ewy Lipskiej <i>Pamięć operacyjna</i>	99
Rafał Gawin – Recenzje uzupełniające: Marta Eloy Cichocka, <i>Engramy</i> , Emanuela Czeladka, <i>Napływ</i> , Rafał Rutkowski, <i>Wywołuję siebie z ruin</i> , Aneta Kamińska, <i>autoportret z martwą naturą. ostatnie wiersze nazara honczara</i> , Elżbieta Lipińska, <i>Kamienie</i> , Marcin Świetlicki, <i>Polska. Wiozanka pieśni patriotycznych</i> , Krzysztof Bąk, <i>Inne</i> , Dawid Staszczuk, <i>Święto otwartych przestrzeni</i> , Franciszek Lime, <i>Smuta</i> , Piotr Macierzyński, <i>Książka kołnicy</i> , Maria Bigoszevska, <i>Wołam cię po imieniu</i> , Krzysztof Bieleń, <i>Pył z zawieszony</i> , Grzegorz Kwiatkowski, <i>Sowa</i> , Waldemar Kazubek, <i>wchodzę w to</i>	101

A u t o r z y › P o e z j a

Jakub Bednarczyk (Nowoszewski)

Urodzony w 1977 r. w Chojnicach. Absolwent UMK w Toruniu. Wydał tekę poetycką *Wiersze dla Agnieszki* i tomik *Autokryf*. Publikował w „Okolicy Poetów” u Jerzego Szatkowskiego. Wiersze ukazały się także w almanachu *Poetów Borów Tucholskich*. Mieszka w Zielonce pod Warszawą.

Anna Błasiak

Poetka, tłumaczka, redaktorka, animatorka kultury. Przełożyła ponad 40 książek z angielskiego na polski oraz kilka z polskiego na angielski (m.in.: Grzegorzewska, Krasnowolski, Malanowska, Odija i Szychowiak). Tłumaczyła poezję Marii Jastrzębskiej, Mary O'Donnell i Nessy O'Mahony. W przeszłości pracowała w radiu, redagowała pisma kulturalne, pisała o sztuce, filmie i teatrze. Współtworzy European Literature Network w Wielkiej Brytanii. Píše po polsku i po angielsku. Więcej na stronie annablasiaak.com

Michał Domagałski

Urodzony w Ostrzeszowie w 1982 r. Ukończył filologię polską na UAM w Poznaniu. Publicysta i krytyk. Od kwietnia 2015 do października 2016 redaktor prowadzący portalu Wywrota. Jako poeta debiutował w almanachu Połów. Poetyckie debiuty 2014-2015. Recenzje i wiersze publikował między innymi w „Fabulariach”, „Wyspie”, „Inter-”, „Helikopterze” oraz „2Miesięczniku”. W ostatnim czasie ukazał się jego debiutancki tom wierszy pt. *Poza sezonem* (Biuro Literackie 2018). Prowadzi na YouTube kanał Gęba Pełna Frazesów. Mieszka w Poznaniu.

Anna Dwojnych

Urodzona w 1988 r. Píše poezję i prozę. Laureatka kilku konkursów poetyckich. Publikowała m.in. w „Blizie”, „Wakacie”, „Lampie”, „Cegle”, „Odrze”, „Kontencie”. Mieszka w Toruniu.

Victor Ficnerski

Urodzony w 1990 r. w Berlinie. Matura we Wrocławiu. Dwa podejścia na wydziale Nauk Społecznych. Przypadkowe posady, podróże. Publikacje w „Wyspie” i „Fabulariach”. Obecnie przebywa w Lipsku; wykonuje zawód spedytora.

Rafał Gawin

Urodzony w 1984 r. Poeta, konferansjer, reanimator kultury, sekretarka „Arterii”. Ostatnio wydał zbiór wierszy *Zachód słońca w Kurwidolach* (Łódź 2016) i *Wiersze dla kolegów* (Skierniewice 2017). Mieszka w Łodzi, gdzie pracuje w Domu Literatury. Prowadzi blog: gawin.liberte.pl

Wiktor Gołuszko

Poeta, pisarz, tłumacz, kompozytor, blogger (Blog Wiktora Go). Wydał tomik prozy: *Ulisses*, publikował w czasopismach literackich takich jak „Zeszyty Literackie”, „Nieregularne Pismo Kulturalne Kwartalnik”, „Neurokultura”, „Magazyn Literacki Minotauryda”, „Eprawda”, „Wakat”, „Pisarze.pl”. Jego wiersz: „Ostatnia Wieczera” wszedł w skład antologii poezji polskiej poświęconej Beethovenowi, która znalazła się

w biografii kompozytora zatytułowanej: *Beethoven – Próba Portretu Duchowego* autorstwa Adama Czartkowskiego. Obecnie artysta ukończył pracę nad misterium: „Hieros Gamos czyli Świąte Gody” – sztuką z pogranicza poezji i teatru, do której skomponował również muzykę.

Klaudia Hagemajer

Urodzona w Warszawie. Absolwentka WPIA Uniwersytetu Warszawskiego, prawniczka. Wiersze publikowała na portaluliterackim.pl (Fabryca Librorum) oraz w almanachu *Pomost 2017*, wydanym przez Stowarzyszenie Salon Literacki.

Aglaja Janczak (pseud.)

Urodzona w 1977 r. Poetka, księgarka, pracuje również jako redaktor. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim. Debiutowała w „Toposie” w 2007 r. Jest laureatką kilkunastu konkursów i turniejów poetyckich (m.in. XIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Michała Kajki 2017, XI OKP „Struna Orficka” im. Wojciecha Bąka 2017, Literaturomanii, organizowanych przy okazji Festiwalu Nagrody Literackiej Gdynia, Gdynskich Połówek Poetyckich, Manifestacji Poetyckich w Warszawie). Drukowana w czasopismach literackich (np. „Autograf”, „Topos”, „Lampa”, „Bliza”) jako Joanna Herman. Autorka tekstów piosenek do spektakli teatralnych dla dzieci (sztuki w teatrach: Baj Pomorski w Toruniu, Miniatura w Gdańsku, Olsztyński Teatr Lalek, Białostocki Teatr Lalek i in.). Po kilku latach niepisania, w roku 2016 wznowiła działalność, tworząc nie do końca wiersze, które nazywa „strzępami cynamonowymi”. Mieszka z Ukochanym, kotem i nietoperzami na strychu starej warszawskiej kamienicy, planuje wydanie prozy poetyckiej i innych książek. Jest szczęśliwą mamą dwojga nastolatków. Mawiają, że urwała się z cyrku.

Mieszko A. Kardyni (1961), Paweł Rogoziński (1972)

Znawcy literatur latynoamerykańskich, tłumacze poezji i prozy latynoamerykańskiej oraz prekolumbijskiej. W swoich pracach badawczych i twórczych koncentrują się przede wszystkim na historii literatur latynoamerykańskich oraz literaturze prekolumbijskiej Ameryki Łacińskiej, literaturze współczesnej hiszpańskich Karaibów i współczesnej literaturze meksykańskiej. Autorzy m.in. *Historia literatur latynoamerykańskich – literatura prekolumbijska*, 2012, *Historia Literatur Latynoamerykańskich – literatura boricua*, 2012, *Historia Literatur Latynoamerykańskich – literatura okresu konkwisty*, 2013; przekładów z literatur prekolumbijskich: *Chilam Balam – Majów księga przepowiedni*, 2012, *Pieśni z Dzitbalché – Majów pieśni o miłości i o umieraniu*, 2012, *Yurupary – amazońska epopeja o początkach świata*, 2013; opracowań i przekładów zbiorów poezji: Alexandra Pizarnik: *Pragnienie szaleństwa*, 2012, Olga Orozco – *Cienie w mroku pamięci*, 2012, Jorge Luis Borges – *Labirynty, nowa antologia*, 2012, Julio Cortázar – *Świat na wspak, antologia*, 2013, Mario Benedetti – *Najbliżsi bliźni*, 2013, Heberto Padilla – *Poza grą. Mit rewolucji*, 2013; antologii poezji latynoamerykańskiej: *Zielony/verde Poezja latynoamerykańska I połowy XX wieku*, 2013, *Zielony/verde Poezja latynoamerykańska II połowy XX wieku*, 2014, *Biały/blanco Najnowsza poezja latynoamerykańska – Kuba*, 2013, *Biały/blanco Najnowsza poezja latynoamerykańska – Portoryko*, 2013, *Davidowa harfa. Poezja żydowska Ameryki Łacińskiej*, 2013, *Słyszenie ciszy – antologia poezji protomistycznej*, 2013, *Błękitny/azul Poezja latynoamerykańskiego modernizmu*, 2014, *Czerwony/Rojo Poezja latynoamerykańskiego surrealizmu*, 2014 oraz słowników: *Słownik czasowników hiszpańskich ze wzorami odmian*, 2012, *Słownik okulistycki polsko-angielsko-hiszpański*, 2012, *Słownik medyczny hiszpańsko-polski*, 2013, *Słownik medyczny polsko-hiszpański*, 2013, *Rozmówki polsko-hiszpańskie*, 2013.

Waldemar Kazubek

Rocznik 1979. Mikołowianin, posiadacz papugi i kilkuset książek. Niezwiązany ze słynnym Instytutem Mikołowskim. Przez pierwsze dwa-dzieścia dziewięć lat życia czytywał nieomal wyłącznie prozę. Ukończył Filozofię na Wydziale Nauk Społecznych UŚ (dyplom o Wilhelmie Diltheyu) i nigdy nie napisał pracy magisterskiej na Wydziale Radia i Telewizji nt. „Od czarnej komedii do prawdy o życiu – twórczość filmowa braci Coen”, choć uzyskał nawet zaliczenie z seminarium, w ramach którego powstawała. Laureat Granitowej Strzały w 2017 r. Autor debiutanckiej książki pt. *wchodzę w to*.

Beata Kieras

Autorka tomiku *Lady Hiob* otwiera drzwi, wydanego przez Stowarzyszenie im. K. K. Baczyńskiego w Łodzi. Laureatka kilku konkursów poetyckich.

Rafał Kierzyńska

Dwukrotny laureat drugiej i pierwszej nagrody Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Rafała Wojaczka. Jego wiersze były drukowane w 1990 r. w antologii Grupy Literackiej „Szalej” z Zawiercia. W 1995 r. ukazał się jego debiut książkowy pt. *Inne zdarzenia*. Poeta ukończył prawo na Uniwersytecie Wrocławskim, z zawodu jest sędzią; specjalista z zakresu europejskiego prawa karnego, autor wielu publikacji na ten temat. Drugą jego książką poetycką była wydana w 2015 r. *Nędza poezji*.

Kazimierz Kyrz Jr.

Poeta, redaktor, publicysta oraz pisarz kryminałów, horrorów i literatury fantastycznej. Opublikował zbiory opowiadań *Femme fatale* i *Okruchy mroku* oraz powieści *Podwójna pętla* i *Dziewczyny, które miał na myśli*, której kontynuację właśnie pisze. Jego wiersze ukazywały się między innymi w antologiach Formacji Artystycznej „Szesnaście”, działającej przy Dworku Białoprądnickim w Krakowie. Tłumaczony na angielski, rosyjski, czeski i słowacki.

Refik Ličina

Urodzony w 1956 r. w Radmanovci (obecna Czarnogóra), od 1992 r. mieszka i tworzy w Lund (Szwecja). Poeta, prozaik, krytyk literacki, tłumacz najwybitniejszych szwedzkich poetów (m. in. T. Tranströmera) na język serbski.

Opublikował tomiki wierszy: *Poznavanje prirode* (1982), *Pčele* (1987), *Posmrtno počasti* (1999), *EX SOLIO* (2001), *April je mjesec mrtvih* (2003), *Prigodne prisile* (2009) i *Predikan för Eurydike* (po szwedzku, 2009), oraz zbiory opowiadań: *Skonski epigrami* (1998), *Staklenici* (2004), *Priče iz daljine* (dla dzieci, 2004) i *Dani u Valhali* (2008). Jest członkiem szwedzkiego Pen Clubu.

W tłumaczeniu na j. polski ukazał się zbiór opowiadań *Szklarnie* (Kraków 2014) oraz wiersze publikowane w czasopismach (m. in. „Fraza”).

Mateusz Melanowski

Rocznik 1977. Mieszka we wsi na Lubelszczyźnie. Debiutował na łamach „Opcji” w 1998r. Jego wiersze ukazywały się m.in. w „Akcentie”, „bibliotece”, „FA-arcie”, „Frazie”, „Gazecie Wyborczej”, „Migotaniach”, „Ricie Baum”, „Toposie”. Opublikował: *Do wczoraj od jutra* (2001, arkusz), *Święto Kolorów* (2007), *Test na Obecność* (2012) oraz *Uwagi do Chwili* (2017).

Maciej Melecki

Urodzony w 1969 r. w Mikołowie. Debiutował w 1993 r. arkuszem poetyckim *Zachodzenie za siebie*. Jest autorem 10 książek poetyckich, m.in. *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011), *Pola toku* (2013), *Inwersje* (2016) oraz tomu zapisków *Gdzieniegdzie* (2016). Wiersze publikował we wszystkich ważnych pismach literackich w kraju (m.in.: „Twórczość”, „Kresy”, „Odra”, „Akcent”, „Studium”, „Czas Kultury”, „Tygodnik Powszechny”) oraz w wielu antologiach poetyckich. Jest współautorem scenariusza do filmu „Wojaczek” (1997), redaktorem tomu niepublikowanych wcześniej wierszy Rafała Wojaczka *Reszta krwi – wiersze nieznane* (1999) i współredaktorem tomu krytyczno-wspomnieniowego *Który jest. Rafał Wojaczek w oczach przyjaciół, krytyków i badaczy* (2001). W 2016 roku wraz z Konradem Wojtyłą opracował publikację *Rafał Wojaczek. Nie te czasy. Utwory nieznane*. Jego wiersze były tłumaczone na języki: angielski, czeski, niemiecki, słowacki, francuski, słoweński i serbski. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i dyrektorem Instytutu Mikołowskiego. Mieszka w Mikołowie.

Andrzej Muszyński

Urodzony w 1984 r. Pisarz, reportażysta, podróżnik i poeta. Absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pierwszy laureat Stypendium Fundacji Herodot im. Ryszarda Kapuścińskiego w 2012 r. Laureat Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu 2012. Nominowany do: Nagrody im. Beaty Paulak 2013 za zbiór reportażu *Południe* (Czarne 2013), Nagrody Literackiej Gdynia 2014 za zbiór opowiadań *Miedza* (Czarne 2013), Nagrody im. Beaty Paulak 2015 za reportaż o Birmie – *Cyklon* (Czarne 2015), Paszportu Polityki za rok 2015 oraz Nagrody Literackiej Gdynia 2016 za powieść

Podkrzywdzie (WL 2015). Opowiadania publikował w „Akcencie”, „Res Publice Nowej”, „Twórczości”, „Wyspie” i „Znaku”, a wiersze w „Akcencie” i „Toposie”. Jest laureatem nagród podróżniczych: Kolos 2012 za wyprawę w Himalaje Birmańskie i Nagrody im. Andrzeja Zawady 2013 na projekt wyprawy do północnej Birmy. Pokonał samotnie pustynię Atacama (2008), wspinał się nową drogą na szczyt Chaupi Orco na granicy Peru i Boliwii.

Jarosław Nowosad

Urodzony w 1970 r. Prozaik, krytyk, eseista, dziennikarz, z doskoku również poeta i tekściarz. Opublikował tomiki wierszy *Mogę być* (2006) i *Nic nie płynie* (2011) oraz tom opowiadań *Czarny chevrolet* (2013). Był w składach redakcji „Gazety Krakowskiej”, „Ziemi Olkuskiej” i „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”, pisywał dla „Opcji”, „Śląska”, „Frazy”, „Studium” i „Lampy”. Mieszka i pracuje w Olkuszu.

Mary O'Donnell

Poetka, pisarka oraz tłumaczka, autorka siedmiu tomów wierszy oraz powieści *Where They Lie*. Była członkiem jury nagród International IMPAC Dublin Literary Award, Hennessy Literary Award, Strokestown International Poetry Competition oraz Irish Times/Mountains to Sea Poetry Prize. www.maryodonnell.com

Marcin Orliński

Urodzony w 1980 r. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Wydał tomiki wierszy *Mumu humu* (Kraków 2006), *Parada drezyn* (Łódź 2010), *Drzazgi i śmiech* (Poznań 2010), *Tętno* (Łódź 2014), *Środki doraźne* (Poznań 2017), zbiór krótkich utworów prozatorskich *Zabiegi* (Poznań 2014) oraz książkę krytycznoliteracką *Płynne przejścia* (Mikolów 2011). Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Newsweeku”, „Tygodniku Powszechnym” i „Twórczości”. Obecnie pracuje jako redaktor Działu Kultura i Społeczeństwo w kwartalniku „Przekrój”. W 2016 roku Fundacja Wisławy Szymborskiej przyznała mu Nagrodę im. Adama Włodka. Jego wiersze były tłumaczone na języki: angielski, niemiecki, francuski, szwedzki, rosyjski, ukraiński, czeski i słoweński. Mieszka i pracuje w Warszawie. Oficjalna strona: www.marcinorlinski.pl.

Alejandra Pizarnik (1936–1972)

Jedna z najwybitniejszych poetek argentyńskich. Pierwsze wiersze opublikowała w wieku 20 lat. W latach 60. wyjechała do Paryża, gdzie związała się z grupą autorów, tj.: Octavio Paz, Julio Cortazar czy Rosa Chacel. Wydała siedem książek poetyckich, ósma ukazała się po jej śmierci. Przez całe życie szukała zrozumienia samej siebie i dla siebie, w wyniku silnej depresji zmarła śmiercią samobójczą.

Saša Radojčić

Urodzony w 1963 r. w Somborze (Serbia). Poeta, krytyk, eseista i tłumacz. Ukończył filozofię (doktorat na Uniwersytecie w Belgradzie) oraz literaturoznawstwo (magisterium tamże). Wykłada filozofię sztuki na Akademii Sztuk Pięknych w Belgradzie. Opublikował zbiory poezji: *Na próżno sny* (*Uzalud snovi*, 1985), *Muzyka kameralna* (*Kamerna muzika*, 1991), *Ameryka i inne wiersze* (*Amerika i druge pesme*, 1994), *Elegie, nokturny, etiudy* (*Elegije, nokturna, etide*, 2001), *Cztery pory roku* (*Četiri godišnja doba*, 2004), *Cyber zen* (2013) oraz *Długie i krótkie wiersze* (*Duge i kratke pesme*, 2015); oraz szereg opracowań teoretycznych z dziedziny literatury i historii sztuki.

Laureat nagród im. Branko Ćopicia, Đurđ Jakšicia, Vladislava Petkovicia-Disa (za całokształt dorobku, 2015) i nagrody „Lenkin prsten” za poezję oraz nagrody im. Milana Bogdanovicia za krytykę literacką. Pracował w redakcji pism: „Letopis Matice srpske”, „Dometi” i „Norma”; założyciel magazynu sieciowego „Metafora”. Członek serbskiego PEN Clubu, Serbskiego Towarzystwa Literackiego, Serbskiego Towarzystwa Filozoficznego, Estetycznego Towarzystwa Serbii oraz Towarzystwa Studiów Antycznych Serbii.

Krzysztof Szatrawski

Urodzony w 1961 r. w Kętrzynie. Poeta, prozaik, krytyk muzyczny i literacki. Profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (od stycznia 2014 prezes Oddziału w Olsztynie), Wspólnoty Kulturowej Borussia, Stowarzyszenia Scena Babel, Stowarzyszenia na Rzecz Kultury Żydowskiej „B` Jachad” oraz Komisji Badań nad Kulturą Warmii i Mazur Towarzystwa

Naukowego im. Wojciech Kętrzyńskiego. Prowadzi interdyscyplinarne badania kulturoznawcze, literaturoznawcze i muzykologiczne, w perspektywie teoretycznej i historycznej. Jest również aktywnym edukatorem i animatorem kultury. Za osiągnięcia w dziedzinie promocji kultury muzycznej otrzymał w 1997 odznakę Zasłużony Działacz Kultury, a w 2016 został wyróżniony Odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Laureat licznych konkursów; duża liczba publikacji rozproszona jest w czasopiśmie literackich i naukowych oraz antologiach – także w tłumaczeniach na angielski, francuski, niemiecki i rosyjski. Przekładał poezję i piosenki. Jest laureatem Dorocznej Nagrody Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego w Dziedzinie Kultury w 2012 i Nagrody Prezydenta Olsztyna w 2013. Również w 2013 w Kętrzynie została mu nadana godność honorowego członka Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego. W 2016 otrzymał Nagrodę im. Maksymiliana Wołoszyna „za wkład w kulturę”. Autor tomików: *Posłanie ostatniego z epigonów* (Olsztyn 1981), *24 godziny śmierci* (arkusz poetycki Okolice – Warszawa 1988), *Poniżej snu* (Olsztyn 1989), *Wiersze graficzne* (Olsztyn 1990), *Tak cicho śpiewa północ* (Olsztyn 1997), *Pieśni miłości i rozstania* (Olsztyn 1999), *Wiek nowy* (Olsztyn 2014), *Czas płonących ogrodów* (Olsztyn 2017). Proza: *Requiem dla Bohatera* (powieść, Warszawa 1989), *Odjazd* (opowiadania, Olsztyn 2006).

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

Urodzony w 1962 r. w Wólce Krowickiej k. Lubaczowa. Poeta. Absolwent filologii polskiej UMCS. Debiutował w 1990 na łamach pierwszego numeru kwartalnika „Kresy”. Od 1991 r. mieszka w Warszawie, od 1993 r. jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Skupieni wokół pisma „Halart” młodzi krytycy poświęcili Tkaczyszynowi-Dyckiemu książkę *Jesień już Panie a ja nie mam domu. Eugeniusz Tkaczyszyn Dycki i krytycy*. Poezja Dyckiego czerpie z tradycji polskiej poezji barokowej i ze współczesnych dykcji. Wśród czytelników zafascynowanych tą poezją znalazł się także Czesław Miłosz, który osobiście nagrodził poetę. Książki: *Nenia i inne wiersze* (Lublin 1990), *Peregrynarz* (Warszawa 1992), *Młodzieniec o wzorowych obyczajach* (Warszawa 1994), *Liber mortuorum* (Lublin 1997), *Kamień pełen pokarmu. Księga wierszy z lat 1987–1999* (Kraków 1999), *Przewodnik dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania* (Legnica 2000), *Zaplecze* (proza, Legnica 2002), *Daleko stąd zostawiłem swoje dawne i niedawne ciało* (Kraków 2003), *Przyczynek do nauki o nieistnieniu* (Legnica 2003), *Dzieje rodzin polskich* (Warszawa 2005), *Poezja jako miejsce na ziemi* (1989–2003, Wrocław 2006), *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* (Wrocław 2008), *Rzeczywiste i nierzeczywiste staje się jednym ciałem. 111 wierszy* (Wrocław 2009), *Oddam wiersze w dobre ręce* (1988–2010, Wrocław 2010), *Imię i zamię* (Wrocław 2011), *Podaj dalej* (Poznań 2012), *Kochanka Norwida* (Wrocław 2014), *Nie dam ci siebie w żadnej postaci* (Kraków 2016). Jeden z najczęściej nagradzanych polskich poetów: Nagroda im. Kazimierza Iłakowiczówny (1991), Nagroda im. Józefa Czechowicza (1991), Nagroda Literacka im. Barbary Sadowskiej (1994), Nagroda Niemiecko-Polskich Dni Literatury w Dreźnie (1998), Nagroda Literacka Gdynia (2006) za tom *Dzieje rodzin polskich*, *Hubert Burda Preis* (2007), Nagroda Literacka Gdynia (2009) za tom *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*, Nagroda Literacka Nike (2009) za tom *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*, nominacja do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za ten sam tom, Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius (2012) za tom *Imię i zamię*, nominacja do Nagrody Poetyckiej Orfeusz (2015) za tom *Kochanka Norwida*, nominacja do Nagrody Literackiej Nike (2015) za ten sam tom, nominacja do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej (2017) za tom *Nie dam ci siebie w żadnej postaci*.

Mateusz Wabik

Urodzony w 1975 r. Ukończył filologię polską na UJ. Laureat konkursów: im Grochowiaka, „Pro Arte”, Turnieju Jednego Wiersza „Pod Jaszczurami”, Gniewińskie Pióro. Tłumaczony na język niemiecki. Wydał 4 tomy wierszy: *Próba głosu* (1999), *Przestrzeń lokalna* (2003), *Spisek* (2009), *Marzenia słów* (2012). Mieszka w Krakowie.

Miłosz Waligórski

Urodzony w 1981 r. w Bydgoszczy. Tłumacz, autor wierszy i prozy. Ostatnio wydał tom *Długopis* (2017). Uczy języka polskiego w Bańskiej Bystrzycy na Słowacji.

Konrad Wojtyła

Urodzony w 1979 r. Poeta, dziennikarz, krytyk literacki, wiceprezes Fundacji im. Sławomira Mrożka. Wydał pięć tomów poetyckich; ostatnio: *może boże* (Lubuski Wawrzyn Literacki 2010) i *Czarny wodewil* (2013). W 2014 r. ukazała się jego książka *Rewersy. Rozmowy literackie*. Przetłumaczył z jidysz na polski nieznane wiersze Eliasza Rajzmana zebrane w tomie *Mech płonący* (2015). Współredaktor książki Rafała Wojaczka *Nie te czasy. Utwory nieznane* (2016).

Katarzyna Zwolska-Płusa

Mama, żona, asystentka uczelniana, nauczycielka języka polskiego, filozofii, etyki i wiedzy o społeczeństwie w alternatywnej szkole ALA w Częstochowie, tutorka, miłośniczka gór i podróży pociągiem. Publikowała poezję między innymi w „Dwutygodniku”, „sZAFie”, „2Miesięczniku”, „Migotaniach”, „Helikopterze”, „Fabulariach” oraz na stronach Salonu Literackiego, Fundacji Karpowicza, Śląskiej Strefy Gender, prozę w „Nowym BregArcie” i „Helikopterze”. Jedną z redaktorek Babińca Literackiego.

Autorka książki poetyckiej *Cud i Anomalia*, Brzeg 2017.

Agnieszka Żuchowska-Arendt

Urodzona w 1983 r. Absolwentka filologii słowiańskiej, opublikowała ponad 20 przełożonych tytułów we współpracy z kilkoma wydawnictwami. Przekłady publikowała również w czasopiśmie (m. in. „Red”, „FA-art”, „Fraza”, „Poezja dzisiaj”). Autorka tomu poetyckiego *Biała masa tabletek* (2005) oraz zbioru opowiadań *Znikomat* (2009). Żyje z pisania powieści na zamówienie, publikowanych pod pseudonimami.

Dominik Żyburtowicz

Urodzony w 1983 r., poeta. Pochodzi z Drawskiego Pomorskiego. Wydał tom wierszy pt. *Żaglowce* (WBPiCAK, Poznań 2015), za który otrzymał nagrodę Złoty Środek Poezji oraz tom *Spaceboy* (Instytut Mikołowski, 2017). Wiersze publikował m.in. w „Akencie”, „Arteriach”, „Dwutygodniku”, „Frazie”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Latarni Morskiej”, „Migotaniach”, „Odrze”, „Ricie Baum”, „Tyglu Kultury”, „Wyspie”. Współautor antologii: *Półów. Poetyckie Debiuty* (Biuro Literackie, Wrocław 2010), *Free over Blood* (Off_Press, Londyn 2010), *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Ośrodek Postaw Twórczych, Wrocław 2016) oraz *Antologia Debiutów Poetyckich 2015* (K.I.T. Stowarzyszenie Żyjących Poetów, Brzeg 2016). Laureat wielu konkursów poetyckich, m.in. im. Jasna Śpiewaka i Anny Kamieńskiej (2012), im. Rafała Wojaczka (2012), im. Zbigniewa Herberta (2013), im. Haliny Poświatowskiej (2017). Mieszka w Koszalinie.

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A
tel. 502 405 437, 668 118 267
www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl
Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny
Agnieszka Zub – sekretarz redakcji
Jarosław Nowosad – redaktor

Stali współpracownicy:

Marcin Bałczewski, Michał Domagalski, Piotr Gajda, Rafał Gawin, Paweł Garwoł, Mirosław G. Majewski, Kamil Pietrzyk

Okładka: Zbigniew Bajek, Światło IV z cyklu Relikwiarze, 100x70 cm, lightbox, 2015

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie w pełni podziela wyrażane w nich poglądy.

Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.



Projekt realizowany przy
wspieraniu finansowym
Województwa Małopolskiego

w(Y)stępniak

Uświęcona tradycja nakazuje, by w tym miejscu pisać o tym, co można znaleźć w gazecie, tej gazecie, którą Czytelnik właśnie wziął do ręki. Tak robią niemal wszystkie redakcje, od dziesiątek albo i od setek lat, nie pamiętam – może już w „Merkurjuszu Polskim Ordynaryjnym” tak bywało, więc chyba nikomu na myśl nie przyjdzie, że to jest bez sensu, bo na cholerę marnować miejsce na opowiadanie o tym, co jest dalej, skoro ludzie zaraz sobie zerkną, co dalej jest; zwłaszcza jeśli na wstępie – tak jak to ma miejsce u nas – zamieszczono spis treści. A poza tym ludzie generalnie wstępniaków nie czytają, bo raz, że w ogóle mało czytają, a dwa: wiadomo, co taki naczelny, albo inny redaktor, któremu znudzony naczelny zlecił napisanie wstępniaka, może ciekawego napisać? Co mogłoby być w tym wstępniaku? Mógłbym napisać: zapraszam, mamy garść świetnych wierszy i opowiadań, które umilą Ci, drogi Czytelniku, wakacyjny odpoczynek! Mógłbym, tylko po co? Wprawdzie wiersze, opowiadania, eseje i recenzje faktycznie mamy świetne, albo co najmniej dobre, ale cóż z tego, skoro wcale nie chcemy Wam umilić wakacyjnego odpoczynku! Wakacyjny odpoczynek umili wam sześciopak piwa, dobrze wysmażona nad ogniskiem kiełbaska albo wieczorna lampka wytrawnego burgunda – no, co kto lubi. Nasz kwartalnik nie jest po to, żeby komuś coś umilać, a przynajmniej my nie mamy tego na celu! Szczerze mówiąc, wolelibyśmy Wam niczego nie umilać, tylko wręcz odwrotnie: uprzykrzać Wam, co się da, bo ludzie dłużej pamiętają o krzywdach niż o przyjemnościach, a my chcemy, żebyście o nas pamiętali. Ale to temat na inny niepotrzebny wstępniak – może znajdziecie go już w następnym „Afroncie”... Nie ubiegajmy faktów.

Właściwie więc wstępniaki są bez sensu, tyle że nikt tego głośno nie chce powiedzieć, bo redaktorzy naczelni z reguły lubią wstępniaki, to jest bowiem ich miejsce i czas, wręcz piękna chwila, gdy wreszcie – po niewyobrażalnej mordędze – zamykają gazetę; wszystko, co się dało, a nawet i to, czego się nie dało, jest zapięte na przysłowiowy (słowo „przysłowiowy” należy do ulubionych słów redaktorów naczelnych) ostatni guzik, pisanie więc wstępniaka jest czynnością zwiędzającą satysfakcję – można ją porównać do papierosa wypalanego po udanym seksie. Towarzyszy temu ulga, nawet nutka melancholii i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Pozostaje jeszcze tylko postawić kropkę pod tekstem, zerknąć na pozostałe strony, czy coś się sygnęło – i materiały idą do drukarni. A my możemy wreszcie bez wyrzutów sumienia pójść w miasto i urznąć się w trupa.

No dobrze, wyśmiałem wstępniaki, więc po co go pisać? Jeśli Wam powiem, że nie wiem, to mnie zrozumiecie i mi wybaczycie? Powinniście, przecież jestem wobec Was uczciwy! Mógłbym tu rozwijać tę wątpliwą moralnie i płytką intelektualnie myśl, aż stuknie na liczniku te około 3 tysiące znaków, które naczelny kazał mi napisać, ale nie chcę tego robić, bo to byłoby pójście na łatwiznę. A takiego zlekceważenia moglibyście mi nie wybaczyć. A już z pewnością nie wybaczyłby mi naczelny... Ale zaraz, chwileczkę, tak przy okazji – przed momentem stuknęło mi te 3 tysiące znaków! Do zobaczenia więc w następnym wstępniaku. ●

Bądźcie z nami! Frontem z AFRONTEM!

Redakcja

I. Biedniątka

im jestem starszy tym głośniej
opłakuję was moje dzieci
płaczę nad sobą i nad wami bo nic
wam nie dałem oprócz kilku

słów przepraszam że zawiodłem
moje dzieci im jestem starszy tym lepiej
widzę na co was tutaj naraziłem
co wam zgotowałem płacząc nad sobą

i nad wami moje biedniątka tak bardzo
starałem się wam zapewnić dobre i długie życie

12 XI 2017

II. Tabletki o przedłużonym uwalnianiu

nie nakręcajmy się zatem
bo na rzeczywistość musimy
przystać choćby z mgieł
wychynął nieprzyjaciel (połknij

tę piękną tabletkę
zanim ktoś cię ubiegnie
i wyrucha) połknij
tę najpiękniejszą i nie mów

że to pacusia (kiedy pacusia
to pacusia) nie pomył jej z niczym słodkim

III. Pacusia

komu i czemu służysz
mój wierszu odkąd ciągnę
na ketrelu stajesz się
zaledwie jedną tabletką więcej

lub jedną tabletką mniej
na ogół stajesz się
w moich ustach lepką substancją
nie do przełknięcia

i nie do obronienia od lepkiej
paci skądś już mi znanej
skądś już pobieranej nie przybędzie
tekstu zatem odwal się pedziu

IV. Piosenka o plujku

obawiam się że ani jutro
ani pojutrze nie wrócę
w przemyskie i to nie dlatego
że na unickiej ojcowiźnie

mojej matki wzniesiono kościółek
śliczny śliczny kościółek (nigdy w nim
nie byłem) uprządkie ogranicza mnie
ketrel ale ketrel (w przeciwieństwie

do poezji) zawsze można wypłuć
i udać się do Biblioteki Narodowej

V. Trittico

na rzeczywistość trzeba się
zgodzić bez względu
na wzgląd i zasiąść do tekstu
który się nam wymyka

wypsnął się nam lub nie wypsnął
wiersz i na to także trzeba się
zgodzić rymnął się nam lub nie rymnął
wiersz ale nie róbmy problemu

tam gdzie go nie ma połknij tę piękną
powlekaną tabletkę nie pomył jej z niczym

VI. Przeoczenie

wróciłem z miasta bardzo stary
i nie pamiętałem swoich wierszy
ktoś inny je recytował w strugach
deszczu i na wietrze mylił się

przekręcał imiona nie pamiętałem
imion które naćkałem do wierszy
ktoś inny je wypowiadał zaciął deszcz
wiatr targał wczorajszą gazetą

nie byłem jej ciekaw ponoć w poezji
trzeba uwzględnić nie tylko Opelewskich

POEZJA

Alejandra Pizarnik

Nieuchronność

I szare molo i domy czerwone A to nawet nie samotność I widzą oczy czarny obraz z liliowym okręgiem muzyki pośrodku A ogród rozkoszy istnieje jedynie poza ogrodami A samotność jest i nie można jej wypowiedzieć I szare molo i domy czerwone.

Ciągłość

Nie nazywać rzeczy ich nazwami. Rzeczy mają uzębione brzegi, rozpustna wegetacja. Lecz kto rozmawia w pokoju pełnym oczu. Kto kąsa usta mi z papieru. Nazwy, które przybywają, cienie z maskami. Ulecz mnie z pustki – powiedziałam. (Światło kocha się w mojej mroczności. Wiedziałam, że nie miało kiedy spotkać mnie i powiedzieć: – to ja). Ulecz mnie – powiedziałam.

Milczenia

Śmierć zawsze u boku.
Słucham jej słów.
Słyszę tylko siebie.

Upadek

Nigdy od nowa nadziei
w odchodzeniu i przybywaniu
imion, kształtów.
Ktoś miał złe sny,
ktoś przez pomyłkę
zniszczył zapomniane różnice.

Jak woda na kamieniu

kto powraca w poszukiwaniu swego dawnego poszukiwania
nocą zamyka się jak woda na kamieniu
jak wiatr na ptaku
jak zamykają kochając się dwa ciała

tłum. Mieszko A. Kardyni, Paweł Rogoziński

wiersze pochodzą z książki *Pragnienie szaleństwa – poezja i proza*

DO POTEM

POEZJA
Maciej Melecki

Błonnik zaszcutego nieba wciera się w oczy jak zasuszony, pyłący powój,
 Drapiąc mnie w rękę i odciągając od stajni, w której pozamykano ongiś
 Wszystkie wyłapanie ćmy, przy tym pniaku, gdzie złożyłeś lunetę. Gaśnie
 Szwał kilku podniet. Płaska jama wyrasta pod butem, więcnie przeto krok
 W tej mgielnej niecce. Wiadra są tylko dwa. Kurz wysysany przez rurę to
 Ostatni już ślad, jaki pamiętał ciebie, kiedy przydawałeś mu kilka swych

Oddechów, wypuszczając kłęb za kłębem wędzącego dymu. Opuszczę na
 Moment te parę okien, nie dotknę tych samych drzwi przez koryto tygodnia.
 Inni są tylko pałubami wyplecionymi z zerwanych wskazówek. Mieli się
 Wciąż ten sam mak i żuje surowy groch. Wywlekam komuś ze sklejonnych
 Palców przestrzelony język. Będziemy wzajem wisieć na tarczy i potem
 Podepczemy rozrzucony na czole zalewu chrust. Kiśnie ten nieurodzaj

Między ciasno powsadzanymi sztachetami korby kręcą nie tylko silnikami,
 Do zeszłego nigdzie jest równie niedaleko jak do dziurawej skroni zapadniętej
 Czaszki mroku, samoczynny ukos wzmagań wylęga nową porcję skaz, którymi
 Pozasycha odlew zakroplonych szram. Szarpanie pasów. Prostowanie
 Poskręcanych płóz. Kwitnie na haku odkrojone deko chcenia, zaprasza się
 Sadzą pozostała kolonia gronkowców, mikroświatów posiniałych od ropnych

Zapaleń. Żyjemy bowiem w przeciągu studni, na garbie tego wierzgającego
 Kopyta, którym tratuje nas spodlony czas tego osuwistego odcinka, chmar
 Wszelkich, wymuszanych przerw, kumulujących grzybnię pod paznokciem
 Burzy, kiedy usta są pełne żeliwnych klocków i zmiętej, szklanej waty,
 Bo nie wychodzi się z niczego prosto, gięci i prasowani łożyskami bieżącej
 Utraty sami określamy azymut dla danego przerostu i odstępujemy ochoczo

Każdą doświadczaną krzywiznę za łyk ożywczego widoku na konar zwałony
 W zastygłe chaszcze potoku. Lunatyczne wejrzenia w chrząstki oczyszczonych
 Wrzeń wydłużają ugor posuwistych gestów, wysiewając nimi przypadkowo
 Odkryte luki, by zająłaby się wszelkie plwania na ten nieprzejrzany kikut
 Trwania naprzeciw coraz bardziej groteskowych gróźb. Odławiam się z tego
 Widłowym zamachem, przechodzę w stan bezbrzeżnego śmiechu, słysząc

Rechot karła i wtórujących mu pacyn, szamoczących się w swoich usztyniających
 Ramach, jakby skolonizowali wszystek repertuar, i teraz już muszą chodzić
 Tylko po rozpiętych nad dachami łańcuchach, aby napięcie nie spadało jak
 Przeładowane fosami słońce. Nic nie kończy się znośnie, rozparte w swych
 Oskubanych zmarszczkach razi utyczkami zapowiedzi prędko zmierzającego
 Pogorszenia. Puste pudła, ukryte pod stołem, komasują podaż braku, który

Podrzyna każdy spód, robiąc miejsce dla kolejnej połajanki świtu, owego
 Manekina uwolnień naszego odbicia w parującym smarem lusterku. Wyplot
 Wiązu. Powróż trąceń. Niknieje w lodowatym przesmyku najgroźniejsze
 Wspomnienie, stając bierką oddechu w poprzek każdego skrzypnięcia
 Rozsadzanych zawiasów tej ogorzałej szczeciny jawy, która pęta się już sama,
 Jak zbłąkany, lunatyczny pozór. Przeistacza się w kłamkę szutrowy zapach.

Na plecach coś kopie rów. Rozstępuje się skośnie bok ściany. Przykrywka cienia
 Rozstawia rusztowania pod nowy mur. Nigdy nie zepnie się kolano żebra,
 Zwisając bezwładnie nad tym wyrobiskiem mózgu, nie nastawiwszy już potem
 Żadnego nadgarstka wszelkich utyskiwań wobec plamiście rozproszonej karmy
 Tego cienkiego przedziału nawarstwianych węń zgłębień i okulałych trosk,
 Albowiem potoczysty ciąg piętnujących wskazań ściera cię na syпки miał.

Wartko ścieka w uchodzące ścięga gwiazd wyjący gwizd stałego zawiedzenia,
 Katapulta wyłupionych odwidzeń ugrzęzła w nadłamanym maszcie skraju.
 Komunikuj się tedy na wspak, kałuże to wszak potyllice ziemi, częste wykroty
 Czyhające na powrót nabiegłego łojem strachu, w tym szpotawym spadzie
 Harmidru rojnego kupczenia namiastkami wytchnienia, szybszego niż się to
 Przez cierń chwili zwiduje, popychanego ciężeniami, nieustannego oddalania.

ODŻEGNANIA

Codziennie widzimy się po raz ostatni, każde ogniwo niewidzialnych spięć jest
 Wybłyskiem podskórnej widzialności zmacerowanych rojeń, jedynego
 Pokarmu oferowanego przez masywne sugestie rozpedzonych światów,
 Które pokrywają wszelkie momenty spoczynku liniami swoich trajektorii, gdyż
 Nikt nie przewiduje natychmiastowego upadku, a wszelka struga porywistych
 Uniesień jest wycierana przez zamachy nieustannych zapowiedzi jeszcze
 Efektowniejszych ziszczeń. Nie ma już ujścia z tego okrążenia. Dobieganie do
 Mety to zarazem pojawianie się na kresce startu, w tej opuchliźnie minionego
 Gnieźdzą się niestrawione resztki nieżyty, przedpiekle jest więc w każdym nowym
 Ruchu, nie mieści się bowiem w żadnym calu poronionego wyobrażenia śrut
 Przyszłego przeniesienia na znośniejszą tratwę chwilowego szczęścia, ponieważ

Zmutowane geny rakotwórczych tkanek są szybsze od najbardziej bystrych przekroczeń
 Widnych fasad tego rzniętego bycia w opuszczeniu przez wszelkie drobiny najlichszych
 Nadziei, więc jedynie w pomykaniu przez dookolne zapadliska koczuje migot odmiennego
 Stanu, boś nie przychodził tutaj na własne życzenie i na życzeniowe kaprysy wciąż
 Jesteś skazywany, w tym umiejscowieniu widlastego zastoju, rozłożystym bardziej
 Niż wykrot samozwrotnej marszruty, kiedy dzień chyli się węzłem do gardła
 Wieczoru, i z tego mulistego przepływu ściekają wiązki rzadkich spienień. Odłowienia
 Cieni nie przynoszą żadnych wskrzeszeń, bezpostaciowo wypełnia się kubik
 Zdarzeń, w których nie brylują już dawno kiełki barwniejszych tematów, zawłaszcza to
 Bowiem mechaniczna tragifarsa rozdeptanych pokus, konturowe mieszczanie się w szablonie
 Machinalnych gestów i strocinywanych racji, jakby nie inaczej rysowałyby się kiedyś
 Nasze losy, wyciągane z odpustowych skrzynek, w pantomimie obrazka, który
 Miał nieść kierunek dla dalszych poczynąń. Wyłoni nową parabolę obejść, nie ujdiesz
 Poza chomąto wcieleń, dogrywaj więc daną rzecz do ostatka i porzucaj inne trapy
 Bezpośrednich zmian, albowiem nie porzucisz nigdy tego zdeptanego miejsca, które

Cię splotło z wodnych żył i pakuł złudnych momentów wiary. Oto rojna bezwyjściowość.
 Rozgarniane kopy liści zawsze ujawniają żywe wciąż ślady obecności klującej

Się w instynkcie przemocy, i z tej pomroczości wznosi się różnoramienny przesył
Prędkich uprowadzeń w bezistocie każdego wyboru. Klęśnijemy. Marszcząca się
Skóra powieki poszczególnego wejrzenia skłania do co bardziej wybrednych odmów.
Nie dosięgasz już w żadne nowe źródła, kazi cię rumor samych tylko sprzęgnięć, w
Nawigacji bez podziału na strony co rusz osuwającego się wschodu i zachodu, bez
Południka w sobie, w popołudniowej bryle zaczadzonych ulic. Wyludniony postój.
Umknienia dali. Nóż ostrzony łopatkami próżni. Zaległy kres skupia się wiatrem w
Sztynny oścień. Przedłużana motoryka to suma pchnięć, jakie uwalnia tektonika zejść
W kłaczę dna. Liczne odżegnanie względem wszelkich, rozrzuconych dookoła klamr,
Progów najeżonych zatraskami. Bez napięcia puszczonej, tworzysz ten głuchy wizg.

RWĄCY AR

Nisko opadające śmigło przedwieczornej nudy. Ludzie utkwieni przed
Swoimi domkami dogrzebują się siebie w plamistości pierwszych, płynnych
Cieni. Rozorany wymaz chwil. Przeskalowane dane odrzuwają aż poza
Czubki leśnych sosen, pudełka są puste, zużyte wcześniejszym wyjadaniem,
Pozostają tedy mizernym śladem mechanicznego życia w ukryciu. Wybierz
Swoją kolejny zaczep, odwiń nić i zaprzęgnij ten nowy wymiar w dalszą,
Zwodną nawigację. Dzieci wszak rozpraszają się do końca – po południowej

Eskapadzie wsiadły na rowery i pognały w pobliską byle dal. Kropi ograniczony
Do zbocza świat, lotka ląduje na papie dachu, przez siatkę wychodzą żółtkie
Łodygi pokrzyw, górską ścieżka wydłuża obrany cel o ar wilgotnej pustki,
Gmatwając kroki i wymachiwania rąk do rozmiarów beli sprasowanej słomy,
Którymi usiane są pola, jakby nie było już innych fragmentów możliwych
Jeszcze do przejścia, rozspójniających spód. Roznieć ponownie wręg. W rogu
Wiaty stoją znalezione patyki, pokryte żłobieniami – to wzory przyszlých

Lat, labirynty dojść do kolejnych, oslepionych przejść, odmykane tylko na
Jeden raz, wyważone z zawiasów drzwi tworzą w nich dodatkowe wnętrza.
Martwa ćma leży na blaszanym blacie. Nikniesz po każdym, wypłukującym
Cię dniu, zabierając ze sobą okazy nowych stąpanieć, po kamienistym, rwącym
Dnie przechodząc zawsze w poprzek nurtu i wychodząc na wyludnione
Boisko, gdzie rozbiła się przygodna gawiedź, sprawiająca sobie campingową
Oazę na swój przyszły spad. Ruchomy łań złudnych przebić na rozwarłe strony

Porosłe igliwem nacina nadgarstki chwil. Mamy w sobie tylko przebieg truchtu.
Łykowata grań rozwidła się po każdym skróceniu. Miejsca mrą od swądu
Palonego drzewnego węgla, obłoki zawołań zbijają się w ciasną masę sunącej
Pręgi, która skaża każdy niepochoptny wybór. Rudera domku chroni sztynno
Od południa przed słońcem, wkopana w ziemię niczym betonowy właz. Pozostać
W środku tego rozprężenia, nieorganizowanym żadnym porządkiem stanie, w
Tym oku bezwładu wieńczącego koniec dyszla, dławiącego jak haust moru.

POEZJA

Mary O'Donnell

NA WESELU, NIEZNAJOMA

Na weselu nieznajoma przekonana,
 że jest wcieleniem Marilyn, migotała
 w groszkowej spódnicy liżącej jej biodra
 na sierpniowym wietrze, jej pośladki muskało
 i obmacywało światło, jakby było
 męczyzną. Oczy krewnych śledziły
 każdy jej ruch, jej delikatnie rozchylone wargi,
 palce w koronkowych rękawiczkach, woal
 drżący przy twarzy, lecz wcale nie skrywający
 iskrzenia ciemnych źrenic o metalicznych
 powiekach. Wujowie, bracia, siostrzeńcy, ojcowie
 zamarli, zawieszeni w marzeniu, które niektórzy pamiętali
 albo tak im się wydawało. Wyznawcy Marilyn,
 wyznawcy tej nieznajomej, jakby ich oczom
 nagle ukazała się taka Matka Boska,
 o jakiej się nigdy nie mówi.
 Nieznajoma tańczyła i śmiała się,
 potem pocałowała pannę młodą i poszła
 z namiotu w stronę taksówki. Jedwabna apaszka powiewała
 za nią jak flaga, po czym odpłynęła w kierunku wzgórza.
 Mężczyźni zamrugali i powrócili na jawę,
 spojrzeli znowu na swoje żony.

CICHO SZA, JEST STYCZEŃ

Zwijamy się w kłębki jak zmęczone lwy
w legowisku domu,
wyprawiamy się tylko z rzadka po mleko, gazety,

pomimo wyprzedaży. Przejrzyste nieba
trzymają nas na torze, dom marszczy
ośnieżone brwi okapów.

Drzewa też odpoczywają, ci skupieni
filozofowie ziemi; strażnicy soków
zajęci odczytywaniem strużek w splątanych tunelach

pod kołdrą mchu. Raz wypatrzyliśmy
rąbek słońca i nabożnie odwróciliśmy wzrok.
Nie ma pośpiechu, przysypiamy,

tylko cisza pytań, chwila
przed, razem, po, wzięty oddech.
Przygotowujemy się do życia, posłuszni na nowo

temu wezwaniu, mimo zimnego wiatru,
który przynosi zbyt dużo brutalnego
śmiechu bez związku z niczym konkretnym.

WĘGRY

zjawiły się u mnie w znaczkach.
Łyżwiarze „Magyar Posta”, delikatni
jak empirowa porcelana, ryba, astronauta
z rakieta, srebrzysty chłopiec na nartach z lat 60.
Rozumiałam tylko różnicę.
Teraz, w drodze powrotnej z Budapesztu do domu,
dotykam stron z moimi wierszami, świeżo wybitymi
w przekładzie. Teraz naprawdę ich nie rozumiem,
tylko czy kiedykolwiek było inaczej? Dzięki tym słowom
przelotnie stanę się tubylcem czytelnika przy porannej kawie
na Vaci Ut, który być może nic nie zrozumie,
nawet we własnym języku.
Linie zacierają się wraz z zakradaniem się nocy
do przechylonej, zatłoczonej kabiny. Po raz kolejny
przykładam palec do strony, ślepa, jakby dotyk
mógł mi pomóc uchwycić rybę, astronautę, rakieta
i tych eleganckich, tnących lód łyżwiarzy.
Na zewnątrz niewidoczne chmury
pracowicie tłumaczą jeden kraj na drugi.

Wszystkie wiersze z tomu *Those April Fevers* (Arc Publications, 2015)
Tłumaczenie: Anna Błasiak

Rafał Kierzyńska

CAVE CANEM

„Czemu pies szczeka, rwie się na łańcuchu?”
Jacek Kaczmarski

Nie, on nie szczekał i nie rwał łańcucha.
Patrzył dumnie, choć z trwogą, na swoją zaturę.
Wiatr rozniecił płomienie, nie było ucieczki,
Więc zdechł jak pies, na progu domu,
Niepogodzony z niczym, osobny, prawie boski.

Nie szarpał się i nie wył, nie gryzł i nie szczekał,
Może warczał cicho, widząc pola dymu,
Śmierć była blisko, nieomylna, pewna.
Lecz zdążył, dzielnie machając ogonem,
Powiedzieć, że ma ją gdzieś. I nawet jeżeli
Ogień spali mu łapy i zęby spopieli,
To trudno, będzie warto, bo zawsze jest warto
Być psem, co strzeże domu pod wulkanem.

Już cię prawie nie widzę, piesku z mozaiki,
Stoję w tłumie na brudnej, śmierdzącej ulicy.
W sercu Neapolu, w mieście pod wulkanem,
Przyjuracz mi nadzieję.

Popiół pokrywa zatokę, umierają fale.
Dym mnie oślepia, ogień pali oczy.
Mam klucze do ruin pod wulkanem.
I wciąż nie słyszę łańcucha, nie słyszę szczekania.
Strzeż się psa, głupia śmierci. Strzeż się psa, wulkanie.

ŚPIEW SZÓSTY

(dla J.K., jak zawsze)

Widzę twarze umarłych, są tutaj razem ze mną.
Słyszę ich szept i pieśń.
Są ze mną, gdy schodzę wgłąb,
W katakumby, piwnice, w kanały, podziemia,
W gruzy i fundamenty.
Jeszcze głębiej, dalej, w dół, do czarnego słońca.
W jasną prehistorię, nad brzegi morza,
W kości bohaterów i wspomnienie bogów,
Zbyt licznych, by ich spamiętać.
W otchłań wielu zmartwychwstań, jeszcze niżej, głębiej,
Do Bliźniąt, Byka, Barana, do zapomnianych gwiazdozbiorów.

Umarli są tu ze mną i będą nawet po mnie.
Złodzieje słodkiej wody pod skorupą Ziemi,
Bramy uszyte z ciał zamęczonych bestii.
Jest tylko krew i furia, wina i odkupienie,
I zmartwychwstanie. Jeszcze niżej, proszę,
Do czarnego słońca.

Słucham głosów umarłych, jestem tylko dla nich.
Klepiemy się po plecach, ściskamy, całujemy.
Słyszę ich śpiew w koronie drzew, siedem ostatnich słów
Przed wielkim wyrównaniem.
Niżej, głębiej, tam gdzie nikną sensory,
Zawsze jest tylko życie, nawet kiedy go nie ma.
Omdlewam w białych dłoniach, śpiewam w koronie drzewa.
Widzę twarze umarłych, żyję ich mglistym życiem,
Jestem osią planety, żywy i martwy zarazem,
Wczorajszymi, przedwczorajszymi, chwilowymi, nieskończonymi.
Jestem na zawsze, znikam.
Żyję w twarzach umarłych, jestem twarzą umarłych.

CO ZNOWU POWIEDZIAŁ GROM

„Zginiecie wszyscy” powiedział grom.
Blask błyskawicy nad ścieżką i jeziorem,
I kępami żarnowca. Tak powiedział grom:
„Wszyscy zginiecie”. Tylko parę chwil
I czas się skończy.

Potem przyjdzie wiosna, jak w marcu czy kwietniu,
Rozkwitnie lawenda i bez. Odpoczynek świata.
Już nie będzie wody, będzie tylko skała.

Więc zginiemy wszyscy, kobiety i dzieci,
Żołnierze i śmieciarze, sędziowie, astronauty.
Zostanie pusta planeta. „Szczęśliwa”, rzekł grom.
W mroku, w ciemnym kisielu, mieszka niepewność Boga
I pewność gromu. W oceanie przypadkowych dotknięć,
Zginiemy przez brak najważniejszych dźwięków,
Okno, drzewo, parasol, niepojęte słowa, worek chaosu
Pochłonie je wszystkie. Naszą słabą mową
Chcieliśmy oswoić kosmiczny bełkot planet,
Przypadek i szaleństwo słońc, co nie są dla nas,
Ledwie nas dostrzegają,
Wzruszają ramionami na nasz widok.
Jesteśmy niczym w niczym, zarażamy Ziemię
Bakteriami porządku. Lecz zginiemy wszyscy,
Gdy Słońce rozpali ostateczny blask.
Nikt nas nie dostrzeże i nikt nie polubi,
I nikt nie zapłacze, tak powiedział grom.

Zginiemy wszyscy, bo grom się nie myli.
Stoję na balkonie bloku na Grochowie,
Warszawa-Praga, ulica Kobielska,
Przedemną kościół, ciemny o tej porze,
Słyszę klucz obracany w drzwiach, tylko jeden raz,
Palę papierosa o smaku wanilii.
I wiem, że jeśli ja zginę, umrze także grom.
Wypuszczam kółka dymu, słaby i bezpieczny,
Śmiertelny, spokojny. Piękny, jednokrotny.
Kulawy, szpetny, ślepy, jednokrotny.
Zawsze jednokrotny. To musi wystarczyć
I mnie i gromowi, i każdemu, każdej.

„[Pusta] niezamieszкана suknia
Szła wśród drzew zagajnikiem.
Pobiegłem. Jakieś usta
Mówiły, że za nikim”.

Rafael Alberti

Jesteś prawdziwa tylko, gdy cię nie ma,
Długonoga madonno, moje przeznaczenie,
Krążąca po ziemi, wędrująca po niej.
Moja Lilith, moja Beatrycze.
Nie widzę cię, lecz znam cię, znam, mam i dotykam.
Rozumiem i poznaję, rzekłbym – cał po cał –
Gdyby angielskie miary były dla mnie jasne.
Dzieci Kontynentu, wolę łokcie, arszyny,
Nawet morgi, zawsze przecież twoje.

Jeżeli wiersz jest bazyliką, osaczającą kolumnami pustkę,
Do której wprowadza się Bóg, Absolut, Nirwana, Sens Życia,
Najświętsza Wyprzedaż, Czcigodna Promocja,
Jeżeli zatem pisanie wierszy jest stawianiem kolumn,
Jest budową płotu i klatki dla Boga,
Zbuduję płot dla ciebie, smukła, długonoga,
Przerazająca i piękna. Nasze pocałunki
Rozerwą nas na strzępy. Lecz klatka wytrzyma.

Wszystkie wesołe piosenki, punkrockowy łomot i smutne melodie,
Wszystkie owoce, ciastka, ryby, beczki wina,
Wszystko to zapakuję w niedorzecznym frachcie,
W nieosiągalnej przestrzeni, wewnątrz klatki.
Pochwyć cię i zachowam, jak senne wspomnienie,
Spokojną, długowłosą, ujrzę cię i dotknę.
Zanim wejdzie księżyc i jego brat bliźniak.

Nad jeziorem czyjeś puste suknie spacerują z nami,
Czyjeś niezamieszkane suknie krzyczą do nas, płaczą.
Przerazająca, smutna, nie jesteśmy sami.
Wkrótce nas zobaczą.

AJSCHYLOS, ORESTEJA, PIERWSZA PIEŚŃ CHÓRU

Ta kobieta o oczach ślepych, zapłniętych,
Krzyczy do swego Boga pod gwiazdami Argos,
To święta noc i gwiazdy jej są święte,
Okrutne klejnoty nad gruzami Troi,
Schwytanej w sieć zagłady, w sidła zatracenia,
Pognanej w niewolę.

Ona wie, pijana pobożnym gniewem,
Że Bóg nie zna litości, nie zna przebaczenia,
Że niczym krokodyl (choć to inna opowieść),
Umie tylko kąsać, szarpać, rwać na strzępy.
I widzi każdą winę lub jej domniemywa
W każdym, o każdej porze, na każdym okręcie.
Miłość jest tylko grzechem, życie zawsze pyszne.
Ta ślepa wariatka wie lepiej niż inni,
Że jej Bóg uznaje tylko niewolników.
Ich skarby zbrzydzą i szczęście obmierźnie,
Jeśli On spojrzy na nich, a spojrzy na pewno.
Ludzka mierzwa, godna tylko bezradnej śmierci
Ma ją przyjąć z pokorą, w ciszy i na klęczkach,
Bo tak chce grom.

(Z piwnic i suterren mgłą się okrutne cuda,
Zakłète w perłowy rytm jambów i trochejów.
Słucham gwizdu jastrzębia nad łąką przy moim domu,
W zachodniej Wielkopolsce, na Peloponezie.
Mam pod ręką ruską dubeltówkę Bajkał,
Kaliber 12/70, z obciętymi lufami.
Mam klatkę na błyskawice i srebrny odgromnik.
Mej broni Bóg się nie oprze, ani jastrząb, ni grom.
Siedzę na schodach tarasu, szklanka z zieloną herbatą
Trochę parzy palce, ale warto czuć).

Victor Ficnerski

dziś o świcie

dziś o świcie trafiłem do fabryki
tym razem
nie spotkałem:
pięknie pomarszczonych twarzy
mitycznych sylwetek
ani
nawet
stachanowców
żądających więcej pracy

widziałem przygarbionych ziewających
nieudaczników
ubranych
w granatowe uniformy

Leipzig

to miasto
przynależy do wschodu
to jasne
ale stary
przyśięgam
dawno nie widziałem tylu
brzydkich twarzy

wczoraj
musiałem przejść się do biblioteki
do delikatesów w centrum
żeby złapać oddech
żeby nieco odetchnąć

ciało

i całe to neurologiczne
okablowanie
poplątane
jak lampki na choinkę

te sploty poszarganych nerwów
ta kupa mięsa

ta biała powłoka
pełna krwawej miazgi
cały ten
aglomerat

ten wysoce wyspecjalizowany
kognitywnie aktywny
wyczulony
instrument

korelat?

i czy uda nam się wyizolować
korelat świadomości
ogólny
uniwersalny
i zakończyć cały ten dialog
o znaczeniu jednostki
i pośmiertnym życiu
o Boże!
i zaprzeczenie biologii
i górnolotne słowa
i tak bardzo nie chciałbym
wylądować
na przenośnym dysku
na karcie SSD
na USB-sticku
zapętłony
w nieskończonym
ciągu
neurotycznych myśli

5 minut ciszy

a teraz STOP
zatrzymajcie maszyny
zatrzymajcie swoje rozpędzone myśli

wysiądźcie z aut
otwórzcie okna

czy jeszcze świeci słońce?
czy wciąż dotykasz stopą ziemi?

ej tam, z przodu
wstrzymajcie taśmę

panowie

kolejny z nas
w tej chwili
zapomniał czym jest

5 minut nienawiści

chcę wiedzieć w jakiej operujesz rozdzielczości
jakie myśli przechodzą ci przez głowę
jak zdołasz je ignorować?
ty prostaku
ty gnido
jaki nosisz stan umysłu?
jak myślisz?
ty prostaku
ty na moim miejscu?
nie!
nikim!

Saša Radojčić

Orfeusz w stolicy

cztery wizje senne

wielka bomba spadnie na miasto
na miasto spadnie wielka bomba
spadnie na domy ogrody szpalery drzew
na turkawki spadnie i kosy
na mrówki karaluchy i myszy
wielka bomba spadnie
na uliczne koty
na brudne dzieci z ulicy
spadnie bomba wielka na żebraków
pozabija biednych
pozabija głodnych
głód zabije wielka bomba
zabije głód
zabije wstyd gdy spadnie
grzech oczyści
gdy spadnie gdy spadnie
a spadnie

a ty co robisz
ty co wracasz do miasta
ty co się oduraczasz
na wszystkie strony
– ciebie szukam

wszyscy uciekają
 wszyscy się chowają
 schował się rząd wojsko policja
 schowali się poborcy podatkowi i piekarze
 kupcy maszyniści pielęgniarce
 ucieka służba zdrowia sądownictwo
 szkoły uciekają uniwersytety
 uciekają domy poprawcze
 domy starców uciekają
 ucieka staruszek na rowerze
 kręci pedałami i w dzwonek wali
 uciekają nocne ptaki
 pracowite mrówki uciekają
 uciekają ludzie tłoczą się
 ciasne wąwozy przeskakują
 niektórzy się do rzeki rzucają z mostu
 niektórzy już pływają, niektórzy toną
 niektórych już porywa prąd
 ci się pchają do piwnic
 do dziur do kanałów się tłoczą
 po dwoje po troje dziesięcioro
 tamten się pod most wślizguje
 ciasno mu aż stęka
 ten kopie sobie jamę
 tamtemu pół nogi wystaje
 ten się już zagrzebał
 tamten na drzewo się wspiął i wrzeszczy
 wyciągnął jakieś kartki i czyta
 powołuje się na rozum wyjaśnia
 pod drzewem dwie kobiety płaczą
 trzecia się z nich śmieje

a ty co robisz
 ty co wracasz do miasta
 ty co się odwracasz
 na wszystkie strony
 – ciebie szukam

to nie strach
 nie lodowate dreszcze które przechodzą wzdłuż kręgosłupa
 kiedy słyszysz cichy głos w niespodziewanym miejscu
 tam gdzie myślisz że jesteś całkiem sam
 strach nie jest czysty
 przed istnieniem wywróconym na drugą stronę
 przed tym, o którym ledwie słyszałeś, że jest
 a teraz widzisz jak niezmordowanie pracuje
 czyżby strach mógł być
 tym co napędza koło zamachowe naszego świata
 koła zębate raz nakręconego budzika
 scena dobrze obsadzonych ról
 czy może strach
 że wymyśli pory roku
 nurty rzek kielkowanie żołądki
 złoty szum wysokich traw

czy to nosi nas strach
przed bólem przed stratą przed końcem
przed tym co przychodzi po końcu
przed tym co nie ma końca
czy uiekamy ze strachu
boimy się tego przed czym uiekamy
czy to strach jest tym przed czym uiekamy
prawdziwa zgroza

a ty co robisz
ty co wracasz do miasta
ty co się oduracasz
na wszystkie strony
– ciebie szukam

jeden się zagapił i milczy
jeden ma wszystkiego dość
jeden dziwi się wszystkiemu
jeden targa walizkę książek
jeden dźwiga telewizor
jeden niesie pół szynki
jeden nic nie niesie
ale kieszenie ma pełne drobnych
więc brzęczy gdy chodzi
jeden się wystroił
jeden w samych majtkach
jeden ciągnie psa
jeden ciężarną żonę
jeden babkę sąsiadki
dwóch się o coś bije
dwóch biegnie zygzakiem
dwóch zabrało kanapę
dwóch stało na rogu
a jeden patrzył w lewo
jeden w prawo
dwóch skacze z najwyższego budynku
i długo machają rękoma potem
jeszcze jeden jakby się wahał
i on też się rzuca
w dół w dół
w dole jest już usłane ciałami
już wielu uciekło
już wielu się uratowało

a ty co robisz
ty co wracasz do miasta
ty co się oduracasz
na wszystkie strony
– ciebie szukam

Muzyka kameralna

starzy znali wiedzę, w ich
upadkach, bardziej niż we wzlotach
pobrzmiwał tłum, co mieli
czcić, czcili bez względu
na ofiary, czasami i ofiary
były czczone, czasami muzyka
docierała do boga, nie można było
wygasnąć potajemnie, aby nikt nie widział
(kropla po kropli), a my, mówię bez przekonania,
że mnie naśladową, nie będziemy grać
w wielkiej orkiestrze, nasz dźwięk
potrzebuje granic, ścian tego pokoju,
skóry tego ciała, słów jednego języka.

Mój syn czyta

i nie zauważa
jak słońce zastępuje wielodniowy deszcz,
jak powietrze staje się ciepłe i ciężkie,
jak wiosna umyka przed latem,
mój syn czyta i nie zauważa
bałaganu, nie widzi nikogo, nic nie widzi,
ani pszczoły która mu usiadła na kolanie,
ani mojego ojca, który siedzi przy wnuku,
zamysłony jakąś swoją myślą,
zapatrzony w jakiś swój nieistniejący punkt,
mój syn, ślad mojej duszy, czyta,
i nie zauważa ni dźwięków ni zapachów,
ani zmian kolorów zwykłych przedmiotów,
nie widzi też mnie, dumnego i niespokojnego,
bo wiem: on czyta i życie go ominie
tak jak właśnie omija mnie,
który przeżyłem więcej książek niż dni,
mój syn czyta i nie dotyczą go pory roku
marszczy czoło, pogrążony w podróż,
i mówi mi, nie całkiem tam, nie całkiem tu,
mówi jakby odpowiadał na moje pytanie,
mówi mi głośnym, spokojnym głosem,
i nie odrywając wzroku od liter, spragniony jestem, tato,
jestem taki spragniony.

przełożyła: Agnieszka-Zuchowska-Arendt

**w powietrznej równoważni
ważka
kołysze się
przeważnie**

POEZJA

Krzysztof Szatrawski

[illegible]

w noc gorszą

miesiące
 miesiące
 gorszące es?
 de
 ce? ce
 powinno być dobrze, że
 nie może morze, może rzeka
 a n i e c h a j p o p ł y n i e p r z e d s i e b i e
 do P R A W D Y
 doprawdy? " " (tu jakaś cytata)
 " " (tu jeszcze raz, twierdząco)
 nooo
 teraz dooo
 pieroooooooooooo
 zacznie się rooooooooo
 zbierać cooooooooooooooooooooo
 nieco woooooooo
 nieco dooooooo
 nieco nr 0 (numero:)
 panie muzykancie, prosim
 zagrać walca
 gra
 grać zaczął! ciiiiiiiiiii e!
 es
 de
 ce
 gorszą
 gorące
 miesiące
 głow,dłó,pier,włó
 bio,lew pier i pr
 pepeustwarzwanie
 a noc taka gorąca
 dopiero
 terra -z (incognita -z)
 się zacznie - zawsze ośmielone światło zmielone
 dziwna to praktyka ////////////////
 rzygać do nocnika // // w tej dziurze się
 zaiste //////////////// mieszczą zaświaty
 lecz intencje
 czyste MAM
 a P R A W D A? (a prawda na boku tymczasem:) BIM BAM
 BOM

ożywianie martwej formy człowieczeństwa	o
żywianie martwej formy człowieczeństwa	oż
ywanie martwej formy człowieczeństwa	oży
wianie martwej formy człowieczeństwa	ożyw
ianie martwej formy człowieczeństwa	ożywi
anie martwej formy człowieczeństwa	ożywia
nie martwej formy człowieczeństwa	ożywian
ie martwej formy człowieczeństwa	ożywiani
e martwej formy człowieczeństwa	ożywianie

i cóż oznaczać mają te słowa?!

nos palce podniebienie prącie czoło pięty i kolana
ramiona pośladki język oczy, a także myśl rozsądną
ach to właśnie sprawia że żyję

odbywa się

formy człowieczeństwa	ożywianie martwej f
ormy człowieczeństwa	ożywianie martwej fo
rmy człowieczeństwa	ożywianie martwej for
my człowieczeństwa	ożywianie martwej form
y człowieczeństwa	ożywianie martwej formy

właśnie teraz

p
o
p
r
z
e
z
kunsz
tow
ne
:

wypełnienie formy treścią twego własnego człowieka
ypełnienie formy treścią twego własnego człowieka
pełnienie formy treścią twego własnego człowieka w
elnienie formy treścią twego własnego człowieka wy
lnienie formy treścią twego własnego człowieka wyp
nienie formy treścią twego własnego człowieka wype

(((((((((i cokolwiek miałoby to oznaczać :)))))))))))

e formy treścią twego własnego człowieka wypełnie
formy treścią twego własnego człowieka wypełnieni
formy treścią twego własnego człowieka wypełnienie

w pustym pokoju pełnym ludzi

gdyby miles davis nagrał mozarta z wielką orkiestrą nie sądzisz byłoby to jak nowe drzwi otwarcie rytm harmonia lub ekspresja z nimi rozmiar uniwersalny nie umieją tak się uśmiechać kurtuazyjnie i nie uśmiechają się w ogóle od czasu gdy usunięto im wyrostek cierpią na złe humory wyją więc co noc do odbitego w szybie neonu jakby nocne potwory nie mogły się uśmiechać jak wieloryby pływające pod powierzchnią dziecięcych książeczek i snów nie chcę nie mogę już tego słuchać i hej nie pluj mi do ucha tak sądzę są lepsze sposoby na odbicia na szyby i na wielką niewiadomą należałoby wymazać jego nazwisko nie sądzisz kochanie wymazać jego nazwisko i tytuł utworu człowieka widzisz nocą w końcu jak to wymazać i mogę tak siedzieć wstanę i wyjdę tak po prostu zastanów się tylko gdzie i co jest czy to wszystko istnieje to nie to stulecie ale kiedy dostaniesz po łapach dupie kopa w brzuch w gardło tak oto chciałeś jej zaimponować wyrzucić jego nazwisko z gębą to nonsens tu właśnie papierosy się kończą kiedy puzon wchodzi no właśnie tę bladą różową blues z solówką w końcu musiało się zdarzyć co takiego a teraz już śpij a może należałoby zacząć od początku i powtórzoną frazę na pewno tak jeśli zapragniesz będziesz mógł stąd wyjść więc zamiast siedzieć wstań po prostu wyjdź na pierwszy stopień jak idiota ale nie zdołasz przeniknąć ścian bez wiary nie ma muzyki a gdybyś uwierzył byłbyś może wolny taka twarda jest ta ściana mogło być gorzej wypłuj krew i nie histeryzuj bez końca chcesz mówić o niczym a może pomówmy o muzyce i filozofii o błękitnych łzach platona o milczeniu ghandiego mówię mu wstań i idź a ten idiota umazał ścianę krwią taka jazda lubię też bernsteina ale

zagrrrrrrajcie
nam marrrrrsza
gdy grrra nie
pogarrrrrrrsza
humorrrrrrrru
nie trrrraćcie
honorrrrrrrru
klarrrrrrrnety
trrrrrrębacze
waltorrrrrnie
rrrrrrrogacze
już terrrrraz
rrrrruszajcie
na rrrrrraz 2
i czterrrrrry
do czarrrrnej
cholerrrrrrry
rrrówwwwnaj
krrrrrrrrrrrok
prrrawaaaaaa
marrrrrrrrrrsz

alle chcielllibyście powalllcować wielllce doskonallle
walllcujcie klllarnety wallltornie plllasajcie rogallle
wallllllcownie chłłłodnie stallllllllownie odllllllewnie
blllado lillliowe sallle króllllewskie aulle i chlillewnie
lllekko stylloowo płynnie kolejne stylle lllub ballle
lllewa plllasając rozwallllcowalllibyście chwallllebnie

?
 jaką tajemnicę?kryją nasze ciała
 ?unosisz pod skórą piersi
 ?pieścisz snem
 ?nieprześnionym
 uśmiecha się
 i milczy
 zgniata w palcach pytanie
 milczy zupełnie serio
 tajemniczo
 zwodniczo
 czy słyszałaś pytanie?
 ?otwiera szerzej oczy
 ?czy cierpi
 wybiegam jej naprzeciw:
 :oddala mnie gestem
 !
 nie
 już późno
 zbłądzisz w ciemności
 nie zostanie
 ci nic
 co
 mówi
 głową potrząsa
 opadają płatki mroku
 nawet legenda
 ponad to
 jest
 !
 tylko dziś!
 ?a przyszłość
 cóż nam po przyszłości
 ?czy podobna tak myśleć
 tak! i tobie te myśli
 !nie przyjmuję
 przyjmij więc choć strach
 ogrody zmieniły się w popiół
 żyzny!
 i pełen ciemności
 lecz z czasem
 przeminie też ciemność
 i milczenie
 a może dziś?
 !jutro
 !już
 !

to piękno
 ach, barwne i kuliste
 tak, wstydlive wręcz słoneczne
 zachody – gdybym próbował je śpiewać,
 lub farbą olejną malować – mógłbyś spokojnym
 głosem zwać mnie pacykarzem albo estetycznym
 embrionem,,, zamykam więc oczy by przedstawić
 sobie szare, pozbawione barwy i kształtu, sprane
 bez bólu i radości płótna, na których pozostawiam
 noce gorączki, ślady szamotaniny z przepełnioną poś
 cielą, zgniecione fiołki po medykamentach, czy głos
 niedzielnych dzwonów, który zapomniał o naszym / mym
 istnieniu
 ale czy nie jest to bardziej jeszcze
 podszyte kolorem, barwą naturalną i kiczowatą; marsze
 linoskoczka ku rozkołysanej w dole śmierci
 i wciąż
 głębiej zanurzam się w roztworze formaliny, ja, obelisk
 akademickich sporów
 o pomarszczonej skórze
 i zaklejonych powiekach
 jakże prawdziwy
 jakże niewinny i martwy
 w zakurzonej słoju na półce
 a
 słońce
 niech będzie kiczem nawet samo słowo –
 zachodzi – krąg na pasma rozkładany
 w sklezionej z ziemią perspektyw
 -ie
 drży jeszcze tarczy
 kraniec

Bałtyk

Za Vestervikiem niebo jest
całkiem białe.

Języczek drogi majaczy wzdłuż brzegu
Cieniste depresje. Mokre skały krasowe.
Wierzchołki świerków wśród skał.

Na jednym siadły dwa kruki –
Hugin i Munin, zmęczeni widokami,
które teraz i mnie męczą: przy ryku silnika,
przelatujące czerwone tablice i strzałki
wskazujące w drucianej siatce
otwory wygrwane przez renifery.

(„W nagłym przestraszu te kopytne
dostają ataku padaczki”, powiada A. Menabeus
w *Tractatus de magno animali*.) Gdyby
choć jeden się tu zjawił, gdyby w łódce
zrobił dziurę.

Drucianą siatkę szarpie
wiatr. Chmury płyną
na wschód, a fale Bałtyku z powrotem, na północ.

21/23 kwietnia 2009

Wyspa

Oto wyspa o zapachu
włosciańskich kałdunów
opowieści i otrębów.

Ni ostrych cierni ni skał:
południe, piątek i pszenica,
co Goliatowi sięgałaby do ramienia.

Tutaj się nikt nie chwali chlebem,
majątkiem czy w domu, czy w obejściu,
ni młodymi chłopcami
wychowanymi
do pracy i rozmów domowych.

I chociaż widzisz mewy
i śpiewny wiatr, co pieści grzebień skał,
otwarte morze nikogo nie pociąga
ni rufa się w wodzie skapie

bez pilnego celu i pilnej potrzeby.

Göteborg, port

Tutaj czekają
białe łodzie
które o świcie odpłyną
do Ameryki i Kanady.

Na pokrytym lodem moło ustawieni,
w butach i bez butów,
z przypalonymi fajkami,
Albańczycy, Kurdowie i Bośniacy –
najemnicy bez duszy
i własnej łopaty,

czekają świtu i lekko pobrzękują
złotymi pierścieniami
na palcach
złotymi łańcuchami
na piersiach
zapłodnieni południowym zaśpiewem
co się jak kobra
wzbija w górę,

póki deszcz dudni
fala o falę bije
i zegar na wieży wybija północ.

Łódzie

(wg P. Saarikoski)

W Landskronie
pod porannym słońcem
oparłszy plecy
o ruiny
piję piwo
rozmyślając
o tym co się stało
w Landskronie
nie ma ludzi
ludzie się wyprowadzili
Landskronę
zajęli obcy
małe małe czarne czarne
łodzie które
próchnieją i
pękają w porannym słońcu
oparte o ruiny
w Landskronie

10 stycznia 2009

Bokbindaregatan

(*Ulica Introligatorów*)

1.

(*Wychodzę na balkon*)

Wychodzę na balkon,
jest zmrok, palę
trzaska neon Alfa Lavalu,
mgła się snuje, lecz nie unosi
pryska wiatr obsypywany deszczem,
na deszczu powrzaskują mewy
przylatujące z Sundetu
zamiast ryb wyciągają dżdżownice
z dołu, z gleby w ogrodzie szpitala wariatów
o nazwie Sankt Lars;
to tam Hermelin (1860–1944) dogorywał
tłumacząc perskich klasyków
to tam teraz dogorywa J. Kunicki
nad *Ferdydurke* Gombrowicza,
Jan Kunicki, mój przyjaciel,
który mówi w siedmiu językach,
a nie ma ani jednej ojczyzny,
Ja swoją utraciłem,
tak jest najlepiej, powiada Kafka,
co możesz począć z ojczyzną,
wyobraź sobie, że jesteś Duńczykiem,
duńskim postmodernistą, który się spala
w islamizacji tamtejszych emigrantów
i na opłakiwaniu *nabliższej przyszłości*
gdy Kopenhaga
po raz pierwszy zwróci twarz w stronę Mekki;
wychodzę na balkon, boję się, palę
spoglądam na żar papierosa,
jestem ostatnim palaczem w Walhali,
wszyscy pozostali wymarli.

24 marca – 10 kwietnia 2008

Ultima Thule

Z kościoła i ostatnich kamiennych ogródków schodzimy
do doków. Tutaj, mówisz, można wynajmować
łódki i jachty (z białymi żaglami, które
jako dzieci rysowaliśmy uprawnie, choć ich nigdy
nie widzieliśmy w rzeczywistości) i można przez pół dnia
opłynąć archipelag. Może można
wynająć również tych silnych nordyckich mężczyzn,
o oczach jaśniejszych niż woda, nad którą preżą
i wystawiają atletyczne torsy, członki, tatuaże.
„Pragnę wykąpać się w twoich oczach”.
I to mnie uderzyło i zawstydziło. Tak jak mnie zawstydzła
bolesne uderzenie gwałtownej fali
o przybrzeżną skałę. Zawsze bałem się wody.
Zawsze nienawidziłem morza. Nienawidzę również mitów
osnutych wokół morza. Antropofagi, szamani,
potwory. Surowi i (dlatego) nieprzychylni Bogowie.
„Na tej wyspie (Olaus Magnus) mieszkańcy
żyją z krwawych rozbojów statków, jakich dokonują
na swoich brzegach”. Według Adama z Bremy,
przy sprzyjających wiatrach można stąd
dopłynąć nawet do Thule – *ziemi leżącej po tamtej stronie
poznania*, jak ją nazywa pewien młody podróżnik,
którego złamały rozliczne obawy.

Woda jest teraz płytsza i widać dno. Drobne ryby
jak igły przeszywają sukno księżycowego
mułu. Oduraczasz się, pędzisz w stronę głosów,
podnosisz spódnicę powyżej pośladków; wysepka
ze skarbem, co dryfuje na płyciźnie,
czekając, aż wynurzy się potwór...

23 lipca – 6 sierpnia 2009

przełożyła: Agnieszka Żuchowska-Arendt

[wypowiedź]

Jerzemu Jarniewiczowi

Pół mrok – pół księżyc. Leżymy
czyściutcy i nadzy. Mokre muszelki
syczą nam do ucha średniowieczne
pieśni bez-kresu i bez-powietrza. Bez
wprawy okrutne wyprawę na księżyc,

co tkwi we krwi; za granicą ziemi –
w nie-niebie. Odziomki i odłamki.
Kra nocy. Śnisz ikony i te wszystkie
koszmary. Pół kok – pół warkocz. Post
scriptum do ud. Szczelina bez światła.

[z tym]

Tyle w nas spraw i ludzi
niebyłych, bardzo umarłych albo
pół na pół – kto wie, co tam jest.
Od tyłu zachodzi nas ten strach
nie pierwszy raz, więc zgęstka
w zgęstkę, piąstka w pestkę.

To jest rozmowa na długą rozmowę.
Czytaj cytaty z Tacyty: *Nic pewnego
w sprawach ludzkich dlategoż o krzywdy
bogów niech troszczą się bogowie.*

Nieródki. Pusty ul z martwą
królową. Pszczółodoły, czułe
mikroczułki i oczka. Morskie żółwie
smutnie łykają meduzy. Ten sposób
jest śmiertelny i z tym będziesz
taka delikatna. Z tym.

[po czucie]

Dla Zbigniewa Mikolejki

Tylko jedna druga szansa, by paść
i nie wstać. Wiesz, życie to wszystko

na co nas dziś stać, a to i tak nazbyt
dużo, jak na śmierć. Góra błyska się

i straszy. Rzekłbyś: rdzawe rany po
gwoździach; igraszki wietrzne i smutne.

Liturgia Heilsbergu – zapadnie żalu i
krzyż, co krzywi się o mroku do zmroku;

granit cięty światłem. Chmury chmur i
niebo, co stawia im opór. Na torach Tory

coś toczy się i drży. Rozkład do zbawienia
może ulec zmianie – w trakcie jazdy. Tak,

tu nie ma litości – objawy widać gołym
okiem. Przepowiednie nie na nasze zdrowie

i nie na naszą kieszeń – kaplica. Trwamy
zauroczeni nagłym odroczeniem wyroku.

Gdy biorą cię za kogoś innego do nieba,
w ogóle poczucia nie masz – humoru.

[pro to Ty p]

*I tak z rozpędu, w pełnym biegu,
Jak w rozkosz, w śmierć wpaść na całego!*

SOFIA PARNOK

Wspólność – prototyp prośby.
Gest. Czmychasz mi w śmierć.
Wszystko, to wiesz. Liczymy
na siebie – na palcach. Tak, to
już czas, Kicia. Preludium Bycia
na własną odpowiedzialność –
osobność. Mit und Sein. Oczy
maślane jak ciasteczka. Już tylko
nam pieścić rude koniki ku czci
Bogurodzicy. Bez Dasein
nie ma Sein. Bez nie da Się. Proś,
Proś. Tając nie dając. Śnisz się
cała, więc przykre zdania sterczą mi
spod kołdry. Akty. Przekroczenia
jak ojciec. Ślady. Bruzdy żłobione
w żałobie. Po-smak życia. Chwytam
zachwyty. Od nowa do nowiu.
Dobro. Żebro. Parno. Porno. Parnok.

[spis powszechny]

Szkolne pasje organisty
i szloch na kościele – tak to już
koniec. Tusz za tusz. Rzęsa
klei rzęsę i podbródek, co dziwnie
drży. Ofensywa płaczek i psalmów
rusza na nas jak husaria. *Sztých
nieuchronny i nie odłożony,*
Bo kogo trafi, tyrańsko się sroży.
Czynny chwalebne, duchy służebne.
Osobliwości w teorii względności
– całun zawinięty w celofan. Prognozy
nędzoty, potem cudna chłosta.

Aglaja Janczak

WHAT SKY REMAINS

Pole zaorane tak głęboko, że można zajrzeć
na drugą stronę ziemi
jastrząb pikuje, wyciąga z niego mysz

zaczynam się modlić, ale jakieś brudne
słowa mi wychodzą

w powietrzu gęstym jak krew
buzują opasłe trznie

porzucam ubranie i z rozbiegu atakuję jezioro
jak Ty
na oślepiecie
moje ciało

woda przynosi na myśl ciepłą pościel w hotelu
gdzie nie mogliśmy przestać się
ratować

kiedy spoglądam w górę
przetaczają się kamienne wozy

Niebo przypomina o tym co zawsze

PLATOŃSKIE CIENIE

1.

wielkie bryły porannych cieni na ścianie przeciwnego budynku
odchodzą ale z ociąganiem, jakby przed chwilą
szukały w nim schronienia

podobnie jak my, umownie udomowieni
zabieramy się nawzajem tam, gdzie długo nas nie było –
w nachalne objęcia pamiętanych woni, misterne kokony zamysłów i miejsca
wydeptane kiedyś tylko naszymi stopami

2.

leżymy wtuleni jak zwierzęta gdziekolwiek w świetle –
w lisiej jamie, w ogrodzie, na dachu, w piaskowej niecce nad oceanem
w prastarej jaskini, na zwoju lin na statku, w górskiej dolinie
w rozgałęzieniu jabłoni

w miarę jak zmieniamy siedliska
powoli zaczynasz czuć dlaczego zależy mi na wiedzy
czy ktoś jeszcze przeżywa naszą obecność tu, gdzie jesteśmy

i skąd znikniemy.

(...kiedy spacerujemy w głębi...)

kiedy spacerujemy w głębi nocy
kwiaty kasztanowca wyłaniają się z mroku
i wciągają nas w siebie
jak łakome mięsożerne paszczki

potem
nasze ciała odcinają się w czarnej pościeli
jak dziecięce wycinanki
noga ucho stopa
kształty ponaklejane na noc

REBELIANKA

Chmury ciasno pozwijane w kłębki
piąstkami boksują nam głowy –
czego chcesz wariatko przedwiosenna
auro?

Idę z dziećmi za ręce, objaśniam drzewa,
marcujące koty, szpaki z bezczelnym uśmiechem
zrzynające piosenki innych
przebudzonych

Tutaj niewiele się dzieje, a my tak dużo marzymy
wychodzimy na dach, mierzymy się
wzrokiem, chcemy więcej

Syn pyta dlaczego śnieg tak głośno krzyczy
– Może chciałby już być kolorowy – mówię
krótko

Coraz częściej czuję, że mogę być
bogiem przyczajonym do skoku

więc dalej, rywalizuj ze mną
niedorozwinięta
przyrodo

Podobno jak się czegoś bardzo chce
to się to potem w końcu
śni

6:33 PERSONIFIKACJA NIEBA, ALBO RUCHLIWE ŚWIĘTO

ptak przelatuje nagle w poprzek widoku
na wysokości oczu i dachu kościoła
omiatając skrzydłem moją twarz, jak chusteczką

poczucie ruchu,
przebudzenia
gdym zawieszone nad głową
ciężkie od odmian błękitu pola
podrzucają nam błyszczące wycinanki
najbielszego światła

*niebo prostuje swoją jasną płachtę – mówi –
strzepuje jak świeży obrus położony na stole*

– znów personifikujesz niebo – odpowiadam śmiejąc się
i szykuję śniadanie na kuchennym parapecie

to pewnie jakiś znak i wpływ tego miejsca
które dzień w dzień odrywa nas od ziemi

stajemy się mu podobni

WROCŁAW

1.

gwizdzące błyskawice
krążą pośród wież kościoła
jakby tam szukały
ostatniej deski
ratunku

ich lament
mnie umacnia

to jedyna bliska rzecz
w obcym mieście

2.

udomowić pokój hotelowy:
zapalić świece
w oknie zawiesić mały witraż
i serwetki, koniecznie
serwetki

dzieci mają to już we krwi
zostawią pokój tak, jakby był oswojonym
drapieżnikiem z futrem obsypanym
cętkami paluszków

na ścianach

PUCH

najpierw nie wiesz co zrobić
przyglądasz się dotykasz
chcesz to ciepło w swoim
zatrzymać

nieporadnie podnosisz
tulisz w dłoniach
obracasz
przecież jedno oko błyszczy
zdawałoby się –
pełne życia

przecież gdy rozkładasz skrzydło
drobne machinarium jawi
wachlarz przebytych trajektorii
przestrzeni
zdawałoby się –
mocny

szukasz kluczyka
do nakręcania
przypominasz sobie
wyliczenia wzory reguły –
jakiej dźwigni trzeba dla puchu?

potem już wiesz

ptaka opuścił
lot

POEZJA

Andrzej Muszyński

Jama

Ćmy chcą zapłodnić ciemność
we wlocie do jaskini.
Dziadek z wnuczką kucają
w zgrzebných skórách.
Palce stóp grzęzną w popiele.
Stary tłumaczy,
chłopiec uważnie słucha:
przeszłość jest jak zrab, skamieniałość.

Słychać zgrzyt kości, wstają.
Noc strąca liście klonów,
ćmy zamieniają się
w powieki.

Pierwsza wizyta w Ur

Trzosek brzęczy, moc truchleje,
wiosło tnie.
Wzrok zaskrońca, talent suma,
słońca brzeg.

Biel – uliczka – dach.
Leży, pierś pulsuje, oko śnieży,
w dali – ziggurat.

Po drabince wchodzi Naga, staje.
Naga szepcze: *Ur*.

Dzieciństwo chłopca z Nazaret

No i znów prowincja.

Z tej wsi na żółtym wzgórzu widok po kres
nieba, ku niemu bose dzieci wzbijają kurz,
i milkną, a starcy noszą baranie skóry
sierścią do ud.

Ktoś powiedział:

*Być może te dwie tęsknoty –
Prowincji do Wielkiego Świata i
Wielkiego Świata do Prowincji
są siłą, która spaja świat.
Dziś coś tu wyiskrzy,*

bo słońce ogrzewa smagłe twarze

ludzi, ludzie, ludziom.

Chłopiec siedzi na środku wąskiej izby, ćmok.

Nad grudką owczego sera krążą wściekłe gzy.

Pojedzony Józef leży na zapchlonej poduszce,
chrapie, wdycha pył.

Skulony chłopiec przebiera czarnymi palcami stóp.

Przez okno ktoś wrzuca srebrny, ubity talent,

który kręci się obok sera jak cyga

i upada. Cisza.

Chłopiec szepcze: „skwar”.

Lai Lai, terytoria plemion Naga, Birma, 22 XI 2013

Nowy Świat

Co czuli, przybывая tam gdzie dziś Plymouth?

A ile razy cię uczulałem,
nie zważaj na sztorm, chłód,
domniemanie winy.

Czerwone twarze, przeręble,
szum dąbrowy.

Obce słońca, gwiazdy,
wiatr jak tasak –

Czterysta, pięćset?

Początek niewolnictwa

Kto twierdzi, że ocean nie słyszy,
tego skuję w dyby.

Kto ogłosi „nie widzi”,
wyślę za morze.

1870, jakaś wieś

Wapno ścian nagrzone, i pyli.

U powały stropu żółte kaczany kukurydzy.

Pusto tu. Choć dym przez szare grochowiny.

Wiosna, marzec? Gdzieś upada deska.

Coś nagrzewa się, odtaje, płynie.

Białe mokre pranie łomocze na wietrze, błyszczy.

Zimne, lśniące śniegi. Słoję porąbanych brzóz.

Pusto tu, a gęsto. No więc,

co jest nie tak, gdy wszystko jest tak?

Gdy wszystko już było. I trwa, po bożemu:

tutaj modli się i zachowuje obyczaje,

jak było na początku, teraz zawsze,

no więc?

W czarnej, nagrzonej izbie kwili dziecko.

To mój prara.

Za starą lipą słońce gaśnie ze wstydu.

Początki radia (Dziki Zachód)

Świece.
Gdzieś tam skrzypi deska.
Jack siedzi w rogu oparty o ścianę.
Korek strzela, toczy się pod stopy.
Butelkę pana Jacka barman John otwiera,
lecz butelka nabita jest kurzem.

Jacka wpienia szwargot,
Jacka kulsza rwie,
Jack przeciąga się
i maca na ścianie wyrośl
jak guzik.

Oddam tę ciszę za kratę!
Dlaczego w barze w Dodge City nie ma muzyki!?
Na zewnątrz strzały.

Ciemna dolina, 80s

Po żółkłych zboczach
drepczą czarni panowie z rękami po kolana
jak kukły, którym ktoś schodzić kazał.

Krążą, chwieją się, zamieniają w szkielety,
które jak najprędzej trzeba przysypać
pod szyldem GS.

To dzieje się, dolina ciemnieje.
Stoi nad nimi samotny pan o czerwonej twarzy,
którego już i tak nigdy nie poznasz, więc tyle.

Kamery

szukam sposobu by niezauważony
przejsć przez ucho igielne
brzmiące jak oddech
po pierwszej nocy z kobietą
obojętny wobec rzeczy
ze zmienioną twarzą
gonię cień
tylko to się liczy
dać z siebie wszystko
to znaczy
więcej niż myślisz
moje palce dziesięć głodnych dusz
dziesięć nowych smutków
do wykarmienia sobą
nie spinam myśli
gorzką klamrą puenty
szukam sposobu by niezauważony
przeskoczyć ulice i zasnąć

Toast

Za przegrane
a niewątpliwie będzie tego więcej.
Za wszystko
co niepotrzebnie wołam po imieniu.
Za zgubione bo jak szczęście
drugi raz nie wraca.
Za drobne rzucone do studni
choć grosz wystarczy aż nadto.
Drogi na których rozstaje
smakują inaczej niż miasta.
Zwycięstwa
jak kolec róży w palcu.
Miłości
rozgrywane według cudzych praw.
Za przegrane
bo całą resztę i tak
diabli wezmą dla siebie.

Dobro a równoważność logiczna

Kiedy jesteś zły nie przedstawaj.
Głodny podpal śmierć.
Może ją nakarmisz jak głodnego psa
ale nie będzie służyć.
Patrz uważnie w sam środek rzeczy
a co zobaczysz odkładaj
jak przeczytane książki.
Rzuć monetą by wrócić
w to samo miejsce jak więzień.
Chyba, że taki był plan.
Za chwilę o tym zapomnisz
i zaczniesz biegać po arenie
w większym lub mniejszym cyrku.
Gdy marzysz przemówi bat tresera.
Bądź gotów choć nie można się przygotować.
Mów do siebie jeśli nikt nie widzi.
Wtedy i tylko wtedy.
Zaszyj diabła pod skórą.
Kiedy jesteś zły nie przedstawaj.

* * * *

Ostatecznie wszystko jest
 złudne i przekłete.
 Jak bramy nowego dnia.
 Ostatecznie wszystko zamknięte
 w butelce zielonego snu.
 I może tak się zdarzyć,
 że z daleka nie wygląda jak z bliska.
 Ostatecznie za oknem rośnie nowa pustka
 a skwar przedpołudnia rozpycha drzewa łokciami.
 Ostatecznie to chyba niczym nie warto się martwić.
 Tak czy siak dzieje się to co zechce.
 Ostatecznie samotność rośnie
 pod mostami z wikliny.
 W tym czasie – dzięki Bogu –
 odwiedzam oceany i trawy.
 Ostatecznie nie mieszam się z tym co widzę
 bo zawsze wychodzę na głupca.
 Ostatecznie dusze zmarłych żyją poza nami
 giętkie jak chłodny promyk pytający trzciny.
 Oddycham nocą. Ona mnie karmi.
 Ostatecznie modlitwy opadają jak liście
 a wszystko jest złudne i przekłete.

* *

wszystko smakuje jak pył
 nic na to nie pomaga
 różowe okulary
 gorzki poniedziałek
 wtorek w szkocką kratę i środa
 bezbarwna pasta do butów
 nic nie pomaga
 alkohol
 narkotyki
 kobiety
 wszystko dym rozpisany
 w monotonne wersy tygodni
 a chodzę nimi uważnie
 niczym bokser w ringu
 po każdym dniu oblizuję
 nieco słone usta
 nic nie pomaga
 wygrane
 remisy
 przegrane
 pęczniejące na wietrze
 gdy deszcz przesuwa chmury
 jak bierki po szachownicy
 a wszystko smakuje jak pył
 i nic na to nie pomaga
 nic nie pomaga
 naprawdę

* * *

Opowiedzieć historię na wynos
 to jak wyjść bez niczego z fast fooda.
 Żart, po którym nawet tutejsze piwo
 zdaje się nieskończenie dobre.
 Na Hayson brzęczą przekleństwów,
 klaksony, niezrozumiałe języki.
 I nic się z tym wszystkim nie dzieje.
 Nie spływają cuda, tylko czarne kłęski
 śpiewają jak natchnione. Kawa,
 resztki tytoniu, śniadanie u Tiffany'ego.
 Myślałem, że uciekniemy
 tymczasem leżymy w jednej misce na stole.
 Jutro w pracy, której nie lubię,
 muszę dać z siebie wszystko.
 Chociaż dziś jutro mnie nie obchodzi.

* * *

Poeci w barach Nottingham
 mówią obcym językiem.
 Nie zwracają uwagi na innych.
 Każdy krąży wokół świata,
 z którym jest za pan brat
 jak z drinkiem, papierosem, kobietą.
 Uśmiechnięty wtorek sprawi,
 że środa będzie gorzka.
 Piniol chory, Trolu na holidejach,
 a mnie się kurwa chce płakać,
 bo siedzę sam i nie ma komu
 wyśpiewać wszystkich smutków.
 Powiedz, co z tym zrobić?
 Też nie wiesz.
 Mógłbym wykrzyczeć całą prawdę
 o sobie, ale to nie ma sensu.
 W dni szare jak ten domek z kart
 upada, upada, upada, jeśli pytasz,
 nie czekaj odpowiedzi.
 Co wybierzesz, to i tak cię znajdzie.
 Zaprawdę, dziś chyba muszę się upić.
 Dotknąć poezji, gdy spóźniony autobus
 nie raczy nawet zwolnić. Przeklinam,
 bo wódka staje się zbyt słodka.

Mateusz Melanowski

GEMINIDY 2017

(1)
nazywamy się
i być może nawet
nimi jesteśmy
nic więc dziwnego
że to zobaczymy
ale czy jest coś
co jeszcze może spaść nam z nieba
*oprócz manny?**

(2)
zatrząśnięty
czujniki akustyczne na atlantyku
kiedy ziemia przyciągnęła
tych kilka geminidów
mamy to w telefonie
i pokażemy pierwszym napotkanym

(3)
możliwe jednak
że to tylko pretekst
(rzeczywistość to pretekst?)
aby trzymać się faktów
trzymamy się jeszcze faktów
ale je wyprzemy
i po raz pierwszy od bardzo dawna
poczujemy że mamy na coś wpływ?

*Bożena Kaczorowska, *Upadek chondrytu*

I KIEDY ŚMIERĆ W KOŃCU
STAJE NAM NA PRZESZKODZIE
MAMY JESZCZE NADZIEJĘ
LECZ JAKBY NIE KOMBINOWAĆ
JEST TYLKO JEDEN KIERUNEK

a mówili przez cb-radio
że idzie kondukt
starym miastem

oczywiście
byliśmy mądrzejsi

I TAK DALEJ

żyj tak
jakby każdy dzień
i tak dalej

za każdym razem
jak to słyszę

zastanawiam się
ile potruwałoby

uporządkowanie spraw

WCIAŻ NAS WIELE ŁĄCZY

wciąż nas wiele łączy
mówi i sapie

po czym wstaje z krzesła
i kładzie się na kanapie

nawet kręgosłup
nas tak samo boli

z tym że mnie
jak siedzę

a ja
jak stoi

ZAPYTAŁEM RAFAŁA

zapytałem rafała
czy pamięta
jak u niego w kredensie
znaleźliśmy dwadzieścia marek
i wydaliśmy je w pewexie
na snickersy

odpowiedział że to witek
wyniósł dolary z domu
i że mnie wtedy nie było

ale nie pamiętaliśmy
co na to nasi rodzice

WIERSZ DLA ZNAJOMYCH

Poprawiając w niedzielne przedpołudnie
krzywo u znajomych wiszące obrazki
albo chwytając się innych rozwiązań
niczym napotkani zaraz po wyjściu
poszukiwacze skarbów
tłumnie tu w weekendy zjeżdżający
z wykrywaczami metalu.

Bez wyraźnej ochoty
jednak z jakimś ukrytym pragnieniem
jak towarzyszący nam przez chwilę kundel
zatrzymujący się przy każdej
a pijący tylko z jednej kałuży
postanawiamy sprawdzić
co świat robi w naszej sprawie

I z witaminą C dostarczoną czym prędzej
do organizmu oraz deficytem snu
który jednak utrzymuje się
na stałym poziomie już od dawna
wziąć sprawy we własne ręce
i wysiłkiem woli
(ze słabym sygnałem płynącym do mózgu
niczym odkładający się tam teraz cytrynian glinu)

popracować raczej nad sobą
myśląc jak zwykle o jednym
a robiąc drugie

dla Danieli Jarszak-Łuka

Globalny marsz ludzkości do pieca jedynomyślności

Protest song z cyklu: „Napisy na murach”

dla Darii Wolf

*Z wszelkich kajdan, czy te są powrozowe? złote? czy stalne?
Prześląkłymi najwięcej krwią i łzą, niewidzialne!*
C.K. Norwid

*Dlatego fundamentalnym problemem filozofii politycznej pozostaje ten, który umiał postawić
Spinoza... Dlaczego ludzie walczą o swoje zniewolenie tak, jakby chodziło o ich wybawienie?*
Gilles Deleuze

Nie to jest najgorsze, że jesteśmy w czarnej dupie, ale to, że zaczynamy się w niej urządzać.
Stefan Kisielewski

*Fakt, że ludzie wynoszą niewiele pożytku z lekcji Historii
jest najważniejszą lekcją, jaką Historia nas uczy.*
Aldous Huxley

Gdyby człowiek tylko chciał, więcej serca w głowie miał.
Gdyby człowiek tylko chciał, więcej serca....

W ciągu ostatnich dziesięciu lat siecią podsłuchów pokrył się cały świat,
obwód kontroli się zaciska, Echelon w każdym domu – tak, tak ludziska.
Ziemia się zmienia w koszmarny panoptikon, jedzą lemingi z ręki politykom,
wzwał nasz apokaliptyczny szlagier – planetarny elektroniczny łagier!

Globalny marsz ludzkości do pieca jedynomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

Tak podają gadzinówki, rzecz jest przeto oczywista – każdy noworodek to: bardzo groźny terrorysta
i zagrożenie dla narodowego bezpieczeństwa naszego mind kontrolowanego społeczeństwa.
Pierze mózgi proszek: Terror, syntetyczny-imperialny terror, error; podpalenie Reichstagu
i oficjalna fikcja 9/11. – Kontrolowane wyburzenie obywatelskich swobód? Otóż właśnie!

Globalny marsz ludzkości do pieca jedynomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

A w nagrodę za twą potulność – inwigilacyjna ustawa,
będziesz nosił czipa i klikniesz: lubię to! – Alleluja! Skończy się zabawa!
Wszczepią ci czipa, bo grypa – cała ta strachmiediów hucpa-lipa,
nikt i nic ci już nie pomoże, gdy zaakceptujesz czipa-obrozę.

Globalny marsz ludzkości do pieca jedynomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

Perfidny RFID, perfidny RFID wiele w twoim życiu zmienia,
eRFID, peRFID, peRFID, eRFID – staniesz się własnością rządu cieni.
Co to znowu za bajeczki – nie przerywaj snu owieczki,
ja w to nie wierzę, ja w to nie wierzę! – ryczy pociągowe zwierzę.

Globalny marsz ludzkości do pieca jednomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

Nadchodzi złota era automatów – wiek transhumanizmu, wiek mandżurskich kandydatów,
„wolności” strzegą współcześni pretorianie: żołdacy, tortury, lobbies, zbrodni legitymizowanie.
Prism, INDECT i: totalna inwigilacja, HAARP, drony i: ubój, pacyfikacja.
Quis custodiet ipsos custodes? Quis custodiet ipsos custodes?...

Globalny marsz ludzkości do pieca jednomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

Już niedługo globalna heca – wsad ludzkości do jednomyślności pieca,
już wkrótce wielka gala, miłość do kajdan – nic bardziej nie zniewala.
Dawniej: człowiek i święta geometria, dziś: wydajny robot i biometria.
Przebudź się! Teraz! To nie żarty! – W drzwiach stoi rok osiemdziesiąty czwarty!

Globalny marsz ludzkości do pieca jednomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

Oto więc ich światek, całkiem prywatny, i ich wolności kolor brunatny,
żadnego obywatela, wyłącznie: podejrzani, szczekaczka o bezpieczeństwie w kółko pieprzy-chrzą-
ni.
Dzieciaki się bawią w: zabijanie jest cool – armie przyszłych rekrutów sposobią się do swych ról,
wojenne gry wideo – rozrywkowy rozlew krwi, przed kulturą eksterminacji pełne chwały dni.

Globalny marsz ludzkości do pieca jednomyślności.
O, zatruta świadomości, co nie odróżniasz zniewolenia od wolności.

Znów na ulicach fale demonstracji – przeciw wykluczeniu, prawom knebla, społecznej atomizacji,
znów gdzieś za dnia dostarczają „humanitarnej” pomocy i: rabują, co tylko się da, w nocy...
Gdzieś niepokorny wyszedł z psychuszki doszczętnie wyleczony – nie rozpoznaje już ani dzieci ani żony,
gdzieś – fałszywa flaga, gdzieś – wojna domowa, gdzieś – etniczna czystka, wszędzie: nowomowa;
gdzieś wymordowali pół miliona dzieci; „zasłużyły na to” – twierdzą cynicznie nekroetyki apologety,
gdzieś – znów wybory, od wieków głosują na wciąż tych samych gości, którzy:
wypowiedzieli totalną wojnę wolności...

.....

Na Zachodzie bez zmian.
– Ciągłe pada.
Ulewny deszcz ludzi wyskakujących z okien Twin Towers pada na cmentarz demokracji.

Globalny marsz ludzkości do pieca jednomyślności.
Globalny marsz ludzkości do pieca jednomyślności!

Czas już na zmianę, więc zmieńmy to sami,
jesteśmy przecież dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami!
Czas już na zmianę, więc zmieńmy to sami,
jesteśmy przecież dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami!
Wszystko w naszych rękach, więc zmieńmy to sami,
jesteśmy dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami!

Kali Juga, między jedną pełnią a drugą

Katarzyna Zwolska-Płusa

babska komedia

zastanawiam się czy żre mnie rak. krwawię z dróg rodnych.
po owariektomii drogi te prowadzą donikąd. całodobowe
apteki i ambulatoria są mityczne. nie można tam dotrzeć
bez samochodu a sor brzmi już jak umieranie. pewnych
styksów się nie przekracza z obawy, że ciało uwierzy.

pamiętam, raz się skusiłam. lekarz zlecił badania, obejrzał ranę
po cięciu i powiedział: spokojnie, zaraz wróci pani do dziecka.
cesarka była ze dwa tygodnie temu? odpowiedziałam jakby
prawda

miała nas wyzwolić z tych krwawych pogaduszek: nie urodziłam
dziecka. i wtedy zobaczyłam, jak lekarz brnie w bieli.
i wtedy zobaczyłam diabła, który wciąga nas pod skórę.

nie można mieć dziecka w krainie umarłych

oglądamy razem *księgę życia*, córeczko.
manolo schodzi do krainy umarłych
po swoją marię.
to jeszcze za wcześnie na dantego.
kiedyś opowiem ci o gnuśnych papieżach,
beatrycze i wielkim leju albo chociażby
o robinie williamsie w roli podróżnika
przez zaświaty.

nigdy nie opowiem ci jednak, że ja tam bywam
i że czasem moje ręce wydają się nie istnieć.
albo nogi. trochę jakby, okazjonalnie,
brakowało mi ciała.

oglądamy razem *księgę życia*. manolo
dowiaduje się, że tu, pod ziemią może
połączyć się z ukochaną. wstajesz,
prychasz, kręcisz główką i zauważasz:
ale nie można mieć dziecka w krainie umarłych.

a ja dokładnie wiem o czym mówisz.

poezja konfesyjna IV o charakterze psalmicznym

*proces rodzenia księzek ma się tak do procesu rodzenia dzieci
jak logika niesprzeczności do działań obecnego rządu –
powiedziałam a ty się zaśmiałeś. a to wcale nie jest śmieszne.
bywa, że musimy sublimować, strajkować, wycinać na(rządy)
tak często jak skórki.*

*tutaj nie znaczy już tylko we mnie. to zaczyna (mi) przechodzić
na inne obszary. i pojawia się ta kujawska ziemia, i zmarła ciotka
przestaje mieć wymiar osobisty a okazuje się być sprawą narodową.
chciałabym, aby dla przykładu, zmartwychwstała i zastrzeliła
jakiegoś faszystę na naszych oczach. bo kiedyś to my mogliśmy
w nich strzelać, niedługo oni w nas będą.*

*nie możesz mieć domu pełnego dzieci,
więc dam ci dom pełen zwierząt.*

*którejś nocy zmieniałam się w łasicę,
zagryzłam cię – większego ode mnie
i od tamtej pory nocami zmieniam się
w jenota.*

*napinam prążkowane wersami mięśnie.
mogłabym tak (dosłownie) dobiec pod las
aniołowski, ze starego domu wyjąć zapasy wilgoci
i światła, wyssać wszystkie ich cięższe jak jajka,
(dziwne, co pożądanie robi z głupimi ludźmi).
i chociaż nie możesz mieć domu pełnego dzieci,
dam ci dom pełen zwierząt, poezji i truchła.*

drewno (w prostych słowach)

kupiłam kiedyś na targu staroci kołyskę.
gdybym miała zdefiniować nagość,
byłoby nią właśnie to – surowe drewno,
widoczne słoje i ślady po kornikach
(totalna nagość to również eksploracja
wnętrza).

mogła należeć do chłopskiej
rodziny z początku dwudziestego wieku,
do nagiego słowa „bodaj”, do bosych stóp,
rozwianych włosów. próbowałeś wydrzeć
z niej tę nagość, pokryć farbą i pluszem,
ocieplić, zmiękczyć.

a potem nie urodziło się dziecko.

porąbałeś kołyskę siekierą i widziałam:
drewno blade jak ciało, drewno nagie
jak rozpacz, widziałam farbę brązową
i krew, która zdążyła skrzepnąć,

bo oczekujemy już zimy. podchodzisz
do kosza z drewnem jakbym to była ja.
rodzę ciało i krew, suche mięśnie, połamane
rączki. *zrobi się ciepłej* – mówisz.
między nami pękają drzewa, walczy ogień i pył.

krakowiak

chciałam zaprosić cię tutaj, ale jestem po lekturze grynberga.
myślisz: *minęło osiemdziesiąt lat*. czas w tej materii nie mija,
gdy tą materią jest polska.

chciałam zaprosić cię tutaj, ale w tym miejscu pękają szwy
i serca. moje ciało i ta ziemia – bardzo kruche, więc sam rozumiesz.

już raz zrezygnowałeś. nie czekałam na czerwień, ale i tak spłynęła ze mnie
jak wstążka. to jakiś chory taniec. tutaj wszystko kręci się w *obiegu zamkniętym*,
czymś w rodzaju *zaburzenia rytmicznego*,

z którego wyrwałeś się, z którego wyrrywają się ludzie na dwa sposoby.
mówi się o nich: martwi i emigranci.

mischling

nie pamiętam jak to powiedziałaś.
nasz tata był żydem
czy nasza mama była żydówką.
na stole stał talerz z pokrojonymi
w ćwiartki jabłkami (mam obsesję
jabłek, których właściwie nie lubię
i teraz wiem, że zaczęło się od ciebie.
przywoziłeś je w skórzanej teczce,
pachniały skórą i zawsze
wydawało mi się, że jabłko to ciało).

ktoś był nieślubnym dzieckiem żyda
ktoś był austriackim żydem
mówili potem

kiedy kroję jabłka w ćwiartki
myślę o ustawach – że was dotyczyły,
że wiedziałeś tylko ty, że niejasne
metryki tworzą czasem jasną przyszłość
i pada na mnie światło
i sok skapuje mi po palcach.
a polska bywa ciałem, które jak ułamek
dzieli nas pomiędzy ich wszystkich.

POEZJA

Waldemar Kazubek

**Prywatna wojna
płci komendanta
Filo Zoofero**

Komendant Filo Zoofero strzela do jętek

na mapie byłbyś lasem, w którym
sam nie wiesz, co może się stać. w sobie
nosisz zwierzęta, opuchnięte nerki jak złe
księżycyce rodzą piach i szyszki z paznokci.

bulgoczesz, boś bagnem. a dziewczęta
na mapie byłyby wioskami wokół.
coś zawsze można tam ukraść, zaś one
biorą poniekąd z ciebie życie. w ich brzuchach

stada motyli, gdy w tobie sierpień much
i jęczą jętki, gdy je ustawiać jak jeńców.
Ten las należy w końcu zamknąć! –
powiedział komendant, sięgnąwszy po broń.

Komendant Filo Zoofero wysadza motyle

tędy, widzisz, tędy przechodzą. most rozpięty między
setkami, może więcej, tysiącem żyjątek, w falach śliny. słów mioty
odświeżnie uprane jak białe koszule do zbrukania w popiele

ognisk, dotknij, dotykiem rozpalasz taniec składni i znaczeń,
dreszcze słów i szal kłamstw, te się rodzą na pniu jak cyganie,
spluń w niebo, bo już płonie w nim nasz święty spokój i ćmy

czarne sypią się do oczu, mrówki przenoszą piach w górę
klepsydry, ale nie, nie cofniesz czasu tym mostem, kawaleria
z odsieczą w pięć grzęźnie. *O, psie krwie, nie przepuszczę!*

– rzekł komendant, splunął i odłożył pustą siatkę na motyle.

Komendant Filo Zoofero przekracza rzekotki

możecie trwać tylko w zawieszeniu. przytwierdźcie do powały
najsilniej splecione warkocze pępówin. zadzierzgnijcie ślubne
pętle. pierwsze scyzoryki odbierzcie im już w przedszkolu.

w zamian możecie dać złote krążki. kult pomniejszych
bóstw i tasiemki. niech nawlekają koraliki ceremoniałów,
niech się weselą, gonią w kółko. i tak przetopią je w złote

zęby. niech się ustawiają, będziemy wybijać. każdemu w usta
żabę, skoro zachciało się rzeki. niech niesie się rechot
wieczorem. zmęczony komendant patrzy w oczy zakłętej

księżniczki: – *Większa połowa ciebie była trochę idealna.*

Komendant Filo Zoofero urządza zaskrońce

obserwujcie ruchy wosku. koncentrację łez
na granicy. odczytujcie skrypty deszczu
na szkle. wszystko ma zmierzać w kierunku
określonym. ściśle. wertykalnym eszelonem.

możecie wydać kilka przepustek na wzloty
horyzontalne. przemykanie się rybików
skrajem wilgoci. ruchy robaczkowe. rytualne
podchody. sezonową wylinkę i przebieranki.

sukienki w kwiaty i białe suknie. ślubne orszaki.
drzyjcie w pasy na bandaże dla zakwaterowanych
w ciasnych mieszkaniach pełnych niejadowitych
węży. jak w wekach. muszą wykończyć się sami.

a której rozduoi się język przyślijcie ją do mnie.
komendant szepcze brance: *Jesteś moja
ostra. dziś w nocy potniemy prześcieradło.
o świcie wywiesimy flagi. czerwone. i białe.*

Wanda Luzja skreśla krótki list do komendanta Zoofero

Mój drogi Filo, znów poszłam na plaza de toros, słońce
i arena, dwoje twych żółtych oczu i sześć czarnych łez – martwych
byków zaprzęgiem z mozołem zwiezionych ze sceny. Nigdy

nie byłeś tanim, zawsze bezwartościowym romantykiem. Chcesz,
czego i tak nie dostaniesz, więc jakbyś nic nie chciał. Ale pomyśl:
nic to prawie tyle co obecność, skoro obojgu warto nadać nazwę.

Znasz się na słowach, na kobietach już tylko z widzenia. Nie oszukasz
pamięci, ona jest po to, aby oszukiwać ciebie, zatem to nieistotne,
że nie dotrzyaliśmy kroku przeznaczeniu, a śmierć to zaledwie

odstawienie słów na półkę. Miłość, mój drogi, to zabawa z kotem,
zawsze staje się nudna i męcząca, nieważne: dla kota, czy dla myszy.

Punk Ogito

■ Próba

punk Ogito próbował
opanować trudną sztukę
dławienia się kwiatami

urośli mu ciernie

■ Po latach

z irokezem
dumnie sterczącym na głowie
punk Ogito spotkał koleżankę
ze starych czasów
– skórę i ćwieki
zmieniła na żakiet
i dopasowaną spódniczkę
która kompletnie
do niej nie pasowała

pod oczami miała
zamaskowane podkładem cienie
w zadbanych dłoniach
nie było już
miejsca na kamienie

w sercu
nawet wspomnienia buntu

■ Piąta po południu

punk Ogito patrzy
na dziewczynę przy sąsiednim stoliku
beziemienną
pijącą kawę latte

opleciona wyobrażeniami
o lepszym życiu
o dumie zwycięzców
i korzyściach
jakie płyną z egoizmu
krzywi się na wspomnienie
swego pokoju w akademiku
i nadciągającej sesji

nie wie że później
będzie tylko gorzej

mijają minuty
dziewczyzna zerka na Ogito
przelotnie
a jej oczy zdają się mówić:
„nie jesteś moim zbawieniem”

oczywiście że nie
– odpowiada Ogito cicho
tak cicho
że nawet on sam siebie nie słyszy

■ Żółtodziób

paląc niezapalonego papierosa
punkt Ogito czuł
że dym wkręca mu się w otwory nosa
kolczykuje płuca
wskrzesza poczucie rzeczywistości

Mosty

Denis – tak brzmiało imię
jednego ze znajomych Ogito

z pewnym smutkiem
– ale tylko przed samym sobą –
punk przyznawał
że kojarzy mu się ono
z rzeczą dyndającą między nogami

ten znajomy
zwykł walić prosto z mostu
więc któregoś razu
witając się z Ogito
powiedział:
– wyglądasz chujowo
– ale przynajmniej – usłyszał
w odpowiedzi – mam coś wspólnego
z chujem
cioto

Błąd

przygnieciony codziennością jak zwałami
betonu
zbyt zmęczony
by marzyć o czymkolwiek
poza odpoczynkiem
punk Ogito myśli
że nie może być gorzej..
nie wyprowadzajmy go z błędu

Komfort

punk Ogito nie lubi ludzi
którzy są ilustracją
jednej tezy

ale jeszcze bardziej
nie lubi
tych
którzy
dla wygody
są gotowi
zgadzać się z każdą

Pomiędzy tu i teraz

patrzę na to
czego nie chcę widzieć
oduracam się od tego
co wypełnia mi dzień
słyszę głosy bezcielesne
wciąż przygniatają mnie
sprawy doczesne

ta litania mogłaby być
o wiele dłuższa
jednak terapia Ogito
właśnie dobiegła końca

Rajd

puszczam kierownicę i jadę,
pomyślał punk Ogito
z odwrotnością radości

we mgle żalu nie widział
zbyt wiele

wystarczająco
by jeszcze dodać gazu

Tonąc w ciszy

punk Ogito uwielbiał hałas

kakofonię jazgotu i decybele
wbijające się w uszy
niczym dźwiękowe
szrapnele

przeszło mu
wraz z wiekiem
trumny

żul

Pod świerkiem świerknie żuk,
wyżej słysząc głos podobny do śmiechu:
Czy dwudziestego grudnia umarła w Polsce demokracja?
To tylko dzieciół, odpukać. To jego cyrkuł,
do rzeki. Niby zdycha z przepracowania,
ale ciągle trzyma się gałęzi. Zdrowie
dopisuje kolejny artykuł. Pod świerkiem konar,
obok kona żul.

córka, cyrk

wspominać to tak jak umierać
Grzegorz Kaźmierczak

jeszcze rok temu
roczna z wózka
oglądała czuczela
biełki i strielki
w muzeum kosmonautyki
w moskwie
i psią katapultę
wysrzeloną
z satelity sputnik-5
19 sierpnia 1960 roku
a teraz dwuletnia
sama stoi na sankach
i mówi że dalej nie jedzie
chce wracać
a mnie się wydaje
że jeden udany powrót
choćby nawet z przestrzeni kosmicznej
zupełnie wystarczy –
trzeba lecieć dalej
skakać fikać wywijać
to salto mortale

człowiek czteropiętrowy (licząc piwnicę i strych)

w piwnicy ciała do połowy wypełnionej węglem
stoi przy ścianie (tam gdzie pion wentylacyjny)
i nasłuchuje bielizny która suszy się trzy piętra
wyżej na czubku jego oddechu jest dym

Radocha (wiersz kolejkowo-podatkowy)

Trzeba było wiosennych zeznań
żeby sąsiedzi i sąsiadki, dzieci
sąsiadów i zasiedziali mieszkańcy

sąsiednich osiedli ustawili się
znów, po tylu latach, proszę
państwa, po tylu latach do

kolejki. Rozkręcane biznesy
na spotkanie po latach. Pomyłki
w pitach i rozgrzebywane w pośpiechu

szafka z formularzami i mimo że
okienka dość zdolnie ponumerowane,
strzałki, objaśnienia, etcetera,

to sąsiedzi i sąsiadki nadal
oporni przeciwko władzy i biurokracji.
Wywabieni z garkuchni, w sytuacji

bardziej skomplikowanej niż
w przypadku okupowania jednym
okienkiem mrugającej pocztu,

po tylu latach, można znów, po tylu latach,
w ogonku popchać się trochę, szturchnąć
się łokciem, złamać przykazanie przeciwko

sąsiadowi swemu z góry, grzmieć jak
dawniej nie swoim basem PAN TU NIE
STAŁ.

Po tylu latach, po tylu latach, poczułem
wreszcie, proszę państwa, po tylu latach,
że mieszkam w Polsce.

2000

Ważne niuanse

W 2015 terroryści z ISIS zburzyli
w Syrii ważne zabytki dla kultury
tego kraju. Media nazwały to
barbarzyństwem. Podczas 41.
Sesji Komitetu Światowego
Dziedzictwa UNESCO w 2017
kilka delegacji, w tym z Libanu
i Finlandii, wystąpiło z wnioskiem,
by na Listę Światowego
Dziedzictwa w Zagrożeniu
wpisać... Wiedeń. Stało się
tak dlatego, że w pobliżu zabytkowego
gmachu Konzerthaus ma
powstać nowoczesne centrum
kongresowe, sala koncertowa
i jeszcze jeden hotel.

Powoli zaczynam się gubić, co dla kultury
jest większym zagrożeniem – burzenie czy
budowanie.

Czemu akurat w tej sprawie wypowiadają
się Finowie, w których kraju jest
mnóstwo niewykorzystanej
przestrzeni?

Ton apokaliptycznej zagłady, który znam
z artykułów w krakowskich gazetach
związanych z walką z nowymi budynkami,
inwestycjami, smogiem, który jedną literą
różni się od legendarnego zagrożenia, jakim
był smok, rozprzestrzenia się na inne kraje,
choć może stamtąd przyszedł.

Nowy Piszczyk

31 sierpnia 1939 wybrałem się
ze znajomymi na plażę
koło Westerplatte, mieliśmy
uczcić nasze wakacje. Trochę piliśmy,
śpiewaliśmy i pływaliliśmy.
Spaliśmy pod kocami.
Nad ranem obudził nas huk
dział, myśleliśmy, że to sztuczne
ognie z okazji rozpoczęcia
roku szkolnego, choć pora
była za wczesna. Potem doszło
do nas, że to strzały z okrętu
wojennego. Cóż, poszliśmy
do pensjonatu, nie chcieliśmy
przeszkadzać w manewrach.
Nazajutrz radio trąbiło o wojnie.
Spakowaliśmy się i wróciliśmy do
Krakowa. Na dworcu kolejowym
pożegnaliśmy się. Za parę dni
znalazłem się na bruku, gdyż
gestapo przejęło kamienicę, w której
mieszkalem. Nie namyślając się,
przebrałem się za Żyda i dałem
się złapać w łapance, żeby mieć
dach nad głową. Jednak warunki były
okropne. Pracowałem w kuchni,
ale uciekłem po trzech tygodniach
dzięki znajomości języka niemieckiego.
Ktoś zostawił mundur przed zamkniętą
pralnią, był w sam raz. Poszedłem
na miasto po zakupy dla komendanta
obozu. Ścisłe tajnie.
Przedarłem się na Kresy Wschodnie.
Walczyłem po stronie AK, ale
koniec końców dotarłem nad Okę.
Walczyłem pod Lenino. Potem

dostałem się do sejmu podczas
sfalszowanych wyborów. Żyłem
dostatnio, ożeniłem się. Jednak
zniosła mnie fala odwilży.
Odpuściłem sobie 68, ale pod koniec
70. zainteresowałem się
prasą podziemną. Wydawaliśmy
nie gorszy tygodnik od Solidarności,
żądając zmian. W nowej Polsce
rozkrećilem biznes muzyczny,
uspierałem kapele, by trafiły
do radia i na koncerty. Kiedy nastała
Unia Europejska, przeprowadziłem
się do dawnej NRD z zamiarem
napisania powieści o Niemczech.
Koniec końców wróciłem do Polski.
W wyborach trafiłem do sejmu z list
PIS-u. Nie pojechałem
do Katynia na obchody,
bo zachorowałem. Jednakże
zalałem się do komisji
badającej okoliczności
katastrofy. Nic się nie zgadzało
w danych. Odszedłem z partii
i zostałem kuratorem wystaw
w Muzeum PRL-u. Potem
odszedłem na emeryturę
i wróciłem do byłej
NRD dokończyć
powieść. Była tłumaczona na
kilka języków. Niemcy
dali mi kilka swoich nagród.
Sztokholm nie był zainteresowany
tłumaczeniem z uwagi na Finów,
którzy mogli się poczuć
dotknięci.

Odkąd

Odkąd ciebie nie ma, podróżowała benzyna,
ale potaniał internet. Tysiące portali
powstało i zgasło. W Norwegii zrobiono
bazę wiadomości o świecie
w razie wielkiej katastrofy, której znów się
wyczekuje.

Odkąd ciebie nie ma, przybyło galerii
handlowych, ubyło zimnych dni przykrytych
zwałami śniegu. Termometry latem wskazują
afrykańskie temperatury.

Odkąd ciebie nie ma, mniej chodzę po
nocach, więcej palę, mam więcej dziur
w zębach. Coś jak kwas wyżarło uczucia.

Odkąd ciebie nie ma, jest Bruksela, która
w snach drobnych pijaczków po sumie
przekształca się w Moskwę, sułtanat, emirat,
kraj Hitlera. Która i tak mnie mało obchodzi,
bo belgijskie aktorki znam tylko z „Poirota”.

Giełdowa podwyżka

Na giełdzie pod halą znalazłem
na jednym stoisku koło wiaduktu
składankę CD najlepszych utworów

The Rolling Stones, która kiedyś
była w empiku, w promocji za 19,99 zł.
Płyta była lekko porysowana, brakowało

tylnej okładki, tak też pomyślałem sobie,
że coś, jak będzie za 2 zł, to sobie kupię.
Jednakże gość, który siedział na trawie

i miał czarne przeciwsłoneczne okulary,
powiedział, że „kosztuje 25 zł, bo to wydanie
niemieckie”. Podziękowałem i poszedłem
dalej.

O amerykańskiej cenzurze

Takie niewinne przekłamanie „wersja reżyserska” zostało dodane do tytułu „Czasu Apokalipsy”, żeby nadal utrzymywać, że w USA nie ma cenzury. Wersja z 2001 roku w porównaniu do tej z 1979 różni się akurat o takie sceny, które miały swoją moc. W jednej scenie króliczki z „Playboya” tańczyły dla żołnierzy w Wietnamie na jakiejś platformie, w innej kapitan Willard wysłany do Kambodży, by zlikwidować pułkownika Kurtza, którego oskarżono o morderstwo, dowiedział się od Francuzów, którzy uparli się nie opuszczać Indochin, bo tam „był ich dom”, że Wietkong został stworzony na bazie innej, wcześniejszej organizacji wspieranej przez USA.

Można by było wydawać tomiki wierszy z usuniętymi wierszami, powieści ze wstawionymi usuniętymi przez cenzurę słowami, zdaniami, a nawet całymi akapitami – dodając w podtytule „wersja poety” lub „wersja pisarska”.

Jak tu się dogadać z Finką?

I mówię tej Fince,
że nie ma żadnych
pogańskich rytuałów
1 listopada na Cmentarzu

Podgórskim, choć kto
wie, może były 1000 lat
temu. A ona swoje, że muszą
być, bo czytała o tym

w przewodniku. Dodała,
że lubi polskie zwyczaje
dekorowania obcych grobów.
Pierwszy raz o tym słyszałem,

choć na Rakowickim pałę
znicz przy grobowcu Matejki,
a na Podgórskim w jakimś

zbiorowym miejscu, nie
pamiętam ku czyjej czci.

No i pojechaliśmy tym samym tramwajem
na cmentarz, ale siedzieliśmy w różnych
częściach wagonu.

listopad 2017

POEZJA

Dominik Żyburtowicz

Chryzantemy i róże

Jestem starym facetem, a w snach płaczę jak dziecko,
ilekroć zobaczę moich kochanych bliskich,
którzy z roku na rok są coraz bardziej zagubieni,
z roku na rok coraz bardziej się oddalają.

Nie zatrzymasz deszczu, możesz tylko krzyczeć:
Nie idźcie w stronę góry! Nie idźcie w stronę wulkanu!
Wiedząc, że – choćbyś pękl – cię nie usłyszą,
a gdyby usłyszeli, to by nie posłuchali.

Jak zatrzymać pociąg, który wyje w dolinie?
Wysadzić tory łzami? Możesz tutaj oszaleć.
Albo przeboleć i żyć, tak żyć, jakby
nie czas, ale miłość leczyła rany.

Bo gdy cierpisz, szukaj miłości.
Miłością ból przykryj, w niej zaśnij.
Schron w zakochanych oczach
pomoże ci przetrwać każdy potop.

Oni i tak pójdą na planetę śnisk,
przezroczystych i oderwanych.
Tam wieczne, szczęśliwe wakacje
na wspólnej plaży – to pamięć.

A tu znajdź kwiat czerwony.

2015

Chryzantemy i gwiazdy

Każdego roku usycha i powraca miliard kwiatów,
bez cienia smutku i radości (jakby wiedziały,
że to rutyna, że powrócą), pamiętaj – światło
gwiazd gaśnie i zapala się w innym miejscu.

Gdzie jesteś teraz, energio z wnętrza ojca, dziadka,
jaki kształt przybrałaś? Może siedzisz na plaży
w jakimś tropikalnym kraju, patrząc
na światło nowo powstałej gwiazdy?

Kiedy ja trzymam w sobie światło gwiazd wymarłych,
jeszcze – choć coraz słabiej – układa się w snach
w kształt waszych uśmiechniętych twarzy.
Rozmowa trwa nadal, bo światło gwiazd wymarłych

leci wciąż przez kosmos, który jest w nas, i świeci
jak wcześniej, daje energię jak wcześniej, rozmawia.

2015

Ciepło

1.

Pielgrzymka osób niepełnosprawnych,
modlących się za mnie w katedrze,
bo przez trzy dni nosiłem ich na rękach,
pchałem inwalidzkie wózki.
Chociaż nie jestem zbyt praktykujący,
ciepło uderza tak,
że upadam,
wstaję,
ze łzami wychodzę z kościoła.

2.

Po drugiej stronie kosmosu senny człowieczek,
z głową w poduszce jak na komicie,
która pędzi przez tysiąclecia. Bo pustynie
Biblii utulają głęboko,
głęboko.

Jest w nich ciężar czasu.
I fakt,
że następnego dnia,
cienie na chwilę odstąpią od spraw,
trudnych wydarzeń – jakby cofały
zimne dłonie od wrzątku.

2016

Ciepło 2

Zapach skórki od pomarańczy w zimie.

Ostatnie wrześnie bratki królujące w pokoju.

Na końcu długiej drogi – dom.

Dawno zmarły ojciec, który znów przychodzi we śnie,
a we mnie pęka ocean.

Latawiec z dzieciństwa, znaleziony na strychu:
dzisiaj

– jak niegdyś –

poleciał.

Jej ciepły oddech
– kotwica: „Będę
czekać, będę czekać”
do ucha
przed operacją.

Życzenie: „Chciałbym być władcą zwierząt”
chłopca z porażeniem mózgowym
– i pies,
Labrador,
który kładzie
temu księciu
głowę na kolanach.

2008 / 2016

VHS dream

Amerikanin
rzuca piłkę z boiska we śnie,
piłka spada na boisko
przed naszymi blokami.

Okna, za oknami
rodzice, kolorowe ekrany.
Niech zstąpi duch twój
i odnowi oblicze tej ziemi pstryk

i wszystkie kanały.
Po prawej chłopcy MTV.
Po lewej chłopcy Bruce’a Lee
w żółtych kombinezonach.

W wieczornym filmie
dobry policjant goni złego,
pach pach!, zły pada zabity
pod drzewem osiedla.

Uważajcie chłopcy,
gdy drzewo urośnie
w państwo – zabity
nie przestanie patrzeć.

2017

Wahadło

szarpnięcia wiatru
nad zasypiającym

skóra
obdzierana skóra snu

we śnie
wariują zdarzenia

przyszłość

przeszłość

przyszłość

przeszłość

w kołysaniu

a tutaj
pod kosmosem

nad wietrzną
ciemną ziemią

pracuje maszyna

2016

Kryjówki

Wejściowa płyta strychu odchyła się niczym właz podwodnej łodzi,
która opłynęła czas. Pomiędzy deskami
była moja baza, stamtąd spoglądają
oczy: oto chłopiec
wychodzi z drzewa i jednym oddechem porusza tańcowisko planet,
zostaawiłem je tutaj same, na każdej z nich
inny świat, inne marzenia. Aby otworzyć okno
muszę wybić szybę – niech leć, płyną, niech łączą się ze snami
miejscowych dzieciaków, niech prowadzą sztandar.

A tam, na osiedlu – już wozi się lipiec.
Leć bańki nad domami, w bańkach śmiechy, krzyki.
Grupa chłopców biegła drogą – tu, w kałuży znikli.
Może to przez deszcz, może przez ten potop.

Od kilku tygodni wydłuża się tunel
zwierciadeł. Przez pewien czas
będę je zanosił do innych miast,
do innych mieszkań. W ten sposób przejście

pozostanie nietknięte. W ten sposób zachowam miejsca,
do których uciekać będę w zimne dni,
burzowe noce; bo kiedy świat
znów rzuci przekleństwo (a rzuci
na pewno) – przechowają mnie.

2011

Rocket Man

Zima.
Słońce prześwietla cumulus jak firankę.
A ty podaj mi oddech, Chuchanno.

Chóry mdleją dookoła.
Jak stratosfera.

Pod nami domy, miasta,
Ziemia, Układ Słoneczny,
Kwazary, Bazary, Gromady galaktyk.

Oddychaj.

Oddychaj.

Ścisnęło w sercu?
Serca już nie ma.
Jest chmura piękna,
którą wchłaniamy.

Już
poza kosmosem?

Jak bańki mydlane
przezroczyste planety:

ziemskie obrazy,
prosto z ludzkich oczu.

Kula 1: Tłumy tańczące w szeregu.
Żydowska muzyka. I księgi.
I sztuka. Dar niebios.

Kula 2: Szalony alpinista
ze złotym błyskiem
na szczycie Mont Everestu.

Kula 3: Płonące miasta. Czołgi

przejeżdżające po kościach. Huk,
a potem spokój. Matka z dzieckiem
wychodzą ze schronu – to koniec
wojny! Koniec! – do ogrodu.

Kula 4: Same kwiaty: bratki, konwalie, astry,

krokusy, hortensje, magnolie, akacje
– otwierają się, zamykają.

Packi liści o wszystkich kolorach.

Pędy łodyg i drzewa,

wyciągnięte do nieba,

(wielbiące? wielbiące niebo?). Pąk

Falenopsisa

spada w kielich

Datura stramonium – jak rozmowa.

Podaj mi oddech, Chuchano, lećmy dalej.

Za nami kraina kolorowych baniek.

Przed nami inny czas.

Świetlisty piruet zakręca tą strofą

i stajemy się śniegiem, (z powrotem

na Ziemi!?) milionem płatków,

co spadają na Europę. Życiowym zadaniem

jest pokryć ją dzisiaj na biało,

na biało.

2016



Fot. Internet

23 czerwca w Krakowie odbył się finał zorganizowanego przez naszą Fundację I Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. P. Nerudy.

Jurorzy tegorocznej edycji: Radosław Kobierski (przewodniczący), Iwona Młodawska-Watson oraz Karina Stempel, po zapoznaniu się z nadesłanymi zestawami wierszy, postanowili przyznać następujące nagrody:

I miejsce – Beata Kieras (Gdynia);

dwa równorzędne wyróżnienia:

Anna Dwojnych (Toruń) oraz **Klaudia Hagemajer** (Warszawa).

Gratulujemy nagrodzonym poetkom i dziękujemy Jury, w tym pomysłodawczy-
niom Konkursu: Iwone Młodawskiej-Watson i Karinie Stempel. Jednocześnie
już dziś zapraszamy do wzięcia udziału w kolejnej edycji imprezy, o której
będziemy informować w późniejszym terminie.

POEZJA

Beata Kieras

I miejsce

W cielistym odcieniu

przychodzi czas po kobiety

i łagodnieją rysy na lustrach
jak pod dotykiem pędzla
który odkrywa w światłocieniach
blizny po przebytych miłościach

przychodzi czas po kobiety

i rozbiera je z pancerzy niewidzialnych gorsetów
pilnie strzegących oddechu przed głębią
z niecierpliwości która każe szukać szczęścia
jakby było gdzie indziej

nagie mogą w końcu ubrać się ciepło
wsunąć stopy w wygodne pantofle
iść po piasku po kamieniach
albo czekać pod drzewem i patrzeć
przez liście przez palce jak słońce przecieka

przychodzi czas po kobiety

i biorą swoich mężczyzn za ręce
na zgodę na drogę na łódkę

nie bój się
spójrz
jak stają w zmierzchu nie przygryzając ust
do czerwieni gotowe okazać czułość wróblom

Bałyk jesienią albo bełkot w lutym

nie śpię to jest czas wylęgania z człowieka
umęczonej mewy
kłopot polega na tym
że kiedy zaczyna się mówić prawdę nie można przestać
i trzeba będzie zamknąć mi usta zanim uwolnią cudze
demony

tamte kobiety wiedzą o szaleństwie tyle
ile trzeba żeby wypaść z lustra w morze
do kostek no może do ramion wynurzają się
na raz wybuchają ratunkowym śmiechem
jedna drugiej wyjmując z włosów wodorosty
patrzą sobie w oczy przez chwilę jednakowo
zielone pełne złocistych rybek

nie śpię zdradza mnie poruszenie
wody niepokój głodnych ptaków
tamte kobiety wracają
uderzenia są silne łamią żebra
ale przywracają oddech uchodzi z płuc
cała historia

kłopot polega na tym
że trudno mnie zatrzymać na brzegu
języka uczynić na powrót głazem
i przyłożyć do niego rozpaloną twarz
albo usypać mu wydnię

Spod pędzla

wyjąć z obrazu patrzeć jak zarasta
jak się pejzaży w widok na tyle odległy
że nie zatrzyma w sobie wzroku nie sięgnie
po uwolniony kształt

kobieta prostuje plecy zmienia kolor oczu
na własny jak bure niebo od którego ją odwrócono
w stronę nocy odkrywa że zmarłych można opłakać
bez szkody dla życia a smutek pochodzi z tęsknoty za światłem
nie z ciemności malowanej na twarzy za każdym razem
gdy linia ust nie chce wygiąć się w uśmiech

im dalej tym wyraźniej widzi gdzie jej nie ma

jest

karmi psa i robi wszystkie te bezużyteczne w perspektywie
rzeczy niezbędne ludziom pozbawione głębi

wyróżnienie

Malena

wszystko pomyliłam. kazali zaciskać
nogi a ja zaciskałam oczy kazali
milczeć lub szeptem recytować litanie
a ja zaczęłam śpiewać. syreni śpiew
zachwycał i przerażał dlatego kazali mi
trzymać się szczelnie ziemi żyć jak człowiek
(dziś sama nie wiem kto nauczył mnie pływać)
żony rybaków wypytują o mnie
wypatrują z brzegu i zbierają włosy
czekam kiedy przyjdą i mnie podpalą
obiecaj mi że do nich nie dołączysz.

Orfeusz i Eurydyka w muzeum sztuki współczesnej

pożegnania bolały w tym miejscu
gdzie mięso oddziela się od kości
starcy próbowali zaurócić rzekę
wylewała się między żebrami
na zimne marmurowe posadzki
ujawniło się napięcie mięśni
skurcz powiek, zrezygnowany grymas
jakby ustawił nas Gunther von Hagens
kochanie, czy mógłbyś mi podać sól?

uwważaj ona chodzi po mieście
a potem pisze wiersze
o waszych przejęzyczeniach
i onomatopejach o twoim
gdzieniegdzie w nigdzie o tobie
bez ciebie tylko czasem
w niej

Klaudia Hagemajer

wyróżnienie

Lipiec na podwórku przy Andersa 12

patrzy na swoje ręce
to mogłyby być flamingi
pamięta jak zaliczała egzamin
z tropikalnych ptaków

śledzi cień na chodniku
łuk pleców idealnie okrągły
może równoleżnik raka
po którym wspięło się słońce
ślania się pod jego ciężarem

to nie drżenie głowy
nad pustynią tańczy powietrze
wypełnia płuca gorączką
dobrze że jest teraz sama

ktoś mógłby ją powstrzymać
a właśnie tak chciała wyruszyć
w nadmiarze światła i ciepła
z przepełnienia słońcem
znad równoleżnika raka

Uległość

*Jak wolno krwawi uległość,
Powolne kapanie rosy z kwitnącego ciernia.
[Georg Trakl, Śpiew uwięzionego kosa]*

zupełnie zapomniała
po co przekładała kartki
co chciała odnaleźć

to nie stało się od razu

odmierzała pamięć kroplami
przelewanyimi na talerze do szklanek
dodawanyimi do syropu na kaszel

nie mogła sobie przypomnieć
po co otworzyła drzwi
więc zatrzymała się w progu

odurzona zapachem ulicy

Nie patrz w ten sposób

*Ciemne koryta rzek, w których ukrywa się moje wieczne pragnienie
i znużenie, i ból nieskończony.*

[Pablo Neruda, *Dwadzieścia poematów o miłości i jedna pieśń rozpacz* – 1]

jutro będzie pełne cudów
materia będzie polyskiwać i wydawać przyjemne dźwięki
zakwitną w moich włosach
wstanę kompletnie i stanę pewnie
wbiję wiele chorągwi
dla ciebie
zdobędę trofea
kamienie utoczone w głowach zwykłych ludzi
rzucę ci do stóp
opowiem o wszystkim radośnie żeby cię rozbawić

ale teraz pozwól mi odejść
na jedną noc

położyć się w czarnym korycie rzeki
wsiaknąć w tę czerń
(obiecuję ją sobie od dawna)
poczuć jak staję się przestrzenią po nurcie rzeki
która wreszcie wyschła
jak tracę się z oczu

nie patrz w ten sposób
bo zacznę się bać

to tylko jedna noc

jutro wbiję wiele chorągwi
i zdobędę trofea

W Y W I A D

Poezja to urządzenie wielofunkcyjne

– z **Marcinem Orlińskim** rozmawia Michał Domagański



Marcin Orliński
Fot. Internet

Czy warto jeszcze dzisiaj pisać wiersze? W jaki sposób można zainteresować młodych ludzi literaturą? Jaki wpływ na poezję mają media społecznościowe? Z Marcinem Orlińskim – nie tylko o jego nowych wierszach – rozmawia Michał Domagalski.

Michał Domagalski: Co dominuje w Twojej domowej bibliotece: poezja czy proza?

Marcin Orliński: Jeśli wziąć pod uwagę liczbę książek, to w naszych skromnych zbiorach dominuje poezja. Półtora roku temu, kiedy w końcu udało się nam kupić nowe regały, postanowiłem policzyć książki poetyckie. Nadmienię, że mieszkamy z Magdą w kawalerce. Wiesz, jedna izba, w której śpimy, jemy, czytamy i dłubiemy w nosie. Okazało się, że mamy ponad 500 tomów wierszy, wierszy zebranych i antologii. Ale od tamtego czasu doszło sporo nowych tytułów, więc teraz będzie ich pewnie ok. 550. Jeśli z kolei przeliczyć to wszystko na strony, to z pewnością więcej wyjdzie prozy i innych gatunków. Bo oprócz opowiadań i powieści mamy też sporo książek filozoficznych, reportaży, esejów, krytyki literackiej, literaturoznawstwa i literatury dziecięcej.

M.D.: Wśród tych około pięćdziesięciu, które dołączyły do Waszego księgozbioru jako ostatnie, możesz wskazać szczególnie warte uwagi?

M.O.: Oj, trochę tego było: *Zimna książka* Marty Podgórnika, *Miejsce* Edwarda Pasewicza, *Jarzmo* Przemysław Owczarka, *Biały album* Grzegorza Olszańskiego, *Polska* Marcina Świetlickiego, *Metempsychoza* Jarosława Marka Rymkiewicza... Duże wrażenie zrobił też na mnie zbiór *Czekamy* Patryka Czarkowskiego – choć nie jest to tom równy, można w nim znaleźć wiele dobrych wierszy. Niedawno kupiłem sobie też wznowioną książkę Stanisława Barańczaka *Pegaz z dębiał*. Piękne wydanie, uzupełnione o niepublikowane wcześniej utwory i wzbogacone o obszerne przypisy redaktorki. Rzecz kultowa. I przeczabawna.

M.D.: Sporo tego. Jeśli wierzyć statystykom, 63 procent Polaków nie sięga po książki w ogóle. Zaś dla pozostałych osób poezja jest raczej kojarzona z podręcznikiem szkolnym. Czujesz się częścią elity?

M.O.: Poezja to dziedzina niszowa i nawet wśród ludzi czytających książki mało jest osób, które sięgają po poezję. Ale przecież sto lat temu sytuacja nie wyglądała lepiej. O poetach społeczeństwo sobie przypomina podczas historycznych zawieruch. Ten mit poety jako ambasadora narodowych wartości i uczuć patriotycznych zawdzięczamy zresztą romantykom. Ale jest też chyba sporo osób, które nie czytają poezji na co dzień, ale sięgają po nią doraźnie, zależnie od dat i pór roku. A to Walentynki, a to Wszystkich Świętych... Czy czuję się częścią elity? Według słownika PWN elita to „grupa ludzi wyróżniająca się pozytywnie lub uprzywilejowana w jakimś środowisku”. Nie wiem, czy czytelnicy poezji wyróżniają się pozytywnie. Powiedziałbym, że różnie z tym bywa. No ale ważne, że w ogóle są.

M.D.: Jesteś bardziej poetą czy czytelnikiem? A może to wszystko tylko środki doraźne? A Ty tak naprawdę jesteś jeszcze kimś innym?

M.O.: Pisanie i czytanie idą ze sobą w parze. Czytam, żeby się inspirować, i piszę, zainspirowany tekstami innych. Oczywiście autor i podmiot liryczny to dwa różne byty, dwie odrębne instytucje, ale nie jest też tak, że nie ma między nimi żadnych podobieństw. Do moich tekstów przenikają przecież elementy biograficzne. Nie tylko jestem tego świadomy, lecz także rozmyślnie do tego dążę. Jest w tym coś z „życiopisania”, jeśli odkurzyć tę starą kategorię. Albo po prostu coś z „brulionowego” zainteresowania codziennością, z odradzającego się w latach 90. XX w. egzystencjalizmu, którego odzwierciedleniem w poetyckiej frazie były język potoczny i literacka gra atrybutami pozornie niepoetyckimi. Kim wobec moich wierszy jestem ja sam? Inicjatorem procesu, dyrektorem niesfornej ekipy budowlanej, dzieckiem, które bawi się dominem.

M.D.: W *Środkach doraźnych* uwolniłeś tę ekipę budowlaną od obowiązku wznoszenia regularnych konstrukcji, choć zdarzają się wiersze w rytmie przypominające te z *Tętna*. Czyżby następny tomik zapowiadały te... powiedzmy – mniej regularne?

M.O.: Tytuł mojego ostatniego tomu odnosi się również do jego formy. Doraźność środków, po które sięgam, wiąże się między innymi z różnorodnością podejmowanych tematów. Życie codzienne, depresja, wątki społeczno-polityczne, śmierć bliskiej osoby i rozważania na temat życia we Wszechświecie domagały się różnych rozwiązań. Są tu więc wiersze białe i rymowane. Są utwory pełne środków stylistycznych i ciężące ku tekstowi prozatorskiemu albo esejowi. Są wreszcie teksty poważne i z przymrużeniem oka. Nie wiem jeszcze, jaki kształt będzie miała następna książka, ale na pewno w jakiś sposób zamierzam kontynuować strategię, którą obrałem, pisząc *Zabiegi*, *Tętno* i „Środki doraźne”. Nie zamierzam wracać do poetyki z pierwszych książek, do tej całej „ośmielonej wyobraźni”, do tworzenia wysoce zmetaforyzowanych opisów i wznoszenia konstrukcji lirycznych na granicy sensu.

M.D.: Jednak doraźna jest nie tylko forma, lecz i funkcje, które – podobnie jak podmiot liryczny z wiersza „Środki doraźne” – pełni. Tylko na potrzeby chwili stajemy się *poetami*, *pacjentami*, *mężczyznami*... Nie ma w tych „rolach” stałości?

M.O.: Myślę, że kwestia odgrywanych przez nas ról społecznych jest dosyć złożona, a pojęcia stałości i niestałości nie oddają istoty problemu. Nie jest przecież tak, że wskakujemy w jakieś buty i już, w drogę. W życiu i relacjach międzyludzkich nieustannie negocjujemy przecież zakres pojęć, które nas określają. Weźmy pojęcie „mężczyźni”. W sensie biologicznym jestem mężczyzną przez cały czas, ale w sensie kulturowym nie jest to już takie oczywiste. Kultura patriarchalna wyrządziła i wciąż wyrządza wiele zła nie tylko kobietom, lecz także mężczyznom. Narzuca nam wzorce męskości, wiążąc ją z siłą, władzą, dominacją itd. Fajnie być facetem, kiedy się to opłaca i kiedy jest to łatwe. Gorzej, gdy się nie spełnia wymogów męskości narzuconych przez szkołę, rodzinę czy film wojenny, bo wtedy – zgodnie z matrycą – przestaje się być w pełni mężczyzną. A przecież wystarczy zbyt łagodne usposobienie, nie mówiąc już o depresji, by być zaklasyfikowanym jako „baba”, „leszcz”, „słabeusz”. Mając wiedzę o tych mechanizmach, możemy poddać pojęcie męskości rewizji. Możemy sobie uświadomić, że – jako mężczyźni – mamy prawo być słabi, a np. brak umiejętności przywódczych nie jest niczym wstydliwym. Z pozostałymi kategoriami, które pojawiają się w wierszu, jest podobnie: odgrywane przez nas role są doraźne, umowne, płynne i mają zastosowanie tylko w określonych sytuacjach: np. na kozetce albo przed kartką papieru. Dodam, że nie warto utożsamiać się zbyt z butami, które akurat mamy na nogach, nawet jeśli czujemy się w nich wygodnie.

M.D.: Warto w ogóle czytać poezję?

M.O.: Warto. Poezja, podobnie jak inne gatunki literackie, stwarza na nowo ludzi, miejsca, uczucia, sytuacje. Wiersz jest wyrwą w szarej tkance języków, które otaczają nas na co dzień. Rozbłyskiem wywołanym przez niespodziewane zestawienie słów. Syntetycznym ujęciem tego, czym zajmują się prozaicy albo filozofowie. A także po trochu wszystkim, z czego może czerpać: dziennikiem, reportażem, wyznaniem, wspomnieniem, żartem, sesją psychoterapeutyczną. Dobry wiersz zaskakuje i dopowiada coś do naszego życia. Z tego samego powodu warto zresztą obcować z innymi dziełami sztuki czy interesować się naukami ścisłymi. Człowiek może dowiedzieć się czegoś o sobie i o świecie, zrewidować swoje przekonania, znaleźć pocieszenie albo po prostu trochę się rozerwać. Poezja to urządzenie wielofunkcyjne.

M.D.: Zawsze wydawało mi się, że jako przekaz skondensowany wiersz powinien mieć więcej odbiorców, niż faktycznie ma. Nagle okazuje się, że w świecie zdominowanym przez przyspieszenie, modne są opasłe kryminały, najlepiej ukazujące się w seriach. Z czego to wynika?

M.O.: Wchodzimy tu trochę w socjologię literatury i psychologię wyborów czytelniczych. Dlaczego piłka nożna jest bardziej popularna niż kung-fu, a dyskoteki cieszą się większym zainteresowaniem

niż filharmonie? Nie chcę zbyt upraszczać, ale intuicja podpowiada mi, że najczęściej kryminał to po prostu utwór łatwiejszy w odbiorze i bardziej wciągający niż powieść obyczajowa albo tom wierszy lingwistycznych. Ma dostarczać rozrywki i tyle. Oczywiście nie każdy kryminał – chlubnym kontrprzykładem dla mojej tezy może być *Imię róży* Umberto Eco, znakomity kryminał, który jednocześnie jest świetną powieścią historyczną.

M.D.: Warto czytać poezję, ale ludzie jej nie czytają. Znasz odpowiedzialnych za taki stan rzeczy?

M.O.: Nie wiem, czy da się wskazać konkretnych winnych. Na pewno w jakimś stopniu odpowiedzialne są kolejne rządy, które nic w tej sprawie nie zrobiły. Możliwe, że winę za niski poziom czytelnictwa ponoszą też media, które w zbyt wąskim zakresie promują literaturę. Do tego dochodzi cała współczesna kultura nastawiona na szybki, prosty przekaz, najlepiej obrazkowy. A czytanie, nie tylko poezji zresztą, wymaga przecież czasu i skupienia. Myślę, że ludzie nie czytają poezji również dlatego, że nikt im nie powiedział, że mogą to robić, że może to być dla nich ciekawe i ważne. Takie rzeczy wynosi się z domu. Kiedy ja byłem dzieckiem, mama czytała mi mnóstwo wierszyków, bajek, baśni i opowiadań. Myślę, że miało to duży wpływ na moje podejście do literatury.

M.D.: A jakie doświadczenie z literaturą proponowała Ci szkoła?

M.O.: Ze szkół wyniosłem przekonanie, że czytanie to przykry obowiązek, choć zarówno w podstawówce, jak i w liceum próbowałem we własnym zakresie sięgać po książki spoza kanonu lektur. Interesowały mnie zwłaszcza wiersze o miłości, bo jako nastolatek bywałem nieszczęśliwie zakochany. Nagle się zorientowałem, że poeci potrafią nazwać moje emocje i mówią to, czego ja powiedzieć nie umiem. Wiesz: te wszystkie tęsknoty, niepokoje... Teraz, kiedy bywam zapraszany na spotkania do szkół, staram się zarażać uczniów moim entuzjazmem. Czytam im moje wiersze, zarówno te melancholijne, jak i te humorystyczne, opowiadam o pisaniu, o konkursach literackich, festiwalach... Słowem, przekonuję ich, że literatura jest całkiem spoko.

M.D.: Warto w ogóle uczyć literatury? O literaturze? Może powinniśmy pozostawić to poza szkolnymi murami?

M.O.: Warto uczyć literatury, tak samo jak uczy się plastyki czy muzyki. Pytanie tylko, w jaki sposób będzie się uczyło. Bez odpowiedniego podejścia nauczycieli nie uda się uczniom zainteresować książkami. Zdaję sobie sprawę, że niektóre tematy poruszane przez pisarzy mogą być dla nastolatków trudne albo nudne. I tego nie przeskoczymy. Ale nawet takie tematy można przekazać w fascynujący sposób. W każdym razie warto próbować.

M.D.: Interesuje mnie to odpowiednie podejście nauczycieli, o którym wspominasz. Szczególnie jako pedagoga praktyka. Mógłbyś rozwinąć tę myśl?

M.O.: To chyba kwestia pewnych wyborów. Myślę, że od moich czasów i tak sporo zmieniło się na lepsze. Choć nowa podstawa programowa pozostawia wiele do życzenia, dzisiejsze podręczniki są o wiele atrakcyjniejsze niż te z lat 80. i 90. Teksty klasyczne przeplatają się z lekturami młodzieżowymi. Fantastyka, powieści dla nastolatków, ciekawa publicystyka... Jeśli w ten sposób można zachęcić uczniów do czytania, to chyba warto omawiać z nimi nawet literaturę niższych lotów, ale taką, która jest im bliska i mówi o ich problemach – o dojrzewaniu, odnajdywaniu się w grupie, radzeniu sobie z wykluczeniem itd.

M.D.: Czy media społecznościowe odgrywają dziś ważną rolę w popularyzacji poezji?

M.O.: Media społecznościowe niewątpliwie wprowadziły nową jakość, jeśli chodzi o komunikację międzyludzką. W jakimś zakresie pozwalają zrealizować marzenia z początków Internetu o demokratyzacji wiedzy i globalnym dostępem do informacji. Jeśli ktoś w małej miejscowości ma dostęp do sieci, to ma dostęp do olbrzymich zasobów literackich, w tym wierszy, które są publikowane

w serwisach internetowych, zinach i na fanpage'ach. Z drugiej strony dobrze już dzisiaj wiemy, że ta dawna wizja sieci jest trochę naiwna. W mediach społecznościowych – i chyba w ogóle w Internecie – człowiek zamyka się w kolejnych bańkach informacyjnych. Wybiera treści, którymi chce się otaczać. I jeśli nie interesował się wcześniej poezją, to zapewne nie zacznie nagle śledzić poetów i ich stron. Będzie raczej budował wokół siebie świat, w którym poezji nie ma.

Na dodatek mamy do czynienia ze zjawiskami, które w starym, analogowym obiegu literackim – zorganizowanym wokół czasopism i wydawnictw – nie miałyby zapewne miejsca. Mam na myśli poetów z Instagrama. Koronnym przykładem jest pochodząca z Kanady Rupī Kaur, obecnie chyba najpopularniejsza poetka na świecie, autorka słabych, banalnych utworów. Taka Coelho poezji. Wyobraź sobie, że na jej spotkania przychodzi po 1000 osób, a jej książka *Milk and Honey* sprzedała się w liczbie 2,5 miliona egzemplarzy i została przetłumaczona na 25 języków. Ostatnio mamy zresztą analogiczną sytuację w Polsce. Anna Ciarkowska, autorka grafomańskich wierszy, podbija media społecznościowe, a jej teksty mają na Facebooku od kilkuset do kilku tysięcy lajków. Właśnie wydała książkę, która jest bestsellerem w empikach. Myślę, że dwadzieścia lat temu taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Ot, plusy i minusy social mediów.

M.D.: Właśnie o te dwie poetki chciałem zapytać. Pozwolę sobie zatem na inne pytanie, może dość kolokwialnie brzmiące, ale ważne: kiedy wiersz jest dobry?

M.O.: Na ocenę wiersza składa się wiele czynników: warstwa językowa, ujęcie tematu, nawiązania literackie, zastosowane środki stylistyczne itd. Najczęściej te wszystkie elementy się zazębiają i nie sposób wprowadzić jasnego podziału na formę i treść. Dobry wiersz powinien czytelnika olśnić, uderzyć i zachwycić pod względem językowym, intelektualnym lub estetycznym. Wydaje mi się, że nie ma jednego zbioru reguł, które można by w matematyczny sposób zastosować do wszystkich wierszy. Istnieją różne poetyki i każdy utwór używa do innej interpretacji i oceny. Czasem ważna jest szczegółowość opisu, czasem – przemyślenia, które zbliżają utwór poetycki do eseju, a czasem – bogactwo metafor. Jedno jest pewne: im więcej się czyta, tym bardziej wyostrza się zmysł krytyczny.

M.D.: Liczba lektur pozwala chyba także wyłapać grafomaństwo w tekstach, o których wspomniałeś wcześniej, nie sądzisz? Chodzi więc nie tylko o dobrą literaturę, ale i o dobre czytelnictwo?

M.O.: Oczywiście. Warto dużo czytać, wyrabiać sobie gust, wyostrzać narzędzia pomiarowe, czułki i radary. Tu już nawet nie chodzi o grafomanię, którą wyłapie nawet średnio uprawnne oko. Po przeczytaniu kilku albo kilkunastu tysięcy wierszy widzi się subtelności, wychwytyje elementy wtórne i docenia prawdziwą oryginalność: rzadką linię melodyczną, niecodzienną metaforę, intrygującą myśl, na którą w innych tekstach się nie trafiło. Kiedy odzywają się do mnie początkujący autorzy z prośbą, żebym ocenił ich wiersze, sugeruję im, żeby właśnie przede wszystkim więcej czytali. Bo oni po prostu nie wiedzą, że ich wiersz o samotności, tęsknocie czy bólu jest pełen ogólników, ogólnych metafor i wytartych obrazów.

M.D.: Czy nagrody literackie są dobrym wskaźnikiem dla osób, którzy dopiero chcą zacząć swoją przygodę czytelniczą z poezją?

M.O.: Myślę, że na początku mogą być jakimś wskaźnikiem, ale bywają też niemiarodajne. Z dziesięciu czy dwudziestu naprawdę dobrych książek, które się ukazały w danym roku, oto jury wskazuje tę jedną, ewentualnie kilka, jeśli nagrodę poprzedzają nominacje. A co z pozostałymi? Mówię o ścisłej czołówce, w której zwykle są książki naprawdę warte uwagi, a na dodatek utrzymane w różnych poetykach, pochodzące z różnych rejestrów językowych, myślowych i wyobrażeniowych. Wybór jurorów bywa wtedy arbitralny i osoby zaczynające przygodę z poezją powinny o tym pamiętać. Powinny jak najwięcej czytać, wyrabiać sobie gust i tworzyć własne hierarchie poetyckie, niezależne od panujących mód albo decyzji jurorów.

M.D.: Można nie interesować się polityką, ale polityka interesuje się nami. Da się ten nastrój odczuć również w poezji. Czy to dobrze, że poezja stała się polityczna?

M.O.: Myślę, że każdy wiersz jest polityczny w szerokim sensie tego słowa – powstał przecież w języku, a język to rzecz publiczna, system znaków zakorzeniony we wspólnotowych formach życia. W węższym sensie polityczne jest to, co dotyczy spraw polityki bieżącej. Zwykle gdy ktoś mówi o poezji zaangażowanej, ma na myśli właśnie to drugie znaczenie. Poeci zaangażowani zabierają głos w sprawie niesprawiedliwości społecznej, nierównej redystrybucji dóbr, praw kobiet, a także w sprawie smogu i puszczy. Tego typu wiersze powstają zresztą od dawna, nie jest to tylko fenomen współczesności. W latach 70. mieliśmy Nową Falę, przed wojną mieliśmy Tuwima, a w XIX w. tworzył bardzo zaangażowany społecznie i politycznie Mickiewicz. Przecież *Dziady* to poezja zaangażowana *par excellence*! Myślę, że czasem społeczeństwo potrzebuje takiej literatury. Przecież poezja może być (i w istocie jest) nie tylko narzędziem wykrzykiwania jednostkowego ukurwu, lecz także instrumentem pozwalającym nakreślić jego szersze, społeczne ramy. Pamiętajmy zresztą, że to, co jednostkowe, często splata się z tym, co zbiorowe. I owszem, dobrze, że istnieją autorzy wrażliwi na problemy polityczne i społeczne, a nie tylko zapatrzeni w czubek własnego nosa.

M.D.: I do tego jeszcze Rymkiewicz, który od 2010 roku stał się bardzo zaangażowany. Co myślisz o jego poezji?

M.O.: Jego wiersze zaangażowane wywołują u mnie skręt kiszek. Pompa, patos i cały ten romantyczny *entourage* brany zupełnie na poważnie. Ale zdaję sobie sprawę, że ideologicznie jestem po drugiej stronie barykady i peunie stąd po części mój opór. Problem w tym, że w przypadku tego autora na wierszach się nie kończy. Rymkiewicz często zabiera głos w sprawach politycznych. Zieje nienawiścią, podkreśla swoją niechęć do obcości, na spory ideologiczne patrzy zerojedynkowo, a do tego żyje otoczony duchami przeszłości, próbując je zaangażować w dzisiejsze spory i przepychanki partyjne. To strategia dosyć kuriozalna, która tylko pogłębia podziały, nie mówiąc już o jej anachronizmie. Ale jego poezję niezaangażowaną lubię i cenię. O ostatniej książce *Metempsychoza* piszę właśnie szkic na stronę internetową „Przekroju” (wywiad przeprowadzony przed wydaniem wspomnianego numeru „Przekroju” – dop. Red.).

M.D.: W tym zaangażowaniu wraca także Polska jako temat. W zapowiadanym tomie *Zadury Po szkodzi* trochę tego będzie, na co wskazują zamieszczone na stronie wydawcy teksty. Ukazała się *Polska* Świetlickiego, którą – jak wspomniałeś wcześniej – już czytałeś. Nawet Ty umieściłeś na stronach „Przekroju” wiersz „Ponad podziałami”, w którym na dziesięć wersów słowo Polska pojawia się aż dwadzieścia razy... Dużo tej Polski ostatnio.

M.O.: To dowód, że coś się dzieje i jakaś ważna struna została poruszona. *Polska* Świetlickiego to głównie wybór dotychczasowych wierszy, choć znalazło się tam również kilka nowych utworów. Świetne, ironiczne teksty, w kontrze wobec różnych światopoglądów. W przeciwieństwie do konserwatywnego i wyrażnie prawicowego Rymkiewicza Świetlicki nie staje ani po prawej, ani po lewej stronie. Wolność twórcza zbiega się tu z wolnością od różnych społecznych instytucji, które podmiot tych wierszy postrzega jako opresyjne. Jeśli chodzi o mnie, owszem, ostatnio piszę więcej tekstów zaangażowanych. Najbardziej interesują mnie kwestie społeczne, ale staram się nie zamieniać wiersza w tekst publicystyczny. W tym wszystkim wciąż najważniejsza jest przecież wartość literacka tekstu, podkładanie dynamitu, budowanie na zgłiszczach.

M.D.: Struna zda się drzeć od kilku lat. Nie boisz się, że Twoje zaangażowanie zostanie odczytane jako chwytanie się modnych tematów?

M.O.: Nie sądzę. Zaangażowanie raczej nie jest dyktowane modą, niezależnie od tego, jakie się ma poglądy. Może być dyktowane empatią, wrażliwością na los kraju, ideologią, poglądami politycznymi, emocjami... Ale nie modą. To są zupełnie inne porządki. Modny może być co najwyżej Instagram.

M.D.: Ciekaw tych bardziej zaangażowanych tekstów, dziękuję za wywiad. ●



Ewa Lipska
Fot. Agnieszka Zub

Za mało Lipskiej?

Nowý tomik wierszy Ewy Lipskiej przeczytałem z uczuciami, niestety, trochę mieszanymi. A mówię to z pozycji kogoś, kto od lat nastoletnich jest wiernym czytelnikiem i admiratorem jej twórczości.

Trzeba też zaznaczyć, że „mieszane uczucia” nie są tu żadnym eufemizmem. Znalazłem bowiem w tej niewielkiej, a starannie wydanej książeczce całkiem sporo dobrej poezji. Niestety, nie brakło też fragmentów, którymi poczułem się z lekka zawiedziony. Z lekka – nic więcej.

Pod wieloma zresztą względami *Pamięć operacyjna* – gdyż taki tytuł tomik nosi – jest tym, czego się po Autorce spodziewałem. Od dawna, a to co najmniej od *Czwartego zbioru wierszy*, Lipska dążyła ku formom coraz lapidarniejszym. Potwierdzały to utwory drukowane w latach 80., kiedy z jej poezją zetknąłem się pierwszy raz. Zwartość zaprezentowana w najnowszym zbiorze nie jest może jeszcze punktem dojścia – tym, jak śmiem przypuszczać, mogą się okazać aforystyczne całości w rodzaju „Przesłania” lub „Z sennika” („Byliśmy jeszcze Wszyscy” to jeszcze jeden, choć może nie aż tak

świetny, przykład) – ale stanowi kolejny krok bardzo konsekwentnego rozwoju.

Finezyjne gry słowem – do tego poetka przyzwyczajała czytelników właściwie od debiutu. To prawda, gra (z) językiem tyleż powszednim, co medialnym i propagandowym, była „znakiem rozpoznawczym” neolingwistów z pokolenia Nowej Fali. Niemniej autorka *Przechodni ciemności* zawsze wydawała mi się z tego środowiska najciekawsza – być może dlatego, że nigdy nie usiłowała naśladować toporności języka oficjalno-potocznego; raczej demonstrowała, jak „drętwą mową” mogłaby sama siebie zdradzić, gdyby zdobyła się na więcej polotu. Stąd zapewne brały się kunsztowne paradoksy w rodzaju „wypożyczalni buntu”, kupowania „dwudziestu kilo wolności” lub odpowiadania z historii „ze świetnym wycuciem milczenia”.

I tego też znajduję w najnowszym tomiku kontynuację. Kiedy czytamy: „Na nic się zdała / prohibicja liryki”, „Pamięć na wygnaniu. / Jakby coś zawiniła”, „przeszłość po remoncie”, „Wycelowane w nas / głosy z tłumikiem”, „Zawsze może się zdarzyć / żrący czas” – myślę: „znac mistrzał”. Co więcej, znajduję próby odświeżenia poetyki



Ewa Lipska, *Pamięć operacyjna*,
Wydawnictwo Literackie, 2017.

uprowadzaniem sformułowań z teraźniejszego języka – czasem kapitalne (jak „W oddali przepływa nasza / wspólna pamięć operacyjna”), miejscami trochę mniej udane (typu: „Ćwiczenia w terenie / z politycznej zadymy”, czy „Z bagażem podręcznym który rozrósł się / w elokwentną hurtownię”).

Kłopot w tym, że takich inkrustacji znajduję w nowych wierszach jakby mniej, niż bywało w niegdysiejszych. Niestety, za lapidarnością nie poszła na razie semantyczna „gęstość”. Aby to zauważyć, wystarczy porównać dowolny wiersz z *Pamięci operacyjnej* np. z genialnym „Egzaminem”. „Awaria świata” zaczyna się w starym, dobrym stylu: „Nadchodzi awaria świata. Ale jeszcze drzemie / rozleniwiona w zaroślach”. Powiedzmy, że nawet do końca pierwszej strofy jest obiecująco, lecz potem górę biorą dość zwyczajne metafory i dopiero w zakończeniu wraca dawny kunszt: „Mniej więcej umarli. Ale więcej nic”. Piknik z wiersza „Wycieczka” również powinien być bardziej lingwistyczny, a zamiast tego robi się niezamierzenie snobistyczny. „Obraz. Nieznany autor” podtrzymywałby napięcie od początku do końca, gdyby nie słabsza pointa, wręcz sprawiająca wrażenie przyklejonej trochę na siłę. Podobny problem mam z wierszem tytułowym, kończącym się tyleż zbędną, co pretensjonalną apostrofą (a przecież wystarczająco podsumowała by go zacytowana wyżej „wspólna pamięć operacyjna”). Gorzej, że trafiają się poetce sformułowania cokolwiek wyświechtane („Już nie Anioł a tylko Stróż” lub „Ciała przyłapanie / na gorącym uczynku”), a przynajmniej sprawiające wrażenie powtarzanych po samej sobie („Do swojego wieku dojechałam na skróty”).

Kolejna kwestia: mniej więcej od lat 80. (jeśli nie 70.!) w kolejnych tomikach Ewy Lipskiej stopniowo górę brała tematyka metafizyczna. Początkowo, dodajmy, traktowana raczej z przymrużeniem oka („Jeśli istnieje Bóg”, „Dzień Żywych”, „Z listu”), później (co najmniej począwszy od tomu *Nie o śmierć tutaj chodzi, lecz o biały kordonek*) podejmowana coraz bardziej serio, choć już z dala od dosłownych odniesień religijno-eschatologicznych. Zdaniem piszącego te słowa, to właśnie wówczas poetka stworzyła swoje, jak dotychczas, najciekawsze wiersze. Całkiem udaną próbą kontynuacji tego nurtu wydaje się być „O sobie bez narzekań”, w pewnym

stopniu również „Zbiory miłosnych listów” (niestety, już taki „Reportaż ze snu” brzmi jak wysiłony żart).

Czytając nowy zbiór, można wszelako podejrzewać jego Autorkę o tęsknotę za liryką zaangażowaną (szczęśliwie nadal nie wprost!), opowiadającą się po tej czy tamtej stronie, nieledwie obywatelską. Rezultaty bywają na miarę dawnych – wyróżniłbym tu „Bitwę pod rozumem” – choć zastanawiam się, czy w tak niejednoznacznych czasach, jak nasze, poezji jest jeszcze do twarzy z zaangażowaniem (podobne wątpliwości miewam wobec niektórych wierszy J.M. Rymkiewicza). Najlepszym utworem na aktualny temat wydaje się „Sztuczna inteligencja” z czytelną aluzją filmową i świetną grą słowną: „wszystko co ludzkie / odkładane jest na przeszłość”. Nie znaczy to, by zabrakło dobrych wierszy o wymowie bardziej ponadczasowej. Przykładowo „Byliśmy jeszcze Wszyscy” tylko sprawia wrażenie liryki „pokoleniowej”, w istocie jego sens jest uniwersalny. Jeszcze bardziej pomysłowo skonstruowana została niezwykle treściwa „Historia”, jakkolwiek jej konkluzja – „Ona nie zrobi ci krzywdy / dopóki / nie odbierzesz jej / miski z jedzeniem” – wydaje się tchnąć przesadnym optymizmem.

Czytając ten tomik, raz za razem dochodzę zresztą do wniosku, że *de facto* jest on bardzo dobry, tylko... troszeczkę za mało w nim Ewy Lipskiej. Metafory i porównania są zazwyczaj mocne i celne – „Bezduśzny zmierzch. / Stara panna wspomnień / napelnia kieliszki”; „wschodzi sukces słońca”; „On i ona. Wyglądają jak / przeznaczony do rozbiórki dom” itp. – lecz zbyt często nie takie, jakie uczyniły autorkę *Białego kordona* niepowtarzalną, nie dającą się z nikim pomylić. Raczej utapiające się w tło dzisiejszej młodej poezji. Czyżby Autorka zapragnęła „być na czasie”? Jeśli tak, to niepotrzebnie. Słuchając kolejnej płyty Iron Maiden, nie chcę na niej usłyszeć Behemoth (tym bardziej, że za nim nie przepadam). Jeśli Rolling Stones nagryją jeszcze nowy album studyjny, też nie będę oczekiwał hip-hopu. A otwierając tomik Ewy Lipskiej – kogo chcę? Ewy Lipskiej, która nie ma powodu, by czegoś zazdrościć swoim „młodszym koleżankom”. To one (z chwalębnymi wyjątkami w rodzaju Izabeli Kawczyńskiej) powinny wszystkiego zazdrościć Lipskiej. ●

Rafał Gawin › Recenzje poetyckie

Recenzje uzupełniające

U nicjując niniejszą rubrykę zeszłorocznych w pierwszym numerze „Afrontu”, czyli zaczynając pisać noty o książkach na szerszą skalę, nie zdawałem sobie sprawy, jak to wypacza lekturę. Zamiast skupić się na materii wierszy (jeśli z jakąś materią mają w ogóle do czynienia), mając umysł felietonisty-gawędziarza, zbierasz cytaty i efekciarskie bon moty; orzesz (ożeż!), zwłaszcza kiedy nie możesz, bo taka jest idea opracowania, które praktycznie nie ma żadnych ram i reguł. Dlatego żeby przesadnie nie myśleć o konieczności napisania kilku zdań o prawie każdej polskiej książce poetyckiej, jaka wpadnie mi w ręce, poszczególne teksty powstają niejako naraz, na ostatnią chwilę, a więc – przeważnie – z pewnej perspektywy czasowej i lekturowej, niekiedy też w dość zaskakujących i przypadkowych kontekstach.

A tak na marginesie: jak inaczej pisać o poezji, zachowując do niej zdrowy dystans i szacunek dla niej sensu stricte?

Tymczasem nabierało się zeszłorocznych zaległości, którym wreszcie mogę zadośćuczynić. Część książek – między innymi debiut Julii Niedziejko i wydaną zaskakująco przez WBPiCAK książkę poetycką Anny Augustyniak – pomijam z premedytacją. Z prostej przyczyny. Uważam, że o niektórych pozycjach, również negatywnie, i bardzo negatywnie, zwyczajnie nie warto pisać.

• **Marta Eloy Cichocka**
Engramy (Lokator)



Kiedyś, na potrzeby prywatnych rozpoznań poetyckich zmagani z językiem, nie tylko w kontekście przekładu, pozwoliłem sobie wyróżnić tak zwane typowe wiersze tłumaczy. Książka Cichockiej wpisuje się w takie

ramy, sytuując się gdzieś w dolnej części stanów średnich skali jakości wyznaczonej z jednej strony przez coraz bardziej nieistotne próby poetyckie Jacka Gutorowa, a z drugiej przez niezmiennie intrygujące przygody przyrody w poematach i traktatach Andrzeja Sosnowskiego. Autorka odrabia poetycką pańszczyznę: jest pozornie lekko, luźno i do przodu, ale grzecznie i bezbarwnie w tych poprawnych foremkach, w których widać każdy szew w próbach podjęcia choćby najmniejszego ryzyka. I jeszcze ten brak pomysłu na puentę, i maniera przegadywania końcówek: czytam wiersz, widzę, że całkiem sensownie zostałem z niego wyprowadzony, niekoniecznie na manowce, odwracam więc stronę – i widzę dalszy ciąg tego samego tekstu. Jednak „engram”, jako nowa forma, na miarę obsoletki tudzież mikrotymku, nie wspominając o wy-

nance kurpiowskiej autorstwa, nomen omen, kolejnego poety-tłumacza (i to jakiego poety!), mógłby się charakteryzować cechami, które pozwoliłyby go wyłowić z bezkształtnej masy polskich wierszy przeciętnej długości i – zgodnie z proponowaną nazwą – zapamiętać.

• **Emanuela Czeladka**
Napływ (WBPiCAK)



Debiut Czeladki posiada wszystkie cechy rasowej książki grafo-mańskiej. Z rodowodem sięgającym kilku pokoleń poetyckich idoli, z gitarą i tamburynem. Jest tu i cikiwy romantyzm, i pseudo-luzacki pozytywizm.

Jest pociąg do urlopu od bardziej skomplikowanych rozwiązań w warstwie językowej, a zwłaszcza treściowej. Jest, wystające zza kolorowych parawanów, polskie morze, a także polskie góry, z perspektywą koturnowych sandałów. Nie, nie, nie, nie obchodzi mnie, jak na imię masz – chciałoby się pić i wyjść do rzeczy, które w tych wierszach są banalnie porozrzucane. Plus te wszystkie oczy, które patrzą w próżnię. Te dylematy: człowiek czy miłość i analogiczne sortowanie bezradności, w te i nazad przez most. A wszystko to zapisane przeważnie długą frazą (kwadratowy format książki pasuje do jej kwadratowości), która nie wiadomo czemu służy, bo na pewno niczego nie rekompensuje. Jednak nad całością – gwoli krytycznoliterackiej uczciwości – unosi się duch poprawnego wiersza, co jednak rozmywa i marginalizuje wszelkie namiastki oryginalności, jakie – bardzo życiowie – można tu w śladowych ilościach dostrzec. Jakby większość tych wierszy powstawała na warsztatach, gdzie przycinano je do konwencjonalnych i kompromisowych rozmiarów, dbając, by ich bezpłciowość nikomu nie zagrażała. Koło brzegu jakiegoś potencjału, ale wciąż nieużytkowanego. I muszę być brutalny w podsumowaniu: debiut Czeladki to chodząca (a raczej pełznąca niczym ślimak i zamykająca się przy każdym lekturowym rozczarowaniu) antyreklama poezji pisanej przez kobiety. Gwóźdź do trumny parytetu tudzież innego systemu mającego na celu przywracanie godnego i sprawiedliwego miejsca kobietom na scenie poetyckiej.

• **Rafał Rutkowski**
Wywołuję siebie z ruin (WBPiCAK)



Po nieźle przyjętym debiucie, który mnie osobiście irytował, z racji wielu nadpisanych i wymyślonych konstrukcji zbliżonych do zdań, autor powraca bez echa tamtych wydarzeń, wywołując

siebie z ruin i budując nowe, niegościnne pokoje. I nie chodzi tutaj jedynie o przesadną gościnność słowa w debiucie lubelskiego poety. Językowi tamtego zbioru towarzyszyła bezustanna nieufność, którą bardzo łatwo można było sprowadzić do roli bezradności i niepewności. W praktycznie każdym tekście ktoś, jakby jakiś sufler, z bezpiecznej, ale podważającej wszystko pozycji co najmniej kilka razy mówił, niekoniecznie teatralnym szeptem: sprawdzam. Teraz wreszcie Rutkowski zajął się wierszem, nie jego usilnym formowaniem. I dzieje się w nim, dzieje. Te powroty poza dom, to poszukiwanie całości jako porządku, który ocala, bo przecież nie chodzi o wiersz, co będzie gadał, dopóki się sobą nie zmęczy, dopóki nie wyczerpie potencjału języka w szeregu zerwań między oznaczającym a oznaczanym, w błędzie systemu, który jest najlepszym z literackich światów pod warunkiem, że dostrzega się jego ograniczenia i łatwość, z jaką pozornie można je przekraczać przy użyciu zbyt wielkich, ale i zbyt małych słów. Nie ma bezpiecznych kryjówek: nie wracaj do domu, twój wiersz już tam jest, on nigdzie nie wychodził, tylko ty przestałeś go zauważać – zdaje się apelować autor, a jego mowa nie może być prosta ani zredagowana (zdegradowana?) do granic poetyki grzecznego warsztatu. Oczywiście, nie każdy element przegadania przy podobnej poetyce gawędziarskiego rozmachu da się uzasadnić i przyjąć, ale zdecydowanie wolę takie ryzyko małych porażek niż cięcie równo z ziemią, tą ziemią, fraz i obrazów, które mogą dać namiastkę jakiegoś namacalnego kosmosu.

• **Aneta Kamińska**

Autoportret z martwą naturą. ostatnie wiersze nazara honczara (WBPICAK)



Sam akt pisania wiersza jest niejako spisywaniem i przekładaniem wewnętrznych głosów, które mogą należeć do różnych pokładów naszej osobowości. Śmierć jest rozwiązaniem tychże osobowości – może

je uporządkować albo wywoływać niczym duchy. W dotychczasowych książkach Kamińska przeważnie pracowała niczym szamanka: wykorzystywała przede wszystkim retoryczno-zakłębiony potencjał języka, igrając z jego brzmieniem zwłaszcza podczas brawurowych wykonani live; ale i już na poziomie samego zapisu, by czytelnik pozabawiony możliwości obcowania z tymi wierszami w wersji audio otrzymał narzędzia do wychwylenia ich pozaformalnej i pozaznaczeniowej istoty. I autorka *Czarów i mar* (również tłumaczka) poszła krok dalej, oddając głos nieżyjącemu poecie ukraińskiemu, Nazarowi Honczarowi, przekazując wiersze w jego imieniu. Wreszcie znalazły się w książce, jako seria autoportretów, lingwistycznie i pod względem oszczędności formy godzących poetyki piszącej i „dyktującego”. Jako seria klepsydry (bardzo adekwatna okładka!), nekrologów ukazujących nieśmiertelność żywego języka poetyckiego. Każdy tekst opatrzony jest przypisem – wyczerpującym literacko, biograficznie, a nawet psycho-

logicznie uzasadnieniem obecności w książce lwowskiego performer. Taka poetycka aneksja broni się przede wszystkim jako pewien gest z pogranicza literatury i przekładu. Ale w naszym nieawangardowym poetyckim piekielku to wystarcza, nie tylko jako kubek zimnej wody na rozgrzane przegadanym lirycznym i delirycznym „ja” głowy.

• **Elżbieta Lipińska**

Kamienie (Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza)

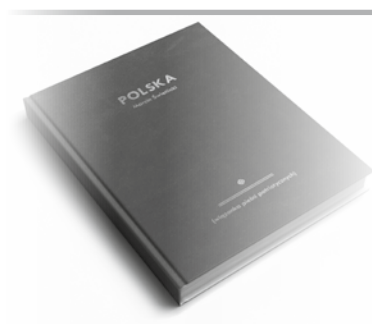


Zastanawiam się, na ile recenzja w tak intymnym przypadku ma sens. Mógłbym napisać: przeczytałem, przyjąłem do wiadomości, dziękuję za uwagę. W końcu (i w szczególnym znaczeniu końca) to osoby

sty zeszyt w kartonowej oprawie, zawierający zdjęcia z rodzinnych albumów i niespełna dwadzieścia wierszy-portretów, raczej sfabularyzowanych, skromnie zgodnych z faktami z przestrzeni Zagłady. Na pewnym ogólnym poziomie – różewiczowsko-celanowskich w wymowie i ekspresji. Bardzo oszczędnych treściowo, również w odniesieniu do dotychczasowego, zdecydowanie gęstszego dorobku autorki. Bazujących, oczywiście, na niedopowiedzeniach i przemilczeniach, ale... No właśnie. I tutaj pojawia się bardzo trudne pytanie nie na miejscu: czy wielki temat rozumie się sam przez się? Czy wystarczy do niego nawiązać, pokazać, że ma się moralne i etyczne prawo do obracania się w jego makabrycznych trybach, by powstałe w ten sposób utwory literackie posiadały z góry odpowiednią moc i ciężar? Mam wątpliwości, bo rozumiem i szanuję intencje. Mam wątpliwości, bo nie mogę przejść obojętnie obok takiej książki, a jednak niewiele mi z niej zostaje oprócz kolejnej rodzinnej historii, której niesprawiedliwa tragiczność wpisuje się w pokrętne losy polskości w XX wieku. Chciałbym inaczej, ale muszę być wierny ideałom pracy w kontekście pamięci, która niczego nie rozwiązuje na poziomie pozaartystycznym lub chociażby pozadosłownym. Tyle mogę, hipokrytycznie kłaniając się nieabsorbowanemu przeze mnie wierszowi zaangażowanemu z początku trzeciego tysiąclecia.

• **Marcin Świetlicki**

Polska. Wciążanka pieśni patriotycznych (Wolno)



Stulecie odzyskania niepodległości ciąży zwłaszcza kulturze. Obecna władza to docenia, nadając temu ciężarowi jeszcze większy ciężar. Niczym dodatkowy kamień u nogi, która ma twarde stąpać po ziemi, by

jej posiadacz mógł w zaciszu domowym tudzież mszalnym kontemplanować hiperbolizację szacunku do ojczyzny przez wielkie „O”. Świetlicki, jak zwykle, pokazuje, że tak być nie musi, żeby było dobrze. Ojczyzna u niego jest, jak się patrzy i jak się nie patrzy; pod kątem i wbrew wolnej woli. To ojczyzna przez wielkie „O, kurwa”, adekwatny przecinek ustawiany do wielkich zdań na jej temat. To wybór, wiązanka – jak chce autor tytułu – wierszy w jakiś sposób dotyczących Polski, zmagających się z nią i po prostu wymieniających jej nazwę tudzież atrybuty. Ale w książce nie brakuje niespodzianek. 1. W postaci tekstów wcześniej niepublikowanych. 2. W postaci barwnych ilustracji. Te pierwsze niczego nie zmieniają w postrzeganiu Świetlickiego jako poety, zarówno przez jego zwolenników, jak i przeciwników. Potwierdzają niejako diagnozę ogólną: Świetlicki najbardziej zyskuje w wyborach i analizach problemowych i tematycznych, gdy nagle jego pozornie nieistotne wiersze z książek, nazwijmy to w pewnym uproszczeniu – z okresu środkowego – rosną w oczach i umysłach dzięki nadanemu kontekstowi; ich uniwersalizm, a jednocześnie dobitna trafność zyskują w zderzeniach z kolejnymi toposami, jakby nowe zdolności bojowe nagle, choć spodziewanie, padły ich łupem. Tak było w przypadku metafizyki (Bonowicz, czyli specjalista) czy erotyki (Gawin, czyli specjalista), tak jest i w Polsce. Ilustracje natomiast to pędzące po narodowych faktach i mitach kolaże, głównie post-peerelowskie i post-popkulturowe, z uwzględnieniem hermetycznego żartu środowiskowego, choćby gdy do kolejki pod sklepem ustawiają się zarówno Kim Dzong Un, Robert Brylewski, jak i redaktor książki, Jarosław Borowiec. (Uwagę zwraca również Jarosław Kaczyński, złapany na gorącym uczynku w kultowej pelerynie patriotycznej, sam na łodzi, na morzu pełnym rekinów). Wszelka ironia została zdemaskowana. Polska w pigułce, pigułce gwałtu, samogwałtu i nasennej jednocześnie. Polska na językach ognia i popiołu, w pełnej popielnicze, wysypywanej poza granice poznania. Polska wysportowana we wszystkich kategoriach wykluczenia – Polska mistrzem polskiego świata. Czytajcie, choć nie znajdziecie recepty na lek, który was wyzwoli niczym prawda Ojca Dyrektora, obecnego na innym kolażu – świętym przeglądzie różnorodności kultów margjnych w polskich miastach i miasteczkach. To zresztą obraz, który wyruszył w trasę niczym drzewiej Czarna Madonna czy znicz olimpijski.

• **Krzysztof Bąk**
Inne (WBPiCAK)



Pierwszą książkę, ponad dekadę temu, warszawski autor poświęcił pogodzie, choć bez ambicji do prognozowania czegokolwiek. Istotną rolę pełniły w niej też pory dnia i nocy. I nie jestem złośliwy, tylko

sprawiedliwy. W drugiej książce Bąk przynajmniej wyciąga bardziej egzystencjalne wnioski. Jakby podmiot tych wierszy wreszcie ożył; ba, zaczął mieć też przemyślenia, a może nawet, wzorem młodszego nie-brata o tym samym nazwisku, chciał się w coś zaangażować.

I słusznie, bo to zaangażowanie w świat nie ma jednoznacznie ustalonego wektora, niczego nie narzuca i do niczego nie zobowiązuje. Oczywiście – bez przesady, delikatnie i – jednak – grzecznie. Jak więc wgrzyźć się w takie wiersze? W jaki sposób dotrzeć do nich na tyle blisko, by nie straciły istotności chociaż na jakimś elementarnym poziomie? Jak zdjąć poszewkę, by przynajmniej obcować z wata, która w nich drzemie? Sprawdzić, na ile ma smak, a na ile kolor? To dość intrygujące zjawisko: mimo tych wszystkich niedomiarów, tej całej konwencjonalności, książkę – w całości, jak również wyrytkowo – czyta się dobrze i płynnie. Ma na to wpływ niebywała sprawność warsztatowa i lekkość frazy autora. Fakt, z każdym kolejnym, podobnie skonstruowanym i poprowadzonym wierszem jakby mniej, ale wciąż wystarczająco. To poetyka z okolic tej proponowanej przez Łukasza Jarosza, tylko bez pretensji do ponadczasowości, nieskończoności i Komitetu Noblowskiego. Skrojona na miarę, pozwalająca ciepło wspomnieć Nieszufładę i inne portale warsztatowe, które wychowały wielu poetów z roczników osiemdziesiątych.

• **Dawid Staszczuk**
Święto otwartych przestrzeni (WBPiCAK)



Po bardzo obiecującym i równie niedostrzeżonym debiucie autor postawił się w dość trudnej sytuacji. Jakby sobie założył, że tym razem już musi walić z grubej rury, by na pewno spłynęły na niego jakieś splendory.

I znowu na marne. Dlaczego? Nie postawię diagnozy, mogę tylko mnożyć pytania o zdrowie tych wierszy i inne wątpliwości z nimi związane. *Święto otwartych przestrzeni* to kontynuacja debiutu, z tym że rozszerzona tematycznie. Nie chodzi już tylko o różnego rodzaju coming outy – publiczne, ale i prywatne, przed lustrem. Podmiot liryczny nie walczy o nowe stawki. Bardziej jakby dyskontuje to, co już ma; podkreśla, jak wiele przy tym towarzyszy mu braków, ale przecież bez nich nie byłoby tego święta w klatce z prętami ze słów. I to są dobrze lub bardzo dobrze napisane wiersze, zróżnicowane formalnie, strukturalnie i metafizycznie – zresztą chyba najbardziej poeta kontestuje „piekła powtarzalnych motywów”. Sporo tu różnego rodzaju cytatów, kryptocytatów i nawiązań do literatury, zwłaszcza nieheteronormatywnej: świat tych wierszy budowany jest spójnie i konsekwentnie. Skoro jest tak wspaniale, co może nie grać? Mam jedno podejrzenie: pewna nuta pretensji w tonacji serio, pobrzmiwająca zwłaszcza we fragmentach wierszy na pierwszy rzut oka zaplanowanych w tonacji buffo. To drobne, początkowo niezauważalne zgrzyty, które podlegają negatywnej weryfikacji z każdą kolejną lekturą: powoli ujawnia się irytująca poza podmiotu lirycznego, w tak barwnie i wielowymiarowo naszkicowanym świecie ląduje fałsz – jakby nagle pojawiło się UFO, którego nikt nie widział, ale którego potencjalna obecność musiała powodować niepowetowane straty wśród ludności obdarzonej ponadprzeciętną wyobraźnią. Zanim jednak czar pryśnie, warto penetrować te (wreszcie) otwarte przestrzenie.

Franciszek Lime

Smuta (WBPICAK)



Raczej smut. Spod znaku wielkiego nic. To znaczy małego – wielkie nic to byłoby jednak coś. *Smuta* to bardzo enigmatyczna propozycja granicznych miniatur pod „znaczącym” pseudonimem. Ale gdy nie wiesz, kto pisze, zdaj się na copyright. Na-

zwisko, niestety, niczego nie usprawiedliwia. Niezależnie od faktu, że Bartosz Suwiński, już począwszy od debiutu, niezmiennie płynie z prądem bezbarwnych obrazów i skojarzeń, o ile w ogóle jedno i drugie da się wyłowić z tak bezkształtnej masy. No właśnie. Gdy wiersz nazywa rzeczy tak ogólnikowo, w wąskich przestrzeniach wzdłuż linii znaczeń, których przebieg łatwo przewidzieć, pozostaje zadać pytanie: czemu w ogóle ma on służyć? Zbyt konwencjonalny językowo jak na sztukowną wydumkę. Zbyt krótki jak na obraz czy opis choćby jakiegos stanu czy emocji. Zbyt mało wyrafinowany intelektualnie – o ile jakiś intelekt podmiotu lirycznego dotyczy w stopniu na tyle istotnym, że warto to w recenzji, choćby krótkiej, zauważyć – jak na filozoficzną lub choćby metafizyczną sentencję. I jest to poezja nawet braku braku, który – niestety – nie ma nic wspólnego z przyjemnie wyniszczającą pustką, obecną w wierszach poetów swoistej negacji znaczeń: Macieja Meleckiego czy Michała Pranke. Poetycką sprawność można docenić tylko w świetle innej poetyckiej niesprawności. To zdecydowanie za mało: mieć łopatkę, grabki i wiaderko, a korzystać z nich jedynie do przesypywania piasku w obrębie tej samej, równinnej plaży, z dala od morza, choćby i martwego.

Piotr Macierzyński

Książka kostnicy (WBPICAK)



Kiedy wejdiesz drugi raz do tej samej rzeki, uważaj na ślady swoich błędów, w miejscu których tworzą się trudne do przekroczenia wiry. W przypadku *Książki kostnicy* Piotra Macierzyńskiego są to wiry historii. Wiry literatury fachowej (Joanna Tokarska-

Bakir przewraca się w grobach tych wierszy). Wiry empatycznego fałszu. I nie chodzi tu tylko o stan niemożliwości, którą próbował wyrazić Paul Celan, o sentencję Theodora Adorno, o pisarzy z doświadczeniem dziedziczenia tematu (jak na przykład Mikołaj Grynberg czy omawiana w tym odcinku Elżbieta Lipińska). Te utwory powstały jakby z naiwnego przekonania, że z każdej treści opartej na faktach można zrobić anegdotę w sam raz na wiersz slamowy; ba, okrasić ją humorem, który podszyty nawet najbardziej dotkliwą metafizycznie melancholią będzie raz i nie-czym jakies krzywe zwierciadło pozostawione przez nazistów ku hańbie

następnych pokoleń. Nie chcę uderzać w patetyczny ton, szukać moralnych i etycznych usprawiedliwień dla moich zarzutów wobec takiego pomysłu na całe książki poetyckie. To jest po prostu słabe na poziomie poznauczym. I na nic tu się zda niemalże doskonały warsztat autora, słynącego wręcz z chirurgicznej precyzji w szkicowaniu i kulminowaniu poetyckich scenek rodzajowych (jak na przykład w przypadku wierszy o ojcu ze zbioru *Kwik*). Na nic również żywe reakcje odbiorców – te wszystkie prawie stuletnie panie, zadające pytania na wieczorach autorskich: panie Piotrze, proszę mi powiedzieć, jak było w tym Auschwitz? Na nic wreszcie jakby zmiana tonu (w stosunku do poprzedzającej ten tom *Antologii wierszy SS-mańskich*), mająca gwarantować wyższy poziom utajemniczenia w materię ostateczności, jaka tym wierszom, siłą rzeczy i bezsilnością istot, patronuje. Tego się po prostu nie robi w taki sposób.

Maria Bigoszevska

Wołam cię po imieniu (Forma)



Po ponad dwudziestu latach, nagrodach i nominacjach z czasów sprzed Nike (tak, młodzi i gniewni, były takie czasy!), Bigoszevska powróciła podwójnie, zgarniając kolejne splendory (szczegół: Google). Siłą rzeczy taki stan faktycz-

ny niejako ustawia i porządkuje lekturę najnowszego zbioru poetki – namaszcza ją i obciąża, wytwarza większe wymagania i rodzaj niedowierzania, zamykającego się szczelnie w pytaniu retorycznym: czy rzeczywiście ta książka, ba, ta poezja, zasługuje na tyle laurów? Czy nie jest tak, że każda kolejna nominacja i nagroda wynika z poprzednich, ponieważ nieczytający i leniwi jurorzy wybierają znane i sprawdzone przeboje, bo to dla nich najwygodniejsza asekuracja? Koniec dygresji, zwłaszcza że w poetyce Bigoszevskiej na podobne odejścia od istoty tematów poszczególnych wierszy nie ma miejsca. Jest za to wiele przestrzeni dla szlachetnej prostoty, która wciąga, ale jednocześnie zmusza do zadania pytania: czy za tym murem, bardzo sprawnie zbudowanym z odwracających uwagę zakłęb, coś w ogóle stoi? A jeśli zamek, to czy w nim straszy? Jeśli tak, to jak straszy? Jeśli jednak nawet nie, to na pewno boli. I boli wielowymiarowo, niebawalnie. Te w przeważającej większości miniatury to jakby odpryski jednego wielkiego braku. Fragmenty zakłęb, których wypowiedziana jest pewna, ponieważ nie dotyczą żadnej magii. Pozornie niepozorne, ale i nieskromnie skromne – tak antyetycznie i tautologicznie można próbować się zbliżyć do ich emocjonalnej szkatułkowości. I zapewnić sobie miękkie lądowanie w tym ponownym, ale całkiem świeżym nazywaniu nazwanego. Wołanie... wyzwała echo przeszłości, która nie obciąża dziedzicznie, tylko daje więcej przestrzeni na bezpretensjonalną kontemplację.

• **Krzysztof Bielen**

Pył zawieszony (Mamiko)



Bielen powrócił po ośmiu latach odmieniony. Z uczestnika ruchu na rzecz ośmielonej wyobraźni (dwie poprzednie książki o znamiennych w tej przepastnej szufladzie tytułach: *Roztwór nienasycony* i *Wiciokrzew przewierceń*) stał się jakby poetą mądrościowym, nieco na kształt Michała Sobola.

Poetą, który potencjalnie mógłby zostać jakimś dostojnym laureatem, gdyby tylko nie marginalizowało go zasłużone, aczkolwiek pozamarketynowe wydawnictwo Mamiko. Gdyby tylko sam autor częściej się udzielał w tej niszy, w której czasem wystarczy po prostu krzyknąć, by usłyszała cię połowa aktywnego środowiska. Głos podmiotu mówiącego Bielenia jest jednak ustawiony niżej i ciszej, i w tym tkwi jego magia, i w tym tkwi jego przekleństwo. Nie oznacza to zdecydowanie, że brakuje mu pewności, ponieważ autor doskonale wie, o czym chce mówić, a co przemilczeć. Napięcie intelektualne pomiędzy buduje się samo, i nie ma w tym nic z pretensji przeszarżowanych estetycznie i pseudometafizycznie Tadeusza Dąbrowskiego czy nestora tego kierunku, rozkładającego się w stronę nieosiągalnego Nobla – Adama Zagajewskiego. Wracając do sensowniejszych kształtów: przecież Sobol został zauważony i doceniony (Gdynia), i to za jednak mniej brawurowe poetycko-filozoficzne tyrady. No, w przypadku *Pyłu...* kilka uwerszy, zwłaszcza pod koniec tomu, odstaje od reszty. A szkoda, bo przy dysponowaniu tak obszernym materiałem (sześdziesiąt tekstów!) można by całość, dla jej dobra i piękna, nieznacznie, aczkolwiek znacząco odchudzić.

• **Grzegorz Kwiatkowski**

Sową (Biuro Literackie)



Kwiatkowski robi swoje. Bombarduje zgłiszczają i wyciąga trupy z szaf. Tylko czy ktoś jeszcze śledzi jego poetyckie poczynania w obliczu spektakularnej kariery dowodzonego przez niego zespołu Trupa Trupa w polu muzyki?

Teraz rządzi i dzieli na

scenach coraz większych międzynarodowych festiwalu na kilku kontynentach. W polu poezji pozostaje konsekwentny, czyli, jak chcą złośliwi, w polu. I niezmiennie działa w niszy (tak, tak, nawet BL to nisza), w przeciwieństwie chociażby do takiego Jakobe Mansztajna. *Sową* to kolejny zbiór krótkich (z jednym wyjątkiem) pośmiertnych portretów mniej lub bardziej barwnych postaci. Najczęściej napisanych w pierwszej osobie, jakby klasycyzującym Różewiczem (złośliwi poprawią: bezbarwnym Kwiatkowskim), o tytułach zbudowanych z imion i nazwisk sportretowanych albo obejmujących ostatnie słowo w danym wierszu. Taka poetyc-

ka asceza, która w niebie spotyka niespełniony minimalizm – i nie żyją nieskończenie długo i szczęśliwie. W mojej konstatacji nie ma ironii, kiedy ironia konstytuuje te wiersze na pograniczu notatki i dobrego smaku. Fakt, Kwiatkowski ze śmiercią, również w kontekście Holocaustu, igrał już bardziej i w sposób dotykający kategorii obłędności (która nie istnieje, a której wprowadzenie niniejszym postuluję). Tutaj jakby zgrzeczniał i literacko się ustakował, ale z tego też powodu w tej recenzji nie pojawi się więcej konkretów, gdyż w tekstach autora zryczyjanie, a zwłaszcza nadzwyczajnie, trudno znaleźć więcej punktów odniesienia.

• **Waldemar Kazubek**

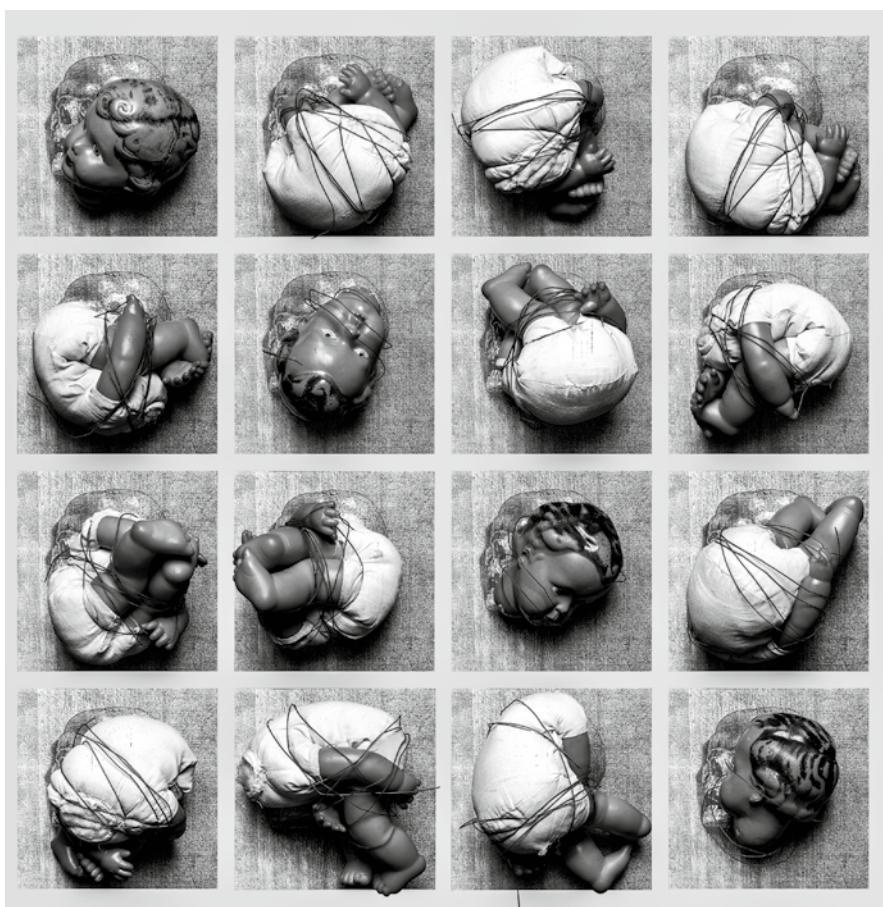
Wchodzę w to (Strzebiński Ośrodek Kultury)



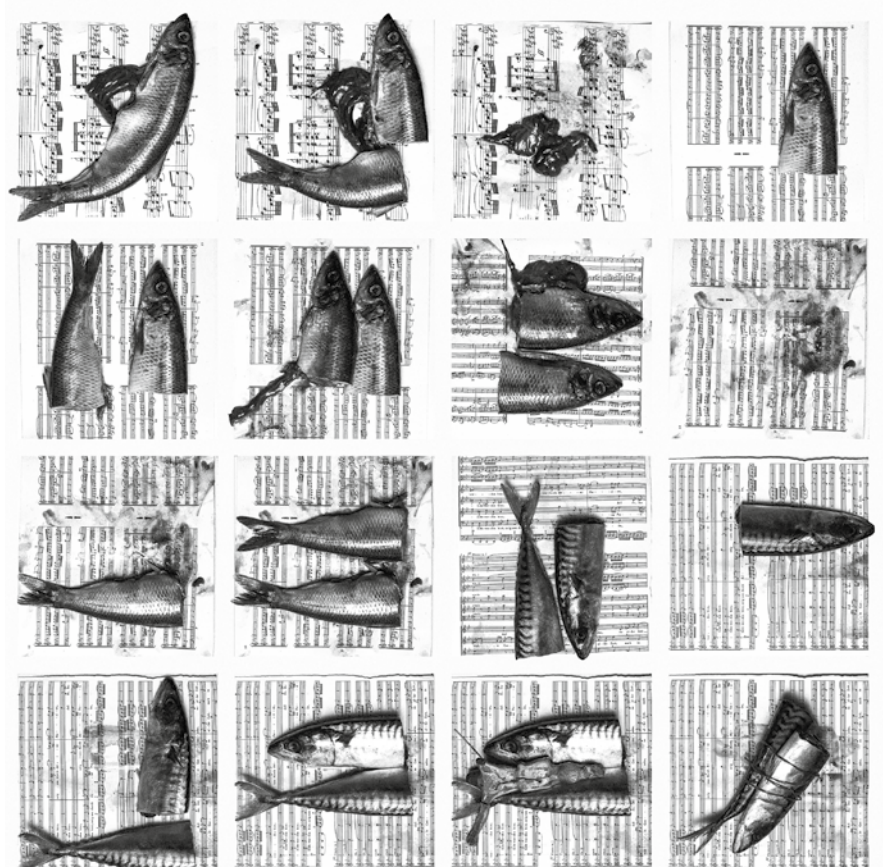
Wchodzę w to i dość szybko wychodzę. Nie lubię, gdy jakiś podmiot liryczny próbuje mi wmówić: w gruncie rzeczy uważam, że jestem fajny. A potem jeszcze przechodzi na pozycje zarezerwowane dla mentorów z poprzednich epok, którzy musieli odejść,

bo poprzednie epoki minęły. I niby wszystko trzyma się kupy (i nie próbuję tutaj nikomu niczego obrzydzić). Opowiadane w wierszach historie bywają bezbarwne i nieco podkolorowane, lecz więcej zdarza się tych w co najmniej trzech kolorach (choć do *Trzech kolorów* daleko). Niemniej zostały spisane dość sprawnie, poprawnie i momentami nawet nie tylko z rzemieślniczą tudzież górniczą precyzją. Tylko czemu mnie to ma obchodzić? Z jakiego powodu mam słuchać gawęd o erotycznych przygodach (a raczej sublimacjach ich braków), suto zakrapianych śliną dyszącego podmiotu lirycznego, który funkcjonuje niemalże na prawach bohatera dowcipu, kładącego penisa na stół, by po pytaniach lekarza typu „co panu/mu dolega?” wypalić retorycznie: „fajny, nie?”. Oczywiście, nie kwestionuję tu lirycznych sprawności posiadacza takiego akurat poczucia estetyki i humoru. Zauważam nadmierną prywatność tych wierszy, na bazie której śląski poeta próbuje, zbyt usilnie i za wszelką cenę, wykreować mityczną nadbudowę: byłem w wielu miejscach, a to, co widziałem i przeżyłem, opisuję dla was, ponieważ skoro to widziałem i przeżyłem, to musi być istotne. Otóż nie. Co ciekawsze, autor podaje w jednej z not bio w sieci, że nie lubi poezji jako „pozerskiej metody chodzenia na intelektualne skróty”. Hipokryzja to czy poza? Wypadek przy pracy czy przy wielu pracach (autor w biogramie zamieszczonym na czwartej stronie okładki wymienia 147 zawodów, którymi się parał)? Jakby już na początku poetyckiej drogi autor postanowił rozmnienić się na drobne, nadużywając tanich środków artystycznych spod znaku efekciarstwa. Naprawdę, nie warto udawać takiego doświadczenia w debiucie, a jeżeli już, to na pewno nie w tak irytujący sposób. Tym bardziej szkoda, gdy widać potencjał, liryczną sprawność i skupienie na szczegole. PS: Kobiety pewnie doszukają się tu sporych namiastek seksizmu, wcale nie tak sprytnie przemyczonego do warstwy znaczeniowej książki. Ja tylko sygnalizuję problem, oczywiście jedynie natury poetyckiej. ●

* Wszystkie omawiane książki ukazały się w 2017 roku.



Kwadrat magiczny V, 50x50 cm, druk solwentowy na blasze, 2017



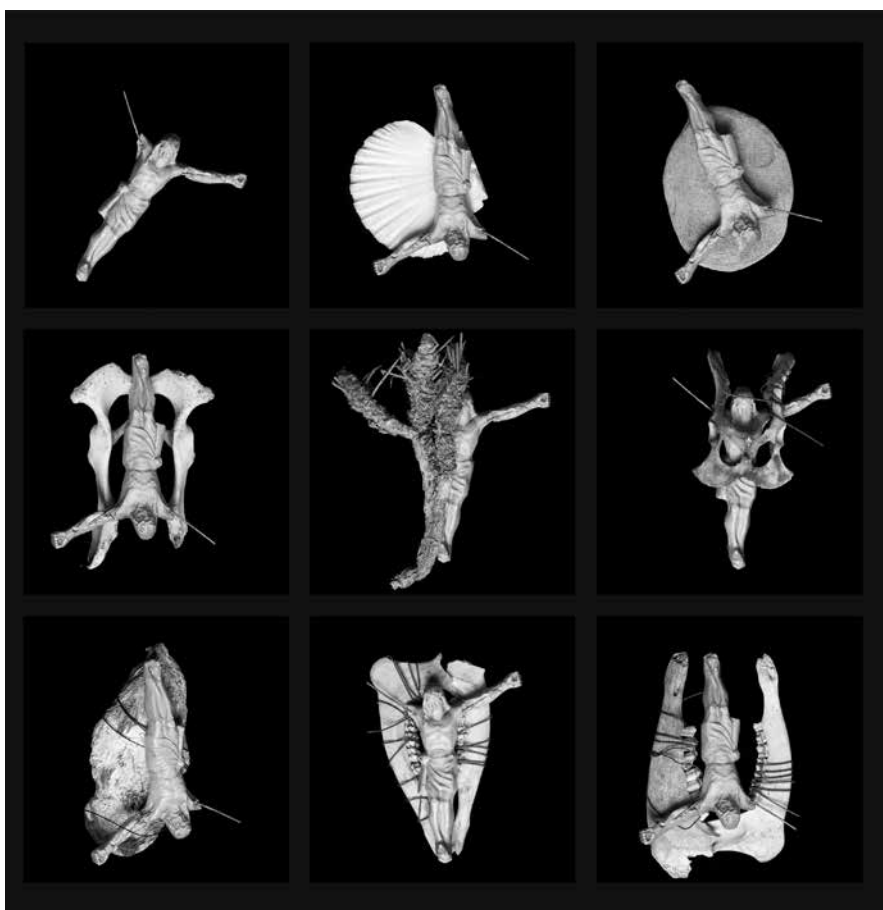
Kwadrat magiczny VI, 50x50 cm, druk solwentowy na blasze, 2017



Kwadrat magiczny III, 50x50 cm, druk solwentowy na blasze, 2017



Kwadrat magiczny IV, 50x50 cm, druk solwentowy na blasze, 2017



Kwadrat magiczny I, 50x50 cm, druk solwentowy na blasze, 2017



Kwadrat magiczny II, 50x50 cm, druk solwentowy na blasze, 2017



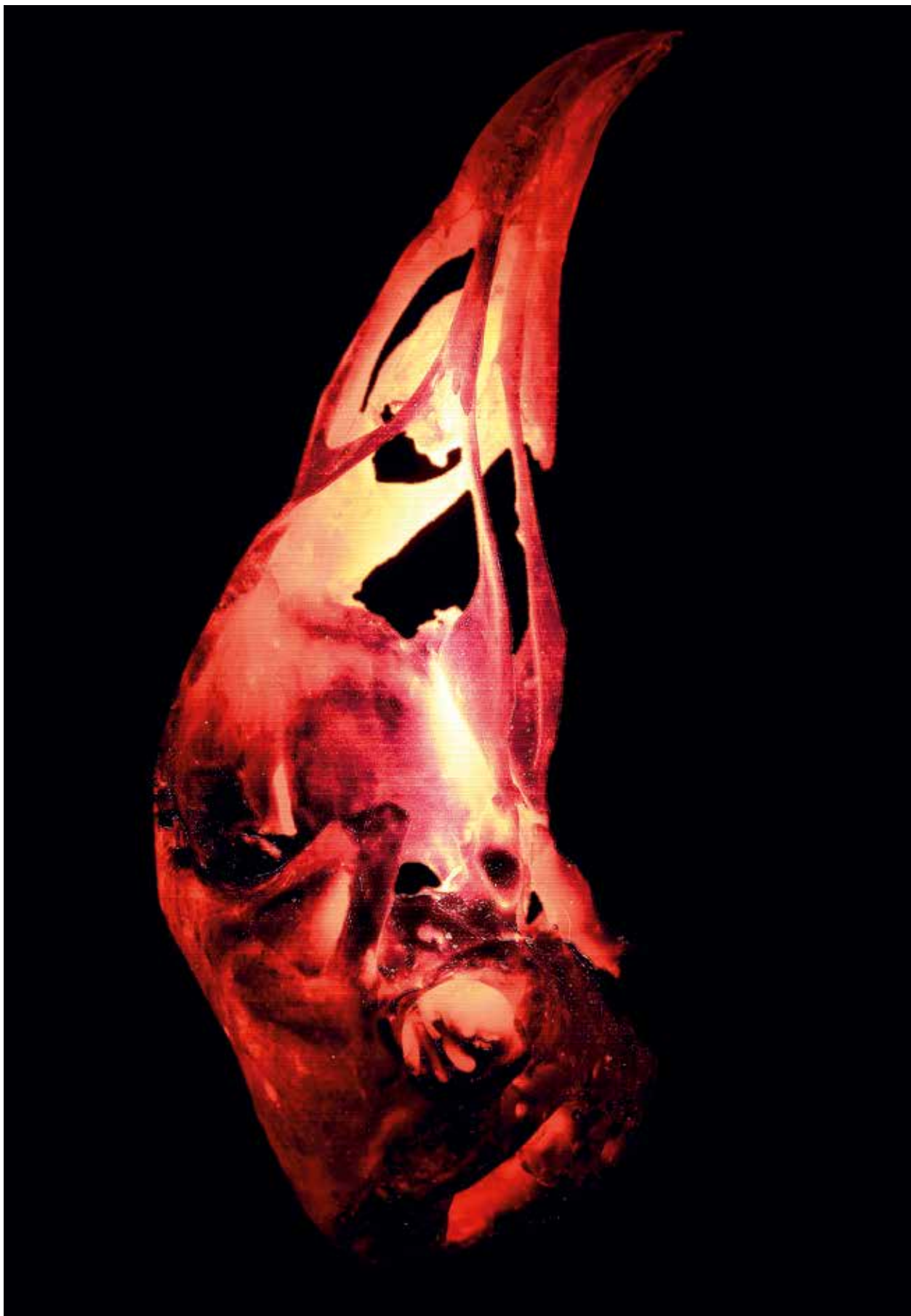
Kafka – przedmioty z cyklu „Relikwiarze”,
50x50 cm, kolaż – rama drewniana, przedmioty, druk na kalce, siatka drucziana, 2015



Kafka – przedmioty z cyklu „Relikwiarze”,
50x50 cm, kolaż – rama drewniana, przedmioty, druk na kalce, siatka drucziana, 2015



Światło II z cyklu „Relikwiarze”, 100x70 cm, lightbox, 2015



Selfie IV z cyklu „Relikwiarze”, 100x100 cm, druk cyfrowy na płótnie, 2015



BIO Selfie IV z cyklu „Relikwiarze”, 100x100 cm, druk cyfrowy na płótnie, 2015

Zbigniew Bajek

Zbigniew Bajek (ur. 1958 w Bojanowie) – polski artysta współczesny, profesor krakowskiej ASP.

Studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w pracowni prof. Zbigniewa Grzybowskiego – dyplom z wyróżnieniem obronił w 1984 r. Od 1983 r. jest pracownikiem tejże uczelni – przedmiot: Wiedza o działaniach i strukturach wizualnych. Od 2005 r. jest kierownikiem Katedry Interdyscyplinarnej. Realizuje przedsięwzięcia, do których zaprasza artystów o uznanej pozycji, ale także doktorantów i studentów. Uprawia malarstwo, rysunek, fotografię, realizuje instalacje oraz działania parateatralne. Artysta zorganizował około 60 wystaw indywidualnych (m.in. w Berlinie, Brukseli, Paryżu, Nowym Jorku, Monachium, Gdańsku) i wziął udział w ponad 250 wystawach zbiorowych prezentowanych w kraju i za granicą. W 2009 r. Bajek uzyskał tytuł profesora. ●

Zbigniew Bajek – artysta uniwersalny, o różnorodnym warsztatowo dorobku ze swą specyficzną, pełną treści twórczością to – „produkt” stanu wojennego. Zapewne jest jednym z nielicznych, pozytywnych efektów tego trudnego czasu. (...) Zbigniew Bajek zatrzymuje emocje tego czasu: pomieszczenie spraw wielkich z małymi, uniwersalnych z osobistymi, języka publicystyki z informacją dostępną

tylko dla wtajemniczonych. Tworzy prace, wobec których nie sposób być obojętnym, choćby dlatego że podmiotem ich jest człowiek w skrajnych sytuacjach, prawie zawsze nagi.

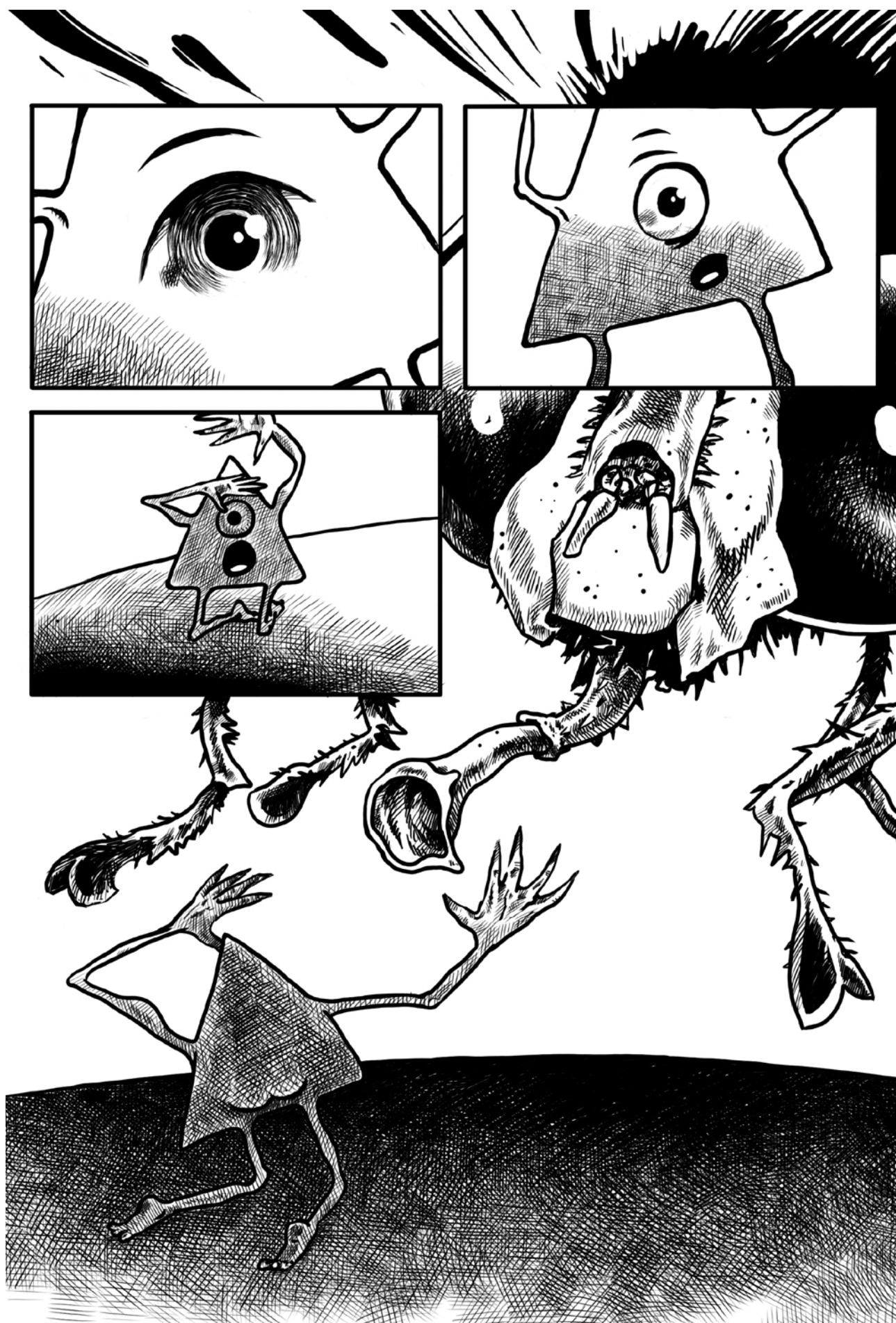
Prof. Jacek Durzyński

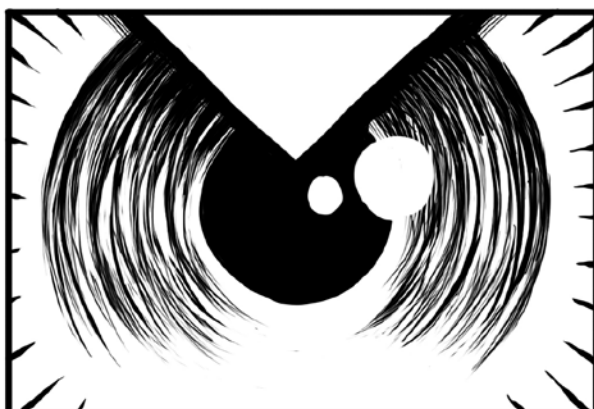
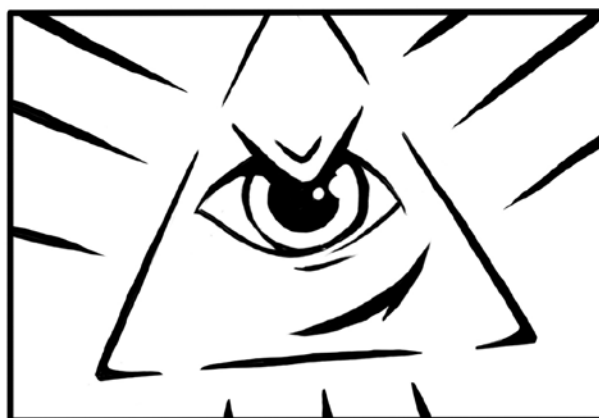
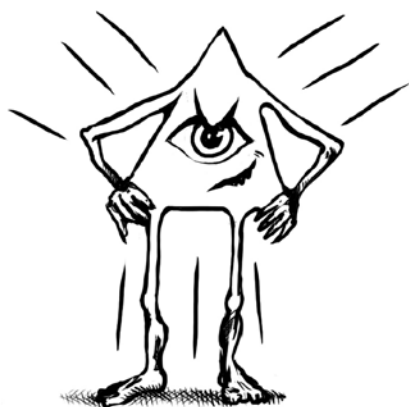
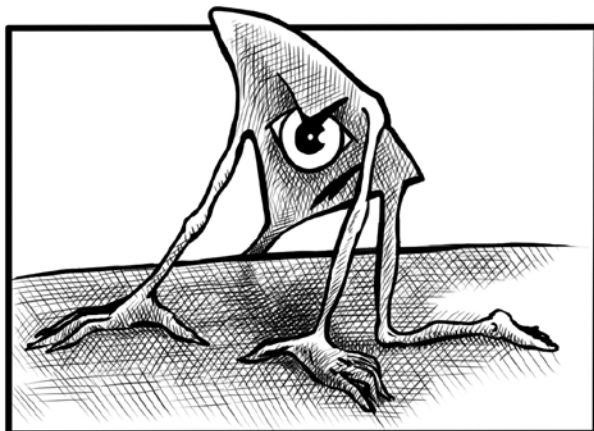
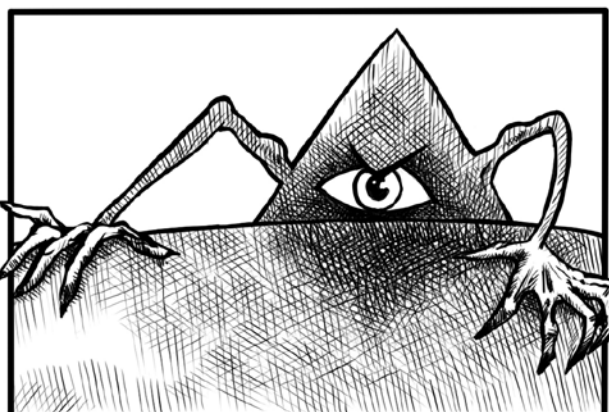
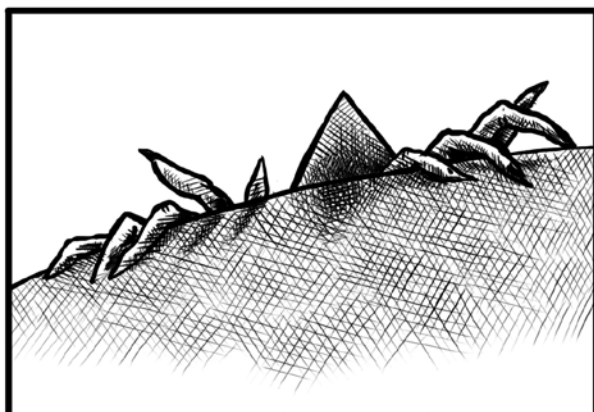
Rozpoczęcie, wejście, szukanie i niekoniecznie znalezienie – to przede wszystkim rzuca się w oczy w sztuce Zbigniewa Bajka. (...) Oto piętrząca się metafora. Znowu mamy do czynienia z nakładaniem, nawarstwianiem, wypełnianiem, opakowaniem. Manipulacja – maska – dzieło cudze na ciele autora, albo na twarzy autora – walka cudzego działa sztuki z ciałem.

Prof. Teresa Miszkin

Pewne kanwy tematyczne pozwalają artyście tworzyć cykle obrazów, fotografii, obiektów czy instalacji, jednakże całym sensem działania jest zainteresowanie wizualnością – to jest prawdziwy żywioł twórczy Zbigniewa Bajka. Ten żywioł sam w sobie przerasta zawartość i pojemność „tematów” i staje się źródłem nowych, czysto artystycznych wątków, a rozmowa przenosi się na plan formy artystycznej.

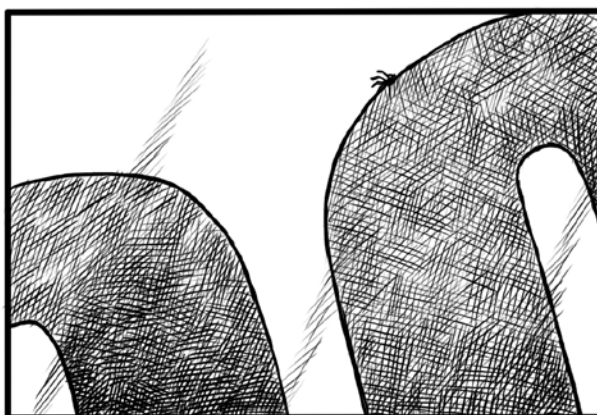
Prof. Jan Pamuła





Paweł Garwoł

MIEDZY SŁOWAMI



Tarzan z Zawichostu

Pamiętam z dzieciństwa, jak babka przy darciu pierza wspominała wojnę. Pochodzę z Gór Świętokrzyskich, które porasta Puszcza Jodłowa. W czasie drugiej wojny światowej cała puszcza roiła się od partyzantów. Moja babka doskonale pamiętała, kto był prawdziwym partyzantem, który walczył o odzyskanie niepodległości, a kto zwykłą szują, która wykorzystywała wojenny chaos, żeby ulżyć swoim skrywanym ciemnym popędom (gwałty, morderstwa) czy żeby się po prostu dorobić. Wszyscy we wsi wiedzieli, kto walczył, a kto grabił i donosił. Takie to były po prostu czasy.

Książka Andrzeja Nowaka-Arczeńskiego opowiada o Tomaszu „Tarzanie” Wójciku, partyzancie, który żył i walczył właśnie w tamtych czasach. Tarzan to postać niejednoznaczna. Ułan, żołnierz, wojenny watażka, król Zawichostu. Poszukiwany w czasie wojny przez gestapo, po wojnie przez UB, NKWD, Mossad. Czy na pewno była to postać krystaliczna? Czy któryś z bohaterów wojennych był na pewno postacią krystalicznie czystą? Człowiek, który mordował konfidentów, przeciwników? Coraz mniej świadków tamtych wydarzeń, pewnie niewiele już pojawi się nowych faktów. Trzeba pamiętać, że nie ma ludzi nieskazitelnych, zwłaszcza w czasie wojny.

Warto mieć na uwadze, że takich postaci, które wymagają odbrązowienia, mamy ciągle wiele. Ale także wielu jest takich, których powinniśmy sobie przypomnieć, bo za ich bohaterskie czyny w czasie wojny spotkała ich okrutna „nagroda” w postaci komunistycznych represji – katowania, a nawet śmierci. Powinniśmy wiedzieć, że oprócz tego, iż w latach 1939–1945 trwała druga wojna światowa, to w tym czasie trwała także zacięta wojna domowa pomiędzy pravicowymi ugrupowaniami AK, NSZ, WiN a Gwardią Ludową i Armią Ludową. Dochodziło do częstych potyczek pomiędzy obiema opcjami ideologicznymi. Często były to zwykłe towarzyskie porachunki.

Nowak stara się odtworzyć wydarzenia sprzed lat, bazując na wspomnieniach spisanych w książkach, jak również podczas bezpośrednich rozmów ze świadkami. W książce pojawiają się skrajne oceny postaci Tarzana, a także wykonanych przez niego akcji. Wiele z nich obrosło legendami, stało się lokalnymi mitami, co sprawia, że ich ocena jest bardzo trudna.

Widzimy w tle małe miasteczko Zawichost, w którym raczej nie postawia mu pomnika. Może dlatego, że trudno być prorokiem we własnej ziemi...

A może jednak najbliżsi wiedzą znacznie więcej, niż ci, którzy chcą czcić Tarzana? Być może część ludzi jest po prostu zazdrosna, że chłopak z biednej rodziny stał się dla wielu kimś w rodzaju idola; próbują za wszelką cenę umniejszyć jego zasługi. Padają słowa, że z Zawichostu wyszło wiele innych wartościowych osób: lekarzy, prawników, artystów, o których zasługach się milczy. Dlaczego teraz wyciąga się na światło dzienne zasługi Tarzana? Mówi o nim jako o „żołnierzu wyklętym”? Ludzie radzą dziennikarzowi, żeby lepiej sprawy nie ruszać, zamieść ją pod dywan. Dobrze, że Nowak-Arczeński tego nie zrobił. Powstała książka wielogłosowa, pasjonująca, o bohaterze z krwi i kości. Atutem książek Nowaka jest ogromna robota faktograficzna, jaką wykonuje reporter. Zachowuje się jak dziennikarz śledczy, który mozolnie stara się rozwikłać szczegóły trudnej sprawy. Inna rzecz, że gdyby sylwetka nie była skomplikowana, Nowak nie miałby tematu. Autor korzysta tutaj ze swego olbrzymiego doświadczenia dziennikarskiego – trzeba pamiętać, że przez wiele lat pracował jako reportażysta w świętokrzyskich gazetach – „Słowie Ludu” oraz „Echu Dnia”. To doświadczenie przydało mu się podczas pisania poprzednich książek – *My z pałacu* oraz *Zmiłuj się nad nami*. Nowak-Arczeński opisuje w swych książkach wydarzenia i postaci z regionu Gór Świętokrzyskich, który to obszar jest jego ziemią rodzinną, i który doskonale zna.

Jest jeszcze wiele spraw do wyjaśnienia w zagmatwanej historii regionu Gór Świętokrzyskich, jak również w całej historii Polski; Nowakowi-Arczeńskiemu z pewnością nie zabraknie tematów do napisania kolejnych książek. ●



Andrzej Nowak-Arczeński, *Pseudonim TARZAN*, Wydawnictwo Bellona, 2018.

Henryk Sienkiewicz

W Y W I A D

H.S.: Wiadomo, że na Nowoczesną bym głosował!

M.T.: Przepraszam... Zatkąło mnie... Przecież Pan jest, znaczy był, pisarzem, jednym z najmądrzejszych ludzi swojej epoki, ale jednak raczej z tych bardziej konserwatywnych, nawet bym się pokusił powiedzieć – prawicowych, więc aż by się chciało...

H.S.: Królu złoty, trzeba myśleć perspektywicznie! Kogo miałbym popierać, jeśli nie najbardziej nowoczesną i lewicową partię?! Wszak gdy oni już dochrapia się władzy, to na drugi dzień z hukiem wywalą moje książki z listy lektur szkolnych! A wtedy żyć, nie umierać, znów będę czytany, bo przecież u nas kocha się prześladowanych pisarzy, a nienawidzi lektur szkolnych, bo te kojarzą się z przymusem! Pan sobie zdaje sprawę, ile ja przez te sto lat straciłem na tym, że mnie cały czas wciskali na tę cholerną listę lektur dla gawiedzi?! A proszę bardzo, niech sobie będą na niej ten cały Gombrowicz, Mroźek albo Świetlicki! Zobaczą, jak to fajnie jest, jak cię cała brać uczniowska nienawidzi, jak tobą pomiata, jak twoje książki omija niczym zarazę. My z Mickiewiczem, ze Słowackim i Norwidem swoje już wycierpieliśmy, niech teraz inni cierpią, choćby i za miliony, te miliony, które tracą na tantiemach!

M.T.: Dziękuję za rozmowę.

H.S.: Ja też dziękuję. A pozdrówcie tam ode mnie byłego ministra oświaty Giertycha: dobrze mi życzył – mało już takich zuchów zostało w Rzeczypospolitej! ●



Rys. Maksymilian Truteń

M.T.: Dziś również narzekają na Pana...

H.S.: Phi, przyzwyczajony jestem; jakbyś pan poczytał, co ten Brzozowski o mnie wypisywał, a ja główniarzowi stypendium twórcze załatwiłem... Ale na to, co o mnie mały Stasio wypisywał, spuśćmy zasłonę milczenia, młody był, zapalczywy, sam też miał za uszami niegorsze zaszłości. Gorzej Witkacy, drwił ze mnie i mię potwarzył, jakby nie pamiętając, ktołożył na utrzymanie jego starego, ciężko chorego ojca. Szkoda gadać.

M.T.: Niemniej Witkacy okazał się znakomitym dramaturgiem, pisarzem i filozofem...

H.S.: Dajże pan spokój: to nie jest pisarstwo, tylko szaleństwo! Co nieco się rozejrzałem po obecnej polskiej literaturze i powiem panu, że ręce można załamać: na każdą najmniejszą myśl używa się dziesięć razy tyle wyrazów, ile trzeba, a w dodatku wyrazów jaskrawych i wrzaskliwych jak stado papug, a wykrzywiających się jak małpy. Wszystko to takie barokowe i rozgadane.

M.T.: Polska, Panie Henryku, to teraz ważne europejskie państwo, członek unii...

H.S.: Powiedziałeś pan niedawno, że Rzeczpospolita z Litwą w unii już nie jest, a teraz pan prawisz, że w jakiejś unii jest?

M.T.: Bo to taka większa unia teraz jest, większość Europy do niej należy...

H.S.: Nie znam sprawy, więc trudno mi ją komentować, wszak jednak jestem Polak z krwi i kości, więc się wypowiem: pamiętasz pan, co ja w *Wirach* wieszczyłem?

M.T.: Przyznam uczciwie, że tej akurat powieści nie przeczytałem.

H.S.: A szkoda, bo niegorsza, ale wróćmy do meritum. Otóż ja tam napisałem: „Dzisiejsze stosunki przemocy mogą się zmienić w dobrowolne i swobodne unie”.

M.T.: Przenikliwa myśl, sędzę, że wielu polityków by się teraz pod nią bez wahania podpisało.

H.S.: O politykach nie gadajmy – inaczej podskoczy mi ciśnienie!

M.T.: Wie już Pan, który z Was był grafomanem: Pan czy Wyspiański?

H.S.: W tej kwestii przychylam się do opinii Boga-Żeleńskiego: żaden z nas.

M.T.: Zastanawiam się, czy podobałoby się Panu dziś w ojczyźnie...

H.S.: A to z jakiej racji? Patrząc do rocznika statystycznego i widzę same sukcesy! Kraj rośnie w siłę, ludzie żyją dostatnio; nawet szklane domy się buduje – Żeromski by się ucieszył.

M.T.: Niby tak, ale wszyscy się ze wszystkimi kłóć.

H.S.: Żadna dla mnie nowość! Wszak Rzeczpospolita z dawien dawna była krajem warchołów i pieniaczy. Pan myślisz, że za moich lat się nie kłócili?! Jeden drugiego utopiłby w szklance wody.

M.T.: Tak na koniec, przepraszam, ale jednak muszę zahaczyć o politykę; gdyby Pan żył dziś, to kogo by Pan popierał?

W Y W I A D

Henryk Sienkiewicz

to były nerwy?! Przecież pocztą się słało korespondencję, konnymi dyliżansami, mając nadzieję, że przesyłka dojdzie na czas, ba!, że gdzieś się nie zawieruszy. Nerwy, panie, były przy tym takie, że daj Boże zdrowie! I pieniędzy wciąż było mało, bo co z tego, że na całym świecie mnie wydawali, skoro *Quo Vadis* tłumaczyli jacyś szubrawcy, tandenciarze i partacze, wydawcy nie płacili tantiem; także kieszeń mojego surduta, bywało, świeciła pustką; a tu doszedł jeszcze ten nieszczęsny Oblęgorek...

M.T.: Wszak to dar od wdzięcznego narodu...

H.S.: A niech go cholera!

M.T.: Naród?

H.S.: Nie, do stu tysięcy niewiernych Tuhabejowiczowych synów – Oblęgorek! Nawet ukułem rymowaną: „Oblęgorek – bez dna worek”. Tak, panie drogi, zaiste był to worek bez dna... Najlepiej byłoby wyburzyć i postawić od nowa, z pustaka, w dogodniejszym miejscu, dużo mniejsze, wygodniejsze, łatwiejsze do ogrzania, ocieplone styropianem, ładną strukturę rzucić, a nie pieścić te stare, zawilgłe mury... Porzekadło mówi, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada, ale co zrobić z darowanym koniem, który już nie ma zębów? I jeszcze ile mi ta majątność zawiści przyniosła – daj Boże, żebym kopiejkę od złego spojrzenia dostał, a byłoby tego więcej, niż mi z tego Sztokholmu podarowali. Zresztą z tym Noblem, diabli go nadali, moja li to wina, że Tolstojowi go nie przyznano?! On zresztą, nadzwyczajnej zacności człowiek, głosiciel wolności, wielki obrońca uciśnionych i potężny rzecznik ogólnoludzkich ideałów, mocno się nachwalił mojej *Rodziny Połanieckich*.

M.T.: Zaiste, same kłopoty.

H.S.: Kłopoty, drogi panie, to było moje *specialite de la maison*; ale najgorsze te krytyki, nieustanne krytyki... Najpierw zrobili ze mnie kochanka Modrzejewskiej...

M.T.: Coś chyba było na rzeczy, panie Henryku...

H.S.: No wie pan, krew nie woda, majtki nie pokrzywy. Helena była powabną niewiastą, więc żaden mężczyzna nie był odporny na jej wdzięki... Poza tym była kobietą przebojową, można z nią było konie kraść, a nawet mustangi. Niemniej dżentelmenowi nie wypada opowiadać o tym, co robi z kobietami – powiem więcej: dżentelmen powinien robić z kobietami to, co uważa za stosowne, a nie gadać o tym, jak sobie z nimi poczyina.

M.T.: Czyje krytyki sprawiły Panu największą przykrość?

H.S.: Głowackiego, co to się Prusem kazał zwać. Pewnie Proustem chciał być, ale mu nie do końca wyszło... Nie no, ta jego *Lalka*, bardzo udana rzecz, nie przeczę, czy *Faraon*... Ale już na przykład *Emancypantki* to wcale nie są lepsze od mojego ponoć nieudanego *Bez dogmatu*. Tak, Prus całkiem udatny był pisarz, ale zawistnik, pewnie dlatego tak niemiłosiernie mnie krytykował. Spryciarz był przy tym nie lada, mimo że pierwszy zawistnik, co to judził, knuł, świnię podrzucał i dołki kopał, w oczach potomnych ma opinię niemalże świętego polskiej literatury. Ale najgorsi byli ci, co gadali, że ja za mało dla ojczyzny robię. Sami nic nie zrobili, ale już tego, że ja dla ojczyzny żyły sobie wypruwam, biorę udział we wszystkich możliwych akcjach na jej rzecz, słę pisma wszelakie do gremiów tych czy owych, to nie widzieli. Ja się tym nie chwaliłem, bo pracę dla ojczyzny uważałem za swój obowiązek; nie powinno się przechwalać swoimi zasługami dla kraju. Ale jeszcze gorzej, jeśli się czegoś od ojczyzny oczekuje; ojczyzna to nie panna służebna, która nam służy, a jak trzeba to i wdzięków użyć...

Ten wywiad to efekt rozmów z **Henrykiem Sienkiewiczem** przeprowadzonych w trakcie kilku seansów spirytystycznych w maju 2018 roku.

Maksymilian Truteń: Panie Henryku, mało zabrakło, a dożyłby Pan odzyskania niepodległości przez Polskę.

Henryk Sienkiewicz: Polskę? A co z Rzeczpospolitą Obojga Narodów?

M.T.: Niestety, Rzeczpospolitą może i mamy, ale już nie dwojga narodów, ale jednonarodową, w całości Pańska ojczyzna się nie odrodziła.

H.S.: Jak to, Litwa osobno?

M.T.: Ano osobno, zdecydowanie osobno...

H.S.: To już nawet nie pytam o Czernichowszczyznę, Smoleńszczyznę, Kijowszczyznę i Dzikie Pola...

M.T.: Lepiej nie pytać... Dziś leżą daleko od naszych granic.

H.S.: To co to za Rzeczpospolita?!

M.T.: Na miarę naszych możliwości.

H.S.: No tak, krawiec kraje, jak mu materiału staje. Z ciekawości zapytam – ile mi zabrakło, żeby doczekać?

M.T.: Raptem dwóch lat.

H.S.: Masz ci los! Faktycznie niewiele. No cóż, zajechałem się w wyniku zbyt intensywnej pracy pisarskiej i społecznej.

M.T.: Fakt to bezsporny, że pracowity Pan był jak mało który z pisarzy, no może jeden Kraszewski był jeszcze bardziej płodny...

H.S.: Daj pan spokój, Józef Ignacy pisał metodą – jak wy to teraz zwiecie: „kopiuj – wklej”. Gdybym ją stosował, też bym pięćset tomów wypichcił. Po prawdzie najbardziej w kość dała mi tkwiąca w kajdanach niewoli ojczyzna, a by dokładności stało się zadość, dodam: obowiązki wobec tejże. Najgorsi byli wszelako ludzie, którzy powołując się na dobro ojczyzny i nie zdając sobie sprawy, jak bardzo jestem zapracowany, zrzucaли na moje chrome barki mnogość wielką publicznych spraw; zmuszony byłem wstępować do jakichś szemranych komitetów poparcia, pisać listy otwarte i tajne, zbierać środki na szczytne cele i tak dalej, i tym podobne. Koniec końców nadszarpnięty latami wytężonego wysiłku organizm odmówił posłuszeństwa. Ja się nie skarżę, ale pan sobie nawet nie wyobrażasz, jakiego trzeba było samozaparcia i samodyscypliny, by – mając tyle na głowie, a dochodzi wszak jeszcze spora rodzina na utrzymaniu – co tydzień napisać kilkadziesiąt stron powieści?! Nieważne, czy się było w domu, czy w podróży, gazeta czekała na kolejny odcinek, a mnie nie mogła głowa boleć, nie mogłem mieć ataku podagry, nie tłumaczył mnie zły nastrój – rękopis trzeba było wysłać! Pan sobie zdajesz sprawę, jakie

W Y W I A D

Henryk Sienkiewicz



Specjalny wywiad
z Henrykiem Sienkiewiczem
na 100-lecie
niepodległości Polski

Żyć, nie umierać!

o moralności człowieka... Wszystkie te filmy są o moralnej kondycji człowieka i o tym, jaka ta kondycja jest. Przede wszystkim te filmy oglądane są do tej pory i młodzi ludzie odkrywają je na nowo. To znaczy, że... że te filmy są uniwersalne. Czyli się nie starzeją... A to znaczy po prostu, że są dobre.

M.M.: Całkowicie się z Panem zgadzam... Panie Arturze, może z innej beczki: czy odmówił Pan zagrania jakiejś roli?

A.B.: Oczywiście, oczywiście! To były lata stanu wojennego, a ja byłem już dość znanym aktorem, po roli w „Znachorze” i kilku innych, zaproponowano mi rolę milicjanta, którego biją tam solidarnościowcy. Strasznie polityczny scenariusz, obrzydliwy, obrzydliwy. I powiedziałem wtedy, że jeżeli w tym kraju będzie można kręcić filmy, w których milicjanci biją ludzi, to być może się zastanowię, czy przyjmując taką rolę.

M.M.: Zadałem Panu to pytanie, ponieważ zagrał Pan... Adolfa Hitlera.

A.B.: A, to co innego. To było przede wszystkim w teatrze, i to Ateneum, i to nie była opowieść o Hitlerze, jakiego mamy w ogólnej świadomości, ale o młodym człowieku, który nie dostał się do Akademii Sztuk Pięknych we Wiedniu, a potem o tym, jak kształtowała się jego świadomość w przytułku dla biednych ludzi. No nie, takich ról, dobrze skrojonych, się nie odmawia. Jeżeli scenariusz jest dobry, aktor może zagrać choćby pedofila...

M.M.: Panie Arturze, jak to jest być pierwszym po Bogu?

A.B.: Słucham?

M.M.: W jednym z wywiadów powiedział Pan, że reżyser jest pierwszy po Bogu, a Pan – jako reżyser – otrzymał Złotą Maskę za reżyserię spektaklu „Jabłko”.

A.B.: Przede wszystkim jest to ogromna odpowiedzialność. Kiedy jest się reżyserem, ma się ogromną władzę, bo decyduje się prawie o wszystkim, ale też, kiedy aktor gra źle, to też jest wina reżysera. No bo po pierwsze to znaczy, że źle obsadził, czyli się pomylił, albo nie umiał go poprowadzić. Wszystko spada na reżysera – jeśli to się nie uda.... Ale jeżeli się uda... to się dostaje Złotą Maskę. (śmieje się)

M.M.: Panie Arturze, życząc Panu kolejnej Złotej Maski, dziękuję, że wykroił Pan trochę czasu dla kwartalnika „Afront”.

A.B.: Dziękuję. ●

Artur Barciś

Urodzony 12 sierpnia 1956 w Kokawie na Śląsku. Polski aktor teatralny, filmowy i dubbingowy, reżyser teatralny. W 1979 r. ukończył Łódzką Szkołę Filmową. Pracował w Teatrze na Targówku (1979–1981) i Teatrze Narodowym (1982–1984). Od 1984 roku jest członkiem zespołu Teatru Ateneum w Warszawie. Popularność zyskał dzięki występom w programie „Okienko Pankracego” przeznaczonym dla młodych widzów. Występował m.in. w serialach „Siedem życzeń”, „Pan na Żuławach” i „Zmiennicy”. Pierwsze ważniejsze role na dużym ekranie zagrał w 1981 roku w „Znachorze” Jerzego Hoffmana i „Człowieku z żelaza” Andrzeja Wajdy. Pojawił się również w dziewięciu częściach „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego. Grał również u Wojciecha Marczewskiego („Ucieczka z kina Wolność”, 1990), Kazimierza Kutza („Straszny sen Dzidziusia Górkiewicza”, 1993; „Pułkownik Kwiatkowski”, 1995), Leszka Wosiewicza („Kroniki domowe”, 1997). Znany jest również dzięki popularnym serialom „Miodowe lata” i „Ranczo”.

W Y W I A D

Artur Barciś

A.B.: To jest metafizyczna postać, która ma łączyć świat realny ze światem metafizycznym, który jest dla wielu ludzi jednym wielkim znakiem zapytania. Dla samego Krzysztofa też był znakiem zapytania. Dla mnie także jest znakiem zapytania. Więc ta postać miała być takim znakiem zapytania i do tej pory dostaję pytania, kogo tam grałem. Ja nie wiem. Tak, jak zapytałem Krzysztofa Kieślowskiego, kogo gram... On odpowiedział, że nie wie. I o to pewnie chodzi (śmiech), żeby każdy widział sam sobie odpowiedział na te i inne pytania.

M.M.: No tak, długa byłaby lista pytań o to, co widzimy, albo czego nie widzimy w kadrach, czy co czytamy pomiędzy wierszami, ale to jedno pytanie muszę zadać. Pojawia się Pan w dziewięciu filmach „Dekalog”, w dziesiątym Pan znika – czy to przypadek, czy celowy zabieg?

A.B.: Tak, tak. To celowy zabieg. Dziesiąty film cyklu (Krzysztof nie lubił nazywać tego serialem) nie jest dramatem, lecz komedią, i Krzysztof... Był nawet taki konkurs rozpisany: gdzie Artur może się pojawić? Pomysły nie były najlepsze. Przyznaję się, że to ja wymyśliłem, że może będzie najlepiej, jak mnie w tym filmie nie będzie. Bo to może znaczyć, że skoro go tu nie ma, to może gdzieś jest, tylko, że go nie pokazujemy. Krzysztof nawet powiedział: a może on jest okiem kamery? (śmiech) Niech widzowie sami sobie odpowiedzą na to pytanie.

M.M.: No dobrze. Teraz chciałbym wrócić do lat osiemdziesiątych, kiedy to poznałem, nie dosłownie rzecz jasna, młodego aktora Artura Barcisia, czyli serial „Odlot” w reżyserii Janusza Dymka. Grany przez Pana bohater, Rafał Michalski, chyba też był lekko „niewydarzony”. Czy przynajmniej w jakimś stopniu utożsamiał się Pan z granym przez siebie bohaterem?

A.B.: O! Oglądał pan zupełnie inny film niż ten, który był nakręcony. Akcja filmu działa się w gorących latach PRL, pół roku przed i pół roku po strajkach sierpniowych, które wstrząsnęły krajem. Film został poszatowany przez cenzurę, a sama akcja została przeniesiona przed rok 1980, skupiając się na dylematach, jak Pan sam zauważył, trochę niewydarzonego bohatera Rafała Michalskiego i jego marzeniach dotyczących kariery, czy szalonej, wielkiej miłości. Film dało się jakoś oglądać i nawet miał dość sporą widownię, ale oryginał był o wiele lepszy.

M.M.: A to ciekawe... Zastanawiam się, czy nie kusiło Janusza Dymka, aby po latach zrobić reżyserką wersję.

A.B.: Z tego, co mi wiadomo, cały materiał został zniszczony.

M.M.: Masakra! Wielka szkoda. Mogło to być naprawdę wielkie wydarzenie filmowe. Kto wie... Przypomniało mi się, co powiedział Rutger Hauer, kiedy w jednym z wywiadów zapytano go, kogo by wybrał, gdyby miał zagrać tylko w jednym z filmów w swojej bogatej aktorskiej karierze...

A.B.: (śmiejąc się) „Blade runner”...

M.M.: Dokładnie, „Łowca androidów”. A gdybym ja Pana zapytał o to samo, to jaką usłyszałbym odpowiedź? Odważy się Pan wybrać taki jeden film?

A.B.: (bez wahania) Tak! Ale to nie będzie jeden film, tylko dziewięć...

M.M.: „Dekalog”!

A.B.: No tak. Wie Pan, jeżeli zagrało się w filmach, które są kanonem we wszystkich filmowych szkołach świata, u reżysera, który dokonał pewnej rewolucji w sposobie myślenia o rozmowie z widzami za pomocą obrazu filmowego, w którym nie ma tylko opowiadania obrazem, ale jest dialog, zadawanie pytań, ale widz, obejrzawszy choćby „Krótki film o zabijaniu”, nie wychodzi z kina obojętny, lecz musi sobie odpowiedzieć na pytanie, co by zrobił w tej sytuacji... Musi sam sobie dać odpowiedź moralną, bo to jest film

M.M.: Paraliżowała Pana trema?

A.B.: Nie, nie miałem tremy, gdyż wcześniej grałem już u Hoffmana w jego filmie „Do krwi ostatniej”, taki małeńki epizod śmiertelnie ранego radzieckiego żołnierza. I chyba zagrałem dobrze, bo mnie Jerzy Hoffman zapamiętał i rolę w „Znachorze” dostałem bez żadnych zdjęć próbnych. A przy tym ekipa była fantastyczna, na przykład Ania Dymna, Jerzy Bińczycki; cała ekipa to byli wspaniali ludzie, którzy mnie przygarnęli, przytulili i nie było tam żadnego wywyższania się, czy czegoś takiego.

M.M.: Rozumiem, że po „Znachorze” wszedł Pan do świata filmu bez kompleksów i z podniesioną głową.

A.B.: Nie, nie! Pozbyłem się kompleksów o wiele wcześniej, już w szkole aktorskiej. Oczywiście to jest taki zawód, do którego uprawiania jeszcze wielu rzeczy trzeba się nauczyć, ale szkoła aktorska definitywnie zamknęła pewien rozdział w życiu Artura Barcisia jako „niewydarzonego dziecka”. A wracając do filmu „Znachor”, to rzeczywiście był dobrze napisany, ludzie oglądali go po kilkanaście razy, płacząc w tych samych miejscach, za każdym razem – a to o czymś świadczy. A dla mnie było wielką przyjemnością zagrać w tym filmie, nie czując przy tym żadnej presji.

M.M.: Rozumiem, że legitymacja studenta łódzkiej filmówki była lekarstwem na Pana kompleksy, ale to chyba nie wszystko, aby z niewydarzonego dziecka stać się znanym aktorem, nie bójmy się tego słowa: gwiazdą. Przed chwilą był u Pana na castingu mój znajomy, dyplomowany aktor, który pojawia się w dalszych planach różnych telewizyjnych seriali. Aktor, który drze cholewki, jeżdżąc od castingu do castingu, a Pan do „Znachora” dostał się bez zdjęć próbnych, więc sam talent nie wystarcza, sam dy-

płom nie wystarcza – trzeba mieć trochę szczęścia w tym zawodzie...

A.B.: Tak, tak! Sam uważam, że 40–50% to talent, 30% – pracowitość, ale 20% to jest szczęście. Bo wiem to jest tak, że szczęście nie trafia się tym, którzy są niezdolni albo leniwi, to tak nie jest. Na szczęście trzeba sobie trochę zapracować, ale ono jest niezbędne. Gdyby nie przypadek, czyli szczęście, nie poznałbym zapewne Krzysztofa Kieślowskiego i nie zagrałbym w jego filmach. A to był przypadek zupełny...

M.M.: Krzysztof Kieślowski. To jest ikona polskiego filmu, a Pan gra w dziewięciu częściach „Dekalogu” i za każdym razem jakąś tajemniczą postać. Kogo gra tak naprawdę Artur Barciś w „Dekalogu”?



Artur Barciś z Mirosławem G. Majewskim

W Y W I A D

Artur Barciś

W Y W I A D Artur Barciś

Mirosław Majewski: Panie Arturze, moje marzenie właśnie się spełniło...

Artur Barciś: Tak?

M.M.: ...to wywiad z Panem. Jest Pan jednym z najbardziej rozpoznawalnych aktorów. Myślę, że mieści się Pan w pierwszej dziesiątce... A Pańskim marzeniem, które nigdy nie miało się spełnić, było zostać aktorem.

A.B.: Wie pan, tego nie wiem, czy w dziesiątce... Wielu aktorów jest rozpoznawalnych na ulicy, chociaż czasem ludzie nie wiedzą, w jakich filmach grali, ale tak, nie da się ukryć, czuję się rozpoznawalny...

M.M.: A jak to jest na ulicy z tą popularnością?

A.B.: Bardzo miło, bardzo miło... Ale wie pan, to nie jest tak, że przechodnie zaczepiają pana na ulicy – o aktor idzie! Ludzie są raczej dyskretni, taktowni, uśmiechają się, czasem kłaniają. No może raz się zdarzyło, kiedy grałem w „Miodowych latach”, że ktoś już za plecami krzyknął: „Te, Norek, do kanału!”. Wcześniej, bo wie pan, to tak fałuje, rozpoznawały mnie dzieci, dzięki „Okienku Pan-kracego”, a był nawet taki okres, kiedy znienawidziły mnie kobiety za to, że przybiłem gwoździami znakomitego krakowskiego aktora Janka Monczkę w serialu „Tulipan”. A co do mojego marzenia z dzieciństwa, aby zostać aktorem, to było to takim marzeniem, które, tak wtedy myślałem, miało nigdy się nie spełnić.

M.M.: Dlaczego?

A.B.: Gdyż byłem niewydarzonym dzieckiem.

M.M.: Co to znaczy: być „niewydarzonym dzieckiem”?

A.B.: Niewydarzony to taki odbiegający od normy, i to w tym gorszym kierunku, niewydarzony to i chorowity, drobniejszy niż...

M.M.: Kompleksy?

A.B.: No tak! Ogromne kompleksy, wie pan, szczególnie w wieku dorastania, kiedy wszyscy już podrywają dziewczyny, chodzą na dyskoteki, no... A ja nie miałem za bardzo powodzenia u dziewczyn, no bo nie wyglądałem na mężczyznę. Byłem opóźniony w rozwoju (śmiech)... Kiedy zawiozłem papiery do szkoły aktorskiej, to sekretarkami powiedziała: „Dziewczyńko, to nie tu. Doliceum to nie w tym miejscu”. Miałem długie włosy i wyglądałem tak... (przez chwilę szuka słowa) tak... byle jak. Na szczęście szkoła aktorska to też są ćwiczenia fizyczne, dużo zajęć właśnie takich wysiłkowych, i trochę zmęźniałem. I teraz wyglądam, jak wyglądam.

M.M.: A więc niewydarzone dziecko i nagle główna rola w głośnym filmie Jerzego Hoffmana „Znachor”.

A.B.: No nie! Nie główna!

M.M.: No dobrze, ale jedna z głównych ról. Jest Pan zaledwie rok po szkole, a tu nagle taka plejada gwiazd na planie i Pan, jako „niewydarzone dziecko”. Co Pan czuł?

A.B.: Wtedy nie byłem już takim niewydarzonym dzieckiem, skończyłem łódzką filmówkę, więc, jakbyśmy to dzisiaj nazwali, byłem już aktorem charakterystycznym. A co czułem? Byłem najszcześliwszym człowiekiem na planie.

Specjalnie dla kwartalnika **AFRONT!**

Na szczęście

trzeba sobie trochę zapracować

Z Arturem Barcisiem
rozmawia Miroslaw G. Majewski

i umysły. Pamiętam, że jej brat, młodszy od niej, ma na imię Saül. Nagi również, śpi na brzuchu obok niej, z rozrzuconymi nogami, ramionami wyciągniętymi wzdłuż ciała, z głową zwróconą ku wejściu, za którym zaczyna się dzień. Oboje są zmęczeni naszą zabawą. Kupiłem te dzieci na ulicy Antiochy dla swojej uciechy za monety z moim wizerunkiem i perfumy. Mam wrażenie, że moje stare ciało nie wydało im się odstręczające – sprawiła to magiczna władza pieniądza, niewątpliwie, ale sądzę, że ważną rolę odegrał również luksus mojego namiotu. Jedwab, srebrne naczynia, dywany, statuetki z brązu i marmuru tworzą dekoracje zachęcające do figli. Saül i jego siostra Sara – właśnie przypomniałem sobie jej imię – zrazu oddali się kopulacjom quasi-akrobatycznym. Ich śmiechy mieszały się z ich jękami. Od czasu do czasu sugerowałem im gesty, pozycje. Wezwałem Klephera, mojego egipskiego artystę, zwinnego rysownika węglem i tuszem, aby utrwalił ich wdzięczną rozwiązłość. Akt miłosny jest moją obsesją. Uwielbiam nań patrzeć. Towarzyszące mu okrucieństwo przykuwa moją uwagę, lecz również skłania do myślenia. Gdy mu się przyglądam, to najpierw jest ono dla mnie czymś odległym lub dziwnym, dopiero, gdy uświadomię sobie jego bliską obecność, zaczyna mnie ono ekscytować. Co właśnie przydarzyło się znowu wczoraj wieczorem. Dobrze wiem, mój dobry i szlachetny Marcuse Aureliusu, jak oburza Ciebie rozpusta, a co dopiero rozpusta Twojego brata i przyszłego męża Twojej córki, głównego generała naszych armii i, co więcej, jak Ty i dzięki Tobie, współcesarza Rzymu. Doszło do moich uszu, że lud i moi własni żołnierze nazywają mnie nowym Neronem, imieniem człowieka, którym gardzę. Ale nie przejmuję się tym, bo jakkolwiek obelżywe jest to przewisko, to jestem przekonany, że nie wzbudzam w nich takiego strachu, jak ten tyran. Widzę nawet, że darzą mnie pewną życzliwością, a to dzięki uznaniu i zaufaniu, jakie otwarcie mi okazujesz, Ty, ich ukochany mistrz. Powierzając mi misję zaprowadzenia porządku w Syrii, gdzie rozbiłem właśnie obóz, pomogłeś mi zrozumieć, czym jest „zawód cesarza”, jak go nazywasz. Gdy po ostatniej bitwie oglądałem z wysokości siodła moje pościartowane wojsko, moich ciężko rannych i wyczerpanych żołnierzy, to ze łzami w oczach myślałem o Twoim dyskursie na temat Racji, która, według Ciebie, rządzi światem i powierza nam – na naszą skalę – kierowanie jego harmonią. Czy zdarza Ci się, że, po starciu armii, kontemplujesz – na wielkich przestrzeniach przesiąkniętej krwią ziemi – wszystkie trupy rzymskie leżące obok trupów wroga? Do jakiego „naturalnego piękna”, jak to nazywasz, przyczynia się wojna, która wystawia na okrucieństwo żywiołów tysiące rozszarpanych, zdeformowanych ciał ludzkich? Dzieląc się ze mną władzą, bez wątpliwości pozwoliłeś mi osiągnąć najwyższą godność społeczną; ale, niestety, mój szlachetny Bracie, wątpię, abym kiedykolwiek posiadał Twoje zdolności intelektualne i moralne, które zbliżają Cię do mądrości Stoi. Przejeżdżając przez Ateny, spotkałem starego znajomego, Luciana,

człowieka wykształconego i wspaniałego. Ten pochodzący z Samozaty Syryjczyk, miłośnik greki, poszukuje od lat jedynego dzieła tajemniczego filozofa cyrenaika, Hegezjasza, o tytule „Pozbawiony nadziei”. Szperając u księgarzy i w archiwach regionu odnalazł fragment, który mi przekligrasował. Teraz ja kopiuję go dla Ciebie: „żaden człowiek nie dozna szczęścia, jego ciało nieustannie przygniecione cierpieniem zaraża nim duszę, z kolei wystawioną na pastwę nieuleczalnych trwóg; jeśli chodzi o realizację nadziei, to przypadek je aneatyfikuje”. Nie wiem, czy te słowa spodobały się Tobie. Ja nie przestaję o nich myśleć. Jak widzisz, w czasie wolnym od obowiązku zabijania i oddawania się namiętnościom Venus studiuję po swojemu filozofię – zainteresowanie nią zawdzięczam mojemu przyjacielowi Lucjanowi i noszę się z zamiarem mianowania go, za Twoją zgodą, prefektem Egiptu, aby radował się piękną Aleksandrią, w której kiedyś żył Hegezjasz. Oczekując na nasze zwycięstwo, proszę bogów, aby mieli Cię w swojej opiece. Twój brat L-A-V.

Gdybym miał komentować list Luciusa Aureliusu Verusa, przypomniałbym, że z wojną to trochę jak z lekarstwami. Pharmakon grecki ma dwa znaczenia: lekarstwo i trucizna – co mnie leczy, zabija mikroby, które jeżeli mnie nie zabijają, to mojemu zdrowiu szkodzą. Polemos, wojna, według Heraklitesa, jest matką wszystkiego. Corpus polityczny, pod tym względem, przypomina żyjące ciało, jeżeli zgodzimy się z definicją Ksawerego Bichat: życie jest zjednoczeniem sił opierających się śmierci (warunkiem istnienia ciała, jest wojna, my nie rozumiemy konieczności ani tego istnienia, ani tej wojny). Parafrazując Nietzschego: kosmos – gr. porządek – jest najrzadszą odmianą chaosu.

Na zakończenie dwa słowa o Hegezjaszu i Lucjanie. Arystyp z Cyreny (430–355 p. n. e.), w czasach swojej ateńskiej młodości był u uczniem Sokratesa – mądrość prowadzi cnoty moralne, jednak w 339 p.n.e., w Cyrenie założył szkołę hedonizmu, w której nauczał o przyjemności jako jedynym celu życia człowieka (przyjemność seksualna jest jej kwintesencją – przyjemność seksualna, jeżeli jest, nie zawiera w sobie najmniejszej iluzji; jego kontynuatorem, świadomym lub nie, niezależnie od aberracji teologicznych, był D.A.F. de Sade). Podobnie jak Arystyp oddalił się od teorii Sokratesa, Hegezjasz poddał wątpliwości program swojego mistrza Arystypa i twierdził, że szczęście jest niemożliwe albo jest iluzją – pierwszy teoretyk samobójstwa *tout court* lub samobójstwa we dwoje – jego lekcje zrealizowali, świadomie lub nie, między innymi, Antoni i Kleopatra, ukochana córka Karola Marksa, Laura z Paulem Lafargue, Stefan Zweig ze swoją młodą żoną... Lucjan z Samosaty (120–180) należy, obok Plautusa, do największych satyryków starożytności. Autor licznych Dialogów, których stylem inspirowali się m.in. Erazm, Leopardi (*Operette morali* – Voltaire oraz Berkeley (*Trzy dialogi między Hylasem i Filonousem*) i Hume (*Dialogi o religii naturalnej*). Jego *Prawdziwą Historią*, w której opisuje podróż na Księżyc, uważaną za pierwsze dzieło science-fiction, inspirował się Cyrano de Bergerac. ●

Proza

Lucius Aurelius Verus

do

Markusa Aureliusza

Jarosław Sujczyński

Kilka miesięcy temu zacząłem tłumaczyć ten fragment listu, który Marek Aureliusz kiedyś otrzymał od brata. Zacząłem, a później zapomniałem, inne rzeczy miałem na głowie. Aż pewnego dnia, a właściwie pewnej nocy przyśniła mi się szkoła i polonistka czytająca nam Borowskiego: „Pamiętasz, jak lubiłem Platona? Dziś wiem, że kłamał, nasz świat nie jest odbiciem żadnego ideału”. Coś mi to przypominało. Ale co? W końcu znalazłem. Marek Aureliusz był co prawda późnym, ale jednak stoikiem. Według doktryny stoików istnieje na świecie porządek, którego mędrzec musi się nauczyć, aby w nim uczestniczyć. Największym paradoksem stoicyzmu jest łączenie rozsądku – polegającego na życiu teraźniejszością – z wysiłkami przestrzegania cnoty, która nas od teraźniejszo-

ści oddala, a w każdym razie utrudnia nam bezgraniczne oddanie się jej. Borowski, po wojnie, uwierzył w konieczność historyczną. Z nią przybyli do Polski „wyzwoliciele”. Co było dalej, wiemy. Biedny Borowski. Po zwycięstwie, o które modlił się Lucius Aurelius Verus, wojska wróciły do cesarstwa z wrogiem, przed którym, przynajmniej na początku nikt się nie bronił – z dżumą. Jak nie wojna, to epidemia. Lub ukąszenie (Hegłowskie), jak by powiedział Jan Kot, który wiedział, o czym mówi.

Naga, śpiąca na prawym boku młodość przewraca się. Znad stołu, przy którym piszę te słowa, kontempluję jej bez troskę. Przez całą noc odurzaliśmy winem nasze zmysły

jazzowej, okazała się tyleż atutem, co pułapką. Postulat wolnej gry wyobraźni stwarza szansę na prorocze wizje, ale i niebezpieczeństwo bełkotu, zaś brak ograniczeń formalnych grozi popadnięciem w gadulstwo. Utwór zresztą kończy się litanią (iście przy tym bitnikowską!) klęsk – literackich, intelektualnych, życiowych wreszcie – jakie bitników spotkały. Zarazem w jednym przyznaje się im słusność: to, co najciekawsze w kulturze, powstaje zawsze na takim czy innym pograniczu (przeważnie na granicy kultury „elitarnej” i „masowej”). Litani tej towarzyszy delikatna melodia grana na puzonie – rodzaj jazzowej kołysanki, czy może requiem... I trudno nie zgodzić się z Bogdanem Mizerskim, że przynajmniej na taki hołd Pokolenie Beatu zasłużyło.

Co, nie dopowiedziane wprost, pozostało jednak w domyśle? To, że efektywne funkcjonowanie na pograniczu jest funkcją silnego zakorzenienia we własnej tradycji. Być może właśnie dlatego bitnicy pod wieloma względami nie doszli do swych mistrzów, szczególnie Williama Blake’a, któremu poświęcono drugi utwór.

„Tygrys” jest – i tekstowo, i muzycznie – wariacją na temat wiersza pod tym samym tytułem. Dodajmy od razu: Blake został potraktowany dużo bardziej serio od swoich dwudziestowiecznych wyznawców. Sławek odnajduje w jego liryce głęboką treść psychologiczną, ale przede wszystkim genialną grę słowem, wokół której buduje swoje własne ciągi skojarzeń, metafory, czasem neologizmy. Wywody jego są bardzo śmiałe, oparte na odległych skojarzeniach, dalekich przeskokach myślowych – istotnie, bliżej im do poezji niż do suchej naukowości (mimo wyraźnych nawiązań i do komentarzy, jakimi opatrzył swoje przekłady Blake’a z tomu *Tygrys i inne wiersze*, i do własnego opracowania *Człowiek radosny – Nietzsche, Blake*). Konkluzja jest – o ile dobrze rozumiem – taka, iż myśl Blake’a (a może nawet myśl każdego autentycznego artysty?) pozostaje właściwie zawsze pytaniem, stawianym wobec całkowicie uświadomionej niemożliwości odpowiedzi.

Irena Jun, podając cytaty z Blake’a, również po swoim się nimi bawi. Nieraz przypomina to jazzowe wariacje wokół tematu. Przykład? Powtarzając jedną ze zwrotek „Tygrysa”, recytatorka moduluje głos jak przy wyliczance (nie bez kozery: pamiętajmy, jak ważnym tematem jest dla Blake’a dzieciństwo). Jej deklamacje

pozo-

stają zarazem w interakcji tak z tekstem i głosem Sławka, jak i z warstwą instrumentalną.

Muzyka Bogdana Mizerskiego, podobnie jak w części „bitnikowskiej”, oparta jest w znacznej mierze na kontraście między stałymi pętlami riffów a swobodnymi frazami granymi smyczkiem. Jednak jej charakter jest tu cokolwiek inny. Zamiast zwiewności brzmienia – ciężar, uzyskany przez grę w niższych rejestrach i większą obsesyjność powracających sekwencji dźwięków. To już nie lot ani wiew, raczej rodzaj instrumentalnej mowy. Skoro wszystko krąży wokół słowa, także smyczek kontrabasisty przemawia, wywodzi, dyskutuje (i ze Sławkiem, i z Blake’iem). Zarazem warstwa melodyczna wyraźnie oddala się od jakiegokolwiek jazzu, pozostając za to w silnej zależności od współczesnej kameralistyki. Dużo tu – może nie zaraz cierpienia, bardziej walki z „oporną materią” czy to słowa, czy dźwięku; walki, w której wykuwa się każda prawdziwa sztuka. „Osią” całej kompozycji wydaje się zresztą moment najbliższego spotkania tekstu z muzyką, gdy wraz z równymi jak uderzenia młota szarpnięciami strun Sławek wyrzuca kolejne słowa-klucze: „Młot, kowadło, trąbka, ucho. Sztuka, rzemiosło, morderstwo”. Ostatnim słowem poddana w wątpliwość, a jednak nie tracąca mocy afirmacja pracy Stwórcy i... twórcy. Wysilek kowala, ewentualnie rytownika, także poety (i kompozytora, rzecz jasna!) – przeciwstawiony zbyt pewnej sobie swobodzie strukturalnej.

Po której stronie sytuuje się sztuka najbardziej nas w tej chwili interesująca – „esej na głos i kontrabas” duetu Sławek/Mizerski? Wydaje się, że... na skraju. W pozornym szaleństwie ich słowa i muzyki zawsze jest metoda; to szaleństwo zostało zaplanowane w ściśle określonym celu. Nawet, myślałbyś, czyste improwizacje instrumentalne podporządkowane są wyznaczoną przez tekst regule. I, podobnie jak tekst, są wariacjami na określony temat, a nie przypadkową grą skojarzeń. I jeśli np. puzonową balladę w finale „Na skraju” zakłóca nagle industrialny „zgrzyt”, i on ma do odegrania rolę zrozumiałą dla kogoś, komu nie umknął tekst. Zgoda, nie każdy to dostrzeże, ale i nie dla każdego przeznaczona jest ta płyta. Tylko dla tych, którzy słuchają.

Dodajmy na koniec, że ani zainteresowanie bitnikami, ani Blake’iem bynajmniej nie jest dla tego duetu epizodyczne. Na premierę płytową ciągle czeka zarówno wykonywane od paru lat „Drzewo aniołów”, poświęcone autorowi „Tygrysa”, jak i najnowszy program, którego bohaterem jest William Burroughs.

Czekajmy cierpliwie. Zdaje się, że z tymi panami inaczej się nie da. Np. takiego „Tygrysa” wykonują od 1992 roku... ●

Tadeusz Sławek, Bogdan Mizerski: Kiedyś zostanie BYŁO;

Off-Records, 2017. Tekst: Tadeusz Sławek, muzyka: i produkcja: Bogdan Mizerski. Wykonawcy: Tadeusz Sławek – recytacja; Bogdan Mizerski – kontrabas, elektronika; Irena Jun – recytacja; Fryderyk Mizerski – puzon.



Jarosław Nowosad › Muzyka

Tylko dla tych, którzy słuchają

Esej na głos i kontrabas – taką właśnie formułę wypracowali w ciągu czterdziestu lat współpracy artystycznej Tadeusz Sławek i Bogdan Mizerski. Najnowsza płyta duetu, zatytułowana *Kiedys zostanie BYŁO* – to kolejny, bardzo przy tym ciekawy, przykład tej oryginalnej formy literacko-muzycznej.

Trzeba tu zaznaczyć, że Sławek w swych „esejach” prezentowanych wspólnie z Mizerskim jawi się bardziej poetą niż eseistą. Obszernym tekstom, które deklamuje w dialogu (sic!) z kontrabasem, blisko do poematów; więcej w nich metafor, błyskotliwych skojarzeń słownych, niż stricte eseistycznego dyskursu. To raczej poetyckie wariacje wokół tematu niż ścisły wywód na temat. W połączeniu z muzyką Bogdana Mizerskiego – kompozytora i instrumentalisty o zdecydowanie jazzowym rodowodzie – owe prezentacje brzmią jak daleka, niemniej logiczna kontynuacja eksperymentów Pokolenia Beatu. Chodzi o słynne koncerty „beat poety”, na których poeta (a czasem i prozaik) melorecytował swoją twórczość z towarzyszeniem jazzmanów.

Tym razem formuła „eseju na głos i kontrabas” okazała się szczególnie adekwatna. Pierwszy z dwóch wypełniających płytę „esejów”, „Na skraju”, poświęcony jest właśnie twórczości bitników. Bohaterem drugiego, pt. „Tygrys”, jest William Blake, jeden z literackich idoli Beat Generation. Takie zestawienie ma sens – jak zawsze u tych dwóch artystów, płyta stanowi tematyczną całość.

Jest też na niej coś typowego raczej dla koncertów niż nagrań duetu: występują tu goście. W pierwszym utworze pojawia się Fryderyk Mizerski, syn Bogdana, grający na puzonie; w drugim Irena Jun – recytatorka.

Utwór „Na skraju” ma konstrukcję, która przypomina fabułę *W drodze* Kerouaca – jest „podróżą z postojami”. Rolę „przejazdów” pełnią części oparte na zapętlonych w sequencerze riffach, nieodległych od jazzu rodem z przełomu lat 50./60., kiedy nie tylko w literaturze królował beat; tu i tam delikatne stukanie w pudło instrumentu (patent z solowej płyty Mizerskiego *Witkac Song*) imituje modne podówczas bongosy. Towarzyszą tym

przebiegom recytacji o dużym ładunku emocjonalnym, również w mocno bitnikowskim duchu. „Przystankami” w podróży są fragmenty mówione bądź a capella, bądź na tle partii melodycznych granych *ad libitum*.

Oprócz tekstu, to właśnie warstwa melodyczna łączy utwór w całość. Partie grane przez Mizerskiego smyczkiem brzmią bardzo zuwiewnie – dzięki specjalnej artykulacji oraz elektronicznym przetworzeniom (taką technikę gry w pełnej krasie pokazał po raz pierwszy na płycie *Lot nad zamkiem*, a do perfekcji doprowadził na późniejszej *Requiem for Air*). Płyną swobodnie, nieraz w pierwszej chwili wydaje się, że wbrew rytmowi. Ma to w sobie wiele z free-jazzu, ale chyba jeszcze więcej ze współczesnej muzyki poważnej – tak dużo tutaj atonalności. Tym razem, jak się rzekło, do ojca dołączył syn, który swym puzonem wprowadza znacznie więcej free-jazzowych akcentów. A jednak wystarczy przez chwilę posłuchać z uwagą, by zorientować się, że te niby to intuicyjnie improwizowane melodie są faktycznie odpowiedzią na tekst. Nie tylko dlatego, że często kontrabas i puzon służą intonacjom Sławka za ironiczne echo. One przede wszystkim odpowiadają na nastrój tekstu – właśnie odpowiadają na niego, a nie podkreślają go czy wzmacniają, ani nie przydają mu tła. To dialog toczący się na równych prawach, esej na głos i instrumenty.

Rzecz istotna: jest to pierwsze oficjalnie opublikowane przez duo nagranie koncertowe. Choć nie słyhać w nim publiczności (zapewne sygnał wzięto bezpośrednio z miksera), sporadycznie trafiają się techniczne zakłócenia, trzaski, nawet jedno czy dwa nieuniknione potknięcia... Ale jest też energia i odrobina szaleństwa, jakie w studiu powtórzyć chyba trudniej.

„Na skraju” nie jest wyrazem bezkrytycznej fascynacji erą beatu i jej herosami – na to obaj twórcy są zbyt dojrzały. Owszem, nie brak tu podziwu, lecz równoważy go smutna ironia. „Skowyt”, będący tu słowem-kluczem, stanowi zarówno pochwałę, jak zarzut. Bo też sama bitnikowska poetyka, wedle której tekst ma być słownym odpowiednikiem swobodnej improwizacji

Philipa Rotha w *Kompleksie Portnoga*: „Nie przestawał się onanizować. Chyba krew pomoże. Krew podobno często pomaga. Muzyka była coraz głośniejsza. Zaczęłam odczuwać ból. Moje życie było wioską nad morzem, z której chciałem uciec, bo znałem tam na pamięć każdy kamień w bruku. Mój penis stawał się coraz mniejszy i coraz bardziej zakrwawiony, masturbacja go wykończyła. Oskalpowany członek wisiał mi między nogami. Zapiąłem spodnie. Drżałem jak chory w ostatnim stadium Parkinsona. Wyszedłem z toalety. Oparłem się o marmurowy filar. Wtedy zauważyłem biegnącą Rebekę. Szukała mnie. Jaka ona była piękna. I samotna. Tak jak ja, a krew na dłoniach dodawała mi prawdziwej męskości. Wreszcie stałem się męski, długo to trwało”. Jest w tej napisanej z piekielnym talentem książce jakieś niedopowiedzenie. Nie polubiłem głównego bohatera – Roberta G. Mehlmanna, ale polubiłem jego szaleństwo, znaczy jego konsekwencję w pieprzeniu sobie życia. Wszyscy pieprzmy sobie życie, ale rzadko kto czyni to z tak ułańską fantazją. Jest z nim trochę jak z Salvadorem Dalí, który mówił, że jeśli jest się bardzo biednym, to powinno się

jeść wyłącznie kawior – i popijać go szampanem. Spotkałem kilka takich osób – zawsze imponował mi ich nihilizm podszyty dekadencją, popadającą w hulaszczą rozrzutność. O dziwo – mimo ostrzeżeń – nie zmieniali się ani na jotę i najczęściej wychodziło, że to jednak oni mają rację, bo w końcu zawsze udawało im się odkuć.

Chyba w życiu nihilistów nie ma miejsca na miłość. Choć może się mylę, sam Grunberg w którymś miejscu pisze: „W gazecie przeczytałem, że nihilizm prowadzi do przemocy. Jeśli jest to prawda, to porno prowadzi do miłości”. Czy ta historia skończyła się szczęśliwie? W żadnym razie! Co to w ogóle jest szczęście?! Mehlman konstatuje: „Szczęście stało się terazniejszością, a szczęście należące do terazniejszości napawa lękiem. Szczęście, które było w przeszłości lub nadejdzie w przyszłości, jest już o wiele bardziej znośne”. Pozostaje więc czekać i robić w gacie ze strachu, bo istnieje prawdopodobieństwo, że się szczęścia doczeka. ●

TAKO RZECZE TRYCJATOR gluten & laktoza

bezglutenowy fryzjer
bezglutenowe malowanie paznokci
bezglutenowy salon tatuażu
bezglutenowy kurs prawa jazdy
bezglutenowe doradztwo finansowe
bezglutenowe biuro podróży
bezglutenowe samochody rowery skutery
bezglutenowa nauka języków obcych
bezglutenowe umowy o pracę
bezglutenowe sprzątanie mycie okien
bezglutenowy bilet na tramwaj
bezglutenowy seks
bezglutenowy lot na księżyc
bezglutenowe wyjście na mount everest
bezglutenowe $E=mc^2$
bezglutenowy poker
bezglutenowe konto w banku
remonty malowanie gładzie gipsowe bez glutenu
bezglutenowe wybory do parlamentu
bezglutenowy profil na facebooku
bezglutenowi obcy

garnitury suknie ślubne bez laktozy
turniej czterech skoczni liga mistrzów bez laktozy
lateksowa seks bielizna dla sado-maso bez laktozy
kule armatnie z siedemnastego wieku dla muzeum wojny
w paryżu bez laktozy
poczet królów polskich bez laktozy
miecz świetlny luke'a skywalker'a bez laktozy
kopia obrazu matki boskiej częstochowskiej bez laktozy
kopia obrazu matki boskiej ostrobramskiej bez laktozy
spływ kajakowy rzeką krutynią bez laktozy
wycinka drzew w puszczy białowieskiej bez laktozy
bilet lotniczy do rzymu bez laktozy
klątwa tutanchamona bez laktozy
gliniane figurki alibaby i czterdziestu rozbójników bez laktozy
trójwymiarowy idiota fiodora dostojewskiego bez laktozy
ufo bez laktozy
kopia obrazu matki boskiej kodeńskiej bez laktozy
świetnie prosperująca firma z ustabilizowaną pozycją
na rynku zatrudni informatyka i krawcową bez laktozy

wszystkim francuskiej; literackimi patronami Kielonka mogą być George Perec i Raymond Quenau. *Kielonek* nie zaskakuje tematem, bo ten jest oczywisty – najważniejsza uszelako jest narracja. Główny bohater, tytułowy *Kielonek*, stały gość baru zującego się jakże adekwatnie „Śmierć Kredytom”, to postać skrojona dość typowo: były nauczyciel, który – jak sam twierdzi – z powodu żony popadł w kłopoty, a dużo wcześniej w alkoholizm. Właściciel „Śmierci Kredytom”, zwany Upartym Ślimakiem, daje Kielonkowi zeszyt i prosi o napisanie historii jego baru. Kielonek zgadza się, choć nie bez oporów. Z czasem opanowuje go żywioł narracyjny... Szkoda byłoby opowiadać, co jest dalej, bo recenzja nie powinna polegać na streszczaniu fabuły, ale na zachęcaniu; z książką jak z erotyką, jeśli dziewczyna zaraz się przed nami rozbierze – jak do rosołu, to atmosferę może szlag trafić, nie mówię, że zawsze ją trafi szlag, ale może się tak zdarzyć. Ileż to książek już na etapie czytania recenzji wypadło z mojej listy planowanych lektur. Nie ujawnię więc zbyt wiele, bo nie chcę wam psuć zabawy; powiem tylko, że *Kielonek* napisany jest stylem żywiołowej spontaniczności, ale nie obawiajcie się, na pewno nie jest to pijacki bełkot – w formie najbliższe jest to gawędzie; nie da się zaprzeczyć, że z czasem czytelnik polubi głównego bohatera. Wiele z tych historii znamy z innych barów, z innych opowieści, któż nie cierpiał za przyczyną kobiety, i kto z tej racji nie popadł w mizantropię, kto też po alkoholu nie rywalizował w głupiej zabawie, na przykład: ile kto wysika? Ale wartością tej książki jest

humor i odnośniki kulturowe: co rusz łapiemy się, że skądś znamy tę frazę, na ogół są to tytuły książek: Borisa Viana (*Napluję na wasze groby*), Marcela Prousta (*W cieniu zakwitających dziewcząt*), Michela Houellebecqa (*Poszerzeniu pola walki*), czy Michela Leiris (*Wiek męski*). Głównie więc Francuzi, ale nie tylko, bo także Gabriel García Márquez (*Miłość w czasach zarazy*), Hemingway (*Stary człowiek i morze*) oraz Salinger i jego nieśmiertelny bohater Holden Caulfield (*Buszujący w zbożu*). Dużo tego, ale natłok tych kryptocytatów, nawiązań i paraleli zupełnie nam nie przeszkadza. Jeśli ktoś ich nie wyłapie, ma może nieco mniej zabawy, ale tylko odrobinę mniej. Na koniec wspomnę o moim indywidualnym odkryciu, którego dokonałem w tej książce; Mabankou zna takich jak ja i takim jak ja mówi w którymś miejscu, układając swoją jakże słuszną uwagę w usta Kielonka: „Łatwo mówi się o pisarstwie, kiedy, jak ja, niczego się nie napisało”. Tak właśnie – chyba za łatwo mi się mówi o tych wszystkich książkach, niemniej nie zmienię się w pisarza, bez obaw.

Już sobie zaostrzyłem zęby (swoją drogą to zwyczaj swego czasu bardzo popularny w Afryce) na kolejne powieści Alaina Mabankou, które ukazały się w Wydawnictwie Karakter: *Papryczka* i *Zwierzenia jeżozwierza*. Na razie tylko na te dwie, bo trzy wcześniejsze (*Jutro skończę dwadzieścia lat*, *Black bazar* i *African Psycho*), jak widzę na stronie wydawnictwa, są już niedostępne, to jest wyprzedane – co wcale mnie nie dziwi.

Fikcja nie ma żadnych konsekwencji... (czy aby na pewno?)

• Arnon Grunberg, *Ból fantomowy*,

z niderlandzkiego przełożyła Sylwia Walecka, Wydawnictwo MUZA, Warszawa 2004.

Gdy przeczytałem na okładce, że bohaterem książki jest „niedoceniony pisarzyna”, do tego „mitoman, egocentryk, neurotyk uzależniony od pieniędzy, seksu, hazardu i kłamstw – pośród trzech kobiet”, który jest „ogarnięty szaleństwem upajania się życiem, za którym pędzi, które chce dogonić, wyprzedzić, aż w końcu po upragnionym sukcesie, jaki odniosła jego *Kuchnia polsko-żydowska w 69 przepisach*, sam siebie wyprowadza w pole...” najpierw pomyślałem, że nie ma jak dobrze napisany blurb, a następnie stwierdziwszy, że książka kosztuje 4,90, nabyłem ją czym prędzej, bo cóż to jest niecałe pięć złotych za historię czyjśg koncertowo zmarnowanego życia? Bukinista chyba nawet był ciut niezadowolony, gdy się nie targowałem; pewnie pomyślał, że trzeba było wystawić za dyche. Tytułowy ból fantomowy, czyli wiadomo, ból, który nie powinien mieć racji bytu, bo nie powinno boleć coś, czego nie ma. Cóż z tego, skoro boli? To pierwszy trop pomocny w zrozumieniu tej powieści. O innych później – chyba, że zapomnę, co wam obiecałem. Napisał ją Arnon Grunberg, o którym w notce biograficznej przeczytałem, że jest „cudownym dzieckiem i infant terrible literatury niderlandzkiej”. Już samo to winno mnie nastawić negatywnie do książki, bo nie lubię dzieci, także tych literackich,

ale na szczęście zorientowałem się, że owe dziecko ma już 47 lat, a po drugie żywię od dawna poważną nieufność do notek biograficznych, bo w naszej epoce, jeśli nie napisze się, iż ktoś jest „uważany za czołowego heroinistę i koprofaga współczesnej literatury szetlandzkiej, jego pierwsza powieść wyprowadziła z równowagi światową krytykę literacką, a druga bywa porównywana z dziełami Homera, Szekspira, Prousta i Janusza Przymanowskiego”, to z góry skazuje się na nieistnienie w przestrzeni medialnej. Podobne rzeczy znalazłem o Grunbergu, którego porównują na przykład z Woody Allenem. Jeśli jest coś na rzeczy z tym porównaniem, to chyba tylko z Allenem z okresu jego kryzysu małżeńskiego z Miał Farrow, kiedy słynny nowojorczyk nakręcił gorzką komedię „Mężowie i żony”. Gdzieś znalazłem też porównanie języka tej powieści z językiem fabuł filmowych Marka Koterskiego i to jest chyba bardziej adekwatny trop. Nieważne jednak, z kim w jednym szeregu postawimy Grunberga, bo w gruncie rzeczy on porównań nie potrzebuje. Píše z zimnym, cynicznym poczuciem humoru, który jest mi bliski, odkąd skończyłem podstawówkę i rozumiałem, że wszystko, co najpiękniejsze, jest już za mną. Czyż można nie wybuchnąć śmiechem, gdy bohater wyznaje swojej żonie (ona w tej sytuacji również wybuchła śmiechem), że ma „platonicką kochankę”?! Jest w tej prozie mądrość rodem z Talmudu: „Jeśli się za kimś tęskni, zaczyna się go nienawidzić, żeby wyznaczyć tęsknocie jakiś kres”. Oraz ów szokujący żydowski środowiska konserwatywnie nurt zainicjowany przez

rozumieć wiem, że skoro się nadało książce tytuł, który był już wcześniej w użyciu, wypadaloby się z tego jakoś wytłumaczyć. Jednak usilne próby przekonania czytelników, że Adolf Hitler być może nie był złym dzieckiem, są próbą obrony dawno spalonego mostu; krytyka Iana Kershawa, że ten nie jest obiektywny i nie dostrzegał okoliczności łagodzących w fakcie traumatycznego dzieciństwa Hitlera – mający ciężką rękę ojciec, śmierć matki i dwójki rodzeństwa. Doszukiwanie się ich u późniejszego wodza III Rzeszy to nawet nie jest błąd – to zbrodnia. I cóż z tego, że Hitler, gdyby mimo braku talentu jakimś cudem został przyjęty na studia plastyczne, być może nie spowodowałby wojny i śmierci kilkudziesięciu milionów ludzi; jednak spowodował, stając się tym samym największym zbrodniarzem w dziejach ludzkości! Był to jego świadomy wybór i tyle mi wystarczy, żeby go osądzić. Poza tym jeśli chcę sobie o nim poczytać, to wolę solidne opracowania historyków: choćby wspomnianego Kershawa, Alana Bullock'a czy Karola Grünberga, niekoniecznie też chcę zagłębiać się we wspomnienia przyjaciela Adolfa, Augusta Kubizeka, ale jeśli bym nagle poczuł taką ochotę, to sięgnę po oryginał, a nie po wyjęte z kontekstu urywki u Knausgård.

Swoistym zwieńczeniem sześciotomowego dzieła pisarza jest to, co się dzieło potem, a czego w tej powieści nie znaleźliśmy; ale być może Karl Ove Knausgård już nad tym pracuje, nad następnym kilkutomowym dziełem o swoim życiu po *Mojej walce* (może nazwie go na *Mój pokój?*). A to życie, po *Mojej walce*, to swoisty prolog do tego dzieła: najważniejsze wydarzenie i jego okoliczności, które jak nic powinny posłużyć do wypełnienia po brzegi kilku tomów, lekko licząc po 1,5 tysiąca stron – rozwód! Tak, Knausgård rozstał się z kobietą, która wykazała nieludzki hart ducha, wytrzymując transparentność życia, jaką zaserwował swojemu małżeństwu norweski pisarz-ekshibicionista. Przetrzymała drobniawo i dokładnie opisy jej stanów lękowych, które z kolei u Knausgård powodowały stan rozdrażnienia, z którym się przed nią krył, choć też tylko do czasu... Ale czyż nie musiało się tak stać? Czy istniało inne wyjście? Przyznam, po

lekturze tomu *Lato* z cyklu „Pory roku” byłem przekonany, że ta kobieta zuwariuje dokumentnie, jeśli nie rozstanie się z facetem, który nie ma dla niej litości i niczego, żadnego upokorzenia jej nie oszczędza. Pomyślałem również, że dałbym sobie rękę uciąć, że Knausgård, gdy już opíše do ostatniego detalu swoją partnerkę, matkę ich dzieci, pochyli się bez troski nad jej ostatnim nerwowym załamaniem, wtedy ją bez żalu porzuci, jak książkę, którą już napisał i teraz jest mu zbędna. Mówi się, że pisarz musi zostawić za sobą swoje dzieło, oderwać się od niego, inaczej nic już nie napisze. Knausgård traktuje swoje życie jak książkę, jak podręczny materiał do książki, jak wścibski reporter, ktoś, kto obserwuje swoje życie od środka, ale gdy o nim pisze, potrafi patrzeć na nie także z boku, właśnie, jakby pisał reportaż (ucielający) o kimś innym. Reportażysta, dobry reportażysta, i dobry pisarz musi się w końcu odczepić od swojego bohatera – nie jest pomocą społeczną albo organami ścigania – ma tylko opisać, a potem zając się czymś innym – kolejnym tematem. Knausgård opisał już własne życie w trakcie małżeństwa z kobietą, która dała mu czwórkę dzieci; teraz, jak sądzę, napisze o swoim życiu po tym małżeństwie i po światowym sukcesie dzieła. Kto zna jego książki, ten wie, że on się nie nadaje do małżeństwa; jest wilkiem stepowym, Siddhartą, outsiderem, czyli kimś pokroju Hermana Hessego (ten wszakże też pisał zawsze o sobie), kimś, kto poczuje się wolny dopiero, gdy porzuci wszystko, co przeszkadza mu w pisaniu. Wściekłość, że rodzina odrzuwa go od pisania to jeden ze stałych elementów w jego powieściach. Samotny w rodzinie to główny topos Knausgård.

Tak więc na ten sam numer więcej już nie dam się nabrać, powiem tak: Knausgård? O nie, temu panu już dziękujemy! A tak na koniec, przypominam sobie słowa Krzysztofa Vargi, z okładki tomów cyklu „Pory roku”, gdzie autor *Tequili* pisał o hymnie na cześć rodzicielstwa... Ten hymn w trakcie wykonania stał się tak pokraczny, jak „Mazurek” Dąbrowskiego śpiewany przez Edytę Górniak na otwarciu Mundialu w Japonii i Korei...

To po kielonku

• **Alain Mabackou, Kielonek,**

przełożył Jacek Giszczak, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2008.

Taką książkę mógłby napisać niejeden z naszych meneli, którzy po kielichu upadają w trans narracyjny i gadają tak długo, aż wreszcie zmoże ich alkohol i przybiją gwoździa, to jest gdy ich głowy z głośnym hukiem opadną na blat stolika. Mógłby, ale tego nie uczyni, bo do pisania potrzebna jest konsekwencja, a oni posiadane pokłady konsekwencji już wyczerpali – na picie, w którym są konsekwentni do bólu, na 100 procent, więc na nic więcej już im jej nie starcza. I może szkoda, ale nie czas żałować książek, które nie powstały, jeśli mamy takie, które ktoś napisał.

Nie znalazłem jego książek, ale to przecież kongijski pisarz, więc skąd miałem o nim słyszeć? W Kongo z pewnością nie znają Jerzego Pilcha, który po-

dejmuje często podobną tematykę, więc jest remis. Słyszałem za to o wydawnictwie Karakter; z tego, co mi się obilo o uszy, wydają w nim dobre książki i do tego czynią to starannie. A poza tym książka była przeceniona – na 12 złotych z pierwotnych 39, które kosztowała w roku wydania – dokładnie dekadę temu w 2008 roku. Cena zdała mi się niewygodowana, w końcu nabywałem pozycję z kręgu literatury alkoholowej, a to jeden z moich ulubionych trendów w literaturze (i życiu). Przyznam, że tytuł mnie ciut odstraszył: *Kielonek*, troszkę to zbyt oczywiste, łopatą podane, ale poza samym tytułem reszta okazała się być w porządku; urzekła mnie już okładka, bardzo kolorowa, plastycznie wypieszczona, a na tej okładce odurówiona, czyli osuszona butelka, więc czułem, że to książka dla mnie. Zaś w środku, powiem krótko, jest jeszcze lepiej! Czuje się, że autor nie wylewa za kołnierz (co na szczęście nie znaczy, że mamy do czynienia z literaturą faktu), a do tego jest zagłębiony w kulturze światowej, przede-

Świetlicki, czyli niezależną, wysuniętą placówką

- **Marcin Świetlicki, Rafał Księżyk, Nieprzysiadłość,**
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

Skoro piszę o prozie, to chyba da się wyczuć, że wolę ją od poezji. Może dlatego, że dobrej poezji jest mało, w zalewie produkcji poetyckiej trudno ją znaleźć, a mnie szkoda czasu na szukanie sliwki w beczce nie napiszę czego. No, ale Świetlicki to poeta pełną gębą, nie mam wątpliwości, że z grona współczesnych on będzie w owym szczupłym towarzystwie tych, których będzie się czytało za lat 50, 100, albo i 200. Sam swoje miejsce w literaturze określa mianem „niezależnej, wysuniętej placówki” i „pilnie strzeże tego miejsca”. Ja cenię go za bezkompromisowość, nieuleganie modom, swoistą sowizdrzalską swawolność i odwagę („Sztuka, jeśli nie jest niebezpieczna, to nie jest sztuką”). Dlatego z wielką ciekawością sięgnąłem po wywiad-rzekę, powiem więcej: wywiad-Amazonek z tym poetą, pisarzem i muzykiem, którą spisał Rafał Księżyk znany z podobnych dzieł o Tymonie Tymańskim czy Robercie Brylewskim. Po pierwsze – mamy tu celnie dobrany tytuł. Ale innego być nie mogło, więc wybór był oczywisty dla Biblii Świetlickiego. Co więcej? No, śmiałem się, śmiałem wiele razy, kilka razy uniosłem brew w zdumieniu, zdarzało mi się też wzruszać ramionami albo rozłożyć bezradnie ręce. Czy jednak coś mnie w spowiedzi Świetlickiego zaskoczyło? Raczej nie; od początku podejrzewałem go, że jest punkowcem i się sprawdziło. Konkluzję po przeczytaniu tego opasłego wywiadu mam jedną, ale za to ważną: za cholerę nie pokusiłbym się już podejść do poety Świetlickiego i zagadać. Jego powinno się wielbić na odległość, bez bezpośredniego kontaktu – inaczej obie strony będą niezadowolone. Tego człowieka nie zmusimy do niczego, do czego nie jest przekonany; do rozmowy pewnie też, więc po co próbować?! Poza tym po co podchodzić, skoro tu, w tej książce, jest wszystko, co chciałbym o nim wiedzieć, a nawet sporo rzeczy,

których wiedzieć nie musiałem, albo wręcz nie powinienem. Jesteśmy w podobnym wieku i spod tego samego znaku, więc początkowe partie czytałem, jakbym o sobie czytał, pamiętam bowiem tamtą – jak śpiewał Dezerter „szarą rzeczywistość” – którą teraz, z perspektywy lat, oceniam jako bardzo ciekawą i pouczającą; czytaliśmy te same książki (*Zabicie ciotki Bursy* też było książką mojej młodości), oglądali te same filmy, słuchali tych samych zespołów czy śpiewaków (The Clash, Joy Division, Dylan itd.)... Dużo we mnie zostało z tego czasu, przede wszystkim brak zaufania do władzy, co dostrzegam też u Świetlickiego, a także przekora – a ta jest wręcz ulubioną maską autora *Trzeciej połowy*. Ponadto mnóstwo tu fajnych cytatów, które sobie wynotowałem, może garść najtrafniejszych: „Jak ludzie na mnie patrzą, to myślą, że ja cały czas piję wódkę i wiersze przychodzą mi nie wiadomo skąd. A to ciężka robota.”, „Jestem dosyć oziębły w stosunkach rodzinnych”, „Urodziłem się jako katolik i inne religie aż tak bardzo mnie nie przekonują”, „Szkóły nie nauczyły mnie niczego”, „Tak naprawdę śmiałość do kobiet zyskałem, gdy miałem lat trzydzieści”, „Czułem się gorszy, czułem się odmieniec i dlatego pasowała mi filozofia punkowa”, „Zło komunizmu w pełni zobaczyłem w wojsku”, „Trzeba znaleźć mądrą kobietę”, „Przestałem się starać”, „Świat jest tak rozpierniczony, że nie da się go złożyć do kupy”, „Rodzina artystę troszkę niszczy”, „Wszystko, co piszę, to jest protest wobec letniości”... Można by długo, ale tyle wystarczy; swoją drogą warto chyba poczekać na prawdziwą autobiografię, a nie wywiad-rzekę, bo Świetlicki zapowiedział: „jak będę pisał prawdziwą autobiografię, to może się odważyć być maksymalnie szczery”.

Na koniec jedna uwaga: bardzo ciekaw jestem tej młodzińczej powieści Świetlickiego o życiu w akademiku, która leży w jego starym mieszkaniu przy ul. Zakopiańskiej...

Nie moja walka!

- **Karl Ove Knausgård, Moja walka. Księga 6,**
przekład: Iwona Zimnicka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

Wiem, miałem nie kupować, miałem nie czytać i miałem nie pisać, czy mi się podoba, albo czy mi się nie podoba. Ale się nie da, bo jeśli ktoś mnie wkurza, to mam prawo wyrzucić z siebie wściekłość, która mnie ogarnęła. Pierwszy zarzut, zarzut podstawowy, fundamentalny – wszystkiego za dużo. Tysiąc sto stron i to małą czcionką – nie ma miłosierdzia norweski

pisarz dla swoich czytelników. I za dużo o sobie, kosztem innych. Już mi się Knausgård przejadł, już mnie nie fascynuje – już mnie wyłącznie irytuje. I jeszcze za dużo głądzenia – ta książka to monumentalne, niekończące się głądzenie na tematy, które podejmowali od dawna inni. Knausgård nie ma nic nowego do dodania, a dodaje; mam tu na myśli rozważania Norwega o poezji na przykład Paula Celana, które mnie nie porwały. Za to to, co Knausgård zamieścił na kilkuset stronach (coś koło 400) na temat Adolfa Hitlera, należy uznać za całkowite nieporozumienie. Ma się

przemierzał Afrykę. Wszystko jednak wskazuje na to, że ojciec nie mu o tym wstydlwym, acz znaczącym w jego życiu epizodzie, nie opowiedział; faktem też pozostaje, że ojciec okazał się w trakcie krótkiej kariery międzynarodowego szpiega kompletnym amatorem i do tego monstrualnym pechowcem. Widać łatwiej sprzedać odkurzacz, niż zaprzedać duszę.

Myszę, że Ota Pavel był szczęśliwy tylko podczas wypraw na ryby. Pisanie wyczerpywało go emocjonalnie. O nawrotach depresji mania-

kalnej zapominał, tylko będąc nad wodą. Każdy z nas ma swój ulubiony biotop, życie – w swej perfidii – zmusza nas jednak, by przeważnie spędzać je poza miejscem, w którym czujemy się szczęśliwi, a często-kroć również w towarzystwie ludzi, których najchętniej byśmy udusili. Dlatego tak wiele osób – w tym Ota Pavel – popada w obłęd, co – jak mi się zdaje – akurat może być naturalnym, a więc de facto zdrowym objawem, za pomocą którego organizm ostrzega nas, że dłużej już tego miejsca i tych ludzi nie jest w stanie znieść.

Kocha, lubi, szanuje... nie chce, nie dba, żartuje

• Alice Munro, *Kocha, lubi, szanuje...*

przekład: Jadwiga Jędryas, Tina Oziewicz, Wydawnictwo Literackie, wydanie II, Kraków 2015.

W tym zbiorze mamy napisane spokojnym, zdystansowanym stylem historie romansów. Tytułowe *Kocha, lubi, szanuje...* dotyczy kobiety, która jest przekonana, że pewien mężczyzna się w niej durzy, więc niewiele myśląc, postanawia go odwiedzić. Zastaje go ciężko chorego; on ledwie ją pamięta, ale jest w tak złej kondycji fizycznej, że nie jest w stanie jej tego powiedzieć; ona zakasuje rękawy i obejmuje go troskliwą opieką. Ta sytuacja ich połączy – ale czy to jest miłość? Ważnym artefaktem tego opowiadania są meble. Wszystko precyzyjnie skomponowane, niemal jak fuga Bacha. Koniec końców kobieta wychodzi za mężczyznę, a czytelnikowi, który zrazu nie wierzy w ten przypadkowy związek, zdaje się on tak naturalny jak oddychanie. Podobnie w innych opowiadaniach – też mamy do czynienia z romansem, czy – jak niektórzy mówią – skokiem w bok, bo to są często zdarzenia wyjątkowe, spontaniczne, jakby przelanie się kielicha... Bohaterka „Wiszącego mostu” cierpi na nowotwór; to czas głębokich, egzystencjalnych przemyśleń, ale nie tylko – kobieta wspomina przypadkowy romans z młodym chłopakiem. W innych tekstach też „panoszy się” zakazana miłość... Zaczynam mieć problem z kanadyjską pisarką, laureatką Nobla sprzed pięciu lat – Alice Munro. Doceniam kryształową czystość jej pisarstwa, wierzę w prawdę, którą tchną jej opowiadania, jestem pod wrażeniem wirtuozerii, z jaką tworzy swoich bohaterów – portrety kobiet ocierają się o perfekcję, a postacie mężczyzn spod jej pióra są tak wiarygodne, jakby tworzył je mężczyzna, ale... mój problem z opowiadaniem Alice Munro polega na tym, że chyba przedaukowałem jej twórczość. Przeczytałem w krótkim czasie kilka tomów Munro i kiedy zabrałem się za *Kocha, lubi, szanuje...* nagle ogarnęło mnie znużenie, które wnet przemieniło się w zniechęcenie. Niby zrazu dobrze mi się ją czytało, z niejaką ciekawością, ale złapałem się na tym, że z coraz mniejszą ochotą brałem się za *Kocha, lubi, szanuje...*, odkładałem książkę pod byle pretekstem, zapominałem

o niej na długie dni, sięgałem po inne – byle nie po nią... Wreszcie skończyłem, czy raczej zmordowałem – bo jak się uprę, to nawet książkę telefoniczną przeczytam, niemniej obiecałem sobie, że za następny tom Kanadyjki zabiorę się za rok, a może nawet za dzień – a jeśli tego momentu nie dożyję, myślę, że nie będę z tego powodu rozpaczał. Nie ma co, Munro to świetna pisarka, ale trzeba ją dawkować w ilościach może nie homeopatycznych, ale na pewno umiarkowanych – to nie jest Raymond Carver czy Kornel Filipowicz, których ma się niedosyt nawet po przyjęciu dużych dawek. Inna sprawa, że ani pierwszy, ani drugi nigdy nie napisaliby tak opasłego tomu jak Munro – ich książeczki są szczupłe i zgrabne, a Alice produkuje opasłe literackie matrony, jak z jednej sztancy, po około 400 stron. Tak na marginesie – Carver to autor, którego podziwia cały świat, szkoda, że równą mu estymą nie cieszy się Filipowicz, pisarz całkiem inny od Amerykanina, ale klasą mu dorównujący, a literacko jeszcze lepszy. Munro dostała Nobla za opowiadania – fakt, napisała tylko jedną powieść, która po prawdzie też jest opowiadaniem, tyle że rozciągniętym ponad miarę – ale gdzie jej do takich tuzów opowiadania, jak Czechow, czy Salinger. My, Polacy, możemy być dumni, bo mamy świetnych autorów, specjalizujących się w tym gatunku – poza Filipowiczem, wspomnielibym: Borowskiego, Iwaszkiewicza, Hłaskę, Haupta, późnego Kazimierza Orłosa i kompletnie zapomnianego, a świetnego Romana Tomczyka. Popatrzcie, piszę o innych, jakbym zapomniiał, że to recenzja książki Alice Munro; wszystko wskazuje na to, że nawet nie chce mi się pisać o *Kocha, lubi, szanuje...* (swoją drogą: cóż za pretensjonalny tytuł!), więc uciekam w stronę twórczości tych, którzy mnie nigdy nie zawiedli. Jasna cholera, chcąc nie chcąc, skrytykowałem świetną pisarkę i to za książkę, która w opinii krytyków jest jej najlepszą! A może owi zachwyceni krytycy po raz pierwszy zetknęli się z dorobkiem Munro dopiero podczas lektury *Kocha, lubi, szanuje...*?

Przysyłajcie książki!

Na początek uwaga ogólna: jak się dowiedziałem, na adres Fundacji Kultury Afront przychodzi dużo książek, należy nawet powiedzieć „zatrzęsienie”, tyle tylko, że jest to niemal wyłącznie poezja. Jest tego ponoć tyle, że recenzenci nie nadążają. Zazdroszczę im, nie tego, że nie nadążają, bo tego zazdrościć im nie muszę – sam od lat w wielu sprawach nie nadążam – ale tego, że recenzenci tomików wierszy mają książek do wyboru i do koloru, a do tego za darmo. Ja książki, o których piszę, muszę kupić, a w wypadku nowości to są spore kwoty, przez co potem – zdarza się – brakuje mi funduszy na alkohol. Jeśli więc nie chcecie, bym popadł w abstynencję, wysyłajcie powieści,

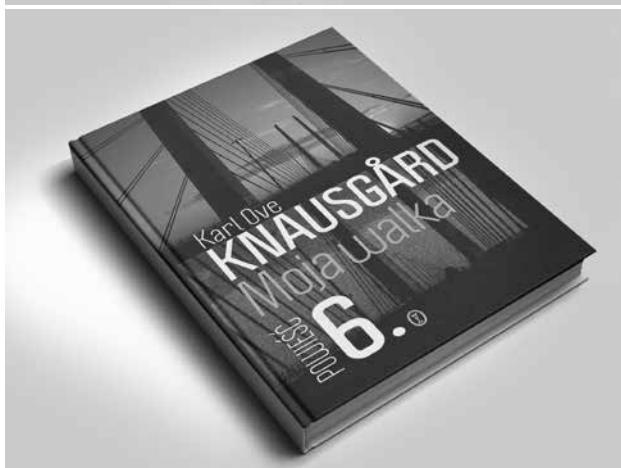
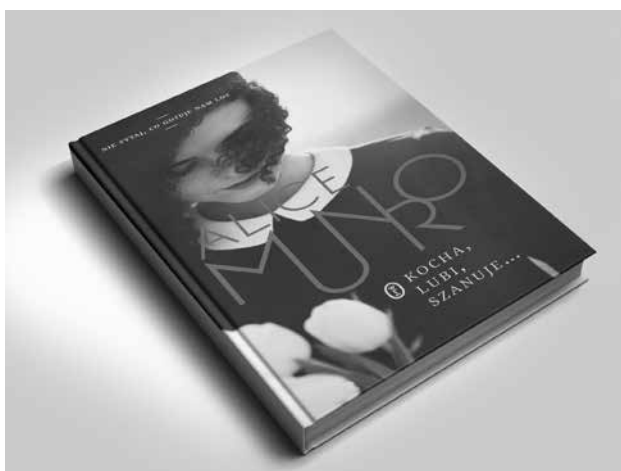
zbiory opowiadań, no co tam mieści się w zakresie książki prozatorskiej, na adres „Afrontu”. Jest duża szansa, że o niej napiszę, a jeśli nie napiszę, to na pewno przeczytam, albo przynajmniej postaram się przeczytać, no chyba, że się nie będzie nadawała do przeczytania, wtedy ewentualnie napiszę, że jest do niczego. Ale jak to mówią, nieważne co piszą, byle nie mylili tytułu i nazwiska autora. Pamiętajcie o jednym – wysyłacie na własne ryzyko. I jeszcze jedna sprawa – książka to dla mnie druk zwały, opublikowany w wydawnictwie, z numerem ISBN, a nie maszynopis, czy plik w pdf.

Wariat, jakich mało

- **Aleksander Kaczorowski, Ota Pavel. Pod powierzchnią.**
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018.

Właściwie wielkość tego pisarza zaczęła się od jego upadku; ów upadek nastąpił podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Innsbrucku – zobaczył wtedy diabła, a widział go w pełnej krasie: z rogami, kopytami, owłosionego i buchającego siarką. Żył od tego momentu jeszcze tylko dziesięć lat, podczas których aż szesnaście razy przebywał w szpitalach psychiatrycznych, ale właśnie w ostatniej dekadzie napisał to, co najważniejsze i dzięki czemu stawia się go dziś w rzędzie najważniejszych dwudziestowiecznych pisarzy żydowskich Europy środkowo-wschodniej: obok Franza Kafki, Izaaka Babla czy Brunona Schulza. Jego życiorys przypadł na najgorsze lata XX wieku, zwłaszcza dla tych, którym przyszło urodzić się w centralnej Europie i w rodzinie o żydowskich korzeniach; a poza tym autor ów miał ojca, którego życiorys zapiera dech w piersiach. Jak się ma ojca, który grał w niemych filmach niemieckich, służył w Legii Cudzoziemskiej, z której uciekł i wędrował tygodniami po Saharze, potem został najlepszym w Europie sprzedawcą szwedzkich odkurzaczy marki Electrolux, następnie walczył o przetrwanie rodziny pod panowaniem Hitlera, a po wojnie na tyle uwierzył w komunizm, że dał się zwerbować czechosłowackim tajnym służbom i jako ich agent podjął się zadania stworzenia sieci agenturalnej na Zachodzie, no jak się ma takiego ojca, to ma się temat do pisania – i Pavel (prawdziwe nazwisko – Popper), który był bystry, właśnie o swoim oryginalnym ojcu napisał najpiękniejsze rzeczy. I jeszcze o łowieniu ryb, co uważał za najcudowniejszą rzecz, jaka mu się przytrafiła w jego marnym życiu. Trzecim jego tematem był sport – tu też osiągnął mistrzostwo, czego dowodem *Bajka o Rasce*, skoczku narciarskim (recenzję tej książki pisałem do jednego z poprzednich

„Afrontów”). Kaczorowski, biograf Hawla i Hrabala, i tym razem wykonał solidną i dobrą robotę, jego biografia autora *Śmierci pięknych saren* jest napisana potoczyscie, ciekawie, z fascynującymi szczegółami. Autor znajduje rzeczy, o których nie wiedział Pavel – na przykład, że to jego stryjeczna ciotka Amalia jest pierwowzorem Molly Bloom, a jej ojciec posłużył za pierwowzór postaci Leopolda Blooma, głównego bohatera *Uliksa* Jamesa Joyce’a! Albo że winnym przedwczesnego zakończenia kariery przez najlepszego czeskiego napastnika Rudolfa Kučery był Stanisław Oslizło, obrońca Górnika Zabrze. Albo że w gronie osób, które Niemcy zaprosili do Katynia, by pokazać im pomordowanych przez NKWD polskich oficerów, był czeski pisarz František Kožík (chłop się uchował, bo gdy do władzy doszli komuniści, z niezachwianą wiarą utrzymywał, że zbrodni tej dokonali Niemcy). Nie znam też historii o wizycie Pavla w Polsce, nad morzem, gdzie pływał na okręcie podwodnym, łowił ryby i gdzie przedstawiono mu jakiegoś wysokiego oficera, który z charakteru przypominał Czechowi hodowcę królików, więc podejrzewał, że został admirałem dzięki protekcji. Później się dowiedział, że to był komandor Bolesław Romanowski, dowódca okrętów podwodnych Jastrzęb i Dzik, które podczas działań wojennych na Morzu Śródziemnym zatopiły „dziewiętnaście faszystowskich okrętów, na których było w sumie trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy”. Pavel zwrócił uwagę na oczy komandora Romanowskiego, w których odbijało się, jak pisał Pavel: „wielkie zmęczenie, jak gdyby cały świat na piechotę obszedł i na swojej drodze cierpiał bardziej niż Chrystus Nazareński”. Na koniec Pavel skwitował: „Chyba nie był hodowcą królików”. Niezmiernie interesująca jest sprawa współpracy taty pisarza z czechosłowacką bezpieką. Ta historia pod ręką Oty Pavla mogłaby się zamienić w książkę równie ciekawą, jak *Śmierć pięknych saren*, a bez wątpienia dużo lepszą od nierównej *Jak tata*



Erazm Furman › Recenzje

Afronty Furmana



myśli, co nienowe”. Najciekawszym, zdaje się, tekstem tego rodzaju jest „Zombie” – próba przeniknięcia umysłu terrorysty. Jednak i tu wnioski są właściwie banalne: o tzw. „zarażeniu wojną” nie słyszymy nic ani nowego, ani świeżego literacko. Dopiero muzyka i wykonanie nadają słowom charakter – w grze i śpiewie wszystkie ledwo naszkicowane uczucia ożywają i udzielają się słuchaczowi.

Niemniej Dolores O’Riordan także jako tekściarka miewała tzw. przebłyński geniuszu.

„Astral Projections” to chyba najlepszy tekst, jaki The Cranberries kiedykolwiek nagrali na płytę. Pozornie okultystyczny motyw „podróży astralnej” jest tu trafną metaforą atrofii związku. Wrażenie bezcielesności i niewidzialności dla partnera, niemożność porozumienia z nim (zupełnie jak w filmie „Szósty zmysł”), świadomość oddalenia od niego, mimo fizycznego przebywania blisko... Obrazy wzięte z opisów rzekomych „doświadczeń pozacielesnych” (OOBE) symbolizują tutaj proces myślowy, przygotowujący bohaterkę tekstu do odejścia od nie kochającego już jej mężczyzny.

Skoro mowa o procesach myślowych: rzadkie, lecz udane były eksperymenty z wykorzystaniem w piosence poetyki „strumienia świadomości”. „Linger” jest monologiem dziewczyny, do której stopniowo dociera świadomość, że chłopak, którego obdarzyła uczuciem, wykorzystał ją i porzucił. W „Fee Fi Fo” dramatu dziewczynki molestowanej przez pedofila przygląda się początkowo „zimny” obserwator, który od niemal reporterskiego opisu przechodzi do wewnętrznej niezgody na to, co widzi. „Electric Blue” jest intrygującą, choć może przesadnie zdawkową próbą napisania rockowego psalmu w tonie lamentacyjnym.

Interesujące, że artystce, która popełniła tyle banałów o miłości, zdarzało się również napisać o niej coś całkiem odkrywczego. Dwa takie przypadki już wspomnieliśmy, teraz zwróćmy uwagę na „The Glory” z ostatniej płyty. Mimo paru deklaracyjnych komunałów („czuję się smutna”, „czuję się źle”), piosenka jest ciekawa dzięki umieszczeniu opisywanej miłości w kontekście zmieniających się pór roku, co – w miejsce bujania wśród abstrakcyjnych nazw uczuć – osadza ją w konkrecie. O nieudanym małżeństwie jeszcze bardziej konkretnie, a przy tym całkiem oryginalnie, traktuje „Will You Remember?”. Gdy miłość do współmałżonka okazuje się nie być odwzajemniona, znaczenie mają już tylko rzeczy – i właśnie litania przedmiotów

związanych ze ślubem (suknia, bukiet, samochód itp.), jako jedy-nych z niego wspomnień, stanowi główną część tekstu.

Strukturę litanii ma też utwór „Why?”, zamykający ostatnią płytę Cranberries. Tekst intryguje swoją lakonicznością, niejednoznacznością i – paradoksami językowymi. Skierowany jest do kogoś przebywającego „w innym wymiarze”: „gdzieś pomiędzy tu a niebem, gdzieś pomiędzy gdzie a dlaczego (...) na rozstajach nigdzie”. Do kogoś, czyj nieobecny głos wciąż stawia tytułowe pytanie: „dlaczego?”. Do kogoś – ale kto to? Zmarła osoba, czy może sam Bóg? Pewnym jest tylko, że „Why?” to jeden z paru najlepszych tekstów zespołu.

Trzeba przyznać Dolores i to, że miewała głowę do niezłych szlagwortów. Takie sformułowania, jak „do you have to let it linger?”, „never before, never again, you will ignore, I will pretend”, „what’s in your head?”, „this is not Hollywood”, „free to decide”, „just my imagination”, „time is ticking out”, „raining in my heart” – błyskawicznie czepiają się słuchacza, dzięki zaskakującym współbrzmieniom zbitek słownych, instrumentacjom samogłoskowym i spółgłoskowym, niebanalnym rymom.

To prawda, że O’Riordan nie była „poetką piosenki” na miarę Dylana lub Patti Smith. Bywała wszakże sprawną rzemieślniczką słowa. A że nie stroniąc od banałów? Teksty Led Zeppelin wcale nie wyglądają pod tym względem lepiej.

Will you remember?

Czy The Cranberries pozostaną, jak Jefferson Airplane i Love, jedynie własnością swojego pokolenia? A może ich albumy, na równi z płytami Beatlesów, Stonesów i Doorsów, trafią do kanonu rockowej klasyki, wciąż na nowo odkrywanej przez kolejne generacje słuchaczy? Dziś za wcześnie, by o tym wyrokować.

Jedno jest pewne: w styczniu 2018 roku zakończyła się historia nietuzinkowego zespołu. Przestała istnieć kapela o indywidualnym, natychmiast rozpoznawalnym stylu, zarazem osadzona mocno w rockowej tradycji.

Za parę lat, a być może dopiero za paręnaście, będziemy gotowi, by obiektywnym uchem przysłuchać się tym siedmiu płytom, które po „Dolores i jej ekipie” pozostały. Ale już dziś można zaryzykować tezę, że utraciliśmy zespół ważny, nawet jeśli tylko dla swojej epoki i tych, którzy ją pamiętają. Możliwe, że równie ważny, jak Nirvana i Pearl Jam. Niewykluczone, że ważniejszy, kto wie? ●



go orientalizująca sekcja smyczków), zaś drobniejsze tego typu akcenty, zwłaszcza wokalne – mniej więcej w co drugiej piosence z płyty. Z różną częstotliwością i w zmiennym natężeniu psychodeliczne nawiązania wracały na każdym kolejnym albumie zespołu. Szczególnie wybitnym przykładem wydaje się ballada rockowa „Electric Blue” z płyty trzeciej, łącząca obsesyjność mantry w zwrotkach z podniosłością chorału w refrenie i... mocno hendrixowską solówką gitarą.

Wspomnieliśmy o duchowych powinowactwach z Fairport Convention – folk-rockowcami, którzy do swojej muzyki włączali przecież elementy psychodeliczne. Innym źródłem inspiracji mogli być Jefferson Airplane – popularny w latach sześćdziesiątych kalifornijski zespół o nastawieniu pop-rockowym, z silną wszakże inklinacją do zrelaksowanego, arkiadyjskiego folk-rocka, a jednocześnie do psychodelicznego sztafażu aranżacyjno-brzmieniowego, w tym do studyjnych eksperymentów dźwiękowych. Wpływy Jefferson – podobnie, jak w ogóle pop-rocka – najdobitniej odcisnęły się na albumie *Bury the Hatchet*. Żywcem przeniesione z „White Rabbit”, „Saturday Afternoon” czy „Eskimo Blue Sunday” napięcie – narastające, wydawałoby się, bez końca – szczególnie wyczuwa się w utworach „Shattered” i „Fee Fi Fo”, skonstruowanych wedle najlepszych „samolotowych” wzorów (tyle, że zaśpiewy latynoskie zastąpiono celtyckimi). Jak tam, tak i tu „siłą wznoszącą” jest niespokojna gra basisty (tutaj skojarzona szczęśliwie z police’ową motoryką) w połączeniu z „rozciągniętymi” wielogłosami wokalnymi. „Mantrujące” refreny, całkiem jak z hitu „Somebody to Love” (którego nastrój zdaje się bezpośrednio przywoływać „Promises”), znajdujemy w „Loud and Clear” i „Just My Imagination”, częściowo także w klasycznie rock-and-rollowym „Desperate Andy”. „Indyjskimi” partiami gitarowymi ozdobiono i folkowo-popowy „Animal Instinct”, i bardziej rockowe „Promises”, także nowofalowo nuiespokojne „Copycat”. Rzecz jasna, Cranberries do wpływów Airplane odwoływali się i wcześniej (ten sam rodzaj napięcia, co w „Shattered”, był już w „Linger”), i później („This Is the Day”, „Wake Up and Smell the Coffee” oraz „Fire and Soul” to bardzo dobre, acz nie do końca oczywiste przykłady).

Na Fairport, Jefferson i Hendrixie inspiracje psychodeliczne się nie kończą. W kontekście „Will You Remember?” napomknęliśmy o The Beatles, wszelako linia melodyczna i drobne, lecz charakterystyczne wejścia klawesynu każą choć przez moment pomyśleć o „Girl With No Eyes” zespołu It’s A Beautiful Day. Sulowo-haendlowskich dęciaków z „Loud and Clear” i „You and Me” mogło by nie być, gdyby nie płyta *Forever Changes* grupy Love. Natomiast w „What’s On My Mind”, w „Waiting In Walthamstow”, a częściowo i w „Sorry Son”, pobrzmiewają echa *Pet Sounds* *Beach Boys* – ten sam swingujący, lekko ospały rytm, podobne harmonie wokalne.

Co do wpływów progresywnego rocka, to Cranberries nigdy nie stworzyli rozbudowanej formy muzycznej. Za jedyną taką próbę można by uznać połączenie w dyptyk piosenek „Yeats’ Grave” i „Daffodil Lament” na albumie *No Need to Argue*. Jednak z wieloczęściową budową utworu eksperymentowali niejednokrotnie. Szczególnie charakterystyczne dla nich było opa-

trywanie piosenek wstępami diametralnie od nich odstającymi. Warto porównać pod tym względem trzy tak różne kompozycje, jak „Will You Remember?”, „Ridiculous Thoughts” i „Electric Blue”. Jeszcze częściej The Cranberries czerpali ze skarbnicy muzyki poważnej. Klasyczne smyczki towarzyszyły im co rusz, od pierwszej płyty aż do ostatniej, gdzie niemal zdominowały nowy aranż „Dreams”. Najbardziej zaskakująco użyto ich jednak w „Delilah”, gdzie ciekawie kontrastują z punk-rockowym charakterem piosenki. Barokowe wielogłosy słychać i w pop-rockowym „Loud and Clear”, i w folkowo-psychodelicznym „Fee Fi Fo”, a śladowo i w eklektycznym „Schizophrenic Playboys”.

Słuchając płyt Cranberries, natykamy się też na jednorazowe naleciałości muzyczne będące prawdopodobnie świadectwami chwilowych fascynacji. Takimi są symfoniczne faktury rodem z *The Final Cut* Pink Floyd („War Child”, „Bosnia”), nuty latynoskie (zwrotki „Astral Projections”) lub nawiązanie do muzyki klezmerskiej (smyczkowy bridge w „Schizophrenic Playboys”). Partie gitary hawajskiej w przeróbce Presleyowskiego „In the Ghetto” budzą dalekie skojarzenie ze stylem country, zaś w klawiszach z „Dying In the Sun” delikatnie pobrzmiewa Dead Can Dance (być może również „balladowe” oblicze Depeche Mode).

Nie tylko upodobanie do częstych zmian image’u upodobało Dolores O’Riordan do Davida Bowieego. Ją i Noela Hogana, współtwórców repertuaru The Cranberries, łączyła z autorem „Heroes” przede wszystkim otwartość na różnorodne inspiracje muzyczne, a jednocześnie zdolność do odciskania na nich własnego piętna stylistycznego. Formacja, na czele której stali, zdecydowanie była czymś więcej niż „przebojowym poprockowym zespołem”.

Everything I said

Trzeba za to, niestety, przyznać Wojciechowi Przyłipiakowi dużo racji, gdy w cytowanej tu już recenzji pisze, iż „O’Riordan (...) nigdy wybitną poetką nie była”. Rzeczywiście, teksty piosenek The Cranberries rzadko wychodzą poza dosłowną konfesyjność, nieraz na granicy deklaratywności. O kobiecych rozterkach sercowych wokalistka pisała, jak wielu przed nią i po niej. Szczęście w miłości („Just My Imagination”) oraz radości i troski rodzicielstwa („Animal Instinct”) dużo finezyjniej opiewał np. John Lennon (por. odpowiednio „Oh My Love” i „Beautiful Boy”). Filmowe schematy dotyczące miłości Dolores punktuje na poziomie przeciętnego krytyka filmowego, nie potrafiąc wykazać ich fałszywości („Hollywood”). Rozprawa z archetypem femme fatale sprowadza się do zakomunikowania dezaprobaty wobec niego, właściwie bez uzasadnienia („Delilah”). Z nostalgiczno-gorzkiego rodzinnego obrazka też niewiele w sumie wynika („Ode To My Family”). „Rebels” to jedynie garść wspomnień z wczesnej młodości, bez wnikięcia w ich istotę. Z kolei podejmowanie tzw. „spraw najważniejszych”, tematów z pierwszych stron gazet, nie owocowało niczym ponad śpiewaną publicystykę, i to raczej płytką. Czy mowa o degradacji środowiska naturalnego („Time Is Ticking Out”), narkomanii („Salvation”), absurdzie wojny („War Child”, „Bosnia”), o maltretowaniu dziecka („Icicle Melts”), czy o innej bezsensownej przemocy („I Just Shot John Lennon”), zespół ma do zaoferowania jedynie „kilka

(vide: pamiętnik *A Year with Swollen Appendices*). Zdaniem Anastasii Tsioulcas, wokalistka „dysponowała wyjątkowym, natychmiast rozpoznawalnym głosem, który w pełnym krzyku zachowywał przydymioną barwę, lecz który potrafiła też wyostrzyć w słodki, subtelny ton przywołujący wieki gaelickiej tradycji ludowej”. Również zwykli fani – konkretnie ci o irlandzkim pochodzeniu – hołubili artystkę za to, że odważyła się przenieść na estradę, i to rockową, tzw. „Irish weil”, charakterystycznie rozjodlowaną, celtycką intonację (szczególnie słyszalną w wokalizach). Dolores śpiewała w znacznej mierze nie jak piosenkarka, a jak ludowa śpiewaczka. W tym sensie mogłaby być odpowiednikiem Andrzeja Dziubka z De Press, wykonującego piosenki rockowe „białym głosem” (choć w podobne intonacje zdarzało się wchodzić już w latach sześćdziesiątych Skaldom). Pod względem wokalnym płyty The Cranberries są dokonaniem pionierskimi (pomijając, być może, gościnny udział Clodagh Simonds w nagraniu płyty *Ommadawn* Mike’a Oldfielda).

Związki zespołu z folklorem podkreśla też strona melodyczna. Wynika to zresztą z tradycji, w jakiej muzycy wyrosli, łączącej katolicką duchowość z nieustannie żywą estetyką celtycką. Wszystko wzięli „z pierwszej ręki”, wprost z czystej, nieprzetworzonej ludowości. Stąd np. niemal zupełny brak „oldfieldyzmów” (poza refrenem „Shattered”, gdzie są ewidentne).

A jednak obok tego „korzennego” folkloru, przełożonego tylko na rockowe, nowofalowe rytmy, w instrumentacjach znajdziemy całkiem sporo inspiracji rodem ze skarbnicy folk-rocka. Myślę tu po pierwsze o Fairport Convention z czasów, gdy ich wokalistką była Sandy Denny, a szczególnie o płycie *What We Did on Our Holidays*. Cranberries nie naśladowali Fairport (najbardziej zbliżyli się do nich bodaj w „Raining In My Heart”), jednak mieli podobne podejście do irlandzkiej muzyki ludowej, co Fairport do angielskiej. Tradycyjna melodyka, przeniesiona na rockową harmonię i pulsację – oto, co wyraźnie łączy oba zespoły. Nastroj folk rocka spod znaku Fairport wprowadza także obecna niemal w każdym utworze gitara akustyczna w rękach Dolores, czy sporadyczne użycie takich „nietypowych” instrumentów, jak akordeon i mandolina. Także partie gitarowe Noela Hogana (współkompozytora repertuaru grupy), nierzadko wykonywane bez przesteru lub z niewielkim, bywają de facto partiami gitary klasycznej przełożonymi na elektryczną. Najwięcej folku jest oczywiście na pożegnalnej, czysto akustycznej płycie *Something Else*, na której nawet niegdyśjsze „rockery” typu „Zombie” ukazują mniej agresywne, bardziej refleksyjne oblicze. Ale i niektóre, wydawałoby się, stricte rockowe utwory z poprzednich płyt przy bliższym wsłuchaniu okazują się balladami, ujętymi jedynie w rockowy aranż (np. niepozorne, a świetne „Do You Know”).

Wszelako równie silnie odcisnęły się na muzyce Cranberries wpływy folk-rocka zza oceanu. Trzeba tu oczywiście wspomnieć Dylana (po przełomowym występie w Newport), można również Judy Collins (z okolic płyty *Hard Times for Lovers*), Joni Mitchell (por.: wokaliza w „Wanted”), natomiast nie wolno nie wymienić Susan Vegi. Mocno akcentowana i nieco eksplozywna gra sekcji („Luka”, „99.9F”, „In Liverpool”), zamiłowanie

do rytmu walca i do kołyszącego, „przeciąganego” frazowania melodii („Tired of Sleeping”, „Bad Wisdom”), a przede wszystkim mieszanka rozmarzenia i ostentacyjnej rezerwy w spokojniejszych partiach wokalnych („Small Blue Thing”, „Calypso”), zaczepny ton w mocniejszych („Book of Dreams”), głos lubiący crescendo („Marlene On the Wall”), czasami wchodzący w scat („Tom’s Diner”) – to niektóre wyróżniki stylistyczne autorki *Solitude Standing*. To zarazem tylko część, acz istotna, elementów składających się na styl The Cranberries. Styl, który kształtowali akurat w czasach, kiedy Vegi było „pełno” na antenie radiowej i telewizyjnej. Szczególnie walc stał się, obok rocka, „drugą miłością” czwórki z Limerick, czego na niemal każdej ich płycie znajdziemy dowody – od gniewnego wiru „Waltzing Back”, poprzez liryczne, iście „vegowskie” walce typu „Dreaming My Dreams” lub „When You’re Gone”, wodewilowy i cokolwiek beatlesowski walczyk „Will You Remember?”, aż po leniwie spowolniony, wyraźnie psychodeliczny „Roses”.

Ano właśnie: wiele pisano o wpływach folku, Nowej Fali, punk-rocka, grunge’u, za to niewiele lub zgoła nic o wyraźnych przeciwieństwach inspiracjach psychodeliczno-progresywnych rodem z przełomu lat 60/70. Może tylko Emma Johnston miała jakiś przeblysł, pisząc (dla „Teamrock”), że w schyłkowych latach grunge’owego szaleństwa Cranberries „byli bosonogą, zwienu, odrobinę hippisowską oazą spokoju, romantycznych tęsknot »Linger« i baśniowej euforii »Dreams«, dosładowanych dziewczęcym, mocno akcentowanym śpiewem”. Oczywiście jest to kolejna jednostronna opinia, zresztą O’Riordan i jej koledzy nigdy nie mieli hippisowskiego image’u. W ogóle nikt w zespole, z wyjątkiem wokalistki, żadnym ekscentrykiem nie był. Ale i nie o stronę wizualną tu chodzi.

U Cranberries akcenty stricte psychodeliczne pojawiają się już na pierwszej płycie – *Everybody Else Is Doing It, So Why Can’t We?* – gdzie mroczne, z lekka joydivisionowe „Not Sorry” kończy dźwięk gitary nagraanej na cofającej się taśmie. To wymyślony w latach sześćdziesiątych efekt, naśladowany brzmieniem indyjskiego instrumentarium. *Backwards guitar* powraca na kolejnych albumach jeszcze kilkakrotnie, np. w zakończeniu grunge’owego „Free to Decide”, w „Pretty Eyes” i w „Conduct”, a w balladzie „Roses” stanowi istotną część aranżu. Innym popularnym zabiegiem „odrealniającym” brzmienie gitary jest użycie przystawki wah-wah – Noel Hogan z najciekawszym rezultatem korzysta z niej w songu „Yeats’ Grave”, swoją drogą mocno psychodelizującym. Wirujący rytm, śpiew balansujący pomiędzy melancholijnym ściszeniem a emocjonalnością na pograniczu krzyku, melorecytowane wstawki (cytaty z poezji W. B. Yeatsa) nadają tej piosence atmosferę z pogranicza snu i obłąd.

Tak właśnie. Nie efekty gitarowe ani triki studyjne stanowią istotę rockowej psychodelii, lecz zabiegi aranżacyjne. Co rzekłszy, znów musimy wrócić do fonograficznego debiutu Cranberries. Już w otwierającym album „I Still Do” spowolniona gra sekcji, eteryczne faktury gitarowe (jakby z San Francisco), sennie brzmiący wokół – tworzą nastrój wolno płynącego, medytacyjnego transu. Ten sam klimat psychodelicznego rozmarzenia odnajdziemy w podobnie pomyślanym „Linger” (tu wzmacnia

Różnym dziennikarzom, których płytkie i powierzchowne sądy skłoniły mnie do napisania poniższego. Yes, I'm listening.

Dlaczego trzeba pisać o The Cranberries? Czy tylko powodu tragedii, która nieodwołalnie przecięła historię zespołu?

Pokolenie, które dorastało w latach dziewięćdziesiątych, po 15 stycznia 2018 roku znalazło się być może w podobnej sytuacji, jak pokolenie lat sześćdziesiątych po 8 grudnia 1980. Dla kogo przeżyciem pokoleniowym były wydarzenia A.D. 1968, ten w ciągu następnej dekady zdążył być może trochę zaniedbać płyty The Beatles, pouracając do nich jedynie przy szczególnych okazjach. Niewykluczone, że i najnowsze dokonania artystyczne Johna Lennona śledził z mniejszą uwagą niż jego albumy z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych, nim artysta zamilkł na pięć lat. Możliwe, że dopiero ów nieszczęsny strzał przed budynkiem Dakota w Nowym Jorku zdopingował wielu do ponownego przysłuchania się paru starym płytom, do ewentualnych uzupełnień dyskograficznych i (znacznie bardziej ewentualnych) przewartościowań. To, co było częścią ich teraźniejszości, nagle stało się przeszłością. Czy już wówczas przeczuwali, że stanie się klasyką?

Autor tych słów jest w przybliżeniu rówieśnikiem czwórki z Limerick. Z ich muzyką zetknął się po raz pierwszy (banalnie: poprzez album *No Need to Argue*) jako mocno zaawansowany student polonistyki, przy tym z grubsza zaznajomiony z podstawowym kanonem klasyki rocka. Toteż nie zafascynował się młodzieńczo, lecz po dorostem docenił zespół, umieszczając go kontekście historii muzyki popularnej. Jednak po wydanej w 2001 roku płycie *Get Up and Smell the Coffee* (uważanej przez dłuższy czas za pożegnalną) praktycznie utracił kontakt z dalszymi poczynaniami muzyków The Cranberries. Odzyskał go dopiero po ukazaniu się krążka *Something Else*.

Pop-grunge-punk?!

O tym, że Cranberries nie dają się wrzucić do żadnej gotowej „szufladki” stylistycznej, najlepiej świadczą efekty takich prób. Szczególnie wyraźnie widać to w opiniach skrajnych.

Zespół bywał na przykład zaliczany do świata popu. Choćaby Wojciech Przyłipiak (w recenzji płyty *Roses* dla serwisu „Dziennik.pl” z 2012 r.) pisze, iż „Dolores i jej ekipa (...) nigdy nie udawali, że szukają nowych, alternatywnych brzmień. Chcieli być i są przebojowym poprockowym zespołem”. Przyłipiak na tej konstatacji nie poprzestał, dostrzegając bogactwo źródeł, z jakich grupa czerpała, i to mu się chwali. Wszelako od zwykłych słuchaczy nieraz słyszałem, że to „taki popowy zespół” (co w ich ustach brzmiało pejoratywnie). Pomijając, że daj nam Boże jak najwięcej „popu” na tym poziomie, o jednostronności takich zasznuflakowań świadczą spora liczba całkiem odmiennych.

Oto, powiadając czytelników internetowej wersji „The Chronicle” o śmierci Dolores O’Riordan, trójka dziennikarzy (I. Kaplan, C. Mortimer i J. Shepherd) nazywa ją „frontmanką ikonicznego irlandzkiego zespołu grunge”. Tak, i tu mowa o The Cranberries, których w stylistykę grunge’ową „ubrała” także Paris Close w serwisie „Popcrush”. Opinia to zresztą nienowa;

co więcej, niegdyś okazała się pomocna. Jak wspomina Seamie Flynn, gdy muzycy promowali – z początku bez powodzenia – swój debiutancki album, „jeździli po całej Europie, supportując Duran Duran, i nagle pojawił się ten gość, Denny Cordell, który zaczął wypychać ich płytę wszystkim akademickim stacjom radiowym w Stanach, bo widział w nich ten typ zespołu grunge, i raptem płyta poszła jak woda” (cyt. za: Jess Casey and Maria Flannery: „The Cranberries receive a Royal homecoming back to Limerick in 1993” dla internetowego wydania „Limerick Leader”, 20. 01. 2018). A tak przy okazji: dziennikarz radiowy, którego nazwiska dziś nie pomnę, w 1995 roku, prezentując przeróbkę „Close to You” Carpentersów w wykonaniu „Dolores i jej ekipy”, nazwał ich zespołem punkowym!

Niewątpliwie sporo piosenek Cranberries, poczynawszy od „Linger” i „Dreams”, ma w sobie coś z pop-rockowej estetyki (której apogeum przypadło na album *Bury the Hatchet*). Gdy idzie o grunge, w aranżu „Zombie” słychać wpływ Nirvany, zaś „Hollywood” i „Free to Decide” przywołują stylistykę Pearl Jam. Post-punkowa zadziorność daje o sobie znać choć przez chwilę niemal w każdej partii wokalne, a nierzadko i w aranżach instrumentalnych (np. „Salvation”, „I Just Shot John Lennon”, „Delilah”, „I Really Hope”). To wszakże nie jedyne źródła, z jakich zespół czerpał natchnienie, ani nie najważniejsze.

Where did you come from?

Postpunk – tak, owszem, lecz przede wszystkim nie byłoby Cranberries bez Nowej Fali. Grę sekcji rytmicznej określa w dużej mierze owa charakterystyczna motoryka riffów opartych na równych wartościach nut. Szczególnie wyraźnie słychać to w metrum parzystym, które u tego zespołu jest celowo jednostajne, z pozoru pozbawione cezury, wręcz mechaniczne. Śmiem przypuszczać, że nasi bohaterowie po prostu dużo słuchali U2 („Forever Yellow Skies” nie tylko tytułem przypomina „Bullet the Blue Sky”), chociaż... nie wykluczałbym też wpływów The Police. Element niepewności, niepokoju – a może jedynie zastanowienia? – wprowadza bowiem gra basisty Mike’a Hogana, niby to również podlegająca motoryce, jednak zawieszająca ją w subtelnych pauzach. Wrażenie to wzmagają partie perkusyjne Fergala Lawlera, zaskakujące nagłymi przejściami.

Wracając do popu: mam świadomość, że „ortodoksi” zaliczają doń wszystko, co ma chwytliwą melodię (a zarazem nie przekracza, powiedzmy, pięciu minut – bo głupio byłoby, gdyby np. King Crimson okazali się zespołem popowym!). I rzecz nie w tym nawet, iż w rezultacie za „popowe” należałoby uznać co lepsze utwory The Clash, nie mówiąc o Ramones. Nie w tym rzecz – gdyż melodyjność The Cranberries ma źródła od popu dość odległe.

Analyse

O związkach zespołu z folklorem i – szerzej – folkiem mówi się najczęściej w kontekście strony wokalne. O śpiewie O’Riordan (jak i o całym zespole) w superlatywach wypowiadał się nawet mistrz Brian Eno, chwalać ją za „seksownie nosową” i zarazem „twardą, bardzo uwodzicielską” intonację

Jarosław Nowosad > Muzyka

WSTĘP DO CRANBERROLOGII?!

Fot. https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/1/11/The_Cranberries_en_Barcelona_5.jpg

ROBERT BRYLEWSKI (1961–2018) – ODEJŚCIE LEGENDY



Robert Brylewski podczas udzielania wywiadu Grzegorzowi Trepcie (Smajli – w okularach), w mieszkającym już olkuskim klubie „Czarny Piotruś”, gdzie w końcu lat 90. Brylewski zagrał z zespołem Świat Czarownic. Fot. Olgerd Dziechciarz

3 czerwca 2018 Polska utraciła wielkiego artystę. Tego dnia na zawsze opuścił nas Robert Brylewski – kompozytor, autor tekstów, instrumentalista, wokalista; założyciel, lider lub współlider legendarnych zespołów rockowych i reggae, takich, jak Kryzys, Brygada Kryzys, Izrael, Armia, Falarek, 52UM.

Nazwać Brylewskiego „ważną częścią historii polskiej muzyki alternatywnej” – to powiedzieć o wiele za mało. On znajdował się wśród największych twórców tej historii. A jeśli dodamy, że przez dłuższy czas był jej głównym twórcą, też nie będziemy dalecy od prawdy.

Kiedy w końcu lat 70. zakładał zespół Kryzys, grający punk z wyraźną domieszką ska, była to najprawdopodobniej pierwsza polska grupa tworząca i wykonująca taką muzykę. Ich poczynania dokumentuje płyta *Kryzys* z 1981 roku, pierwotnie wydana tylko we Francji, od kilku lat dostępna u nas. Zainteresowanym szczególnie polecam najnowsze, dwupłytowe wydanie pt. *Kryzys 78–81*, uzupełnione o nagrania radiowe i koncertowe „z epoki”.

Gdy wraz z Tomaszem Lipińskim stał na czele niezapomnianej Brygady Kryzys, znów kładł podwaliny – teraz pod polski postpunk i Nową Falę. Pierwsza (i przez wiele lat jedyna studyjna) płyta tej kapeli, *Brygada Kryzys* z 1982, to być może jedna z kilku najważniejszych płyt polskiego rocka, a na pewno jedno z jego arcydzieł. Szerzej piszę o niej w ostatnim numerze „Afrontu” (przy okazji jej zeszłorocznego uznawienia przez MTJ). Tu wystarczy rzec, iż wypełnia ją kunsztowna fuzja punkowej pulsacji z kreowaniem psychodelicznej aury, wpływami free-jazzu i reggae.

Grając, nadal we dwóch z Lipińskim, roots-reggae w zespole Issiael (wkrótce przemianowanym na Izrael), także nie „załapali się na modę” – przeciwnie, polska moda na reggae w znacznie mierze zaczęła się właśnie od nich. Bez takich albumów, jak *Biada, biada, biada* i *Nabij faję*, reggae mogłoby nie stać się bodaj jedyną odmianą alternatywy, która u nas przeniknęła do popowego mainstreamu. Niezależnie od późniejszych (być może nawet bardziej oryginalnych) eksperymentów grupy DAAB z łączeniem jamajskich rytmów i melodyki polskiego folkloru, działalność Issiaela / Izraela znów była prekursorska.

Wszelkim definicjom wymyka się natomiast istniejący do dziś zespół Armia, którego wczesny skład Brylewski współtworzył m.in. z Tomaszem Budzyńskim. Była druga połowa lat 80., a styl Armii praktycznie już od pierwszych płyt (*Armia*, *Legenda*) stanowił – z pozoru niemożliwe – połączenie punk-rocka i hardcore-punka z heavy-metalem i... rockiem symfonicznym. „Niemożliwe” tym bardziej, że ledwie kilka lat wcześniej fani tych gatunków bywali ze sobą „na noże”!

„Odrodzona” we wczesnych latach 90. Brygada Kryzys wpisała się w ówczesny renesans punku i Nowej Fali. Jeśli nawet Brylewski nie był już w awangardzie, to przynajmniej bez większych trudności „dotrzymywał kroku” młodszemu pokoleniu muzyków. Świadczą o tym choćby – śladowe bo śladowe – wpływy estetyki grunge w nowych nagraniach Brygady (płyta *Cosmopolis* z 1992). Że potrafił być „na czasie”, dowodzą też – choć inaczej – jego ówczesne i późniejsze eksperymenty z muzyką elektroniczną.

Kiedy w drugiej połowie lat 90., wspólnie z innymi „wyjadaczami” sceny niezależnej, tworzył swoistą „supergrupę” Falarek Band, oczywiście już było, że nie potrzebuje nikogo gonić, z nikim się ścigać. Stanowił po prostu osobne zjawisko na mapie polskiej muzyki alternatywnej. Jeszcze wyraźniej słychać to na trzech doskonałych albumach zespołu 52UM (alias SZUM), któremu – dodajmy – współliderował olkuszanin Konrad Januszek. Bez wielkiej przesady rzec można, że 52UM był w pewnym sensie „Brygadą XXI wieku”. Zgrabnie łącząc postpunk, indie-rock i grunge (szczególnie na płycie *Stuperego* z 2010 r.) z elementami akustycznego folklu (*Intrwersja* z 2013), a nawet electro i hip-hopu (debiutancki *25UM* z 2008), tworzył syntezę równie śmiałą jak trzy dekady wcześniej, a zarazem nadawał jej niepodrabialny rys „brylewskiej” indywidualności.

Śmierć Roberta Brylewskiego zamyka ważną epokę w historii polskiej muzyki alternatywnej. Nie kończy wszakże – ufam to do głęboko! – historii polskiej alternatywy, choćby jej wpływ na masowego odbiorcę był dziś (chwilowo) mniejszy niż w latach 80. Twórczość tego niezwykłego artysty pozostaje inspirująca, zdolna otwierać uszy i wyobraźnię tak zwykłych słuchaczy, jak i nowych pokoleń muzyków. Trzeba tylko słuchać, bo jest czego!

Jest, a tym bardziej będzie. Wszelakie wznowienia, „znaleziska” i rozmaite „tributes” – zapewne przed nami... ●

Jarosław Nowosad

bagna, powodując określony skutek przybliżający nas do dna i trzech metrów mułu. Błoto zalewa usta redaktorów naczelnych, którzy także z powodu osobistego zaniechania zadeklarowane miesięczniki i kwartalniki przekształcają w chimeryczne nieregularniki. Tych, co chętnie biorą dotację na kolejny numer pisma, ale w kwestii jego promocji i dystrybucji nabierają wody w usta. Takich, co o publikującym u nich autorom robią wyłącznie łaskę, opierając się na domniemaniu, że ci drudzy żywią się wyłącznie miłością do widoku własnych słów w druku.

Głośnie stękanie, które po zaabsorbowaniu powyższych informacji ciśnie się na usta, stłumić mogą następujące pytania zasadnicze: kto i co czyta? Jeżeli, dajmy na to, spośród pięciuset dotowanych przez ministerstwo egzemplarzy pisma literackiego zwrotowi podlega trzysta pięćdziesiąt, czy warto takie pismo utrzymywać przy życiu za pomocą dotacji? Oczywiście, część nakładu rozejdzie się później przy okazji rozmaitych imprez i spotkań literackich, albo zostanie rozdana, i w ten sposób i tak trafi do czytelnika. Być może to tak właśnie powinno działać, wbrew obowiązującym tendencjom, w tym w kontrze do dogmatów rynku? Przecież także i pomoc bliźniemu nie jest w dzisiejszych czasach aż tak popularna, ale jednak czasem występuje. A co z czytelnikiem wyspecjalizowanym, którym, jak miemam, jest środowisko literackie? Ile ono może liczyć osób w całym kraju, wliczając w to poetów, krytyków literackich, animatorów spotkań autorskich i redaktorów w poszczególnych redakcjach? Tysiąc osób, tysiąc pięćset? Może znacznie mniej, na przykład pół tysiąca? Ile periodyków literackich, poeto, redaktorze, krytyku i animatorze, nie dostałeś za darmo, ale kupiłeś za własne pieniądze w ubiegłym roku? Jeśli nie my, to kto będzie je nabywał? Czytelnik? Który? Ten wyedukowany w szkole, w której nauczanie o poezji traktuje się pobieżnie i szablonowo? A może bezrobotny lub chory, chcąc umilić sobie czas oczekiwania na rejestrację do Urzędu Pracy lub lekarza, odsuwając od siebie ze wstrętem tytuły w rodzaju *Plejady Gwiazd*, *Plotek Ciotek* czy *Malowane Spod Ścianek*?

Śmiało można też skonstatować, że kondycja czasopism literackich jest emanacją środowiska. Środowiska zdeorientowanego, rozbitego na grupy, podgrupy i getta, z roku na rok coraz bardziej uzależnionego od zjawiska „nagrodyzmu”. Sezon nominacji na naszych oczach staje się sezonem „w ogóle”, nie ma tutaj żadnej alternatywy, nic co można by nazwać innym pulsem poezji. Ani spotkania autorskie, na które przychodzi sześć osób, ani nikomu szerszej nie znane festiwale lokalne, do czynnego udziału w jakich zaprasza się wyłącznie zaprzyjaźnionych poetów oraz w charakterze gościa specjalnego gwiazdę literackiego mainstreamu, która od paru ładnych lat nie musi już wizytować prowincji inaczej niż za pieniądze organizatorów.

Zgodnie z ideą wolnego rynku liczą się tylko ci, którzy potrafią marketingowo wykorzystać przyznane im laury, a dokładniej rzecz biorąc, będą umieli zdobyć je po raz kolejny i kolejny, moszcząc się na dłużej na tak zwanej „short” liście autorów rozpoznawanych przez każdą możliwą kapitułę na tym poetyckim łez padole (bez względu na jakość aktualnie ogłoszonej książki). Dobrze, że istnieją nagrody poetyckie, źle, że ich werdykty bywają niekiedy mocno dewastujące i tak już mocno zdegradowane środowisko poetów, wprowadzając ich samych w stan doraźnego rozhisteryzowania. Ale nie tylko poeci tracą rezon. Traci go również nobliwe jury kolejnych nagród literackich wcześniej gniewnie upominane o przestrzeganie parytetu, które ulega podobnej presji. O tym, że wyprodukowany pod ciśnieniem werdykt i tak jest „chromy” świadczy ponowny jego brak – tym razem na niekorzyść mężczyzn, poetek i poetów z małych wsi i miasteczek na rzecz tych z aglomeracji, młodych na rzecz starych, wegan i wegetarian na pohybel tym z chorobą alkoholową, zagryzającym ciepłą wódkę kiełbasą itp., itd. Tymczasem to przede wszystkim jakość tekstu powinna wyznaczać przestrzeń dyskursu...

Bez względu na płeć, wyznanie, czy ideologiczną przynależność sytuacja czasopism literackich, w tym kondycja związanej z nimi poniekąd na „śmierć i życie” poezji, przypomina kadry z filmu w reżyserii Darrena Aronofsky’ego *Zapaśnik*. Na przykład w scenie (i to w tym miejscu najchętniej postawiłbym znak równości – swoiste pax, pax, między poetkami i poetami – bez względu na różnice w indywidualnych poglądach na rozmaite środowiskowe schizy), w której obserwujemy spotkanie emerytów wrestlingu z fanami. Dziś to już wyłącznie zmęczeni, zrezygnowani i schorowani starcy, otoczeni pamiątkami chlubnej przeszłości, sprzedający nielicznym wielbicielom swoje zdjęcia z autografem, koszulki z wizerunkiem i kasety video z zarejestrowanymi walkami za kilka nędznych dolarów. Przysypiający nad stolikiem, na którym zalegają rozłożone fanty, w daremnym oczekiwaniu na obiecane tłumy. Wystarczy skorzystać z tego obrazu, żeby zbudować nową metaforę; podstawić w miejsce zapaśników sylwetki poetów, którzy na stolikach wystawili czasopisma literackie ze swoimi wierszami. Czy upadek gazet, w których jeszcze publikuje się artystyczne teksty, w epoce syfu i wysokiej technologii w ogóle ktoś zauważy? Najpierw z ich łamów na zawsze znikną wiersze, a zaraz po nich i same czasopisma. I tak, jedna za drugą obróć się w niebyt wszystkie rodzaje działalności człowieka nie przypisane do masowej rozrywki, reklamy bądź produkcji ●

Felieton

Niczego nie będzie

Piotr Gajda

Według wszelkich rynkowych prognoz gazety wydawane w formie papierowej przetrwają w Polsce co najwyżej przez najbliższe dziesięć lat. Czytelnicy prasy, a wraz z nimi reklamodawcy, będą odpływali szerokim strumieniem do wszechobecnego Internetu. Dołączając do powyższej prognozy wyniki badań na temat czytelnictwa, szorującą po samym dnie edukację oraz społeczeństwo nastawione przede wszystkim na prostą konsumpcję, zapowiadana apokalipsa z dużym prawdopodobieństwem dosięgnie najpierw czasopisma literackie, które znikną z rynku na zawsze, skoro już teraz ich obecność na rynku prasowym coraz bardziej przypomina ujemny przyrost naturalny.

Mojemu życiu czytelniczemu i literackiemu towarzyszył druk na papierze. Dobrze pamiętam czasy, kiedy jeszcze istniały w Polsce nie tylko miesięczniki, kwartalniki, ale także tygodniki literackie, zaś większość gazet codziennych prowadziła dział literacki lub przynajmniej pocztę literacką. Prasa, stanowiąc jedno z najbardziej wpływowych mediów, nigdy nie była przy tym uwolniona od szeroko pojętych politycznych wpływów. Nie ma też mediów, za którymi nie stałaby określona doktryna ideologiczna/estetyczna/polityczna głosząca nie jedną, ale co najmniej kilka prawd objawionych. Oczywiście, ani wtedy, ani dziś

o porządku świata nie decydowali poeci; decydujący głos miała wiodąca partia polityczna wyposażona w określony aparat represyjny. Dzisiaj o wszystkim decydują korporacyjni bankierzy, ewentualnie ministerialni urzędnicy. Oparty na ekonomii styl życia wyzwala na rynku prasowym zjawisko wymuszonej symbiozy, skoro na potrzeby określonej ideologii, bieżącej opcji politycznej lub ekonomicznego rachunku, komercjalizujące się media z jednej strony kształtują opinię publiczną na z góry ustaloną modłę, ale także dostosowują własny poziom do poziomu bezrefleksyjnej intelektualnie większości. Część dziennikarzy prasowych (wśród których występują także i redaktorzy pism publikujących literaturę) jakiś czas temu utraciła nie tylko wiarygodność, ale też przywiązanie do własnej inteligencji sądząc, że każdy zakłamany osąd lub każda próba wykreowania kolejnego autorytetu na czyjeś indywidualne zamówienie nie napotka na żaden większy opór. Na przykład uparte lansowanie konkretnego środowiska jako dominującego na poetyckiej mapie, podczas gdy nie ma ku temu żadnych merytorycznych podstaw. Albo skonkretyzowanego ideologicznie zjawiska, które projektowane jest jako to jedynie słuszne i najważniejsze w dzisiejszej poezji. Gdyby przenieść powyższe już ściśle na grunt czasopism literackich, okaże się, że i tu występują mielizny i rozległe

„odsiadki” w La Catedral, rząd zdecydował się przenieść go do innego miejsca odosobnienia.

Escobar uciekł z więzienia i zamieszkał w San Escobar. Tutaj za zarobione na kokainie miliardy dolarów wykupił niezależność tego kraju i został wybrany jego pierwszym prezydentem.

Reżyser Diego Almeida pieczołowicie rekonstruuje historię życia Escobara, tworząc z niej ciekawą opowieść. Escobar, były handlarz narkotyków, to w filmie Almeida człowiek szukający spokoju ducha, miejsca, w którym mógłby bezpiecznie dożyć starości, nie myśląc o błędach minionych lat. Takim miejscem staje się dla niego San Escobar.

Charakterystyka głównego bohatera odróżnia tę produkcję choćby od *Człowieka z blizną* Briana De Palmy. Almeida nigdzie się nie spieszy, opowiada historię powoli i z rozmysłem. Liczy się nastrój i refleksja, niezwykle istotny staje się również wątek obyczajowy. Goniąca za marzeniami aktorka Rosario (kochanka Escobara) oraz chciwy i nie znający litości jego przyjaciel Garcia zmuszają Pabla do rozważań nad jego priorytetami.

W filmie wystąpili kompletnie nieznani szerszej publiczności aktorzy, z których Gonzalo Higuain, grający rolę Escobara, ma szansę na światową karierę.

Wspomnieć należy również o sporej dawce muzyki lat 80., klimatycznych zdjęciach oraz ciekawym epizodzie z udziałem Ala Pacino, który na ekranie pojawia się w roli przegranego kryminalisty.

Film *Srebro albo ołów*, pomimo tego, że zalicza się do kina gangsterskiego, pod kilkoma względami odróżnia się od sztampowych produkcji. Tutaj nie liczy się zawrotne tempo, charyzma bohaterów, ilość przelanej krwi. Ważne jest to, że po seansie gotowi jesteśmy zadać sobie kilka pytań – o lojalność, marzenia i konsekwencje naszych czynów, które mogą ciągnąć się za nami do końca życia.

W filmie zostaje ukazana w sposób wiarygodny przemiana Escobara, który z bezużytecznego handlarza narkotyków przeistacza się na naszych oczach w narodowego bohatera, moralny wzorzec dla kolejnych pokoleń Sanescobarczyków.

4.

Ważnym dokonaniem sanescobarskiej kinematografii jest fabularyzowany dokument *Lapologne* (2010), o potomkach Polaków zamieszkujących na San Escobar. Reżyserem filmu jest Jose Maria Potocki. Trzeba bowiem wiedzieć, że związki tego kraju z Polską zaczęły się jeszcze w czasach Napoleona Bonaparte. Część żołnierzy Legii Nadduńskiej wysłano w 1801 na San Escobar, gdzie zostali zdziesiątkowani przez choroby tropikalne i walki z miejscową ludnością sprzeciwiającą się francuskiemu panowaniu. Wielu spośród legionistów nie kryło sympatii dla powstańców, za co dowódcy francuscy grozili im sądem wojennym. Kilkuset Polaków przeszło na stronę rebeliantów i pomagało w walce z Francuzami. Ślady osiadłych na San Escobar Polaków obecne są w architekturze wiejskiej oraz w muzyce tego kraju. Istnieje tam też nieduża społeczność uważająca się za potomków polskich legionistów. Społeczność ta nie posiada żadnych ksiąg, dokumentów, czy zdjęć z przeszłości. W szątkowych formach dochowały się niektóre zwyczaje, np. taniec nazywany polką, czy też zaplatanie warkoczy na słowiański sposób, nieznanym na Karaibach (wiele dziewcząt ma jasne włosy). Istnieją też powiedzenia, np. „Lá-bas en Pologne” („Tam

w Polsce”), „M-ap Fe Krakow” („robię, jak w Krakowie”, czyli bardzo porządnie), „Chajé kou Lapologn” („szarżować jak Polska”, czyli w dużej liczbie, skutecznie).

Film Jose Marii Potockiego pokazuje skomplikowane losy potomków legionistów, którzy próbują kultywować pamięć o swych przodkach i o Polsce.

5.

We wsi Los Zapiecos na świat przychodzą bliźniacy – Jose i Placebo. Są niesamowicie żarłocznymi, okrutnymi i leniwymi. Wiadomo, że nic z nich nie wyrośnie. Ponieważ nie chcą pracować – teraz, ani w przyszłości – postanawiają ukrąść złoty księżyc i go sprzedać. Na drogę wykradają matce ostatni bochenek chleba (który później zamienia się w kamień). Wkrótce wpadają w ręce złoczyńców. Gdy wyprawiają się do Eldorado, poznają pozorną wartość wszystkich skarbów. Wracają do Los Zapiecos z podkulonymi ogonami. Postanawiają, że nigdy normalnie nie będą pracować. Wpadają na pomysł, że kiedy dorosną, zostaną politykami.

To treść remake'u znanego w Polsce filmu *O dwóch takich, co ukradli księżyc* (2016). Reżyserem filmu jest Ivan Zapata. To dość zabawna komedia, która zawiera kilka śmiesznych scen, gratka dla każdego, kto jest fanem polskiego pierwowzoru. Film zagrany więcej niż poprawnie – braciom Zamorra, grającym Jose i Placebo, można uróżnić karierę nie mniejszą niż bliźniakom Kaczyńskim.

6.

Ważny nurt sanescobarskiej kinematografii stanowi kino religijne. San Escobar to obok Polski i Filipin jeden z najbardziej katolickich krajów na świecie. Nic dziwnego, że powstają tam filmy o tego typu tematyce. Najważniejsze dzieło ostatnich lat to film *Niebo* (2017) Mahmuda Al-Zahaviego, emigranta z Syrii, który był bojownikiem Państwa Islamskiego. Pod wpływem wydarzeń wojennych w Mosulu przeszedł z islamu na katolicyzm. Postanowił opowiedzieć historię swego życia, od dzieciństwa aż do nawrócenia. Kiedy omal nie zmarł od rany postrzałowej, trafił do nieba, w którym spotkał katolickiego Boga. W filmie opowiedział historie ludzi, z którymi spotkał się w zaświatach, a których nigdy wcześniej nie widział. Wspominał nawet o zdarzeniach mających miejsce jeszcze przed jego narodzinami. Zaskoczył opisami i mało znanymi szczegółami dotyczącymi nieba, dokładnie pasującymi do tego, co podaje Biblia, a o których jako wyznawca islamu nie mógł wiedzieć. Al-Zahavi powiadał z rozbrajającą dziecięcą niewinnością o spotkaniach z członkami rodziny, którzy już odeszli z tego świata.

Po przybyciu do San Escobar reżyser-debiutant zgromadził niewielkie środki, dzięki którym powstał bardzo ciekawy film ukazujący na nowo problem wiary w dzisiejszym świecie, nawiązujący do najlepszych dokonań polskiego reżysera Krzysztofa Zanussiego.

7.

Chociaż przeciętnemu Europejczykowi San Escobar kojarzy się wyłącznie z pięknymi plażami, jego kinematografia ma się nad wyraz dobrze, co udowodni Sanescobarski Festiwal Filmowy, który latem 2017 roku w Zwierzyńcu będzie gościł po raz pierwszy. Oprócz filmów czekają nas koncerty, warsztaty i spotkania z twórcami. Hasta la vista! ●

Proza

Viva San Escobar!

Zbigniew Masternak

1.

San Escobar (pełna nazwa Ludowo-Demokratyczna Republika Świętego Escobara, hiszp. República Popular Democrática de San Escobar) to państwo położone w Ameryce Środkowej.

Kraj utrzymuje się głównie z turystyki. Największą popularnością cieszą się: Playa Conamore, Playa los Paravanos (co roku na tej plaży organizowany jest San Escobar Festival de Paravanos, na którym rękodzielniczy z całego świata prezentują tradycyjne haftowane parawany plażowe), Playa Los Blondas Carinas, tor wyścigowy Tortilla oraz stolica Burrito. Przed uzyskaniem niepodległości głównym źródłem dochodów i towarem eksportowym San Escobar była kokaina, jednak dzięki współpracy z polskimi władzami udało się zmienić tę sytuację – obecnie największe dochody przynosi turystyka. Najwięcej turystów przyjeżdża z Polski, gdyż nie muszą oni ubiegać się o wizy.

2.

Tutejsza kinematografia nie ma na koncie zbyt wielu światowych sukcesów, a przeciętny zagraniczny widz prawdopodobnie nie potrafiłby wymienić ani jednego tytułu filmu wyprodukowanego w San Escobar. A jednak filmy się tutaj kręci, i to jakie!

3.

Sztandarowym dziełem sanescobarskiej kinematografii jest *Srebro albo ołów* (2012), dramat biograficzny w reżyserii Diego Almeidy, opowiadający o losach Pablo Escobara, bohatera narodowego tego niewielkiego kraju.

Film rozpoczyna się sekwencjami z ulic Medellin (Kolumbia), gdzie młodociany Escobar zaczynał karierę przestępczą jako złodziej samochodów. Następnie oglądamy bohatera, jak zaczyna handlować kokainą i przez całe lata 70. buduje potęgę swego kartelu. Trzeba wiedzieć, że w latach 80. Escobar stał się znany na świecie, a jego gang kontrolował większość narkotyków przemycanych do Meksyku, Portoryko oraz Dominikany. W tym czasie zarabiał nawet milion dolarów dziennie. Escobar przekupywał na wielką skalę urzędników rządowych, sędziów, polityków, a każdego, kogo uważał za potencjalne zagrożenie, kazał zabijać. Sam w 1983 roku został posłem kolumbijskiego kongresu. W silnie skorumpowanym kraju jego taktyka, nazywana przez niego *plata o plomo* (srebro albo ołów – a więc łapówka albo ołowiana kula), była niesamowicie skuteczna. Uważa się, że był odpowiedzialny za zabójstwo trzech kandydatów na prezydenta biorących udział w jednych wyborach!

Mimo wszystko Escobar dbał o swoje dobre imię, sponsorując stadiony piłkarskie i kluby piłkarskie dla młodzieży. Starał się stworzyć swój wizerunek jako współczesnego Robin Hooda i często rozdawał pieniądze biednym.

W 1991 roku Escobar ogłosił koniec swej krwawej działalności i oddał się w ręce rządu kolumbijskiego, aby uniknąć ekstradykcji do USA. Pozwolono mu przebywać we własnym więzieniu, luksusowej rezydencji La Catedral. Media donosiły, iż w ogóle nie przestrzegał jakiegokolwiek reżimu więziennego – widywano go często na meczach piłki nożnej. Po tym, jak gazety opublikowały zdjęcia rezydencji, twierdząc jednocześnie, że zabił kilku swoich współpracowników podczas

z niego dumny. Dziś przeklinał ten stalowy kapelusz, nosząc go jak narzucone sobie brzemię.

Nie miał innego wyjścia niż zarządzić, by już więcej nie ściągano zbroi podczas całonocnych marszów. Jakkolwiek wydawał się ów rozkaz niedorzeczny w warunkach, w których przebywali, była to słuszna decyzja, lecz podejmując ją, sam musiał się podporządkować i tak samo ponieść konsekwencje chociażby po to, by utrzymać resztki dyscypliny, dając swoją postawą przykład innym. Nie mogli czuć się bezpiecznie nawet wtedy, gdy wydawało się, że przemierzają tereny niezamieszkane przez nikogo – ziemię odbijającą po raz pierwszy ślady ludzkiej stopy. Po ostatnich zasadzkach doszedł do wniosku, że użyta przeciw jego wojsku nawet tak prymitywna broń, jaką posługiwali się tubylcy, jest na tyle zabójcza, że nie potrafią skutecznie się obronić. Wystrzelone z ukrycia dziesiątki strzał były dla nich takim samym zaskoczeniem jak dla Indian ich przybycie. Grad lecących z nieba grotów powodował nie tylko fizyczne straty w ludziach, ale wzbudzał również strach – także w nim – przed śmiercią mogącą nadejść w każdym momencie. Obawiali się jej wszyscy. W końcu nie po to tu przybyli. Dobrze, umrzeć za króla, lecz później. Nie w tej chwili! Najpierw zamierzali poznać smak obiecanych bogactw, czerpiąc przy okazji satysfakcję z trudu podjętego dla ich zdobycia.

Przypłynęli tu jako najeźdźcy. Z czasem stali się bogami w oczach tubylców. Dziwnie ubranymi, posługującymi się tajemniczą i groźną bronią. Teraz wracają jako zdemaskowani poszukiwacze złota. Okrutni – bo jedyną rozrywką w krainie o nieodkrytych jeszcze granicach było zabijanie i gwałt. Ten ostatni, z nielicznymi wyjątkami, przeradzał się w miłość za przyzwoleniem drugiej strony, a że zgodę na wspólne pożycie czasami wymuszano siłą... No cóż, byli tylko żołnierzami.

Parę dni temu musieli zacząć zabijać konie. Wprawdzie sporo z nich uciekło podczas walk ze zbuntowanymi podwładnymi i zginął jego najlepszy oficer, ale było to jedyne rozwiązanie pozwalające na ukrócenie szerzącej się dezercji i zaspokojenie głodu. Jego i tych, których zaczął doceniać, co nie stałoby się, gdyby nie zdarzenie na bagnach. Niemal co dzień otrzymywał raporty o brakujących ludziach, którzy widząc nadarżającą się okazję uciekali, kradnąc skromne zapasy jedzenia. Chcieli sami, wierząc w swoje możliwości, jak najszybciej dotrzeć do statku, opowiedzieć załodze o jego śmierci, po czym odpłynąć. Może – żałował – nie doszłoby to tego, gdyby niepotrzebnie tyle razy nie zbaczał z drogi powrotnej? Musiał jednak wykorzystać każdą możliwość, w końcu to on był przegrany. Poza tym nie mieli co jeść i te decyzje pozwalały na przetrwanie. Przynajmniej do momentu, gdy natrafiają na miejsce obfite w wodę i zwierzyne. Odcinali skórzaną elementem własnego ekwipunku i żując go, chcieli oszukać żołądek. Nie mogli jednak oszukać śmierci, która zabierała każdego, kto padał z wycieńczenia na ziemię, by z niej wię-

cej nie powstać. Wielu z nich nie pogrzebano, zostawiając na pastwę padlinożernych ptaków.

Nie znał imion żołnierzy, którzy w toczonych walkach osłaniali własną pierś jego życie. Nigdy też nie zapytał rachmistrza, kim byli. Miał zamiar zrobić to później, a na razie codziennie odsuwał od siebie okazje poznania ludzi, którym dał słowo, że powrócą szczęśliwie do domów.

Zrobił kolejny błąd. Zamiast dzielić się tym, co pozostało, on i jego oficerowie z żalu oraz wygody zachowali konie. Mendoza przed misją dał im najlepsze, jakie posiadał. Posłuszne i mające niesłychaną intuicję w rozpoznawaniu nadchodzącego zagrożenia, a przy tym mało płochliwe wobec huków wystrzałów, buńczucznych okrzyków nacierającego do ataku wojska, jęków rannych ludzi proszących o pomoc i płaczu kobiet nad zabitymi dziećmi. Teraz, siedząc na jednym z nich, widział, z jaką nienawiścią spoglądają na niego ci, którzy szli pieszo na granicy snu i jawy, potykając się o własne nogi, wlokąc ciało i walcząc z chęcią poddania się w obliczu niewzruszonej tarczy słońca ogarniającego swoim zasięgiem wszystko, co nie zostało ukryte przed jego żarem.

Po tym ostatnim wydarzeniu i tak prawdopodobnie zostałby zamordowany przez swoich żołnierzy. Zrobiliby to, gdyby poczuli się na tyle bezpiecznie, by stwierdzić, że nie potrzebują już jego protekcji oraz gwarancji powrotu do domu. Trudno było ich nazwać wojskiem. Tę zgrają budzących litość ludzi, prowadzonych przez przywódcę niczym się od nich nie różniących.

Teraz nawet złość wyzwolona przez przypływ bezradności nie miała już znaczenia. Wiedział od pewnego czasu, że umiera na syfilis. W ciągu następnych tygodni od chwili wystąpienia wrzodów, pojawiły się bóle głowy, wymioty i urojenia. Coraz mniej trzeźwo myślał i coraz rzadziej mówił z sensem. Przeblýski świadomości stawały się najczęściej mgieniami tak krótkimi, że nie potrafił już rozsądnie planować. Gorączka nie ustępowała, kark był sztywny jak drewniany pał. Ból wędrował wzdłuż kręgosłupa, powodując drganie napiętej skurczami mięśni skóry. Czuł, że traci przytomność i coraz bardziej pragnął więcej się nie obudzić.

– Señor! – krzyknął jeden z oficerów mający za zadanie pilnować go, by nie spadł z konia. – Señor! – powtórzył, nie widząc reakcji. – Przewodnik powiedział, że zbliżamy się do rzeki. Nazywa się Polouse.

Lecz generał już nie słyszał i nie otworzył więcej oczu, którymi zaczął w końcu dostrzegać to, czego nie chciał widzieć wcześniej.

Kiedy w roku 1554 Francisco Vasquez de Coronado dotarł wreszcie do granic swojego żywota, nie przypuszczał, że podaruje rdzennym mieszkańcom Ameryki skarb, którego tak usilnie szukał. ●

cudzego. Bez zastanawiania się, czy jest to słuszne, czy nie.

Jakieś pół roku temu, a może nawet więcej, bo czas przestał grać już jakąkolwiek rolę w określaniu przedziału następujących po sobie zdarzeń stanowiących nieposegregowane wycinki wspomnień tak odległych, że tworzyły tylko przeszłość powracającą w koszmarach sennych, wydarzyło się coś niespodziewanego.

Zatrzymali się na kilkudniowym postoju. Chcieli uzupełnić zapasy żywności, odpocząć po męczącej podróży i wypaść konie. Zwiadowcy donieśli, iż niedaleko, za wzgórzami znajduje się obfity w zwierzynę las i nie ma nic, co świadczyłoby, że żyją tam ludzie. Pomimo to, ze względów bezpieczeństwa, zasugerowali, by rozbić obóz na wzniesieniu, z którego był widok na ewentualne zagrożenie.

I tak zrobiono.

Ponieważ zawsze wstawał bardzo wcześnie, postanowił w ciszy śpiącego obozowiska dać się ukoić myślom o rodzinnym kraju, pochodzić po lesie przypominającym mu czasy, kiedy wraz z ojcem polował na dziki. Zabrał pierwszego napotkanego żołnierza, zaskoczonego, że nad ranem ma towarzyszyć swojemu dowódcy. Gdy dotarli na miejsce, kazał mu zostać i pilnować koni, sam zaś poszedł pieszo wzdłuż granicy puszczy. Skuszony zapachem leśnego runa, wszedł pomiędzy gęsto rosnącą roślinność, w której rozbrzmiewał śpiew budzących się ze snu ptaków ukrytych w gniazdach. Stał tak przez chwilę, podziwiając opadającą w różnych miejscach mgłę, przez którą długie łodygi trzin z przytulonymi do nich liśćmi przebijały się jak promienie słońca przez ciężkie chmury. Chcąc ujrzyć więcej, zrobił tylko jeden krok naprzód i nagle zaczął zapadać się pod ziemię. Bagno wysysało go z taką prędkością, że nie miał szans, by się uwolnić. Im dłużej się miotał, tym bardziej czuł ciężar kajdan oplatających nogi, a potem biodra. Nie mógł niczego złapać, co pozwoliłoby mu naprawić błąd, który zrobił. W odruchu człowieka walczącego o życie zaczął wołać o pomoc, nie będąc przekonany, czy ona faktycznie nadejdzie. Nie bał się śmierci, lecz świadomość, że jest wobec niej bezbronny, przerażała go. Doświadczyl podobnego uczucia, co jego ofiary, spoglądające mu prosto w oczy, gdy ginęły z nożem wbitym przez niego ze zwierzęcą satysfakcją. Patrzyły na niego i pytały:

– Dlaczego? Dlaczego decydujesz o moim istnieniu?

Miał szczęście. Żołnierz, którego pozostawił, usłyszał wołanie i pomógł mu uciec z ramion śmierci. Kiedy emocje kłębiące się w nim opadły na tyle, że znów mógł racjonalnie myśleć, zapytał o przyczynę pomocy.

– Po co to zrobiłeś? Przecież mnie nie znasz. Nie jestem nikim więcej niż twoim dowódcą i nic dla ciebie nie zrobiłem – powiedział, czekając z ciekawością na odpowiedź mogącą zaspokoić jego próżność.

– Panie, po prostu pomogłem, bo tak należało postąpić. – Ze splekanych ust człowieka naznaczonego na twarzy zmarszczkami wojennych przeżyć wydobył się łagodny głos.

– Przecież nieraz zabijałeś, więc mogłeś również pozwolić zginąć mnie, dowódcy – ostatnie słowo mocno podkreślił – którego tak nie nienawidzicie.

– Jestem prostym żołnierzem, panie. Nie zrobiłem niczego więcej niż to, co należy do moich obowiązków. Staram się nie dorównywać twojemu okrucieństwu. Nie jestem taki, jak ty – odpowiedział, nieporuszony prowokacją z jego strony.

– Więc nie wykonywałeś sumiennie rozkazów! – Podniósł głos, poirytowany refleksyjnym tonem podwładnego i tym, że nie usłyszał satysfakcjonującej odpowiedzi.

– A ty, panie, wykonałeś je wobec tego, kto cię tu wysłał? Nie wiem, kim byłeś, lecz wiem, kim teraz jesteś. Upadłeś niżej niż my. Obiecałeś i zawiodłeś nas. I nie myśł tu o tym, że nie osiągnęliśmy celu. Dałeś prawdziwe świadectwo o sobie. Jesteś złym człowiekiem, lecz nie mnie rozpatrywać twoje czyny i charakter. Ja wierzę, że moje czyny będą osądzone według tego, czego w życiu dokonałem, i być może tego, co zrobiłem teraz dla ciebie. A ty, czym dajesz dowody człowieczeństwa? – Patrzył mu czujnie prosto w oczy, szukając zrozumienia dla słów, które wypowiedział. – Powtórzę jeszcze raz: uratowałem cię, bo tak zostałem wychowany, by pomagając innym w potrzebie, nie zastanawiać się, czy jest to warte i godne poświęcenia.

Faktycznie nie znał swoich podwładnych. Myślał, że prostactwo, bijące od nich na miłę jak odór niemytego tygodniami ciała, świadczyło również o podobnym charakterze. Chciał zripostować, lecz już za blisko była jego przyboczna asysta zaniepokojona brakiem przywódcy, by móc spokojnie kontynuować rozmowę.

Po kilku dniach od pamiętnego wydarzenia szukał tego żołnierza, a później gniewał się, że nikt nie może go odnaleźć. Jakby pojawił się znikąd i zapadł pod ziemię. Prawdopodobnie umarł samotnie na owej trasie, tak dokładnie wykreślonej na mapie. Na drodze wytyczonej w osłepiającym dążeniu do jej pokonania bez względu na poniesione ofiary.

Upał doskwierał. Słońce raziło, wędrując po zniszczonych zbrojach żołnierzy, tworząc kłujące w oczy refleksy światła. Płuca pod ciężkim kirysem nie były już w stanie wziąć głębokiego oddechu i, chcąc czy nie, zacerpnąć powietrza. Odparzona skóra, zakryta pancerzem z zakurzonej blachy podkreślającej niegdyś w swych łagodnych liniach i gładkich lśniących płaszczyznach doskonałość męskiej sylwetki, wydawała niewidoczne na zewnątrz erekcje ropy z owrzodzeń. Rozprzestrzeniły się po całym ciele, tworząc gamę bólu nie do zniesienia. Spod hełmu, przez miedziane listewki łączące stal i przylegające do czoła, ciekły strużki potu, spływając do zacerwienionych ze zmęczenia oczu. Hełm był podarunkiem od ojca, który zamówił go u włoskich rzemieślników. A oni stworzyli mu kapalin o doskonałych proporcjach i misternych ornamentach, godnych zaspokojenia próżności samego nawet władcy. Kiedyś był

Proza

ZDOBYWCA

Mariusz Wieteska

Zawsze chciał stanąć przed obliczem króla, lecz nie teraz i nie w takich okolicznościach, gdy wracał do kraju z niczym. Jak mógł uwierzyć w istnienie tej legendy!? Ach... zamiast zostać i rozkoszować się objęciami kurtyzan, szukać przygód na ulicach Sewilli, która tętniła życiem, dając nieograniczoną ilość nowych wrażeń – był tutaj. Miasto rozrastało się z każdym dniem, zdobione nieustannie nowymi darami wydobywanymi ze skrzyń statków przyplływających z krain, o których nikt wcześniej nie miał pojęcia. A on – generał Francisco Vasquez de Coronado, stojący na czele oddziału konkwistadorów, wracał z goryczą do domu, upokorzony porażką, jaka go spotkała, nie odnajdując legendarnych siedmiu miast Cibola. Tyle lat... Na próżno podążał w głąb dzikiego kontynentu, omotany wizją bogactwa i darem przekonywania Marcosa. Niech go diabli! Czasami sądził, że zesłał go szatan pod postacią księdza, by zniszczyć od środka wiarę, jaką ludzie pokładali w Święte Oficjum. No, może nie wszyscy. On w nie wierzył, choć miał coraz więcej wątpliwości w słuszność głoszonej idei, do której przekonywano strachem i przemocą.

Kilka dni wcześniej myślał, że będzie musiał jednak prosić o audiencję u króla, ponieważ señor Mendoza nie zwykł się za kogokolwiek tłumaczyć. Czuł obawę przed tym spotkaniem i bał się poniżenia, jakie go spotka. Fi-

lip był introwertykiem, człowiekiem ponurego usposobienia, lubiącym upokarzać innych, gdy tylko nadarzała się ku temu sposobność. Jako gorliwy katolik, wszędzie szukał zdrady, spisku wobec Kościoła, do którego świetności przyczyniał się zdobytym majątkiem. Zamęczyłby go pytaniami o szczegóły, których po prostu nie pamiętał, ponieważ pewne sytuacje nie miały już dla niego takiego znaczenia, jak w momencie, kiedy się w nich znalazł. Teraz nie były już istotne. Cóż miałby odpowiedzieć na pytanie: dlaczego ośmielił się wrócić bez skarbu? Dlaczego nie spełnił obietnicy i zważył w sukces misji, w którą wierzył cały hiszpański dwór?

Nie mógł nawet wysłać listu oznajmującego o powrocie, bo ktoś miałby go dostarczyć? A jeśli i byłby dostarczony, kto czytałby o człowieku, który poniósł klęskę, pomimo doznanego oświecenia? Kto by go zrozumiał, gdyby opowiedział historię swoich błędów, tak licznych i prowadzących wyłącznie do okrucieństwa, że żadne odkupienie i kajanie nie mogło zapewnić mu zbawienia? Jedyne, co osiągnął, to wiedzę, że złoto nie znajduje się tam, gdzie fanatycznie go szukał. Przemierzył tysiące mil, by nauczyć się szacunku dla ludzi, którymi do tej pory pogardzał. W nich zobaczył to, czego nie posiadali równi jego stanowiska. Gotowość do poświęcenia własnego życia w obronie

List znaleziony w butelce

Mariusz Wieteska

Droga Georges,
od opuszczenia portu wiedziałem, że coś się wydarzy. Czułem to. Pogoda była paskudna i źle uróżyła naszemu rejsowi. Ale zapewniam Cię, że nasz syn Xawery jest szczęśliwy.

Mieliśmy być tydzień temu w porcie. Wciąż nie mogę wysłać listu. Nie jest to jednak możliwe. Teraz trzymam te wyznania uczuć do Ciebie głęboko schowane. Jak wszystko pójdzie dobrze, to dotrzemy do Puducherry za jakieś trzy tygodnie. Niech Bóg nad nami roztoczy opiekę, aby znowu nic się nie wydarzyło, bo to, co się stało, było okropne. Nic nie wskazywało, że będzie sztorm. Zginęło pięciu marynarzy. Zdmuchniętych przez niewidzialną rękę nocnego szaleństwa. Z przeraźliwym hukiem z nieba i przeszywającego zimnem deszczu.

Wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie.

Wiedz, że każdą wolną chwilę poświęcam Tobie i naszemu synowi. Zresztą to bardzo ambitny chłopiec. Wykonuje wszystko, co mu każę. Wydaje mu się, że jest już mężczyzną i czasami odnoszę urażenie, że gardzi moją pomocą.

Jest silny. To wiem.

Dryfujemy kolejny dzień. Wciąż naprawiane są żagle. Cieszę się jednak, że nie ma hiszpańskich okrętów – za to dziękuję Opatrzności.

Czuję, jak się za nas modlisz w opactwie Saint-Victor de Marseille. W tej małej kaplicy, gdzie sobie przyrzekliśmy. Pamiętam Twój przyspieszony oddech i pocałunek dany w biegu, z rumieńcem i chęcią ucieczki. Tak, jakby pośpiech w wypowiedzeniu słowa „tak” napędzany był wyłącznie Twoją nieśmiałością.

Taką Cię dziś właśnie widzę.

Piszę chaotycznie. Jestem zdenerwowany, a muszę być skupiony. Wyświadczone mi przysługę: mogę do Ciebie napisać ostatni raz. Pozwolono mi, choć nie jest to łatwe. Pióro w dłoni trzepocze jak skrzydła żegnających nas mew.

Po burzy morze wciąż było niespokojne. Załoga ciężko pracowała, a ja byłem na swojej wachcie. Przy sterze. Wtedy mój oficer nawigacyjny złamał regulamin. Bez przyczyny opuścił pokład i poszedł do messy. Dochodził z niej śmiech pijanych oficerów i donośny głos

kapitana. Świątowali zwycięstwo nad żywiołem.

Płynęliśmy kilkanaście mil w spokoju. Nasz syn był na wyciągnięcie ręki. Sprawdzał takielunek. Mocował linę. Gdy przyglądałem mu się z dumą, że daje sobie radę, popełniłem błąd. Zbyt mocno skręciłem i boczna fala omalże nie przewróciła okrętu. Xawery trzymał się liny, ale siła uderzenia była zbyt mocna. Jego słabe dłonie się otworzyły i wypadł za burtę. Wskoczyłem za nim do wody. Nieprzutomnego wyciągnąłem na pokład.

Ratując naszego syna, zostawiłem jednakże ster. To wielki błąd, bo statek mógłby wierzgnąć jak dziki koń i wszystkich zabić. Naraziłem całą załogę na śmierć, by uratować jednego. Teraz muszę ponieść karę.

Zamknęto mnie w celi pod pokładem. Dla mnie będzie to tylko chwila, bo wiem, co zamierzają zrobić. Nie przywiążą mnie do fokmasztu i nie schłostają. Nie poczuje soli wrzynającej się w rany i smagających promieni słońca. Wiem, co mnie czeka. Statek będzie spowalniał, a potem, gdy się zatrzyma, opuszczą kotwicę. Jeden z marynarzy, trzymając linę, przepłynie pod kilem, wyciągnie ją z drugiej strony i poda komuś na pokładzie. Kiedy będą już mieli dwa końce sznura, zwiążą mi ręce i nogi. Podniosą z powrotem kotwicę i rozwiną żagle. Później przeciągną mnie pod stępką. Wolno, bez pośpiechu, aby nie zrobić jeszcze krzywdy. Aby nie zranić i zbyt szybko nie zabić. Zanim dno statku zedrze mi skórę z pleców, a krew wokół ciała otoczy aureolą, chcę, byś wiedziała, moja Georges Nadine, o wszystkim, co czuję.

Serce mi się kołysze, a ręka drży, gdy piszę do Ciebie, moja Georges. Ten cały nieszczęśliwy list jest jednakże walką z ogromnymi falami. Niefortunną okolicznością w podróży, bo teraz płynę po tych lśniących białą grzywach wzburzonej wody, wierząc, że jeśli przeżyję, to...

wrócę.

Twój Mathieu
A.D. 1648 ●

Proza

Waleń

Łukasz Drobnik

Plaża, w tej chwili cmentarz, rozciąga się daleko w dole na tle cichego morza. Jest pełna gapiów. Roją się wszędzie, trzymając aparaty i telefony, wszystkie skierowane w jeden punkt. My siedzimy na klifie. Z torbą pełną piw, na znienawidzonym przez ciebie, zszarzałym kocu w kwiecisty wzór urządzamy piknik, który musi starczyć za stypę. Ona leży na posłaniu z piasku, brunatnych wodorostów i plastiku wyrzuconego na brzeg.

Odkąd się tu sprowadziłem, niemal do T. nie pisałem. To nie fair, ale zwyczajnie nie chciałem pamiętać. Wiem, że ma mi za złe, widzę to w jego oczach, w niepewnym ruchu silnego, włochatego ramienia, gdy podaje mi kolejną butelkę, ale nie mówi nic. Potrzeba będzie jeszcze kilku piw, nim to z siebie wykrztusi.

Na razie się śmiejemy, mówiąc o tobie, o dniu, w którym postanowiłaś wrócić do biegania i kupiłaś te okropne różowe trampki pod kolor przeciwdeszczowej kurtki. O tamtej porze roku deszcz niemal nie ustawał. T. drapie się po gęstej brodzie i kładzie rękę na dużym brzuchu powleczonego czarną bluzą. Spogląda ku chmurnemu niebu i mówi, że zanoszą się na deszcz.

Podobno była w ciąży. Tak ponoć stwierdzili w czasie przybrzeżnej sekcji. Teraz spoczywa rozplątana na piaszczystej plaży, czekając, aż ciężarówka z naczepą zabierze ją na wysypisko. T. mówi, że tak już będzie zawsze. To nigdy nie minie, nie do końca. Musimy to po prostu przyjąć jako część codzienności. Nauczyć się z tym jakoś żyć.

To kaszalot, jej szara skóra odbija błękit nieba, uciąż pokryta ręcznikami przez tych, co sądzili,

że można ją ocalić. Zmarła w ciągu kilku godzin, sprowadzona do tego, czym jest teraz: rzadkiej turystycznej atrakcji w tej ospałej wiosce. T. otwiera zębami kolejną butelkę. Zawsze, gdy tak robi, przechodzą mnie ciarki. Potem wraca do opowieści o dziewczynie, z którą zaczął się widywać, która jest cudowna i którą poznam, gdy w końcu go odwiedzę.

Nigdy nie znaleźli twojego ciała. Ktoś natknął się na twój but, ów wściekle różowy trampak, kilka mil w dół rzeki od naszego miasta, ale to tyle. Zupełnie, jakbyś się rozpuściła w zimnej, wartkiej wodzie, przeistoczyła w rzeczną pianę. Przemienienie w pianę brzmi zawsze dużo mniej strasznie niż chwytanie się wodorostów i próby złapania oddechu, i klucie igieł w głębi płuc.

Lubię myśleć, że stałaś się tą rzeką, wypełniając koryto od źródła aż po ujście, rozprzestrzeniając się dalej, w morze, w ocean, owijając Ziemię grubym płaszczem wody, a teraz śląc mi wyrzuconego na plażę wieloryba jako spóźnione pożegnanie. A może się w nią przeobraziłaś. Może to ty tam teraz leżysz, w zaawansowanej ciąży, otwarta na oścież i cała w pąklach, z jedną płetwą złamaną i zarytą w piasku.

T. patrzy na mnie i się uśmiecha. Mówi, że za mną tęsknił. Następnie zerka w dół na plażę, na dziesiątki rąk trzymających telefony, dziesiątki stóp kroczących po piasku i omijających małe kałuże, na błyski lamp. Bierze łyk, odkłada butelkę i wyciąga dłoń, by poczuć, że zaczęło mżyć. Ciężarówka nadjeżdża. ●

castingowej i o początkach ich przyjaźni, o powieści, którą Łukasz pisał, nim przerwała mu choroba, kolejnych lekach, które nie działają, zaciąganych przeze mnie kredytach, niedawnej śmierci rodziców Wojtka. Mówi, że brakuje mu zakotwiczenia, wcześniej Wrocław, przez chwilę Warszawa, teraz z kolei Kraków i zawsze to samo: nowe znajomości, nowe przyjaźnie, które się właściwie urywają, gdy wymyśli sobie, że czas wyjechać do nowego miasta. Wie, że nadejdzie taki moment, że i Kraków przestanie mu wystarczać (nie mogą odebrać wzroku od jego spękanych warg).

Ruszamy. Znowu kolej na mnie, by mówić o Łukaszu, o filmie oglądanym w kółko bez końca, o tym, że tak naprawdę strasznie go kocham, ale w tym związku czuję się jak na dnie jeziora (uszystko to mówię zupełnie obcej osobie, koleśowi, z którym całowałam się tydzień wcześniej na imprezie, kiedy przypadkiem zśliśmy razem po alkohol, z którym nie mogę mieć przecież nic wspólnego). Pokonujemy pasy i w niemym porozumieniu schodzimy po nierównych schodach nad leniwą rzekę. Skracamy, bez słowa nikniemy w cieniu mostu.

Czuję zapach wódki i drapanie szorstkiego zarostu, gdy przypiera mnie do zimnego, wilgotnego filaru. Od Wisły ciągnie ziało, pocałunki Wojtka są zachłanne i pijacko nieporadne, przygryza moją wargę, całuje podbródek, szyję, dekolt, wkłada ręce pod bluzkę, by dotykać za dużych piersi, przywiera ciałem do zbyt szerokich bioder. Zdejmuje mi na chwilę okulary i całuje w powiekę.

Gdy przyparta do lepkiej ściany dotykam go w ciemności (jego członek jest gruby i dziwnie zakrzywiony), zamykam oczy i przez sekundę widzę tylko skamielinę pierwszych parzydełkowców, superkontynent Rodinę otoczony wszechoceanem Mirowią, nitki sinic na zawsze odcisnięte w skale, ciężkie od trylobitów morza.

Otwieram oczy i znowu jestem nad Wisłą, przed sobą mamy asfaltowy, szczęśliwie pusty o tej porze bulwar, most nad głowami drży, gdy jadą samochody. Stoję na mrozie w nagle opuszczonych majtkach, a Wojtek schyla się niezgrabnie, wypinając goły tyłek do rzeki, by całować mój brzuch. Chce we mnie wejść, lecz go powstrzymuję i sięgam do rzuconej na ziemię torby.

Nurkuję dłonią i słyszę szelest. Stropiona wyciągam złożoną wpół kartkę. Odsuwam Wojtka od siebie, odchodzę na kilka kroków, niemal mimowolnie podciągając rajstopy, świecę telefonem na wygnieciony świstek. W okamgnieniu rozpoznawszy niewyraźne pismo Łukasza, zaczynam czytać kolejne wyrazy, kolejne zdania.

Mam wrażenie, że nagle znalazłam się pod wodą, a zimne rzeczy odemęty objęły mnie szczelnie i nie mogę oddychać, ich nurt jest wartki, bierze mnie w objęcia, odrywając stopy od kamienistego dna.

W końcu opamiętuję się, podnoszę torbę i bez słowa wyjaśnienia biegnę ku schodom, zostawiając pod mostem zdezorientowanego Wojtka, który podciągając bokserki, pyta, czy zrobił coś nie tak, czy coś się stało. Ignoruję go, jestem tylko biegiem, wspinaniem się po stopniach, gnaniem po betonowym moście. Jestem wdychaniem mroźnego powietrza, zmęczeniem, próbowaniem nie myśleć, co dzieje się teraz z Łukaszem, obliczaniem, w ile minut zdolał dobiec na Miodową, swobodnym spadaniem w chmurny, obojętny błękit. Nie ma we mnie nic poza absolutnym skupieniem, mknięciem u stóp ponurych kamienic na Dietla, wybieraniem w biegu numeru pogotowia, nadzieją, że nie zabraknie mi tchu.

Myślę o pokojach, niezliczonych ilościach pokoi.

V

Zerka podejrzliwie na przedramię, gdy podaję mu dwadzieścia złotych, chowam bandaż pod brzeg kurtki, reszty nie trzeba, pada śnieg, stoimy w ślepej części ulicy Miodowej, tuż pod drzewami mojej kamienicy, która wygląda równie posępnie jak kilka nocy temu, gdy inna taksówka przywiozła mnie z twoich urodzin, otwieram w końcu drzwi, zarzucam na bark przesiąkniętą szpitalnym zapachem torbę, mruczę „do widzenia”, zamykam, szperam w torbie w poszukiwaniu kluczy,

dalej ciemna klatka schodowa, skrzynka pełna ulotek, wejście na drugie piętro, szcęk zamków, wchodzę do przedpokoju i zaglądam przez uchylone drzwi do łazienki, przez drzwi balkonowe widać szarość, wanna jest sterylnie czysta, czuć chlorem i cytrynami, ani śladu rdzawego zapachu krwi,

stoję chwilę i patrzę w tę szarość, wreszcie ruszam, kładę torbę na stole w wysprzątanej jak nigdy kuchni, kroczę do sypialni, powoli, ostrożnie, jak przez morską głębinę, patrzę na materiałową szafę, zasłona jest podniesiona, widać ogołocone półki, z szafek pod telewizorem zniknęły dokumenty Joanny, przy zasłoniętym oknie, w rogach mrocznego pokoju stoją nasze biurka: moje zawałone książkami, ulubionymi płytami, pustymi opakowaniami po tych płytach, zapisanymi skrawkami papieru, a jej absolutnie puste, podobnie jak półki na ścianie, niegdyś ciężkie od słowników, podręczników do botaniki i zoologii jeszcze ze studiów, książek o wielkich wymiarianach,

chwilę chodzę po pokoju, patrzę w poszukiwaniu listu, choćby paru nabazgranych na kartce słów, wreszcie rezygnuję, siadam na krześle obrotowym, odpycham się od podłogi stopami i zaczynam powoli kręcić, prostokątne zdjęcie Jowisza cyklicznie przesuwają się przez pole widzenia, coraz wolniej i wolniej,

aż nagle wstaję, podchodzę do obrazu, zapalam nad nim zazwyczaj zgaszoną świetlówkę, robię kilka kroków do tyłu i z tej odległości patrzę w odemęty brunatnej atmosfery, i to prawie tak, jakby antyrama była oknem, ciemne mieszkanie statkiem kosmicznym, a dookoła tylko próżnia,

patrzę tak i mógłbym przysiąc, że słyszę głuchy trzask, a w szkle pojawia się rysa, biegnie pionowo w poprzek wielobarwnych smug, przez moment nie dzieje się nic, więc tylko patrzę jak urzeczony, aż wreszcie szczelina zaczyna się powiększać, z traskiem biegnąc ku górze, tworząc nowe odgałęzienia, a w końcu cała szyba pokrywa się siatką pęknięć i rozsypuje w drobiny szkła, które spadają ku powierzchni samotnej planety, a zassane powietrze, jak nurt wartkiej rzeki, bierze ze sobą pościel z łóżka, książki z biurka, doniczki z kwiatami, szuflady, w końcu także moje stopy tracą kontakt z podłożem i porwany przez powietrzny prąd, w otoczeniu wysypanej z donic ziemi i popłątanych ubrań, wpadam w objęcia kosmicznej pustki, która kradnie powietrze z płuc, otacza nagłym chłodem, bombarduje skórę deszczem śmiercionośnych promieni,

sunę ku Jowiszowi, ponure mieszkanie już daleko w tyle, jest we mnie spokój i zachwyt, gdy patrzę w wiecznie burzliwą atmosferę, gdy myślę, że za kilka sekund brak tlenu we krwi odbierze mi światłość,

ślina na języku zaczyna wrzeć. ●

że wygląda jak siostra Łukasza, a potem odbiera z jego rąk naręczce irysów. Całuje w policzek najpierw jego, potem mnie, a ja patrzę z zazdrością na jej idealnie drobny nos, wydętą kość policzkową i potem, gdy odwróciwszy się, idzie w głąb ciemnoniebieskiego przedpokojku, na barwną skórę jej pleców.

Przyszedłszy wcześniej, więc mieszkanie jest jeszcze ciche. Ewa nie pozwala nam zdjąć butów, więc tylko kładę płócienną torbę w rogu korytarza, a potem idziemy jak urzeczni za tatuażem utkany z dziesiątek różnokolorowych ptaków: sów, papug, żółto-czarnych wilg, bażantów, przypominających trzmielę kolibrów, flamingów, który rozlewa się na całe plecy, wybiega na lewe ramię. Ewa prowadzi nas do pokoju.

W starych, dwuskrzydłowych drzwiach witamy się z Kamilem – wesółkowskim współlokatorem Ewy, którego nawet ja nie potrafię nie lubić. Na jednej z imprez, bez cienia zażenowania wskazał zawieszane na ścianie zdjęcie Łukasza i wyznał, że zawsze się mu podobał, że gdyby Łukasz nie był hetero, dawno by mi go ukradł, że taki facet to skarb.

W pomieszczeniu panuje półmrok. Jedyne źródło światła jest lampa z abażurem stojąca tuż obok czarnego pianina. Beżowawy blask pada na zastawiony przekąskami stół, drewniany regał z książkami, czarno-białe zdjęcia w zakurzonych ramach (z jednego z nich zerka na mnie srogo Łukasz). W tym półmroku, przy stole z jedzeniem stoi parę przebojowych znajomych Ewy, których imion nawet nie staram się pamiętać: rośli brodacz z dużym brzuchem i koleczkiem w brui (chyba malarz), niska blondynka w oldskulowych dresach (pracuje razem z Ewą w agencji castingowej), chudy chłopak w bluzie własnego wzoru. Wszyscy, jak pod wpływem siły ciężenia, skupiają się wokół Łukasza.

W tle, w rogu kanapy siedzi niemal niezauważalna postać. Moje oczy błędzą, zerkając to na szczupłe nadgarstki, to na mięśnie opięte brunatną w tym świetle koszulą, to na ciemny, miejscami rudawy zarost, to na przerwę między jedynkami, które Wojtek odsłania w niepewnym uśmiechu.

VIII

Wyszedłem szukać ciebie, a trafiam na Joannę, uśmiełaby się, gdyby o tym wiedziała, gdyby chociaż mogła mnie dostrzec zza przeszkłonych drzwi, jak tak stoi przy kasie, wkładając do torby papryki i brokuły, ale nie, jest zbyt zajęta tym, co robi, zawsze miała problem z dostrzeganiem rzeczy z nią bezpośrednio niezwiązanych, jakby w promieniu metra wokół niej wyrastało pole siłowe, a świat za nim tracił ostrość,

choć może to przeze mnie, chyba nie była taka, nim się poznałiśmy, chciałbym poczekać tu na nią, aż zapłaci i wyjdzie ze sklepu, ale pewnie nie zechce mnie widzieć, raczej nie wybaczy mi już wiadomości, które wysyłałem po wyjściu ze szpitala, ale postoję jeszcze moment, poczekam, aż włoży resztę do portfela i ruszę dopiero, gdy odejdzie od kasy,

chyba mnie nie zauważyła, w każdym razie za mną nie woła, kiedy idę, nie odwracając się, ku ślepej części Miodowej, w stronę niegdyś naszego mieszkania, wspominam noc przed laty, gdy zobaczyłem Joannę – nieufną i bezbronną – przy barze w Alchemii, seks bez zabezpieczenia w knajpianej ubikacji, zamieszkanie razem, pierw-

sze szczęśliwe miesiące,

chcąc nie chcąc wracam myślami do dnia twoich urodzin, które zepsułem w najgorszy możliwy sposób, Joanna myślała, że śpię, a kiedy wyszła do toalety, wymknąłem się po cichu z łóżka i podszedłem do jej komputera, otwarta mapa, górzysty półwysep Gibraltaru otoczony ciemnoblękitną wodą, w zakładkach obok oferty mieszkań do wynajęcia,

nim wyszła z łazienki, na powrót zawiązałem się w kołdrę i płakałem tak, by mnie nie słyszała.

IV

W dzieciństwie miałam obsesję na punkcie prehistorycznej flory i fauny i kiedy tylko dostałam od rodziców książkę o początkach życia, świat pradaunych organizmów pochłonął mnie bez reszty.

To było jak medytacja: zaszywałam się w swoim pokoju – nieważne, że za drzwiami klócili się rodzice, nieważne, że w kłótniach wciąż padało moje imię – brałam z półki jeden z przeczytanych setki razy tomów, a potem siedziałam, wgapiając się w pozółkłe ilustracje. Miałam nieodparte wrażenie, że podobnie jak ja wtedy cofałam się o setki milionów lat, by zamieszkać wśród prekambryjskich mórz i lądów, tak kiedyś przedstawiciele innej rozumnej rasy będą się zaczytywać o ludziach, wielorybach, szczurach i innych dziwadłach, które zamieszkiwały kiedyś ich planetę. Od najmłodszych lat przeżywałam, że lada chwila Ziemię spotka zagłada, w wyniku której podzielimy los dinozaurów, gigantycznych paprotników, edikariańskiej fauny, i mimo upływu lat każdego dnia wciąż budzę się zdziwiona, że jeszcze tutaj jesteśmy.

Tymczasem jednak idę ustawiona po nierównych płytach chodnika, obok mężczyzny, o którym właściwie nic nie wiem i który w innych okolicznościach może nie zrobiłby na mnie większego wrażenia. Na wprost nas wyrasta oświetlony bładą luną Wawel, odbija się w rzece, pod stopami przejeżdżają nieliczne samochody (wtedy asfalt na moment skrzy się w świetle reflektorów), zaczyna szczyphać w policzki pierwszy w tym roku mróz.

Mam zawroty głowy, więc opieram się o niebieską, odrapaną barierkę. Wojtek podbiega i idiotycznie otacza mnie ramieniem, jakby bał się, że wypadnę; odburkuję coś na pytanie, czy wszystko w porządku; patrzę na najeżone latarniami rondo, na światła żurawi na placu budowy, to znowu na balon – już na ziemi, zgaszony.

W głowie wciąż huczy od wspomnień niedawnej imprezy. Zamknę na moment oczy i ponownie słyszę perlisty, zaraźliwy śmiech Ewy, prowadzę miałką rozmowę z którymś z jej coraz liczniejszych znajomych, zerkam na Łukasza, który opowiada doskonale mi znane anegdoty, a słuchacze patrzą na niego jak zahipnotyzowani. Znowu widzę Wojtkę, jak w pewnym momencie, z drugiego końca pokoju, rzuca mi paraliżujące spojrzenie.

Nie było nawet jedenastej, gdy Łukasz nagle zgasł. Zniknął na minutę, po czym wrócił do pokoju, by wyszeptać mi na ucho, że źle się poczuł i zamówił taksówkę. Zaczęłam się zbierać, lecz nalegał, bym została. Pocałował mnie czule w skroń i wyszedł, zostawiając z niejasnym uczuciem niepokoju wśród gwaru, barwnych ubrań, modnych fryzur, zwieszonych w powietrzu kieliszków.

Oparci o barierkę rozmawiamy od niechcenia o niedawnym przybyciu Wojtki do Krakowa, o tym, jak poznał Ewę w agencji

odległa, zbłąkana planeta,

teraz jest ranek, właściwie południe, zulekam się z antresoli i z obskurnej sypialni wychodzę do kuchni, która przy okazji robi za przedpokój, odlewam się, bolą kości, patrzę w bladą twarz w zbitym lustrze, wspominam smutne mieszkanie na Miodowej, godzinny samotności, zero uwagi, tylko to stukanie w klawiaturę, tylko to przechodzenie obok, jakby mnie tam nie było, w sekundę później już wiem, że zaraz się ubiorę, wezmę zapomniane przez ciebie okulary, a resztę dnia spędzę, blakając się po mieście i próbując cię znaleźć.

II

Niebieskie światło wypełnia długi, mroczny pokój. Ściany drżą od muzyki Wagnera. Blask pada na piec kaflowy, opięty materiałem ste-laż imitujący szafę, nasze biurka ustawione w przeciwnych kątach, na mnie przy jednym z tych biurek, na Łukasza, który wyciągnięty na parkiecie opiera się o nieposłane łóżko. Mruga rzadko, jakby nie chciał stracić ani ułamka sekundy filmu; jego jasne włosy i twarz są błękitne od kosmicznej eksplozji. Nad nim, w ogromnej antyramie ze zdjęciem Jowisza, odbija się inna monstrualna planeta.

Łukasz ma obsesję na punkcie tego filmu, ogląda go już chyba z dwudziesty raz – jak zwykle tak głośno, że nie da się myśleć; nieważne, że pracuję tuż obok, próbując zarobić na raty, jedzenie, jego leki, na to smutne mieszkanie. Nawet na mnie nie zerknie, ale za każdym razem nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten film to skierowany do mnie komunikat. Pewnie wyobraża sobie, że jest Kirsten Dunst. Jeszcze trochę, a znajdę go leżącego nago na bulwarze: będzie się pławił w świetle nocy, czekając na kosmiczny kataklizm, który spopielą całe ziemskie życie – w tym i nas dwoje.

Zaraz patrzę z czułością na to dwumetrowe, lecz jakby zwinęte w sobie ciało, na orli nos i blade dłonie, na dawno nieprany, niebieski w tej chwili dres, w którym na przemian śpi i snuje się po domu.

Film się wreszcie kończy, muzyka cichnie, lecz Łukasz ani drgnie. Siedzi, jak siedział, upatrując się w śnieżący ekran.

Staram się nie zwracać na niego uwagi i ostentacyjnie głośno stukam w klawiaturę, gdy wpisuję definicję kolejnego hasła. Nad programem do nauki angielskiego pracuję trzeci rok i boję się pomyśleć, co będzie, gdy hasła się skończą. Jestem już na shutdown, czas na papierosa, mijam telewizor, rzucając na Łukasza cień, i przez kuchnię, przedpokój, łazienkę wychodzę na absurdalnie usytuowany balkon.

Pałąc, zerkam w kwadrat białawego nieba nad kamienicznym podwórkiem, a potem w dół: na szarość betonu, biel śniegu, plastikowe kubły na śmieci, między którymi biegają z piskiem dorodne szczury. Myślę o Łukaszu, próbuję sobie przypomnieć, jaki był, zanim to wszystko się zaczęło.

Przedemną przeszklenie balkonowych drzwi, w którym odbija się niewysoka postać z papierosem. Nie mogę pojąć, co ktoś taki jak Wojtek widzi w tych zbyt szerokich biodrach, absurdalnie dużych piersiach, ciastowatych ramionach. Zastanawiam się, czy faktycznie będzie dziś wieczorem u Ewy.

Gdy wracam, telewizor jest już wyłączony, a Łukasz leży nieruchomo jak lalka, zawinięty w pościel kieruje twarz do ściany. Mruczy, że się chwilę zdrzemnie, prosi, aby obudzić go najpóźniej o szóstej. Nie ma sensu, żebyśmy robiła mu obiad, naje się na urodzinach.

Siadam przed komputerem, lecz zamiast produkować kolejne ha-

sła, zaczynam szukać mieszkań w okolicy Gibraltaru. Kawalerka tuż za hiszpańską granicą nie byłaby wiele droższa od naszej krakowskiej nory. Zwłaszcza gdybym zamieszkała w niej sama.

Otwieram w przeglądarce satelitarną mapę i niczym zjawą patrzę z wysokości setek metrów na ucinający się w połac roziskrzonego morza cypel, przeciągnięty w poprzek pas startowy, porośnięte dziką zielenią wzgórza, dachy miniaturowych budynków. Powietrze, którym oddycham, jest ciężkie od soli i wonne od wodorostów.

VII

Całując twój brzuch, myślałem o pradaowych kontynentach, to pewnie przez te pieprzki i białą skórę, która między nimi była jak ocean,

jest wiosna, miasto znowu zaczyna cuchnąć szczyną, idę na Kazimierz, bo gdzie mogłaś pójść, pewnie siedzisz w Mleczarni albo szlajasz się wzdłuż Wisły i popijasz krupnik, przeklinając moje imię, z ulicy Sebastiana wychodzę na Dietla, koszmarną jak zawsze i pełną samochodów, światła są niesynchronizowane i przejście na drugą stronę trwa wieki, idę wąskim chodnikiem, uchodzę w Brzozową, zaparkowane auta i uczniowie technikum palący papierosy,

niech pochłonie mnie ciemna uliczka Podbrzezie, nie wiem, co mam powiedzieć, jeśli ciebie znajdę, pewnie wrócimy do przerwanej kłótni, znowu powiesz, że daję ci za mało, a ja nie będę miał na to odpowiedzi, przechodzę obok zniszczonej kamienicy, na balkonie rośnie małe drzewo, mijam synagogę, a gdy opuszczam powieki, widzę barwną od tatuażu skórę.

III

Górną część pola widzenia wypełnia pas koszmarnych świątecznych iluminacji, w dole jest barierka betonowego mostu, a między nimi rozciąga się ciemna Wisła. Powierzchnia rzeki zdaje się niemal nieruchoma; odbija w sobie ciemne niebo, zawieszony sto metrów nad ziemią, podświetlony żółtym światłem balon widokowy (przez moment chciałabym móc spojrzeć na wszystko z tej perspektywy), trupi blask bożonarodzeniowych lampek.

Patrzę na Łukasza, który w tej chwili jest piękny i absurdalny, gdy siedzi niemal nieruchomo z bukietem żółtych kwiatów: ze skronią opartą o brudną szybę tramwaju próbuje zmieścić szczupłą, długie ciało w przestrzeni między krzesłkami, w to wszystko jeszcze bukiet, a jego niemal bezbarwne oczy patrzą w dal. Sięgam ręką do płóciennej torby, by się upewnić, że wciąż ofoliowana paczka prezerwatyw jest na swoim miejscu.

Kilkanaście minut później stajemy pod jedną z niskich kamienic na Różanej. Dzwoniąc do domofonu, zastanawiam się, czy będzie jak zwykle: czy kiedy zobaczymy w drzwiach Ewę, Łukasz ożywi się w jednej chwili, skomplementuje jej nową fryzurę (na pewno ma nową fryzurę), przywita się radośnie ze wszystkimi, a potem przez cały wieczór będzie sypał żartami jak z rękawa, opowiadał prze zabawne anegdoty, starał się przekonać znajomych, że tak naprawdę nic się nie dzieje.

W domofonie odzywa się radosny głos Ewy, słysząc brzęczyk, wchodzimy do środka. Dalej skrzynki pocztowe, barwne ściany, schody, białe drewniane drzwi.

Otwiera nam Ewa. Obnaża równe zęby w czarującym uśmiechu, przegarnia niedawno ścięte (a jakże!) jasne włosy, które sprawiają,

Proza

Skomplikowane przeczucie

Łukasz Drobnik

I

Powiedział, żebym sama kupiła kwiaty, że nowe leki chyba nie działają, że nie czuje się na razie na siłach, by wychodzić z łóżka, że przeprasza, ale skoro i tak muszę zrobić zakupy, to pewnie nie będzie problem, i żebym kupiła mu, gdybym była tak dobra, coś na nieznośny ból głowy.

Powietrze pachnie węglem i wilgocią. Spod warstwy wczesno-grudniowego śniegu wзира popękany asfalt. Pokrywają go namalowane białą farbą kreski – granice nierozstawionych w tej chwili straganów. Nieliczni turyści uwieczniają fragmenty tego niemiejca w pamięci telefonów: огоłocone z tynku kamienice sąsiadujące z odnowionymi elewacjami, pojazdy zaparkowane wokół nierównego krawężnika, brudną mgłę, w której nikną dachy. Gołębie walczą o okruchy zapiekane.

Patrzę na kościste, czerwone od ziąbu ręce, które wiążą w bukiet pęk żółtych kosaćców. Wyobrażam sobie drogę, którą będę musiała pokonać: ślepą część ulicy Miodowej zatkaną samochodami, wchodzenie po schodach starej kamienicy, brzęk kluczy do mieszkania. Dalej mroczną kuchnię ze stołem, na który odłożę siatki z zakupami, szklany dzban, do którego ustawię kwiaty. Łukasza, który najpewniej będzie spał w pokoju obok.

Wcześniej jednak wracam do sklepu po zapomniane tabletki. Gdy stoję wśród półek pełnych chipsów i alkoholi, obładowana siatkami, z naręczem kwiatów, a anemiczny ekspedient kasuje towar, wolną ręką niemal mimowolnie sięgam po paczkę prezerwatyw. Kładę ją na blacie, a dwudziestoletni chłopak zerka na mnie dziwnie karcąco. Zupełnie jakby znał moje zamiary.

Po drodze nogi same kierują mnie do Mleczarni. Odkładam kwiaty na stół, siatki na ławę przy ścianie i zdjąwszy zaparowane okulary, wchodzę głębiej do nagle rozmazanego wnętrza.

Zza kotary wyłania się drobna, niewyraźna postać Agnieszki, która w charakterystycznym geście poprawia spinki w jasnych włosach i – mimo że nie ma jeszcze południa – nalewa mi pierwsze piwo. Ze ścian obserwują nas licznie portrety dawno nieżyjących osób.

Szklą odparowały i wreszcie widzę Agnieszkę w całej ostrości. Na tle barwnych butelek cierpliwie słucha moich zwyczajowych narzekań na coraz gorszy stan Łukasza, na kolejny kredyt, który musiałam

zaciągnąć, na niewyobrażalnie monotonną pracę, na urodziny, na które musimy iść.

Wreszcie milknę, pytam, jak minął weekend. Gdy odpowiada, że jak zwykle w pracy, zagaduję o Natalię, o której ostatnio mówiła. Agnieszka drapie się po głowie, nerwowo chichocze i odpowiada, że przestała się odzywać po czwartej randce, ale to może dobrze, bo przy każdym spotkaniu zarażała ją ciężkim dołem.

Na to ja się włączam, że tak samo miałam z Łukaszem, że od początku powinno mi to być do myślenia, ale jak się człowiek zakocha, to wyłącza mechanizmy obronne i jest w stanie brnąć w najgorsze gówno. Jak te ślimaki, którym pasożyty każą się wspinać na szczyty traw, ku pożarciu przez ptaki. Mówię, że mam już tego dosyć, że chciałabym wziąć od tego związku urlop, pojechać wiosną na ten Gibraltar, jak zawsze marzyłam, bo od dwóch lat tylko praca, praca, zajmowanie się Łukaszem, praca.

Agnieszka słucha wytrwale, jej duże brązowe oczy są pełne zrozumienia, a miękkie jasne ramiona przywodzą na myśl ubite białko. Nalewa mi drugie piwo.

VI

W twoich oczach odbijały się małe Jowisze, było późno, mogła być trzecia, czwarta, kwas jeszcze działał, mówiłaś, że masz dość życia w zawieszeniu, że to nie może tak wyglądać,

patrzyłem to na ciebie, jak we wzburzeniu wymachiwałaś rękami, w powietrzu wisały krople śliny, to na Wielką Czerwoną Plamę za szybą antyramy, z naszej perspektywy odwieczny twór, choć to przejściowa burza, nic więcej, nie mogłem oderwać wzroku od pomarańczowego antycyklonu, to pewnie przez kwas, a ty cały czas swoje, że nie na coś takiego się pisałaś, że chyba czas zrobić rachunek zysków i strat, te twoje ekonomiczne metafory, nie dałaś mi dojść do głosu, a chciałem powiedzieć, że jesteś dla mnie najważniejsza,

zawieszona nad antygramą świetlówka rzucała na pokój blask jak w kostnicy, na odłóżką tapetę, łóżko na zniszczonej antresoli, porozręcane ubrania i papiery, przestałaś krzyczeć, zmęczona, przez boleśnie długą chwilę patrzyłaś na mnie w milczeniu, ja w końcu też oderwałem wzrok od czerwonej plamy, choć jej kolor przyciągał jak magnes, nim wyszłaś, wymamrotałaś bez sensu, że jestem jak

Zmagający się z chytrymi lisami namiętności

Otworzyłem drzwi i wpuściłem Johna do środka. Wszedł, drobiąc kroczkami, jakby bał się, że zaraz upadnie. Był błądy jak ściana, wyglądał na takiego, co zaraz zwiymiotuje ze strachu albo nadmiaru koksu.

– Co ci jest, stary? – zapytałem.

Chwyciłem go pod ramię i zaprowadziłem na krzesło przy biurku. Łóżko, wciąż nieposłane, zajmowała Luise. Nago piła wino wprost z butelki i próbowała znaleźć rym do swojego najnowszego wiersza. Kiwnąłem na nią, aby się ubrała, ale nie zareagowała. Gdy akurat nie zajmował jej orgazm, bez reszty pochłaniała ją własna poezja. Należała do grona kobiet, które dobrze mieć blisko, ale nie zbyt blisko. Pamiętałem o tym, gdy nie spotykaliśmy się przez jakiś czas, ale zapominałem od razu, gdy trafiała do mojego łóżka. Hedonistyczna i skrajnie wyzwolona, zawsze dawała się namówić na wspólną noc. Ale wyrwanie tej odrobiny przyjemności, którą mogła ci dać, wymagało sporo pracy. To żaden problem. Wydawało mi się, że mam wielkie pokłady empatii, których mógłbym użyć do tego, żeby zatrzymać ją na dłużej.

– Mój brat – wyjąkał John – skoczył z ósmego piętra.

– Dlaczego akurat z ósmego? – zapytała Luise.

Ze wszystkich pytań na świecie wybrała właśnie takie, które świadczyło o jej braku serca.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? – odpowiedział. – Może w tym mieście nie ma wyższych budynków? Co za różnica?

– Nie musisz być opryskliwy. – Luise podciągnęła kódrę pod brodę. – To, że twój brat nie żyje, nie daje ci prawa do bycia niemiłym.

John zachwiał się na krześle. Miał rozbiegany wzrok i minę kogoś, kto właśnie poważnie oberwał po głowie. Luise obchodziła go tyle, co szczekający pies. Bardziej interesowała go butelka, którą trzymała w dłoni.

– Czy mogę dostać trochę wina? – zapytał.

Nieźle naszarpałem się z Luise, zanim wyrwałem jej to, czego nie zdążyła jeszcze wypić.

– Nie dam gnojowi ani kropelki! – syczała. – To wulgarny drań! Nigdy nie widzisz, gdy ktoś nadużywa twojego zaufania, prawda? Masz to swoje miękkie serce. Nigdy nie wyciągasz konsekwencji. Jesteś do niczego! Zupełnie do niczego!

– Zamknij się, Luise – powiedziałem. Przyniosłem szklankę z kuchni, postawiłem przed Johnem i napełniłem po brzeżek.

– Przykro mi. – Poklepałem go po ramieniu, rozważając, czy nie powinienem go przytulić. – Stan był wspaniałym facetem. Jak to się stało?

John zerwał się z krzesła. Spojrzał na uchylone drzwi balkonowe. Załapałem, co chce zrobić. Objąłem go, przytulając jak dziecko. Czekając, aż przetrawi myśl o skoku i uzna, że to nie najlepszy pomysł. Zaczął płakać, a gdy zupełnie zwiotczał, posadziłem go na krześle.

Stan nie różnił się od reszty z nas. Marzyliśmy o czymś większym, chociaż dostawaliśmy dokładnie to samo, co wszyscy. Harówkę, niesatysfakcjonującą pracę, lepsze i gorsze miłości. Przesiadaliśmy w barach we własnym towarzystwie, robiliśmy się chudsi albo grub-

si, biedniejsi, a później odbijaliśmy się od dna. Kiedy myślałem o Stanie rozerwanym od uderzenia, w plastikowym worku, wiedziałem, że ja kiedyś też mogę znienawidzić własne życie. Właściwie nie byłem od tego tak daleki.

– Czy coś teraz piszesz? – zapytał

– Tak.

– Jak ci idzie?

– Nie najlepiej – odparłem zgodnie z prawdą.

– Napisz o Stanie – poprosił. – Napisz, że zabił się, kiedy jego obrazy wreszcie zaczęły się sprzedawać.

– To prawda?

Nie odpowiedział.

– Napisz. Może kiedyś będziesz jednym z tych szczęściarzy, których będą chcieli słuchać? Ktoś znajdzie opowiadanie o nim w jakimś zapomnianym pudle i pomyśli, że Stan był równym facetem, bo pisał o nim taki gość, jak ty.

– Stan był najlepszym gościem, jakiego znałem – potwierdziłem.

– Muszę iść – powiedział. Wino dodało mu pewności siebie. – Trzeba zorganizować pogrzeb.

Dwa dni spędziłem zawieszony nad laptopem, wysłuchując wy-mówek ze strony Luise (Oddałeś mu MOJE WINO! Kto pozwolił ci decydować, co zrobić z MOIM WINEM?). W przerwach od tego dostawała gwałtownych napadów namiętności, od których drętwiał mi język i traciłem czucie w palcach. Nienawisć nakręcała ją jak nic innego.

Nic nie napisałem.

Trzeciego dnia wybrałem się na pogrzeb. Gdy zakopywali Stana, zrobiłem coś dramatycznego, coś, co, jak sądziłem, sprawi przyjemność Johnowi. Wyciągnąłem z kieszeni marynarki kilka zadrukowanych kartek i rzuciłem na trumnę. Tylko my dwaj wiedzieliśmy, co to znaczy. John był mi później wdzięczny (Ten gość, mówił na stypie, ten facet, którego tu widzicie, kiedyś będzie wielkim pisarzem!), a ja uznałem to za jedno z tych kłamstw, które nie przynosi szkody.

Kilka tygodni później odwiedziliśmy dach, z którego skoczył Stan. Przechyliłem się przez gzyms i zdałem sobie sprawę, że osiem pięter to naprawdę wysoko. W jakimś kącie znaleźliśmy gołębie gniazdo, a w nim trzy jajka. Siedliśmy obok i wypiliśmy po ćwiartce whisky. W międzyczasie skorupka jednego z jaj pękła, a ze środka wyłoniła się nieopierzona główka pisklęcia.

– A niech mnie – powiedział John. – To musi coś znaczyć.

– Z pewnością – przytaknąłem.

Słońce zachodziło za budynkami, gdzieś na zamglonym od spalin horyzoncie. Przypominałem sobie, że tego dnia Luise miała do mnie przyjść z walizką wypełnioną swoimi rzeczami. Mieliśmy zamieszkać razem.

– Może pójdziemy do baru? – zapytałem.

– Chętnie. – John był gotowy pić do samego rana. Tak też zrobiliśmy.

W ten sposób skończyła się moja miłość do Luise. Kilka razy tego żałowałem, a kilka nie. Tych ostatnich było więcej. ●

zamówił, nadwyręzał jej cierpliwość. Nie czuł się z tym dobrze.

Poruszył się nerwowo i stuknął nogą w walizkę, która stała tuż przy jego prawej stopie. Pomimo, iż napakował tam kupę gratów, a przenoszenie wymagało sporo siły i samozaparcia, wołał trzymać ją blisko. Chciał mieć pewność, że żaden złodziej nie spróbuje po prostu poderwać jej i sprintem zwać, znikając za zakrętem. Mike miał słabą kondycję. Niewygodnie, ale bezpiecznie, pomyślał. Tak mawiała jego mamusia.

– Myślę, że powinniśmy zrobić kolejny krok, Su – powiedział. – Zamieszkajmy razem. Chodźmy ze sobą od pięciu lat. Najwyższy czas.

Su miała swoje własne mieszkanie, które odziedziczyła po babci: dwa pokoje, przestronna kuchnia i łazienka z wanną, wszystko pięknie odnowione. Bywało, że czuła się w nim samotnie, ale nigdy nie zdecydowała się podnając jednego z pokoi. Lubiła podjadać nocami. Upijać się winem i rzygać do kibla, płacząc nad swoim losem. Nie potrzebowała widzów. Nie potrzebowała dobrych rad. A teraz to. Mike i jego powinności. Jeżeli zamieszkają razem, będzie zaglądał jej do lodówki i wydzieliał porcje. Nigdy więcej tortu o trzeciej nad ranem, pomyślała. Nigdy więcej pizzy na śniadanie. Do tego odwiedziny jego matki, która ma w zwyczaju upadać bez zapowiedzi. Su oczami wyobraźni widziała już, jak wchodzi zaraz za Mike'm ze swoją walizką i na tydzień zajmuje kanapę, żeby pomóc w przeprowadzce. Zaplanują, kiedy zajdzie w ciążę i jakiej płci dziecko urodzi oraz powezmą plan zmierzający do tego, żeby Su znalazła sobie lepszą pracę.

Raz jeszcze podniosła filizankę, długo trzymając ją przy wargach. Mike mógł myśleć, że rozważa jego propozycję, ale ona zastanawiała się nad czymś zupełnie innym. Próbowwała przypomnieć sobie, jak to się zaczęło.

Kończył się trzeci rok studiów. Su nie cieszyła się popularnością. Chciała zostać zauważona. Zapisła się do rodzącego się na uczelni ruchu feministycznego. Obcięła włosy na krótko i zaczęła nosić się bardziej męsko. Ludzie zaczęli gadać, że teraz wszystko jasne, dlaczego nie miała żadnego faceta przez sześć semestrów. Najwyraźniej Su od pisiorków woli szparki, mówili. Ale nie mieli racji. Su nie szła na kompromisy. Mężczyźni, którzy się nią interesowali, wydawali się ćwokowaci i pozbawieni ikry. Natomiast ci, których chciałyby gościć w swoim łóżku, nawet nie spoglądali w jej stronę.

Plotki o jej lesbijstwie zadziwiającą mocno ją dotknęły. Postanowiła coś z nimi zrobić. Mike pojawił się we właściwym momencie. Pierwszorocznik, który wszedł na wydział w karmelowym sweterku, spod którego wystawała biała, odprasowana koszula. Sprawiał wrażenie zupełnie żadne. Ułożony, ze swoimi wpojonymi przez matkę zasadami, całkowicie dla Su asekualny, dlatego też seks z nim okazał się jałowy. Su równie dobrze mogłaby włożyć między nogi poduszkę i trochę się o nią pocierać.

Na początku myślała, że Mike również chce odsunąć od siebie podejrzenia o homoseksualizm. Ale w odróżnieniu od niej, naprawdę mógł być gejem. Wpychał się w nią mechanicznie i niechętnie, sztywny jak kij, jakby bał się, że zaraz straci erekcję. Miał w sobie tyle czułości, co stępiony hebel. Dopiero później zrozumiała, że taki właśnie jest. Nigdy go nie pokochała, ale on szczerze ją polubił. Przywykła do niego i nawet zadawała sobie ten trud, aby udawać, że spełnia jego prośby i liczy się z jego zdaniem. Ale teraz prosił o zbyt wiele.

Nie zrezygnuję ze swojego stylu życia dla takiego cymbała, pomyślała. Lubię dużo jeść i pić. Mam swoje dziwactwa, ale też ambicje. Jeżeli światu to nie odpowiada, to jego problem. Akurat wtedy uosobieniem całego świata był Mike, dlatego odpowiedziała mu gwałtownie i definitywnie:

– Nie ma mowy, pajacu.

Przysunęła talerz z naleśnikami ku sobie, a później pochłonęła je w mgnieniu oka, gołymi rękami. Mike w tym czasie ścisnął sztucze w dłoniach i wyglądał dość bezradnie.

– Aha. Coś jeszcze. Zrywam z tobą – dodała.

Mike nie był w stanie wydusić słowa.

Wsiadł do tramwaju numer siedem. Przejechał dziesięć przystanków, a później przesiadł się na tramwaj numer czternaście. Pokonał kolejne kilka kilometrów. Dalej z powolnie ustępującym bólem pleców czekał na przyjazd autobusu trzysta dwadzieścia jeden. Dwadzieścia minut na świeżym powietrzu sprawiło, że zmarzł, ale też odzyskał nieco sił. Mógł z mniejszym wysiłkiem wpakować walizkę do autobusu, a po trzech kwadransach wynieść ją na zewnątrz na pętlę, którą dobrze znał. Jeszcze krótki spacer i znalazł się pod drzewiami rodzinnego domu. Matka czekała na niego. Ledwo dotknął dzwonka, a drzwi się otworzyły.

– Mój mały Miki – powiedziała Kristin, obejmując go czule. – Mój kochany chłopiec. Powiedz mamusi, jak się czujesz?

Mike poczuł się bezpieczny, ale zbyt wiele urażeń w zbyt krótkim czasie pozwoliło mu wykrztusić z siebie tylko to, co zwykł mówić wszystkim wokół.

– Chciałem dla nich dobrze, mamusi – wyjaśnił. – Pragnąłem tylko, żeby uporali się ze swoimi słabościami.

– Wiem, kochany – pogłaskała go po głowie. – Jesteś dla nich za dobry. Za dobry dla tego podłego świata. Ojciec popełnił błąd, upierając się, że powinieneś zamieszkać poza domem. Tata był głupcem. Zawsze nim był. Jeżeli istnieje inne życie po tym życiu, zapewne tam, gdzie teraz jest, nadal nim pozostał. Wejść do środka. Zrobię ci herbaty, a ty możesz w międzyczasie rozgościć się w swoim dawnym pokoju.

Mike pokonał schody na piętro i otworzył drzwi do sypialni. Zobaczył swoje stare łóżko, gitarę stojącą w kącie, trochę plastikowych figurek na półkach oraz resztę gratów, które zostawił. Dom sprawiał, że czuł się bezpiecznie, ale jego pokój – on dawał mu poczucie, że jest we właściwym miejscu.

Odstawił walizkę, włączył telewizor, podpiął PlayStation i krzyżując nogi, usiadł na ziemi z padem w ręku. Odpalił jakąś starą grę, która wciąż znajdowała się we wnętrzu konsoli. Kristin przyniosła kubek z herbatą oraz kawałek drożdżowego ciasta. W powietrzu unióś się zapach malin i białej czekolady.

Mike zrozumiał. Cały ten cyrk z Johnem, Su, trudami samodzielności to była niepotrzebna, wariacka próba zmiany świata na lepsze. Nie, pomyślał, strzelając swoim wirtualnym amerykańskim karabinem do jakiegoś złego Niemca. To dla mnie za wiele. Zupełnie się do tego nie nadaje. Nigdy nie powinienem był opuszczać tego domu.

I zgodnie z tym, co powiedział, nigdy go już nie opuścił.

Wartka rzeka płynących egoistów

– Jezus też miał depresję i zobacz, jak daleko zaszedł – powiedział John.

Zaczął się, pomyślał Mike. Takie są właśnie rozmowy z ludźmi po doktoracie z kulturoznawstwa. Siedzą całymi dniami, popijając herbatę zmieszaną z twoją wódką i czytają te wszystkie niskonakładowe książki o religiach, mistycyzmie oraz zwyczajach starożytnych Greków. Uczą się łaciny, hebrajskiego, jidysz, a gdy już w ogóle walnie im na dekiel, próbują tłumaczyć Homera z greki na suahili, optymistycznie licząc, że jakieś wydawnictwo będzie chciało im za to zapłacić.

– Nie wchodźmy w to tak głęboko – powiedział. – Musisz iść do lekarza. Jesteś chory. Potrzebujesz leków.

– Jezus też miał depresję! – powtórzył John. Chwiał się na nogach od nadmiaru jaśminowej herbatki z prądem. – Posiadał większe ambicje, niż to, żeby zostać cieślą.

– Został więc synem Boga?

– To było później – dostał czkawki i dłonią przysłonił usta na dobre trzydzieści sekund. Brakowało jeszcze, żeby zrzygał się na dywan. Mike naprawdę bardzo tego nie chciał. Dywan nie należał do najczystszych, ale po tym musieliby go wyrzucić. Mieszkanie było zimne, a bez niego trzeba byłoby zasuwac po nieokrytej podłodze, więc zrobiłoby się jeszcze zimniej.

– Jezus był taki, jak ja – tłumaczył John. – Posiadał ambicję, której nie potrafił zaspokoić, to sprawiło, że upadł w dołek. Dalej były już tylko paranoje, ucieczka od własnej jaźni i całkowite unicestwienie się na krzyżu.

– Chodzi o to, że chcesz skończyć jak on? – przerwał mu.

Mike nie mógł zrozumieć, dlaczego porównanie się do Jezusa z rzekomą depresją, która ostatecznie doprowadziła do śmierci, miało przekonać go, że John nie powinien się leczyć.

– Tak. To znaczy nie. – Nie mógł się zdecydować. – Nie do końca. Istniało coś jeszcze, przed tym, co opisano w Nowym Testamencie. Jezus wyraźnie pojawia się w wieku trzydziestu trzech lat. Jak sądzę, do tego czasu toczył wewnętrzny konflikt. Zadawał sobie różne pytania, później znajdował na nie odpowiedzi.

– Wciąż w depresji?

– Dokładnie. Jakżeby inaczej – zirytował się. – Aż pewnego dnia przestał pytać i nabrał pewności. Na tym fundamencie stworzył swoją własną rzeczywistość. Przeszedł przez punkt zero. Zdobył Biegun Północny. Stał na najwyższym szczycie świata. Odnalazł w sobie siłę, aby stać się SYNEM BOŻYM. Pamiętają o nim ponad dwa tysiące lat później. Czy jest coś większego, co może zrobić człowiek?

– Może na przykład zapłacić swoją część czynszu – odparł Mike.

– Jak bardzo niczego nie rozumiesz. – John gardził taką przyziemnością. – Na początku cierpimy, ponieważ nie wiemy, kim jesteśmy. A gdy wydaje się nam, że wreszcie się określiliśmy, cierpimy jeszcze bardziej, ponieważ wciąż to podważamy. Wciąż, bez końca, dopadają nas wątpliwości. Pewność jest kluczem do wiecznego szczęścia. Jezus musiał być niesamowicie pewny tej sprawy z synem bożym, skoro dał się za to zabić. Nie sądzisz?

– Czy ja wiem... – mruknął Mike. – Dla mnie to tylko historie ze starych książek.

John dostał hysterii. Zaczął rzucać papierami (Homerem przetłumaczonym na suahili), wylał herbatkę i próbował przekonać go, że jest o krok od tego punktu pewności, ale gdy Mike zapytał, czego konkretnie będzie taki pewien, gdy go już osiągnie, nie potrafił mu odpowiedzieć. To bezczelne pytanie przełało w nim czarę goryczy i zaczął kontratakować:

– Słuchaj, cholerny maminsynku. W czym jesteś ode mnie lepszy? Robisz wszystko tylko po to, żeby zadowolić własną matkę.

– Moja mamusia to wspaniała kobieta. – Mike poczuł się urażony.

– Nie potrafisz jej odmawiać. To rozwała twój związek z Su. Naprawdę tego nie widzisz?

Mike milczał. Między nim a Su rzeczywiście nie działo się najlepiej, ale to nie przez mamusię. Gorsze momenty zdarzają się w dłuższych związkach.

– Musisz zapłacić swoją połowę czynszu, John – powiedział. – Nie chodzi o pieniądze. Stacasz się, a ja nie mogę na to patrzeć.

John uciekał się dalej. Krzyczał, darł papiery (Homera przetłumaczonego na suahili), tupał jak małe dziecko, aż wreszcie, kiedy zdał sobie sprawę, że nic tym nie wskóra, zrobił się zupełnie spokojny. Uśmiechnął się. Mike'owi przesyłał ciarki po plecach.

– A żebyś zdechł – powiedział John, a jego oczy wypełniła nienawiść. – Obyś dostał ruy kulszowej i chodził połamany wpół. Obyś ugiął się i się rozrył. OBYŚ ZDECHŁ! – wrzasnął. – TY I ONA, TWOJA WSTRĘTNA MAMUSIA!

O nie! – pomyślał Mike. Tego już za wiele. Wstał z kanapy i pierwszy raz w życiu przywalił komuś w twarz tak, że ten stracił przytomność. Oczywiście tym kimś był John. Mike wiedział, co to oznacza. Będzie musiał znaleźć sobie nowe lokum.

Od dwudziestu pięciu minut siedział na niewygodnym krześle w bistro „Oyu Cuks”. Kiedy zobaczył swoje zamówienie wychodzące z okienka, aż zamruczał z zadowolenia. Kelnerka przyniosła mu dwa naleśniki z bitą śmietaną. Siegnął po syrop klonowy. Tryskając nim po wierzchu tej góry kalorii, ukradkiem spoglądał na tyłek odchodzącej dziewczyny. Bujał się na prawo i lewo, rytmicznie jak pełzający węź. Takie tyłeczki mają dziewczyny, które lubią się ruszać. Wyobraził ją sobie w obcisłych legginsach, wyginając się na jodze w jakąś skomplikowaną figurę. Dopiero wyraźne i niecierpliwe stukanie filiżanki przypomniało mu, że jest tutaj w ważnej sprawie.

Spróbował rozluźnić się, jakby właśnie wykorzystywał swoje pół godziny przerwy w pracy, aby zjeść coś i naładować baterie. Nie udawało mu się. Między nim i Su było zbyt wiele napięcia. Siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie stolika, co chwila nerwowo unosząc filiżankę do ust. Upijała tyle, co nic. Robiła to, żeby się czymś zająć.

Su próbowała kolejnej diety. Ważyła blisko sto kilogramów przy wzroście metr siedemdziesiąt. Mike namówił ją, żeby spróbowała jeszcze raz dla dobra jej serca i całego układu krążenia. Teraz widząc, jak popija niesłodzoną kawę, uświadomił sobie, że zamawiając to, co

Ormianin odpalił konsolę, a później zachęcająco poklepał Rasiewicza po plecach, jakby namawiał nieśmiałe dziecko, aby przyłączyło się do zabawy. Oczywiście kupił go całkowicie. Ten siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i podjadał chipsy z miski, którą podstawił mu Piotrek. Myślę, że w tamtym momencie byłby skłonny uwierzyć, że zostaną najlepszymi przyjaciółmi.

Dostałem piwo, które Ormianin wyciągnął z niewielkiej lodówki ukrytej w szafie. Z braku wskazanego miejsca usiadłem na łóżku. Piotrek rozsiadł się na krześle. Otworzył książkę i zaczął czytać. Przez pół godziny słuchałem, jak Rasiewicz strzela kolejne gole albo je traci.

Zrozumiałem, że czekamy tu na audycję. Takie rzeczy, jak granie ciszą, dawanie czasu na wyciągnięcie wniosków, odwołanie Ojca Chrzestnego z całą tą pogardą i uprzejmością zarazem, to nigdy nie robiło mi dobrze. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, a wtedy Ormianin z trzaskiem zamknął książkę i powiedział:

– Postrzelajmy.

Otworzył szafę, a później wyciągnął czarne, oprawione w skórę pudełko. Górna jego część podnosiła się na zawiasach. W środku znajdował się pistolet. Broń i magazynek umieszczono w specjalnie wyciętych otworach, w sztywnej, szarej piance.

Nie wygląda mi to na pudełko po butach, pomyślałem.

Ormianin złożył sprzęt w całość. Później pociągnął zamek, umieszczając kulę w komorze.

– Rasiewicz, może strzelisz pierwszy? – zapytał. – No dawaj, to świetna zabawa.

Rasiewicz niechętnie oderwał się od konsoli. Piotrek otworzył okno. Na kawałku trawnika za domem stało kilka rzeźb z białego kamienia. Nic szczególnie interesującego. Popiersie jakiegoś faceta, chart wyprężony w biegu, goła babeczka z przerzuconym przez ramię kawałkiem płótna.

– Będziemy strzelać do nich – powiedział Ormianin. – Ale najpierw pokażę wam, jak to robić.

Kazał Rasiewiczowi wyciągnąć ręce przed siebie i stanąć w rozkroku, jednak nie dał mu broni do ręki. Wciąż trzymał ją w dłoni. Przyjrzał się postawie tego wysokiego blondyna, który z należnym sobie urokiem osobistym, nawet nie starał się dobrze wyglądać w wymuszonej pozycji. Piotrek pokiwał głową.

– Nie, lepiej wystaw jedną nogę do przodu – nakazał.

Zrobił, jak mu powiedziano. Usłyszeliśmy wystrzał, a ze stopy Rasiewicza trysnęła krew.

We dwóch narobiliśmy sporo hałasu. Jakiś umięśniony gość upadł do pokoju, przestraszył się, wybiegł, wrócił z kolegą i zabrali Rasiewicza na założenie opatrunku.

Co stało się po drodze do szpitala, nikt się nigdy nie dowiedział, ale chłopak po zdarzeniu doznał objawienia. Zmienił się w pilnego, analitycznego studenta, który nigdy nie robi niczego pochopnie i dużo myśli o własnej przyszłości. Ten uszczerbek dodał mu rozum. Skończył medycynę, później specjalizację z laryngologii i dziesięć lat później mój przygłuchy dziadek był jednym z jego pierwszych pacjentów.

– Co za nieszcześliwy wypadek – powiedział Ormianin. Był spokojny jak śpiące dziecko. – Tak się czasami zdarza.

Jasne, niezły mi wypadek. Wypaliłeś prosto w jego nogę, ponieważ tego chciałeś, pomyślałem. Szybko do mnie dotarło, że jeżeli

zechce, może upakować mi cały magazynek w głowę. Zbiegnie się więcej podejrzanym facetów, zabiorą mnie i zakopią w ogródku. Nikt się nie dowie.

– Postrzelajmy – dodał. – Teraz twoja kolej.

Zrobiłem się mokry od potu. Ściekał mi z czoła, spływał do oczu, ale postanowiłem go nie ocierać. Wydawało mi się, że okazałbym słabość, otwarcie przyznał do strachu, a wtedy ze wszystkiego, co miałem, została mi tylko duma.

Wyciągnąłem dłoń po pistolet. Przez chwilę spoglądaliśmy sobie w oczy. Ormianin nie okazywał żadnego wzburzenia. Uśmiechnął się i podał mi broń. Wycelowałem w ciemność za oknem i wypaliłem dwa razy. Cieszyłem się, gdy oddawałem jej ciężar.

– Fajnie, co? – Piotrek wyciągnął magazynek. Pociągnął za zamek, a kula wyskoczyła z komory i upadła na łóżko. – Strzelanie to świetna zabawa.

Na ulicę wyszedłem na miękkich nogach. Później żałowałem, że nie skierowałem lufy w trawnik. Pociski poleciały w zabudowania. Cztery dni przeżyłem w niepewności. Dopiero, gdy przejrzałem lokalny tygodnik i nie znalazłem uzmiarki o niewyjaśnionym postrzale, odzyskałem spokój ducha.

Szedłem przed siebie, chłodne wieczorne powietrze trochę mnie otrzeźwiło. Próbowiałem poukładać sobie w głowie, co też właściwie się wydarzyło. Doszedłem do wniosku, że nasz, mój i Rasiewicza, prosty świat licealistów przeciął się z innym, głębszym światem, którego nie byliśmy w stanie zrozumieć.

Przypominałem sobie, jak ciemnego ponurego dnia minionej zimy – zaraz po tym, gdy Ormianin pojawił się w naszym życiu – odbył się jeden z tych szkolnych, nudnych apeli na czyjaś cześć. Piotrek siedział na szerokim parapecie i tak jak my czekał, aż cały ten cyrk się skończy. Po dwóch godzinach, na długiej przerwie, zaczęto rozbierać podest oraz składać sprzęt grający. Ormianin podszedł do keyboardu, wciąż podłączonego do prądu i zaczął grać. Grał Beethovena tak lekko, jak chodźiarz chodzi albo ptak lata. Nikt nie próbował mu przeszkodzić. To był moment na jego pieśń, a jego pieśń była tak pewna siebie, że wszyscy zamilkli. Nie spieszył się. Właśnie na to liczył, ponieważ był facetem, który lubił robić wrażenie. Uważał, że świat istnieje dla niego, a nie odwrotnie.

Ormianin tamtego wieczoru wciskał w nas klawisze, jakbyśmy byli instrumentami. Cóż to była za melodia, coś za występ! Tak jednoznaczny, wzruszający, że po dziś dzień nie wiem, czy powinienem za niego podziękować, czy może wręcz przeciwnie – poprzysiąc zemstę.

Wsiadłem do autobusu. W tyle, na ostatnich miejscach kilku chłopaków piło i próbowało zaimponować jakimś dziewczynom. Ruszyłem ku nim, a gdy wszyscy patrzyli na mnie, powiedziałem:

– Dajcie mi piwo.

Umilkli. Gapili się, jakbym spadł z nieba. Ja nie marnowałem swojego spojrzenia. Wiedziałem, komu muszę patrzeć w oczy. Największy, najbardziej tępy z nich roześmiał się i podał mi butelkę.

Ormianie, pomyślałem. Pewność siebie, co? To naprawdę działa.

Usiadłem i w spokoju wypilem swoje piwo. Było tanie i ciepłe, ale wystarczająco mocne, aby mnie uspokoić.

Ormiańska piosenka dla zadziornych chłopczyków

– On jest Ormianinem – powiedziałem.
 – A nie Żydem? – Rasiewicz zdziwił się.
 – Nie zauważyłeś, że nosi sygnety? Do tego ma proste, ciemne włosy i fryzurę nie z tej epoki.

– I jak ma to świadczyć o tym, że nie jest Żydem? – Rasiewicz podrapał się po głowie. Był blondynem z prawie niewidocznym zarostem. Wysokie czoło, niezłe umięśniony, do tego posiadał kilka innych cech, które można by nazwać miarą pierwszorzędnej genetyki. Jednak w jego ruchach, w tym, jak pocierał brodę, drapał się po głowie, chodził, w tym odnajdywałem coś z zachowania typowego dla tłuka.

– Jego stary na dwunaste urodziny kupił mu pistolet. Trzyma go pod łóżkiem w pudełku po butach – dodałem. – Jest Ormianinem. Jestem tego pewien.

– Próbujesz powiedzieć, że Żydzi nie trzymają broni w domach? A Mosad? – zapytał, pełny pewności, że znalazł argument nie do obalenia. Oczywiście nic z tego nie rozumiałem.

– Co z Mosadem? – dopytywałem.

– Sami Żydzi. Każdy z nich ma spluwę, to pewne.

Nadażenie za Rasiewiczem zajęło mi chwilę. Zrozumiałem, że w najlepszym razie skończy się na absurdalnej wymianie zdań, w najgorszym doprowadzi mnie do skrajnego zdenerwowania i przywałę mu w jego pusty łeb.

– Czy ty wiesz, kim jest jego ojciec? – Chciałem to zakończyć. Musiał go znać. Było o nim głośno w kontekście lokalnych porachunków, pomiędzy tymi, których można by nazwać biznesmenami oraz tymi, którzy byli trochę ponad to. Facet przejął więcej niż połowę knajp w mieście. Jedną z nich nazywała się „Ormiańska”.

– No, kim? – rzucił. Już miałem przechylić się przez ławkę i rąbnąć go w czubek głowy, kiedy do sali wszedł ten, o którym rozmawialiśmy.

– Od teraz, ani słowa o jego pochodzeniu – szepnąłem. – Rasiewicz, ostrzegam cię. Doigrasz się.

Idiotci nigdy nie słuchają rad. Może dlatego są idiotami?

– Hej, Piotrek! – krzyknął do Ormianina. – Kim ty jesteś? No wiesz, gdzie urodził się twój ojciec i dziadek? Raczej nie w Polsce, co?

Czułem obawę przed zadawaniem mu bezpośrednich pytań. Nie dlatego, że był synem gangstera. To nie musiało oznaczać, iż jest równie twardy, jak on. Można mieć starego, który będzie jak Rambo, a i tak, jeżeli nie wykażesz się charakterem, będą tobą pomiatać. Historia Ormianina miała swoje niejasne i przez to niepokojące akapity.

Dołączył do nas w trzeciej klasie liceum. Do tego prawie w połowie roku. Nie wiem, ile reguł trzeba było nagiąć, żeby odwalić coś podobnego. Pewnego dnia po prostu usiadł w jednej z ławek i tak już został. Dzwonił swoimi sygnetami (ciągle dyskutowaliśmy, czy są ze złota, a może z tombaku?), pilnował własnego nosa, a gdy ktoś odważył się zadać mu pytanie, odpowiadał nieśpiesznie, uprzejmie, odrobinę pretensjonalnie. Nadstawiał ucho do każdego słowa, a one płynęły leniwie i niebezpiecznie. Jakbym patrzył w zwolnionym tempie na taśmę przechodzącą przez strzelający karabin maszynowy.

Zawsze nosił dresy, co w pierwszej dekadzie dwudziestego pieru-

szego wieku było całkiem powszechne; latem białe, jesienią i zimą w ciemnych kolorach. Zawsze za duże o rozmiar lub dwa. Jakiś czas po tym, gdy się pojawił, czytałem książkę o wojnie w Zatoce Perskiej. Było tam sporo fotografii miejscowej ludności. W niedopasowanych dresach przypominał tamtejszych mężczyzn ubranych w luźne tradycyjne szaty zwane khandura. Może to tylko moja wyobraźnia podsunęła mi to skojarzenie. Ormianin wiercił mi dziurę w głowie. Miał w sobie energię, z którą wcześniej nigdy się nie spotkałem. Wzbudzał moje niesprecyzowane obawy, ale i ciekawość. Przez to mogłem chcieć znaleźć więcej, niż rzeczywistość w nim było.

– Chyba nie mówisz tego poważnie, Rasiewicz? – odparł. Wyprężył się i zaraz rozluźnił, próbując ukryć, że pytanie go dotknęło. Klasa była pełna. Z pewnością zauważył kilka ukradkowych uśmiechów. Wyrwa w jego nieskalanym wizerunku tego, z którego się nie kpi. Przez ułamek sekundy wydawał się wściekły, ale to znikło równie szybko, jak znika trywialna myśl przerywana przez niespodziewane wydarzenie.

Wstał ze swojego miejsca. Podeszedł do nas i usiadł obok mnie.

– Przyjdźcie do mnie dziś wieczorem – powiedział. – Przekonacie się, czy rzeczywistość mam ten pistolet – spojrzał na mnie wystarczająco wymownie, żebym poczuł dyskomfort plotkarza przyłapanego na gorącym uczynku – o którym wszyscy mówią.

Zaskoczył nas. Rasiewicz zaczął robić głupie miny. Wyglądał jak małpa główkująca nad równaniem różniczkowym, czyli pajacowato, jak zawsze.

– Pogramy też na konsoli – dodał. – Powinniśmy się zaprzyjaźnić. Jesteście, chłopaki, w porządku.

– Skoro tak – powiedziałem bez przekonania – przyjdziemy.

Dom Ormianina znajdował się na przedmieściach. Zamojszczyzna nie była wtedy najbogatszym rejonem. Wszędzie stały kwadratowe domy oraz nieciekawe piętrowe bloki. O ile Stare Miasto w Zamościu wyglądało i nadal wygląda wspaniale, o tyle przedmieścia dziesięć lat temu estetycznie pozostawiały wiele do życzenia.

Piotrek mieszkał w dwupiętrowej willi z kolumnami. Trudno w to uwierzyć, ale do budynku dostawiono nawet strzelistą wieżyczkę. Projekt cechowała cygańska fantazja, wymieszana z niezdrową fascynacją gotykiem.

– Nie może być – powiedział Rasiewicz, wchodząc do przestronnego hallu. – Podłoga z kamienia!

Kamienna podłoga, granitowe schody na piętro, trochę złotych dodatków i fikuśnych francuskich mebelków, to wszystko sprawiało wrażenie, jakbyśmy znaleźli się gdzieś, gdzie nie ma rzeczy niemożliwych. Dom wyraźnie mówił nam, że jego właściciel nie musi liczyć się z pieniędzmi i może robić wszystko, na co ma ochotę.

Dlatego zaskoczyła mnie powściągliwość w wystroju pokoju, do którego wprowadził nas Piotrek. Proste łóżko, biurko, jedna komoda, na niej telewizor i szafa wmontowana w ścianę. Tylko drewniana podłoga w oliwkowym kolorze jakiegoś egzotycznego drzewa przypominała nam, że nadal jesteśmy w pokręconej architektonicznej fantazji.

Wyglądał okropnie. Z nóg ciekła mu krew, koszulka nasiąkała juchą. Cięcia wyglądały na głębokie, rany delikatnie opuchły, ale ciągle krwawiły, tworząc zacieki na łydkach i plamy na plecach.

– Nie odpuszczę mu tego. Nie wiem jak, ale sprawię, że będzie cierpiał – powiedział Generał i brzmiał przy tym śmiertelnie poważnie. Jak wtedy, gdy po przypalaniu pogrzebaczem poprzysiągł zemstę swojemu bratu.

Dwa dni później, około dwudziestej drugiej puścił mi strzałkę na telefon, co oznaczało, że czeka na mnie pod balkonem schowany w krzaku bukszpanu. Nadszedł czas zemsty.

Pomyślałem o Nahoniu i jego kotach. Moja matka też trzymała koty. Były uległe, przyjacielskie i niespropokowane niezdolne do ataku. Zupełnie jak ona sama. Jak to możliwe, że on miał ich dziesięć i wszystkie były zwyrodniałe?

Pokonałem balustradę, a później zszedłem po kratce, po której piał się bluszcz. Moi rodzice nie należeli do podejrzliwych. Mogłem zniknąć na pół nocy i nawet by tego nie zauważyli. Ale czy w zaufaniu do własnego dziecka jest coś złego, nawet jeśli go czasami nadużywa? Generał miał nadopiekuńczą matkę i ojca, który nie pozwalał mu się wyśrać bez pozwolenia, i jak na tym z bratem wyszli?

Generał wygrzebał się z krzaków, w rękę trzymał torbę z kocią karmą. Pomachał nią zadowolony, mówiąc:

– Najlepsza, jaką udało mi się znaleźć. Wydałem całe kieszonkowe.

Kiedy zauważył, że nie rozumiem, szybko dodał:

– Nasączona trutką na szczury. Wlałem dwie butelki.

Teraz to nabrało sensu.

– Wiesz, że u mnie z łazienki widać podwórko Nahonia? Jego koty są jak osobista straż. Kiedy z podwórka przenosi się do domu, wchodzi za nim. Nie wychodzą na zewnątrz, aż do następnego ranka. To będzie proste. Bardzo proste.

Nie byłem przekonany, czy to koty powinny oberwać za to, co wydarzyło się dwa dni temu. Myślę, że Generał też rozumiał, że stały się takie pod opieką Nahonia. Ale ta cała sprawa z przypalaniem pogrzebaczem czegoś nas nauczyła. Nie był to bezpośredni przekaz. Mieliśmy po trzynaście lat i mózgi niezdolne, aby wiadomość dotarła do nas świadomie. To siedziało w nas głęboko, ukryte przed zrozumieniem, i z tego ukrycia kierowało naszymi rękami. Robiliśmy to podświadomie.

Brat Generała nie miał nic do niego. Nienawidził swojego ojca, który trzymał go na krótkiej smyczy, tak krótkiej, że ten się na niej dusił. Co więcej, facet uważał to za powód do dumy. Stosował surowość i strach, ponieważ nic nie przerażało go bardziej od tego, że jego chłopaki wyrosną na złych ludzi. Brat Generała to wiedział. Użył go jako narzędzia, aby zranić ojca. Żaden, nawet najcelniejszy cios w podbródek nie mógł zranić starego bardziej niż to, co się stało. Nahoń kochał swoje koty. Pewnie wolałby, aby

odrabiano mu nogę, byleby tylko nie patrzeć, jak wszystkie leżą martwe. My to wiedzieliśmy. Coś mrocznego i podłego, co zagnieździło się w nas, powiedziało nam, co mamy robić.

Przeskoczyliśmy płot. Na palcach podszedłem pod okno, z którego wydobywało się światło. Przykleiłem się do ściany i jednym okiem zerkalem do środka, aby móc w razie potrzeby ostrzec Generała, że Nahoń coś podejrzewa. Generał w tym czasie, w kępach trawy chował porcje zatrutej karmy.

Wewnątrz pokoju znajdował się fotel zwrócony bokiem do mnie, telewizor i trochę mebli w złym stanie. Wokół fotela stały butelki z piwem. Większość była pusta. Sygnał telewizyjny był słaby. Głównie biały szum przerywany kilkusekundowymi, zniekształconymi fragmentami jakiegoś kiepskiego filmu. Koty spały rozłożone po kątach. Tylko jeden kręcił się pod nogami Nahonia, próbując wskoczyć mu na kolana. Mężczyzna podniósł go i ułożył sobie na udach. Kiedy ten zaczął się do niego łąsić, tuląc do jego klatki piersiowej i szyi, Nahoń rozplakał się. Łkał jak małe dziecko.

Ścisnęło mnie w gardle. Zrozumiałem, że tam w środku siedzi człowiek, którego nie można było nazwać dobrym. Ale zostało w nim trochę wrażliwego serca. Potrafił cierpieć. Spojrzałem na Generała, który właśnie kończył rozkładać karmę. Uświadomiłem sobie, że robimy coś niewspółmiernie podłego. To za dużo, w zamian za kilka ran, po których za tydzień nie będzie śladu. Ale było już za późno.

Wspięliśmy się na płot i na moment zastygliśmy na jego szczycie. Nocy była bezchmurna. Blade światło księżyca oświetlało nasze twarze. Generał zadowolony uśmiechał się. Moją twarz napięły wyrzuty sumienia i strach. Nie mogłem wiedzieć, że następnego dnia wydarzy się coś niespodziewanego.

Kiedy z samego rana przyszliśmy na boisko, zobaczyliśmy, że Nahoń przechadza się z po podwórzu z płóciennym workiem w ręce i zbiera do niego włochoate, martwe stworzenia z długimi ogonami. Śmiał się przy tym jak szaleńiec. Uniósł jedno z tych stworzeń nad głowę i rzucił nam triumfalne spojrzenie. Trzymał w ręku wielkiego szczura. W trawie leżało ich kilkanaście, martwych i zesztyniałych. Koty z obrzydzeniem przemykały pomiędzy nimi. Być może czuły śmierć, która przeszła im koło nosa.

Poczułem ulgę. Generał zacisnął pięści i krzyknął:

– NAHOŃ, TY STARY CHUJU! CHODŹ TUTAJ, A SKOPIĘ CI DUPE!

Generał nie wiedział, co mówi. Wściekłość odebrała mu rozum. Nahoń zabiłby nas obu jednym ciosem. On to wiedział. Dlatego zbierał szczury i rechotał, śmiał się do rozpuku. Być może domyślał się czegoś jeszcze, czego my nie mogliśmy przewidzieć.

Tego, że za kilkanaście lat będziemy na dobrej drodze, aby stać się takimi jak on.

Proza

Mateusz Skrzyński

Akt na dziesięć wściekłych kotów i kilku niegodziwców

Futbolówka przeleciała przez płot, upadając w dawno niekoszoną trawę. Zrobiła się z tego mała awantura.

Sprawa z graniem w nogę zaczęła się, gdy wpadliśmy na to, że ręczną piłą mojego ojca możemy ściąć kilka niegrubych brzošek z pobliskiego zagajnika, a później z ich pni zrobić bramki. Wykorzystując kawałek nieużytku między posesjami naszych rodziców, mogliśmy mieć własne boisko. Na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło przeskoczyć przez płot.

Postawiliśmy te bramki, zaznaczyliśmy rogi, wypaliliśmy pestycydem linie i zaczęło się. Był piątnasty czerwca, mieliśmy wolne, rozgrywaliśmy pierwszy mecz tego popołudnia, a Generał przywalił w piłkę z taką siłą, że przeżybowała dobre pięćdziesiąt metrów, przeleciała przez płot i wpadła w kępę trawy. Tego płotu nie stawiał żaden z naszych ojców. Tam, na zaniedbanym kawałku ziemi, samotnie mieszkał Jerzy Nahoń. Nigdy nie spłodził dzieci, chociaż ciągle kręciły się u niego różne farbowane kurwy. Dał sobie spokój z zakładaniem rodziny, trzymał za to koty. Zebrał ich około dziesięciu. Każdy – skurwysyn. Skradały się w wysokiej trawie, gotowe ukatrupić każde żyjątko. Gdy brakowało im ofiar, walczyły między sobą. Podobno Nahoń karmił je wyłącznie mieszanką masła i smalcu, dlatego były takie wielkie i popierdolone. Ich charakterzy odbijały się w ich wyglądzie. Brakowało im futra, uszu albo oczu, nosiły blizny i machały połamanymi ogonami. Ten z nas, który przeskoczy przez płot Nahonia, będzie musiał urządzić sobie spacer między tymi spasionymi kulami czającej się i syczącej furii.

– Co z tobą nie tak?! – krzyknąłem. Piłka należała do mnie. Ojciec urwałby mi głowę, gdybym powiedział, że przepadła.

Generał włożył ręce w kieszenie krótkich spodenek, splunął na ziemię, a później butem zasypał ślinę odrobiną piachu. Był w kłopotcie. Uważał mnie za przyjaciela, ponieważ to ja sprawiłem, że stał się Generałem.

Po tym, kiedy jego starszy brat rozgrzanym pogrzbaczem wypalił mu na ramionach po trzy kreski (koniec końców zamknęli go za to w poprawczaku), to ja, żeby podnieść go na duchu, powiedziałem, że teraz wygląda jak oficer z pagonami. W jednej chwili z ofiary stał się wojownikiem, który przeszedł swoją niełatwą próbę inicjacji.

– Kurwa, Mati, przecież to nie było specjalnie – powiedział. – Chciałem strzałem wystraszyć Adama. Trudno go ominąć, gdy stoi na bramce.

Na samym początku dwudziestego pierwszego wieku dzieciaki rzadko bywały grube. Mieliśmy po trzynaście lat, każdy z nas był wysoki i chudy jak chorągiewka. Adam ważył blisko sto kilogramów. Było z nim coś nie tak. Nie zastanawialiśmy się zbytnio, co mogło mu dolegać. Chodził ospały, niewiele mówił, a swoje życie dzielił między onanizm i stanie na bramce. Mógł spuścić się patrząc na kalafior. Nigdy nie miał dość. Pewnie urodził się z jakimś downem, ale na pierwszy rzut oka nie było tego widać.

Generał podszedł bliżej płotu. Przed domem znajdowała się ławeczka, na której siedział Nahoń. Spędzał na niej całe dnie w swoich spranych, nieświeżych bokserkach, bez koszuli i z butelką piwa w ręku. Oparty wolną dłonią o udo, szary jak trup, próbował powstrzymać się od rzygania. Ten przedziwny człowiek, jeśli akurat nie pił, wydawał się stale znudzony i posępny. Jego wysiadanie w słońcu i powstrzymywanie się przed puszczeniem pawia było Jerzym Nahoniem. Czasami zastanawiałem się, czy chce mu się rzygać, bo ma kaca, a może to, co widział na trzeźwo, czego my nie dostrzegaliśmy, przyprawiało go o mdłości?

– Panie Nahoń! Niech pan poda piłkę, co? – poprosił Generał, ale on jak siedział, tak siedział. Nawet nie drgnął. Dalej gapił się w ziemię i z trudem przełykał ślinę, kiedy wszystko w nim starało się ruszyć w drugą stronę.

– Kurwa... – Generał wlaź na ogrodzenie, a później je przeskoczył. – Skurwiel nie ma sumienia.

Powoli ruszył w stronę piłki i kiedy się po nią schylił, z trawy wystrzeliły ku niemu trzy pantery. Wielki czarny kot z naderwanym uchem wskoczył mu na plecy i orał je bezlitośnie jak rolnik ugór. Dwa pozostałe skoczyły mu w okolice kolan.

– AAAAAAAA.....!!! – krzyczał Generał, próbując je strącić. – NAHOŃ! TY CHORY POJEBIE, ZRÓB COŚ!

Nahoń podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy, a później uśmiechnął się.

Generał przerzucił piłkę przez płot, przeturlał się w trawie w stronę ogrodzenia. Kiedy każdy wbity pazur wreszcie wyrwał się z jego skóry, podniósł się i przeskoczył na drugą stronę.

FRANK przyglądał się ojcu przez dłuższą chwilę, potem podszedł do trumny, poprawił mu krawat i wsunął niepostrzeżenie kupon do wewnętrznej kieszeni marynarki – spojrzał wymownie na ANNĘ i oboje wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza.

pogrzeb przebiegł zupełnie typowo. trumnę najpierw złożono w grobie, potem zasypano ziemią, koniec końców przygnieciono toną kwiatów, by mieć pewność, że HONEKER nie wydostanie się z trumny jak dzin z butelki.

19.

następnego dnia ANNA wyjechała na wieś do przyjaciółki, a FRANK postanowił pozbyć się wszystkich rzeczy, które kojarzyły mu się z ojcem. gdy skończył, stał na środku mieszkania pozbawionego drzwi wewnętrznych, podłóg, mebli, farby na ścianach – czuję się bardzo dobrze w ich towarzystwie. jesteśmy dla siebie mili i potrafimy się rozśmieszyć, choć to, co ich spotkało, nie wydaje się śmieszne. ani ANNA, ani FRANK, oboje nie czują oporów, są rozluźnieni i chętnie odpowiadają na moje pytania.

20.

kurwa! – to przekleństwo nadal dźwięczy mi w uszach, nie mogłem uwierzyć, że wygraliśmy. sprawdzałem kilkakrotnie, pamiętasz, prosiłem cię, byś też to zrobiła, na zdjęciu kuponu były te same, co na stronie wyników LOTTO. pamiętam, jak zaczęłaś się śmiać i spytałaś – no pięknie, i co my teraz zrobimy? kurwa mać!

stary leżał 2 metry pod ziemią! wprawdzie nie padało od jego pogrzebu, ale kupon mógł przecież ulec zniszczeniu. poza tym nie wiedzieliśmy, czy zakraść się do niego nocą, czy może przeprowadzić legalną ekshumację pod byle pretekstem.

pamiętam jak na mnie spojrzałeś, gdy powiedziałam, że chyba nie chcę ryzykować – pokazałeś mi wygraną – 60 000 000 EURO! – powiedziałeś – przestań pierdolić! cała pula jest nasza, wiesz, ilu graczy pokonał? – dopiero to ostatnie zdanie mnie przekonało.

21.

zaczęliśmy od sprawdzenia pogody, pora roku nam sprzyjała, prognozy na najbliższy tydzień były bardzo zachęcające. chyba dlatego podzieliliśmy się zadaniami. ona czytała o procesach gnilnych, rozkładzie ciała, ja zająłem się kwestiami prawnymi – mali degeneraci, dobrze się bawili, teraz dobrze się bawią, to historia ich życia, bez dwóch zdań. czekałem na taką historię latami i w końcu się pojawiła. boże, w końcu się pojawiła! HAHA!

22.

wieczorami spotykaliśmy się przy tym stole, omawialiśmy wszystkie za i przeciw i piliśmy. piliśmy jak nastolatki, na umór. ciężko jest znieść świadomość bycia tak bogatym, ale jeszcze ciężiej było znieść wizję dokopywania się do tej forsy, dobijania się do kryjówki HONEKERA.

23.

nie mogłam sobie poradzić z obrazami, jakie widziałam po zamknięciu oczu – wydawało mi się, że wiem, co czuje mój ojciec, gdy słyszy głucho, potem coraz bardziej wyraźne odgłosy kopania, przekleństwa, gdy czuje naszą obecność, żywych, ciepłych i przerażająco zachłannych. wydawało mi się, że wiem, jak go zabol, gdy niechcący szpadel uderzy go w kolano albo przebiję się przez cienką trumnę i rozetnie mu czoło. o ile jeszcze miał jakieś czoło.

24.

podjęliśmy decyzję w ciągu 2 dni – myślisz, że to szybko? – tak naprawdę FRANK chce mi zadać inne pytanie – myślisz, że dobrze zrobiłem? – tak się pyta przyjaciela i, nie ukrywam, pochlebia mi jego zaufanie. zaczynam go lubić, choć znamy się raptem kilka godzin.

ponowne oglądanie ciała HONEKERA napawało nas obrzydzeniem i lękiem, ale wizja dostatniego życia trochę łagodziła te uczucia. byliśmy sobą zniesmaczeni i urzeczni. nie da się opisać dziwności tego emocjonalnego koktajlu. nie mogliśmy znieść napięcia, wymiotowania, natrętnie powracających myśli, marzeń, które mogły się ziścić – za taką kasę mogłem zbudować własną dzielnicę, rozumiesz taką możliwość? – oczywiście, że nie rozumiem, tego nie można sobie wyobrazić.

25.

Kopać, czy nie kopać? – oto jest pytanie! – zażartowałem i od tego momentu wiedzieliśmy, co mamy robić.

26.

oczywiście, że pamiętamy te liczby – 12, 01, 17, 03, 23, 07 – urodziłem się 12 stycznia, ANNA przyszła na świat 17 marca, nasza macocha ulotniła się 23 lipca. nigdy nie byłem ateistą i nigdy nie będę, nie po czymś takim – FRANK w tej deklaracji wydaje mi się pierwszy raz szczerzy do bólu, mówiąc to, nie musi asekurować się humorem, pierwszy raz jest tak pewny siebie – a mnie to zwisa, nie widzę w tym nic przerażającego, oczywiście jest to trochę dziwne, ale nie skłania mnie do wiary – mali degeneraci, naprawdę was lubię. ●

nasz ojciec podszedł do drabiny i popchnął ją, odcinając synowi drogę powrotu. widziałem wszystko z okna. DAVID siedział jeszcze chwilę, zupełnie nie przejął się zmianą sytuacji, ale widziałem, że z minuty na minutę nie tylko odczuwa coraz większą niewygodę, ale też zaczyna się zastanawiać, jak bezpiecznie zejść. gdyby spadł, z pewnością musielibyśmy zawieźć go do szpitala.

powoli, bardzo ostrożnie zaczął schodzić w dół. nim postawił stopę na gałęzi, sprawdzał, czy może na niej polegać. na wysokości około 6 metrów nie było już żadnych gałęzi. gdy tam dotarł, pod drzewem czekał na niego HONEKER, ale nic nie mówił, nie zwracał na niego uwagi, zapisywał coś w notesie, jestem pewien, że gdyby DAVID spadł, nie rzuciłby się na ratunek, tylko spokojnie patrzyłby, jak jego adoptowany syn wije się z bólu – żona HONEKERA zostawiła swoje dzieci pod opieką ojczyma. z dnia na dzień. bez uprzedzenia. bez zapytania go o zdanie. bez poczucia tragedii. na zawsze. dowiedziałem się tu i ówdzie, że założyła nową rodzinę i urodziła kolejną dwójkę.

w końcu mój brat miał dość siedzenia na gałęzi i postanowił na niej zawisnąć, a potem skoczyć na nierówną ziemię – nadal mógł się połamać lub skrócić nogę. nie prosił ojca o pomoc, bo doskonale wiedział, że jej nie dostanie, zachowywał się tak, jakby go nie było, HONEKER stał 2 metry od niego, mógł przystawić drabinę, ale nie zrobił tego. i do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego. ta lekcja nigdy nie wydawała mi się pouczająca. no, może dawała wyobrażenie, do czego ten staruch był zdolny.

w końcu DAVID spadł z drzewa, trochę się potłukł, ale szybko się otrząpął i podszedł do ojca. ten położył mu rękę na ramieniu i zaczął mu opowiadać o kosztach usuwania złamanych gałęzi.

11.

FRANK go nie lubił? to mało powiedziane, on go po prostu nienawidził! FRANK ma takie powiedzenie – to dzięki PEPSI zrozumiałem, że nie lubię COCA-COLI – zawsze je powtarza, gdy mówi o ojcu.

12.

przed śmiercią HONEKER zdołał znacznie pomnożyć majątek, w końcu udało mu się także sprzedać prawa do scenariusza, nad którym pracował od dawna. ciągle gdzieś podróżował. zaczął nawet czytać.

13.

pamiętam, co mi powiedział, gdy nie przyjęli mnie do pracy – nie nadajesz się do tego zawodu, nie dziwię się tym ludziom

– rozplakałam się, a potem chciałam coś im odpowiedzieć, im, bo jemu i tak wszystko było jedno – napisali – tym razem ci się nie udało, ale trzymamy kciuki – co za banda skurwysynów! – informujemy, że nie zakwalifikowaliśmy pani do kolejnego etapu rekrutacji, życzymy powodzenia – ale co można odpowiedzieć ludziom, którzy cię nie chcą? chłopakom dającym mi kosza zawsze umiałam popsuć humor. niedoszli koledzy z firmy wydawali mi się niedostępni jak sukcesorzy tronów królewskich.

14.

dowiedziałem się, że BERTA załamała się po odejściu matki, dostała pierdolca – zrobiła 13 operacji w ciągu 15 lat – bez makiżu wyglądała okropnie, czuła się coraz gorzej, aż w końcu zabiła dzieciaki, a potem siebie – podobno bardziej niż poczucia winy bała się odsiadki.

15.

to prawda, widok był okropny, musieliśmy zidentyfikować zwłoki, ojca nie było, wyjechał z jakąś kobietą – FRANK jest coraz bardziej pijany, odnoszę wrażenie, że udaje, mogę się założyć, że nadal nie może wybaczyć ojcu tej nieprzyjemnej konieczności, która na niego spadła.

16.

ANNA jest bardziej konkretna, w końcu udało mi się ją namówić na zwierzenia – powiesiła się, ale nie na drążku, tylko w łazience na kaloryferze, który zamontowaliśmy rok wcześniej, ojciec się uparł i kaloryfer zawisnął tuż pod sufitem. BERTA od dawna była chora, ale nie chcieli jej przyjąć do żadnego szpitala. FRANK nalegał, ja nie chciałam mieć z nią nic wspólnego, ojca to nie obchodziło – tak, groziła, że mnie zabije, nie chcę nawet myśleć, co jej dzieci przeżyły w ostatnich chwilach, dziwnie jest prosić własną matkę o litość.

17.

HONEKER przez całe życie grywał w LOTTO, bez większych sukcesów, ale też grywał bez większych nadziei na wygraną, zupełnie się nią nie przejmował, po prostu lubił zakładać się z losem, nawet jeśli wiedział, że przy każdej próbie wynik będzie dokładnie taki sam, jak ostatnim razem. podobno to był pomysł ANNY, ale ona przypisuje go swojemu bratu, który miał na niego wpaść wiele lat temu, jej zdaniem wszystko przewidział.

18.

gdy pojawili się w domu pogrzebowym, HONEKER był już przygotowany do pochówku – w czarnym garniturze, wypolerowanych butach, białych rękawiczkach wyglądał jak chłopiec przystępujący do komunii we WSCHODNIEJ EUROPIE.

mają piękny stół, mam ochotę go pogłaskać. jest stary i przyjemnie gładki.

4.

HONEKER zmarł w wieku 77 lat. pamiętam bardzo dobrze jego ostatnie urodziny – rano zdmuchnął świeczki na brązowym torcie, który zamówił dla niego FRANK, wypowiedział na głos życzenie, rozpakował prezenty, a potem poszedł do swojego pokoju obejrzeć wiadomości i powtórkę meczu. kibicował hokeistom, zawsze podziwiał siłę i agresywność tych dupków – piękna, elegancka kobieta, nie mogę przestać na nią patrzeć.

5.

zostawiają mnie na chwilę samego, mogę się zastanowić i ułożyć wszystko na nowo.

oczywiście, by umrzeć, HONEKER musiał się urodzić, urodził się jednak z ciężącym na nim przekleństwem – tak przynajmniej utrzymywał, odkąd skończył studia, a więc przez większą część życia – przyszedł na świat nie dość, że w mieście małym, to jeszcze obrzydliwie nudnym.

nigdy nie widział na jego ulicach protestów, nikt nie organizował tam demonstracji, niewinnych mordowano raz na dekadę, w gazetach nie można było przeczytać o gwałtach, tym bardziej o zuchwałych kradzieżach, prasa milczała także o związkach zawodowych, wizytach kolejnych prezydentów.

kilkadziesiąt tysięcy robotników siedziało w domach i dziecięniało przez sklerozę, albo cierpiało z powodu niewydolności serca. w rodzinnym mieście HONEKERA nie było nawet burdelu. każdy, kto chciał je porównać do LAS VEGAS, czy równie porąbanego miejsca, musiał czuć się dziwnie. choć był jeden facet, który zawsze starał się dostrzec w tym mieście coś dobrego – DAVID kiedyś miał powiedzieć – być może to jedyne miasto na świecie, w którym ludzie się nie nudzą, gdyby się nudzili, wyrwaliby wszystkie krzesła na trybunach, a potem ukrzyżowali dla zabawy tutejszych księży – wychodzi na to, że DAVID miał bardzo makabryczne poczucie humoru.

6.

dowiedziałem się, tu i ówdzie, że nawet w młodości ludzie widzieli w nim starego dziada, takiego zaniedbanego dziada, pogrążonego w rozmyślaniach – HONEKER długo nie był świadomy tego, jak go postrzegali, ale gdy w końcu się dowiedział, poczuł się dumny. całe życie czuł się jak stara, dopalająca się świeczka. podobno jego flakowate ciało ciążyło ku ziemi bardziej niż jakiegokolwiek inne ciało na tej planecie.

7.

ojciec zmarł we śnie, los był dla niego łaskawy. nie cierpiał.

mógł przecież skończyć jak dziadek, wszystkich HONEKERÓW wykończyły nowotwory – najgorsze z najgorszych – bolesne, odporne na działanie morfiny. Rzeczywiście, nie miał szczęścia w życiu, ale śmierć miał dobrą. pogrzeb także. nikt nie płakał. pożegnaliśmy go tak, jak się żegna kogoś, kto wyjeżdża na drugi koniec świata. w dniu śmierci miał bardzo dobry humor, śmiał się przez kilka godzin, zupełnie nie rozumiejąc swoich emocji – kurwa, chyba trawa, którą paliłem 50 lat temu, zaczęła działać – wybuchnął śmiechem z taką siłą, że patrzyliśmy na niego osłupiali – nie mógł przestać, a potem machnął wesoło ręką i powiedział, że nic go to nie obchodzi, bo dziś umrze. i umarł o 17.

8.

nie sądzę, by cokolwiek miał nam za złe.

9.

DAVID od lat był nieobecny w jego życiu – nie tylko z powodu kłótni, jakie nieustannie toczyli, ale przede wszystkim z powodu uzależnienia – BERTA nie żyła od kilku lat, a ja i FRANK udawaliśmy, że nie mamy czasu.

10.

człowieku! HONEKER nie był dobrym ojcem, zaklinał się, że to nasza wina, ale tak naprawdę nie lubił dzieci i sam był rozważczonym bachorem – nosił błękitne szorty, białe skarpety i tenisówki, wyglądał, jakby zszedł właśnie z kortu. wielki jak wieżowiec, nieporadny i do tego humorzasty – kiedyś obraził się na BERTĘ, gdy zaczęła się spotykać z chłopakiem mieszkającym w wieżowcu – HONEKEROWIE pochodzą z zamożnej klasy średniej, blokowiska napawają ich przerażeniem – powiedział jej, że to bandyta i że musi się zastanowić, gdzie chce dojść w życiu – ona miała dopiero 13 lat i chodziła z tym chłopcem na lody, nic więcej nie robili, rozumiesz? – mój ojciec zrobił mu zdjęcie z ukrycia, spreparował list gończy i zagroził jej, że rozlepi go w całym mieście. gdy BERTA się postawiła, nie odzywał się do niej przez prawie rok – mam nadzieję, że wydorosłaś – tak zakończył tę absurdalną sytuację.

dam ci inny przykład – kiedy DAVID miał 14 lat, wielkie burze połamały gałęzie w naszym ogrodzie, HONEKER wezwał faceta, któremu zlecił ich ucięcie. DAVID umierał z ciekawości, chciał bardzo zobaczyć, jak wspina się na drzewo, w jaki sposób się zabezpiecza, zazdrościł mu uprzejmy i sprawności, z jaką się poruszał na wysokości 16 metrów, otoczony kłującymi gałęziami i chmurą owadów. przystawił długą drabinę do sąsiedniego drzewa, wspiął się po niej, potem wspiął się po gałęziach i będąc tylko 8 metrów niżej od tego faceta, przyglądał się jego pracy. HONEKER nigdy nie tracił głowy. gdy zobaczył DAVIDA, nie krzyknął na niego, nie kazał mu zejść, nie wyraził troski, przez chwilę się przyglądał, a potem poszedł gdzieś, gdy wrócił, DAVID nadal siedział na drzewie jak małpa.

którego ty nigdy byś nie zaakceptowała, bo masz te swoje zasady – w tym myśleniu jest więcej złej woli niż prawdy. a prawda jest taka, że żadnej z nich nigdy by do głowy nie przyszło być o niego zazdrosną.

brzydę się tobą, naprawdę, zamierzam jej powiedzieć, co zrobiłaś. nie chcę, by myślała, że jesteś wobec niej szczerą i masz dobre intencje.

17.

powiem ci coś i zapamiętaj to na całe życie, nie zamierzam jej odbijać tego obleśnego skurwysyna, wiesz, czemu? bo jest słaby, nie ma w nim za grosz energii. do tego ma obrzydliwy sposób

bycia, umie się przymilać, nawet bardzo, ale potrafi też kobietą podtrzeć sobie dupę. to po pierwsze.

a pod drugie, ja umieram, idiotko! mam raka trzustki – nie tylko ma raka, ale także paskudne przerzuty, rak rozrasta się w jej wątrobie, mózgu i kościach.

18.

nie wiedziałam, naprawdę.

boże, to dlatego jesteś taka wychudzona, to dlatego cię nie poznałam, przepraszam – ciężko to skomentować. naprawdę, dajcie mi wszyscy święty spokój!

LOS NA LOTERII

przemoc, nękanie i propagowanie nienawiści – w naszej rodzinie znajdziecie wszystko – mówi FRANK, młodszy brat ANNY, przyrodni brat DAVIDA i BERTY – tylko nam mogło się coś takiego przytrafić – śmieje się histerycznie, jakby nie wierzył, że to jest śmieszne, albo obawiał się mojej reakcji, w każdym razie to trochę pokręcony facet, mam nadzieję, że za chwilę się zamknie i pozwoli jej mówić – pewnie dla innych rodzin byłaby to wielka tragedia, nawracająca jak nowotwór, dla nas był to kolejny cios. wcale nie taki mocny – boże, facet mówi o zniknięciu brata, popierdolonej siostrze, która zabiła siebie i dzieci, ojcu, którego okradł – szkoda, że ANNA nie ma takiego poczucia humoru – spogląda na nią wymownie, jakby liczył, że zacznie się śmiać z jego żartu. boże! nie mylił się.

1.

to nie wszystko – jego siostra wygląda na zmęczoną, ale jednocześnie jest bardzo pewna siebie – jest tego o wiele więcej: rozszerzone samobójstwo, moje samookalectwa, zdrady, uzależnienie, chorobliwa zazdrość – mieliśmy i takie problemy, przestań się śmiać, do jasnej cholery, niech pan na niego nie zważa, jest pijany, BERTA ciągle histeryzowała, była zagubiona, bardzo chorą – FRANK, przestań, dobrze wiesz, że mam rację, zabiła nawet psa! – zapraszają mnie do stołu, on wyciąga szklaneczki, napełnia je alkoholem, wznosi toast, nie czekając na naszą reakcję wypija i zaczyna bawić się z psem.

2.

FRANK i ja inaczej oceniamy niektóre wydarzenia. kiedy BERTA umarła... przepraszam, chyba nie chcę o niej mówić – daję jej

chwilę na uspokojenie, nie naciskam, nawet się nie odzywam, po chwili jest gotowa kontynuować – najpierw umarła nasza matka, potem macocha nas zostawiła. czasami trudno mi w to uwierzyć. wychowywał nas samodzielnie, nie byliśmy łatwymi dziećmi – wstaje od stołu i podchodzi do telefonu, wybiera numer i zamawia 3 dania – lubi pan ryby? – ANNA budzi moje współczucie, FRANK bywa zabawny, ale też cholernie irytujący.

musi jej być strasznie ciężko, mówienie o matce, która zmarła, macosze, która ją porzuciła, kojarzy mi się z analizowaniem stanu zdrowia osoby, w której ciele zespół nabytego niedoboru immunologicznego poczynił nieodwracalne zmiany. pijemy drugą kolejkę. nie lubię mocnego alkoholu. Pytam, czy nie mają piwa – FRANK jest bardziej uprzejmy, niż myślałem przez ostatnie 30 minut. proponuje, pyta i w końcu podaje mi butelkę – to kolekcjonerskie piwo, mamy kilkanaście skrzynek. powinno ci smakować. rzeczywiście, jest bardzo dobre.

3.

nie widzieliśmy DAVIDA, odkąd skończył 18 lat, nie jestem pewna, czy wie, że jego siostra się zabiła. ojciec nie szukał go nigdy, po śmierci BERTY jeszcze bardziej stracił do tego ochotę. z FRANKIEM zawsze łączyła nas silna więź, odwiedzamy się bardzo często – ANNA robi na mnie bardzo dobre wrażenie, jest silna, choć chyba czuje się bardzo samotna. przechodzi mi przez myśl, by zaprosić ją do kina, albo pokazać jej dziwne miejsce na pobliskiej łące. nawet nie wiem, jakimi są szczęściami, co może być lepszego od przeżywania życia z osobą, z którą możesz się wszystkim dzielić i nie musisz o nic rywalizować?

no właśnie, przez telefon nie widać oczu.

pomyśl, co ona przeszła. straciła dziecko, SAL miał tylko 4 lata, rozumiesz? był ślicznym chłopcem, boże, nie mogę o tym myśleć, chce mi się płakać. przestań, zdenerwowałaś mnie. nic nie rozumiesz. cały czas oceniasz ją, widząc w każdym mężczyźnie gwałciiciela.

wcale nie czuję się od was lepsza! przestań tak mówić. nie straciłam dziecka, nie byłam gwałcona przez męża i co z tego? dlaczego ciągle to powtarzasz? jesteś naprawdę niesprawiedliwa.

akurat o BETTY wiem trochę więcej niż ty. z nim też była bliżej niż z tobą. może ci nie ufa, nie mam pojęcia.

wiesz, to nie jest moja sprawa.

11.

miał obsesję. musiała się fotografować niemal przy każdej czynności, nie miał dość, nigdy nie miał dość, chciał widzieć jej staniki, majtki, cycki, język, ślinę. w pewnym momencie przejął nad nią kontrolę i bawił się nią. nie widzisz tego, że ją omotał? ona robi, co jej każe i jeszcze jest mu wdzięczna za to – sprzeciw! intencje ma czyste, to dobry chłopak, może trochę mu odwała na punkcie seksu, ale przecież nie jest żadnym demonem.

udarł się do jej serca i rozbił sobie tam całkiem wygodny namiot – tak sobie to właśnie tłumacząc, za pomocą takich obrazków, widząc owłosionego zboczeńca, który wykorzystuje naszą wspólną przyjaciółkę, robi na niej jakieś niewiarygodne eksperymenty, jakby miał do tego prawo. on jest niebezpieczny, nie rozumiesz tego?

ona traktuje go jak ostatnią deskę ratunku, może nawet sobie wyobraża, że go poślubi, pozwoli się przelecieć, a za 9 miesięcy bocian przyniesie dorodnego dzidziusia, który będzie się tak słodko darł, że będą płakać ze szczęścia. ta dziewczyna odleciała, nie widzisz tego? całe zło, które ją spotkało, całe to gówno zamieniła w czyste złoto – nie, tego sobie nie wyobraża, to niegłupia dziewczyna, rozumie, co jest możliwe, a co jest tylko niewinnym marzeniem nieszczęśliwej kobiety.

no właśnie, właśnie, ona nawet nigdy nie nosiła krótkich spódnic, ubierała się jak chłopak, wstydziła się pokazywać piersi, krępowały ją spojrzenia mężczyzn, a naprawdę była ładna. spójrz, co teraz nosi.

moim zdaniem się upokarza. naprawdę. mam ochotę uderzyć ją w twarz na otrzeźwienie.

jeszcze kilka lat temu ta dziewczyna po przeczytaniu listu, w którym mężczyzna pisze – ty suczko, ty kurewko jebana, będziesz zlizywać spermiochę, prawda? powiedz, że tak, zgódź się, odwiedzę cię, umiem się odwodzić, zobaczysz. jakie kwiaty chciałabyś dostać w czwartek za 2 tygodnie? – zaczęłaby płakać.

to nie twoja sprawa. odczep się. nie powiem ci, skąd znam te maile.

12.

jesteś obrzydliwa. nigdy bym nie przypuszczała, że jesteś zdolna do takich rzeczy. dlaczego to zrobiłaś? za kogo ty się uważasz? myślisz, że możesz sobie tak wchodzić w jej życie ze swoimi zasadami, wlamywać się do jej skrzynki, czytać listy, tłumacząc sobie te paskudne zachowania troską o jej zdrowie, naprawdę myślisz, że można robić takie rzeczy, nie czując się świnią? – co za dom uariatów, jedna gorsza od drugiej, obie grzebały w jej korespondencji, czytały z wypiekami listy, onanizowały się na myśl o tym tępych, ale empatycznym durniu, który potrafi zadbać o dziecko i psa.

13.

BETTY nie jest przyzwyczajona do takich wyznań! miała tylko jednego partnera! znasz ALA, to nie jest demon seksu.

a tak, spałam z nim, i co z tego, nie twoja sprawa, kiedy. on w łóżku zachowuje się jak wata cukrowa, nigdy by nie napisał czegoś podobnego, więc skąd BETTY miałaby znać taki język?

14.

tak, uwierzyła, że może liczyć na trochę szczęścia w życiu. nawet jeśli to szczęście według ciebie jest równie przekonujące jak nowy piecyk czy kuchenka mikrofalowa, nie powinnaś jej oceniać. nie masz do tego prawa. rozumiesz?

to, że zostałaś zgwałcona, nie daje ci prawa mówienia, co ma jej się podobać. może ją takie zdania podniecały, nie wiesz tego, podobnie, jak nie wiesz tego, że AL miał zupełnie inne oblicze, którego tobie wolał nie pokazywać. i jeśli chcesz wiedzieć, BETTY się ono podobało, rozmawiałam z nią o tym. znała jego potrzeby bardzo dobrze. i nie wzdrygała się na myśl, że chce ją wiązać i lżyć. lubiła mu się oddawać. była bardzo uległa – się dobrały! każda z nich to lubi, ale nie chcą się przyznać. to nie są dominujące baby, takich też nie brakuje, ale to nie one.

15.

boże, jak ty niczego nie rozumiesz! naprawdę jesteś głupsza niż BETTY. myślałam, że stać cię na coś więcej niż tylko usprawiedliwianie go.

16.

bardzo ci dziękuję. w końcu powiedziałaś, co o nas myślisz. tylko nie wiem, dlaczego przez te wszystkie lata udawałaś naszą przyjaciółkę. a może ty jesteś po prostu o niego zazdrosna? boisz się, że BETTY dopnie swego i namówi go na ślub. bo chyba wiesz, że mu się oświadczyła, złożyła mu propozycję, bardzo odważną moim zdaniem. słyszałaś o tym? pewnie, że słyszałaś! i to właśnie cię zabiło, że ona jest w stanie mu zaproponować układ,

5.

wcale nie czuję, że mnie okłamuje.

6.

a powiedziała ci, że wysyłała mu zdjęcia swojej kupy?

nie замуrowało cię, wiedziałaś o tym?

pokazała mi jego odpowiedzi, dobrze się bawili omawiając jej kupki – to prawda, bawili się nimi jak dzieci – puciu, puciu – moje gówienko przypomina jelonka, prawda? – dobry boże, ile godzin zmarnowali, gapiąc się na jej kał. dobrze, że nie przyszło im do głowy rozmazać tego paskudztwa i bawić się w skojarzenia. to dopiero byłoby obrzydliwe. doprawdy, jak słyszę o takich ludziach, mam ochotę ich wszystkich ukamienować. do czego doszliśmy w tym kraju?

7.

ale o nim to świadczy jeszcze gorzej, gdyby był normalny, zerwałby z nią znajomość. próbuję sobie wyobrazić reakcję moich byłych facetów na taką sytuację i wiesz, co widzę? obrzydzenie, przerażenie i chęć jak najszybszego zerwania znajomości. tak zachowują się mężczyźni, każdy inny sposób reakcji to patologia – o, tak! nie można tego wyrazić lepiej, choć ta zasadnicza pinda jest naprawdę ukurwiająca. nie dość, że czuje się lepsza od przyjaciółek, to jeszcze mówi to w taki sposób, że ma się ochotę zdradzić jej wszystkie tajemnice, na przykład to, że sypiała ze swoim szefem, bardzo brzydko sypiała, nie bawiła się w pana doktora, ale prosiła o gwałt! naprawdę nie kłamie! tak właśnie było – zgwałć mnie, miej trochę godności i mnie ukarż! – tak mówiła do swojego szefa.

8.

a mnie – spodobała mi się jego reakcja, zachował zimną krew i udawał, że ta zabawa go bawi, nigdy nie odwzięczył się jej podobnym zdjęciem, co uważam za bardzo dojrzałe zachowanie.

swoją drogą to bardzo fajny facet, ma trochę wad, nie powiem, ale moim zdaniem jest w porządku.

no w porządku, tylko w porządku, o co ci chodzi? nigdy nie myślałam o nim w ten sposób, nie mam zamiaru zmieniać partnera, przestań, umawiasz mi coś, a tobie nigdy nie zdarzyło się ponarzekać na faceta?

BETTY mogła naprawdę trafić o wiele gorzej. tym bardziej, że sama ma wiele wad. dobrze wiesz, co mam na myśli. jeśli ktoś ją krytykuje, to właśnie ty, nie ja. staram się opisać ją bezstronnie. na tyle, na ile jestem w stanie to zrobić.

9.

naprawdę nie rozumiem, dlaczego go bronisz. ten niewyżyty gnojek ciągle chciał z nią rozmawiać o seksie, przy każdej okazji, nawet rozmowę o torcie urodzinowym potrafiłby zamienić w scenkę zdmuchiwania świeczek spermą – to prawda, jest zdolny do tego, ale zrobiłby to z dużym wdziękiem. być może udałoby mu się rozśmieszyć biedną BETTY.

facet jest obrzydliwy, dlaczego akceptujesz takich fiutów?

dobrze, nie jest gwałcicielem, nikomu nie zrobił krzywdy, może BETTY rzeczywiście się podobało, jak nazywał ją kurwą, niewolnicą i obracał to potem w żart, by zatuszować swoje intencje, może tak nawet było, ale co z tego?

oczywiście, że nie jestem nią i to ona powinna go oceniać, ale ją znam, może nie tak dobrze jak ty, ale wiem, jakiego rodzaju jest dziewczyną. ona sobie nie radzi z takimi obrzydliwościami. kompletnie nie umie się odnaleźć. zaczyna się trząść.

ale teraz mówimy o naszej przyjaciółce, więc przestań bagatelizować problem. też nie widziałam, by przez niego płakała, ale to nie zmienia faktu, że ten facet to zwykły zboczeniec, choć moim zdaniem on jest jeszcze gorszy, jakbyś go spotkała, nie wiedziałby jak zamówić ci drinka, nie mówiąc o zaproszeniu cię do swojej nieogrzewanej nory – to pomówienie! kompletnie nie jest prawdą, że nie umiałby tego zrobić. potrafi zamawiać doskonałe drinki, robi bardzo dobre wrażenie na kobietach, umie też dobrać buty do torebki, fryzurę do sukienki, makijaż do pory dnia, i tak dalej. nie pomawiajmy go o taką niedoskonałość.

no i co z tego, że przesadzam, nie znoszę takich dupków.

10.

wiesz, kto ją wyciągał z bagna, gdy nie potrafiła sobie poradzić po śmierci dziecka? wiesz, ile godzin z nią spędził, rozmawiając? nie wiesz tego, widzisz tylko zboczeńca, który wszędzie wkłada swojego penisa i nie traci żadnej okazji ku temu.

a moim zdaniem to normalny facet, może ma jakieś problemy seksualne, nie wiem, BETTY tak na niego działa – bez przesady, normalny to on nigdy nie był!

no właśnie, co w tym złego? poza tym on naprawdę jej pomógł. bardziej niż ty, czy ja.

byłaś za daleko, by widzieć, co się z nią działo, ona przez kilka lat udawała, że wszystko jest w porządku, nie chciała nikomu pokazać, jak bardzo nie chce jej się żyć, ja się z nią wtedy spotykałam bardzo często, widziałam jej nerwowe ruchy, gdyby się wtedy rozpadła na kawałki, wcale bym się nie dziwiła.

dopiero popołudniem zdałem sobie sprawę, że zostałem zgwałcony. napisała na moim ciele – BRUDAS – tak, szminką. czerwona. usiadłem na małym taborecie w łazience, złapałem się za głowę, ale to nie pomogło, zatkałem uszy, ale to też nie pomogło. nie mogłem znaleźć sobie miejsca. nie mogłem zostać, bałem się wyjść. nie mogłem jeść. nie mogłem wymiotować. nie mogłem oglądać telewizji. nie mogłem rozmawiać. nie mogłem znieść tej łazienki! była zimna, mokra i ciasna.

16.

wieczorem zadzwoniłem do BEKI. przyjechała – zdziwiło mnie to. nie, nie płakała. była bardzo opanowana. w nocy poprosiła, bym się rozebrał, chciała zobaczyć ślady. nie zgodziłem się jechać do szpitala. nie chciałem składać żadnych wyjaśnień na komisariacie.

rano pojechała do pracy. w komórce miała zdjęcia – zbliżenia moich pleców, nadgarstków, odbytu i prącia.

17.

bardzo brzydko pachniała. tylko tyle sobie przypominałem. pewnie zaproponowałem jej kieliszek wina, a ona dosypała mi czegoś. nie jestem alkoholikiem, ale na randkach piję więcej niż zwykle. tak, mogłem być pijany, to bardzo prawdopodobne, nie wydaje mi się jednak, bym mógł stracić przytomność po 2 butelkach.

nie wiem, czym mogłem ją sprowokować. boże, co ja musiałem jej zrobić, że mnie tak potraktowała?

ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE BETTY GO NIE KOCHA

1.

i on zaczął od listy swoich oczekiwań seksualnych, rozumiesz? coś nieprawdopodobnego! jak to czytałam, było mi żal biednej BETTY, co ona musiała przejść przez tego zbrojnika, nie miał żadnych zahamowań, mówił wprost, czego chce. nawet nie czekał, aż ją lepiej pozna – no nie przesadzajmy, dobry bóg nie podarował MIKIEMU takich umiejętności. owszem, nie liczył się z konsekwencjami swoich wyznań, ale przecież z natury był łagodnym labradorem, nie skrzywdziłby jej, a gdyby tak się stało, od razu chciałby naprawić szkodę, tego nie można kwestionować, to facet, który bierze odpowiedzialność za siebie, zresztą ile to razy już naprawiał to, co zepsuł, i to nie tylko przez te gadki szmatki o lizaniu dupy. nie przesadzajmy, prawdziwy potwór nie potrafi być dobry, nie potrafi nawet udawać dobroci, MIKI nie tylko potrafi udawać, ale jest także bardzo dobry.

2.

masz obsesję na jego punkcie!

3.

proszę cię, przestań, nie powiem ci, skąd to wiem. nie męcz mnie, kończ placek i wracajmy do domu, jeżeli spadnie za dużo śniegu, nie będziemy mogli wyjechać z miasta, nie mam ochoty znów spać w hotelu.

Owszem, było bardzo fajnie wczoraj, ale chcę już zająć się swoimi sprawami, jestem zmęczona. muszę odpocząć.

poza tym jest środek tygodnia, nikogo nie spotkamy, w środku tygodnia mężczyźni kładą się wcześniej spać, albo są w delegacji, tak czy siak nie mamy tutaj nic do roboty.

smakuje ci placek? daj spróbować.

4.

myślisz pewnie, że jej nie lubię, ale to nie tak, BETTY po prostu nie jest święta. wiesz, co mu robiła? nie sądzę, by ci to powiedziała, ona nikomu nie mówi całej prawdy, zawsze coś zostawia dla siebie, nie chce, byś wiedziała, jak paskudny ma charakter, udaje przed tobą o wiele lepszą, niż jest w rzeczywistości.

znam ją dobrze, bardzo dobrze, poznałam ją 20 lat temu, zawsze taka była, nie jest na tyle głupiutka, by udawać przede mną świętą, trochę przyzwoitości zachowała, choć jeśli mam być szczerą, całkiem niewiele, no, ale przynajmniej mnie nie okłamuje. ja wiem, jak jest. bywa wspaniała, kochana, piękna, ale nie jest idealna. nie rób z niej ofiary, bo to nieprawda, ona nigdy nie była ofiarą. potrafi być naprawdę nieprzyjemna i odpychająca.

moim zdaniem ani on, ani ona nie są źli, na pewno się nie krzywdzą. może po prostu cię oszukała. w to akurat jestem w stanie uwierzyć, BETTY często kłamie. jest w tym naprawdę dobra – naprawdę myślicie, że ta biedna idealistka jest bezstronna? a nie czujecie, że ma w tym jakiś ukryty cel? wiję się jak ryba wyciągana czerpakiem z przerebła.

od początku miałem wrażenie, że czekała na kogoś. w końcu przyszli jej koledzy i na koniec wrzucili mnie do rowu. miałem opuchniętą twarz – ciągnęli mnie po ziemi za włosy, kopali – wyglądałem jak człowiek-słoń, albo jeszcze gorzej od niego. wymiotowałem w nocy, prawdopodobnie miałem wstrząśnienie mózgu. spanie, kąpiel, zmiana ubrań – wszystko sprawiało mi ból, zresztą robienie kupy też było bardzo bolesne. nie potrafię myśleć o tym, co się stało, bez nazywania tej gówniary jebaną dziwką, a ich pierdolonymi skurwysynami. nie potrafię powstrzymać się przed myślą, że mam nad nimi całkowitą władzę – podpalam im włosy, albo zakraplam oczy klejem szybkoschnącym.

11.

dopiero po 2 miesiącach przestałem wstydzić się swojego wyglądu i mogłem wyjść z domu – poszedłem do kina i na zakupy. w sklepach ludzie patrzyli na mnie, jakbym przytył, i rzeczywiście przytyłem 11 kg – przez 2 miesiące żywiłem się tylko pizzą – cała pewność siebie, jaką udało mi się odzyskać, zniknęła – przestałem wyglądać jak mężczyzna w moim wieku. stałem się przerażonym grubasem. mój brzuch odstawał, poruszałem się jak ociężały mops, moja twarz straciła wyrazistość.

12.

żeby nie zwariować, zacząłem ćwiczyć. żeby znieść ból przy ćwiczeniach, zacząłem łykać opioidy. żeby przełamać złą passę, zacząłem grać i wygrywać na giełdzie.

po pół roku byłem gotów spotkać się z kimś.

13.

zaprosiłem ją do siebie, bo wydawała się w porządku. była czytana, śmiała się z moich dowcipów i czułem, że wie, o co mi chodzi – pisałem na przykład, że chciałyby na nią napuścić jakąś laskę, by się zwarły w łóżku jak 2 amstaffki – nigdy nie nazwała mnie świrem, ani zbokiem. chciała – tak przynajmniej myślałem – drapieżnego seksu, tak samo jak ja.

poza tym, dużo rozmawialiśmy o jej byłym chłopaku, pomagałem jej poukładać wszystko, nadal nie czuła się pewna, bała się, że zerwała z nim w najmniej odpowiednim czasie. rzeczywiście, trochę się pośpieszyła i niepotrzebnie go śledziła.

14.

kurwa, co się dzieje? – najczęściej łąpałem się za przegub, musiałem sprawdzać puls, gdy nie mogłem nic wyczuć, przykładalem dłoń do klatki piersiowej i sprawdzałem, czy moje serce nadal bije – zazwyczaj skurcze były mocne i częste, ale czasami serce zamierało – doprowadzało mnie to do szału – miałem ochotę biegać, podnosić coś ciężkiego, byle tylko znów zaczęło pracować.

zmiana pozycji, wiercenie się, nerwowe zakładanie nogi na nogę, uderzanie piętą o ziemię, drapanie się po głowie, unikanie spojrzeń, popijanie wody pozwalało mi zachować poczucie normalności – desperacko potrzebowalem dowodu, że nadal żyję, nie zwariowałem i nic złego się ze mną nie dzieje. tym bardziej, że dusiłem się, brakowało mi tchu, moje usta, gardło były suche. moją głowę coś boleśnie ścisnęło i nie byłem w stanie zrozumieć ludzkiej mowy.

w takich chwilach chciałem uciec, jak najszybciej znaleźć się w domu – za zamkniętymi drzwiami, w pokoju z zasłoniętymi roletami, przy moim barku.

czasami czułem, że mogę zrobić coś naprawdę złego – bałem się, że skoczę z mostu, podbiegnę do kierowcy autobusu i gwałtownie skręcę jego kierownicą, albo zabiję tego gówniarza, który pluje na chodnik.

skąd, do cholery, mogłem wiedzieć, że nie jestem do tego zdolny?

bałem się, że nie wytrzymam, zrobię coś strasznego, nim dojedziemy do kolejnego przystanku, jebany czas płynął tak wolno, jakbym się upalił mocną marihuaną. nie mogłem znieść uwięzienia w sali, w biurze, nie mogłem dłużej czekać w kolejce, składać wyjaśnień w urzędzie. bałem się wsiadać do samolotu, bałem się podróży dłuższych niż kwadrans, nienawidziłem głośników w kinie, dźwięk z nich płynący mnie dusił, bałem się zbiegowisk, widząc rozwrzeszczanych nastolatków, przechodziłem na drugą stronę ulicy.

patrzyłem przez wizjer i bałem się spytać – kto tam?

od czasu pobicia miewałem te ataki bardzo często. nigdy nie poszedłem do lekarza. nie chciałem brać leków, chciałem, by przestały mnie nękać.

15.

nie, niczego nie pamiętam, odzyskałem świadomość dopiero nad ranem, obudziłem się około 9, nie wiem dokładnie, tak mi się wydaje, miałem związane ręce, od razu poczułem smród, myślę, że to właśnie on mnie obudził, byłem nagi, ubrudzony odchodami, wydaje mi się, że własnymi, skąd mogłem wiedzieć?

oczywiście, że chciałem ją przelecieć. ale nie było to wcale takie proste, wahałem się bardzo długo, w domu na pewno nie miałbym ataku – dlatego chciałem, by do mnie przyszła.

nie wiedziałem, co się stało, próbowałem się oswobodzić, nie mogłem znieść smrodu, upokorzenia, zniewolenia. w końcu się zrzygałem.

posprzątanie tego syfu zajęło mi kilka godzin. wyrzuciłem pościel, materac, ubrania. wyrzuciłem ręczniki i kieliszki.

6.

nigdy jej nie uprzedzałem. pojawiałem się niezapowiedziany. tym razem matki nie było w domu. zakręciła dopływ wody – pewnie wyjechała na kilka dni. ucieszyłem się.

i tak pomyślałaby, że nie jestem w stanie utrzymać tej dziewczyny przy sobie, nie powiedziała by tego wprost, ale na pewno pomyślałaby, że ją rozumie. kobiety nie znoszą takich facetów jak ja – za szybko się poddajesz – słyszałem to tysiące razy. moja matka nie umiała znaleźć mężczyzny, któremu mogłaby się podporządkować, jednocześnie nie tracąc dominującej roli w związku. to był jej problem. doszedłem do tego dopiero kilka lat temu, ale gdy jej o tym powiedziałem przy ostatniej wizycie – odwiedziliśmy ją razem – wzruszyła tylko ramionami i wymownie spojrzała na BEKI. uśmiechnęły się do siebie, jakby to, co mam do powiedzenia, nie wymagało nawet komentarza. ich zdaniem to ja miałem problem.

7.

rozpakowałem się i zacząłem się rozglądać. lubię otwierać jej szafki. właściwie nie wiem, czego w nich szukam, BEKI kiedyś powiedziała – wyglądasz jak małe dziecko szukające prezentu.

nic mnie to wścibstwo nie kosztuje, mogę sobie na nie pozwolić. wychowałem się w tym domu. znam te meble od 45 lat, wiem, gdzie matka przechowuje swoje skarby, na przykład wiem, gdzie schowała pieniądze, mogę zaburzyć porządek panujący na jej półkach. nie zniosłaby tego.

8.

kuchnia – zawsze ociekała tłuszczem, nic się nie zmieniło, była szara od zlepionego brudu, pod szafkami, stołem i w rogach nigdy nie brakowało drobnych śmieci. aż dziwne, że nie miała problemu z myszami. nigdy nie zostawiała łapek.

brakowało mi miejsca, musiałem wyjść z tego pomieszczenia. poplamione ściany nie były malowane od 15 lat. ugotowała w tej kuchni naprawdę dużo obiadów. część z nich zjadłem. nie były smaczne. matka nie potrafiła gotować.

w salonie było pusto. na podłodze leżał stary, mocno zakurzony dywan, nie kupiła nowych mebli, miała tylko telewizor i niewygodną kanapę. nic się nie zmieniło. byłem ciekaw, czy w gabinecie nadal stała karafka, której nigdy nie używała. nie znalazłem jej. może ktoś ją ukradł, albo stłukła ją przez przypadek. zawsze lubiłem jej garderobę. na półkach wysoko pod sufitem trzymała kilka walizek. do każdej przykleiła białą kartkę z wydrukowaną nazwą państwa – ARGENTYNA, FRANCJA, SZWECJA. stara wariatka przygotowała walizki na wypadek, gdyby miała ochotę wyjechać. kiedyś do nich zajrzę, jak tylko umrze.

w spiżarni od dawna nie było niczego dobrego, wszystko zjadła.

9.

gdy wróciłem, musiałem znaleźć mieszkanie – BEKI wyrzuciła mnie z domu – ze swoimi starymi butami podobnie się rozstała. powiedziała – FADI, zabierz swoje rzeczy i nie dzwoń. po prostu sobie idź, okłamałeś mnie ostatni raz. nie możesz mnie tak traktować, nie jestem twoją zabawką. jeśli musisz kłamać, by wyjechać na kilka dni, to nie widzę powodu do kontynuowania tej znajomości – tak powiedziała – nie widzę powodu do kontynuowania tej znajomości. głupia pizda! – byliśmy parą 10 lat!

nim wyszedłem, mimo tego, że wyrzuciła mnie na ulicę jak niedopałek, podeszła do mnie, poprawiła mój krawat, pocałowała mnie w policzek i chciała uściskać moją dłoń, ale w porę się ocknąłem i odepchnąłem ją. powiedziała – tak właśnie myślałam, nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

lubiłem, gdy poprawiała mój krawat. delikatnie zmieniała jego położenie, jakby chciała mieć powód do dumy. zrozumiałem, że nawet w tak drobnym szczególe chciała mnie kontrolować. BEKI GOLDREICH, jak zwykle nic nie rozumiesz, uciekam od ciebie, bo masz za dużo pieniędzy, pewnością siebie, szczęścia i przyjaciół – nawet nie chciało mi się tych myśli jej przekazać, wziąłem swoje rzeczy i wyszedłem. byłem splukany. nie miałem pracy, domu i pomysłu, co mógłbym robić. byłem jednak pewien, że uda mi się przetrwać. znajdę jakąś pracę w gastronomii albo będę udzielał korepetycji. coś wymyślę.

10.

nim do tego doszło, miałem kilka nieprzyjemnych sytuacji. na przykład musiałem uciekać z randki. był wrzesień, umówiliśmy się, że pójdziemy się czegoś napić. znałem ją pobieżnie, chyba lubiłem z nią pisać, wydawała się w porządku – drobna, wesoła dziewczyna, która chętnie pomaga. zgrabna – tak sobie ją wyobrażałem i myliłem się. była wysoka jak wieża ciśnień, ciężka i do tego miała poważny wyraz twarzy. nie chciała pić alkoholu. zamówiłem jej colę. po 3 zachciało jej się sikać. mając dosyć jej nudnych opowieści, uciekłem. dzwoniła, wściekała się. napisałem, że dam jej drugą szansę, jak zostanie moją niewolnicą. nie odpowiedziała.

tydzień później umówiłem się z jakąś napaloną nastolatką. zaciągnęła mnie w jedno miejsce, chciała się całować, za sekundę już nie chciała, śmiała się, za sekundę patrzyła na mnie z wrogością. przeklinała i pytała się – co się, kurwa, tak gapisz? – myślałem, że żartuje – jej głupkowata agresja była naprawdę śmieszna. niestety, dobrze się bawiłem przez kwadrans, po jego upływie mina mi zrzedła.

kraju. 3 facet w kolejce tego dokonał! facet z 3 auta w kolejce, które uniemożliwiało przejazd, brązowy medalista! facet w żółtych spodenkach! prawdziwy nieudacznik, obibok i socjalista!

24.

gdy w końcu karetka dojechała do szpitala, sprawa wyglądała następująco: ogromnie zmęczony, ale nadal pełen życia prezydent został zabrany na ODDZIAŁ UROLOGICZNY. spłot wydarzeń znów działał na jego niekorzyść. był 2 pacjentem w kolejce. na bloku operacyjnym trwała skomplikowana operacja, która lekarzom zajęła 8 godzin.

25.

2 pacjent w kolejce, LELAND, po 5 godzinach oczekiwania nie wytrzymał i wypisał się na własne życzenie. zadzwonił po taksówkę, na którą z powodu korków musiał czekać 10 minut – nie szkodzi, mam czas – wstrzyknięte leki przeciwbólowe, które ukradł, przywróciły mu wiarę w siebie – mam to w dupie – spokój i uśmiech malowały się na jego twarzy. biedny LELAND nie wiedział, że za kilka godzin wróci do szpitala, w którym nadal będzie 2 pacjentem w kolejce.

PROSZĘ, ZOSTAW MÓJ KRAWAT W SPOKOJU

1.

OH, oczywiście, że nie było żadnego pogrzebu. chciałem mieć pretekst do wyjazdu. długo zastanawiałem się, kogo wybrać.

myślę, że umiałbym zaplanować przestępstwo. w sumie, to w jakimś sensie też było przestępstwo, dla moich rodziców na pewno nie było to nic normalnego.

ROY był idealnym trupem. skończył 51 lat, robił w życiu rzeczy, których BEKI nie znosiła, byłem pewien, że powie – no i się doigrał, ciebie też to czeka, zobaczysz – znam ją, wiedziałem, że będzie robić mi wykłady – mam nadzieję, że nie bierzesz narkotyków i nie posuwasz kurew, wiesz, że możesz mnie zarazić? – wariatka! przecież ostatni raz ją posuwałem 4 lata temu, czasami ciężko ją było zrozumieć – gdzie byłeś? w ogóle się nie ruszasz. przestań żreć wieprzowinę, utyjesz, nie kupię ci kolejnej butelki, w tym tygodniu wypijeś już 1. nie chcę słyszeć o żadnych zakładach wiązanych, doigrasz się, mówię ci, nudzę się, nie da się z tobą żyć, nawet nie jesteś przystojny – co za koszmarna baba! dlaczego tak późno uświadomiłem sobie, że ten potwór mi szkodził?

2.

musiałem sprawdzić, czy ma numer telefonu do dziewczyny ROYA, mogła do niej zadzwonić z kondolencjami, choćby po to, by mnie sprawdzić. ciągle mnie sprawdzała – w ostatnim roku naszego związku musiałem zmienić hasła 6 razy. nigdy nie czułem się bezpieczny w jej towarzystwie. czułem, że czyta wszystko, co napiszę. nie mogłem zostawić telefonu bez opieki. patrzyła na niego jak złodziej. kiedyś mi go wyrwała i patrząc z pogardą, powiedziała – wiem, co robisz przedpołudniami, nie możesz u mnie mieszkać, jeżeli okłamujesz te dziewczyny i nie okazujesz mi szacunku.

3.

wcale nie wybrałem najsłabszego, tak jak mi zarzucała, nie chodziło o prawdopodobieństwo śmierci, to bzdury. tylko na początku brałem je pod uwagę. jakie to w ogóle ma znaczenie, dlaczego ktoś umarł?

wybrałem ROYA, bo dojazd do niego zabierał najwięcej czasu i był najbardziej problematyczny – auto, samolot, prom, auto. wiedziałem, że BEKI nie będzie chciała jechać. inna kwestia, może ważniejsza, ona myślała, że się bardzo lubiliśmy.

4.

tylko dla wieloletniego przyjaciela mogła zrobić wyjątek, w rzeczywistości nie przepadałem za nim, był nudny, zawsze składał ubrania. nie chciałem się z nim spotkać bez względu na to, czy był żywy, czy martwy.

w końcu pozwoliła mi się spakować i wyjechałem na kilkanaście dni. zrobiła nawet kanapki, 2 wyrzuciłem, gdy się odwróciła i zaczęła iść w stronę auta. nie było to mądre – mogłem je dać komuś, pozostałe zjadłem, były okropne. no może ta z pieczenią nie była zła, ale – cóż – brakowało w niej życia, bez pepperoni była mdława. BEKI też była mdława. ubierała się jak konduktorka.

5.

nie pojechałem do kochanki.

4 z kolei ataku kolki nerkowej jest marnotrawstwem pieniędzy. prezydent, gdyby dobrze się czuł i właśnie występował w telewizji, powiedziałby, że państwo traktuje pacjentów mających 4 z kolei atak kolki nerkowej jak debili! a on, LELAND, nie zamierza tego tolerować! – w następnej kadencji zniesiemy to poddaństwo! zapewnimy każdemu obywatelowi wolny dostęp do leków przeciwbólowych. wszystkich nadużywających tego dobra będziemy bardzo surowo karać. damy rynkowi szansę! weźmiemy sprawę w swoje ręce, potrafimy sobie pomóc, rozumiecie? my, naród, potrafimy sobie pomóc! do jasnej cholery! nie dajmy się oszukać tym cholernym socjalistom!

16.

karetka wioząca LELANDA do kolejnego szpitala od 20 minut stała w korku. w autach siedzieli jego zwolennicy. gdyby tylko wiedzieli, jak blisko są nieszczęścia, które zrównałoby z ziemią świat, który tak mozolnie budowali wraz ze swoim prezydentem. cóż. kierowcy pozbawieni tej ważnej informacji okazali się leniwi jak socjaliści. wyjąca syrena nie robiła na nich wrażenia, ambulans wyraźnie popsut im i tak już popsuty nastrój.

wielu z nich wrzeszczało – kurwa, gdzie mam zjechać? nigdzie nie ma miejsca, po chuja trąbisz, niech ten kutas z przodu się ruszy – wielu pomyślało, że ustępując miejsca pozwala się zepchnąć, bezpowrotnie traci szansę szybszego powrotu do domu – a spierdalaj w dupie mam karetki! – mężczyźni przeklinali mężczyzn, kobiety pokazywały środkowy palec mężczyznom. ptaki latały, a stacje radiowe zyskiwały słuchaczy.

17.

wyłączcie tę pierdoloną syrenę – panie prezydencie, proszę nie przeklinać, chyba pan rozumie, że nie możemy tego zrobić – nie zniosę tego hałasu, co za idiota projektował tę karetkę!

18.

powodem całego zamieszania był przelatujący gołąb oraz nie działający spryskiwacz w długim, rodzinnym aucie. wycieraczki rozmazywały ptasie gówno, spanikowany kierowca zamiast wyśiąść i przetrzeć szybę, zapalił papierosa i zaczął liczyć do 20. rozwiązanie sytuacji wydłużało się, a LELAND znów wymiotował – wyglądał naprawdę źle.

19.

w pewnym momencie wszyscy kierowcy przestali myśleć, że cokolwiek od nich zależy. gdyby nie trąbili na siebie, nie traktowali siebie nawzajem jak idiotów, nie wyzywali od pieprzonych socjalistów, to i tak nic by się nie zmieniło, bo nikt nie jest w stanie wytłumaczyć ptakom, by nie fajdały szyb facetów, którzy nie rade są sobie z gównem na przedniej szybie.

20.

głosowałaś na mnie? – przepraszam, ale nie chcę na to pytanie odpowiadać, to nie ma znaczenia – ależ ma, głupcze, gdybyś na mnie głosował, już dawno byłbym zdrowy, rozumiesz, mając większość w RADZIE MIASTA zaprowadzilibyśmy w tym mieście porządek. miałbyś pracę – mam pracę – masz główną pracę, stoisz w korku i nic nie robisz – nie sądzę – a nie sądz sobie, płac dalej podatki, daj się okradać, ciemniaku, jebany socjalisto – proszę liczyć się ze słowami, panie prezydencie – słuchaj, gnojku – LELAND nie był jednak w stanie skończyć zdania. znów próbował wymiotować, chwilę później zemdlał – może zmierzymy mu temperaturę? – pielęgniarki wybuchnęły śmiechem.

21.

w 5 aucie w kolejce siedziała kobieta. jej kochanek miał więcej szczęścia, nie musiał znosić napięcia wywołowanego przez kork. siedział sobie na wózku inwalidzkim, w prywatnej klinice onkologicznej, popijał sok pomarańczowy, gapił się na zgrabne pielęgniarki, czekał cierpliwie na cud.

tuż po tym, jak utknęła w korku, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i poprawiła szminką pomarańczowe usta. puder, który perfekcyjnie nałożono na jej twarz, sugerował, że nie będzie chciała dzisiaj nikogo całować.

strasznie schudł. nie mogła patrzeć na jego zapadnięte oczy. to wszystko stało się tak szybko. oszukiwała się, że zapłaci najlepszym lekarzom na świecie i on nie umrze.

22.

nie zapewnię mu odpowiedniej przyszłości, rozumiesz? – stojąc w tym potwornym korku, nie potrafił z nią rozmawiać. nie rozumieli się od bardzo dawna, nie rozumieli się, a on każdego dnia nienawidził siebie coraz bardziej. w końcu miał dość tłumaczenia jej oczywistości, rozłączył się.

patrzył na budynek banku. z nudów zaczął marzyć. w marzeniach sprytnie ominął ochroniarzy, wbiegł po schodach na najwyższe piętro, wszedł z impetem do gabinetu szefa banku, który odmówił jego synowi kredytu. niestety. nawet w marzeniach obawy przejęły nad nim kontrolę. bankier okazał się gruby, szyba pancerna, on za słaby, by wyrzucić go przez okno. bał się nawet uderzyć grubasa stojącym w kącie gabinetu kijem golfowym. zawstydzony porzucił marzenia i włączył radio. pomimo, że był 4 w kolejce, po kilku minutach mógł już skrócić prawo.

23.

nawet nie zamknął drzwi. miał w dupie tego grata. po kilku minutach szybkiego marszu wszedł do kasyna, w którym postawił ostatnie pieniądze. 43 000. TAK! tak się wygrywa w tym

odbierającego telefon, że dzwoni LELAND, prezydent, na którego zapewne kutas nie głosował, bo nie rozumie ekonomii, głośnym uderzeniu słuchawką o podłogę, zdesperowany prezydent upadł na pomysł, który uratował mu życie. podał się za swojego pracownika – nie wytrzymam tego, coś złego się ze mną dzieje. błagam cię, ojczulku, miej litość. potrzebuję asystenta, załatwię ci robotę marzeń. tylko wyslij po mnie karetkę! kurwa mać, bądź człowiekiem!

9.

momenty ulgi zazwyczaj są chwilowe i następują po wymiotach – 60 sekund wypełnionych nadzieją – zaraz wstanę z ziemi, jeszcze chwilę, otrzępię się – po wyczerpującej walce w parterze, ta krótka przerwa pozwala poczuć, że nie wszystko jest stracone.

LELAND też tak pomyślał – nic mi, kurwa, nie jest! pierdolę was! sam sobie dam radę! – ale już chwilę później odszczekiwał wszystkie swoje deklaracje – OOOOOOOO-BOŻEL-KURWA-MAC! – i przechodził do swoich zwykłych myśli – A-A-A – cipy, jesteście w pracy, na boga, czemu mnie nie słyszycie? ale, jak powiedzieliśmy, dziewczynki LELANDA ciężko pracowały w sąsiednich pokojach, nie zamierzały zwracać szefowi głowy swoimi problemami.

10.

nawet, jeżeli LELAND ma rację i państwowa służba zdrowia to banda leniwych morderców, to trzeba przyznać, że zjawili się u niego bardzo szybko.

co ciekawe, nie pomyślał, że chcą go jak najszybciej sprzątnąć. nie pomyślał tak z oczywistych względów – nawet najbardziej morderczo usposobiony pielęgniarz, posiadający ampułki, strzykawki, igły jest lepszy niż ktokolwiek inny. można go przecież przekupić.

11.

gdy do biura prezydenta weszło 2 ratowników medycznych, LELAND był jeszcze człowiekiem, ale nie mógł już samodzielnie się poruszać. nie dałby rady ścisnąć tych wszystkich ludzi, którzy codziennie chcieli mu coś zabrać, którzy codziennie chcieli zająć jego miejsce. nie miał siły robić ich w konia. jednym słowem, nie był zdolny do wykonywania codziennej pracy.

nawet będąc w tak opłakanym stanie, nie mógł pozwolić, by tych 2 leniwych socjalistów przejęło nad nim kontrolę. wiele lat temu widział na własne oczy, jak zachowuje się ranny żołnierz na froncie, i teraz zamierzał go naśladować – przestańcie się gapić i zróbcie coś, do cholery, mam atak kolki nerkowej! – pielęgniarze nie dali się przekonać i przeszli do wykonywania rutynowych procedur – co? nie możecie mi podać leków przeciwbólowych?! kurwa-A-A-A-A-A!!!

12.

LELAND nieposłusznych ludzi wyrzucał z pracy, jeśli nie mógł tego zrobić, wynajmował kilku dziennikarzy, którzy oczerniali ich w prasie. mówiło się, że LELAND w szczególności lubił ludzi rozumiejących reguły gry. trzymał ich w niepewności tak długo, jak długo byli w stanie znieść napięcie. mówiło się także o nim, że jest politykiem cieszącym się popularnością. zdumiewające, prawda?

13.

za chwilę zajmie się panem lekarz, proszę postarać się jeszcze chwilę wytrzymać – dobrze zbudowany ratownik medyczny spoglądał na jeszcze lepiej zbudowanego ratownika, fałszującego kartę prezydenta miasta.

LELAND, dzięki sprytniej manipulacji danymi, stracił wszystkie swoje przywileje. stał się znów jednym z nas. oczywiście, w końcu nieporozumienie się wyjaśni, w końcu ktoś rozpozna jego twarz, może nawet trafi na swojego wyborcę, który złamie procedury. nim jednak do tego dojdzie, będzie musiał związać się z bólu na IZBIE PRZYJĘĆ, jak każdy inny pacjent, co akurat ucieszyło ratowników medycznych, bo nienawidzili ludzi, którzy chcieli zlikwidować publiczną służbę zdrowia.

14.

w normalnym kraju byłbym już zdrowy! – szukanie optymalnej pozycji, której nie ma, jest najczęściej spotykaną reakcją na ból występujący przy kolce nerkowej – w normalnym kraju... – skurwysyn wszedł mu w słowo! jemu! – w tym momencie nie możemy nic więcej dla pana zrobić, przykro mi – to nieprawda, że jest mu przykro, wręcz przeciwnie, ratownik medyczny bardzo się cieszył, że mógł patrzeć na cierpienie prezydenta – ja na ciebie nie głosowałem.

15.

oczywiście, prawdą jest, że podanie środka przeciwbólowego mogłoby wpłynąć na trafność diagnozy, no, ale nie można mieć pewności, nawet przy zapewnieniu ze strony prezydenta miasta, że chodzi o atak kolki nerkowej. nie można wykluczyć innych przyczyn tego strasznego bólu, kwalifikującego LELANDA do przewiezienia do jeszcze innego szpitala, który oferuje szereg nowoczesnych metod diagnostycznych – pana zdrowie jest w naszych rękach, proszę się nie martwić, za chwilę przewieziemy pana na oddział, w którym wykonane zostaną konieczne badania, proszę postarać się wytrzymać – dyżurujący lekarz nie wykluczał innych przyczyn. jakie to szczęście, że nie można wykluczyć innych przyczyn. część opieki zdrowotnej byłaby zbyt cenna. a przecież nie może być zbyt cenna, potrzebujemy jej.

zdaniem prezydenta LELANDA, możemy się obejść bez wielu rzeczy, poleganie na spóźnionej diagnozie lekarza w przypadku

We the people

cokolwiek się działo, działo się na złość prezydentowi miasta.

1.

w pierwszych 20 minutach ataku kolki nerkowej był w stanie samodzielnie stać na nogach, co tylko upewniało go w przekonaniu, że nic mu nie jest – nie takie rzeczy robiłem dla moich wyborców. człowiek w moim wieku ma w dupie ból, nie boję się nikogo, nawet socjalistów! pieprzeni złodzieje, znowu się pojawili, ostatnim razem jak ich tu wpuścili, ukradli pieniądze – prezydent miał werwę, jeszcze nie leżał na podłodze. nie wymiotował. nie myślał o wezwaniu karetki pogotowia.

2.

był spóźniony na spotkanie w klubie tenisowym i spieszył się jak diabli – pewnie dlatego bagatelizował złe samopoczucie.

z trudnego do wskazania powodu nie mógł jednak wyjść ze swojego gabinetu. a miał ogromną ochotę trzasnąć drzwiami i opieprzyć jakiegoś lenia noszącego stanik.

3.

w 27 minucie stało się dla niego jasne, że ból sparaliżował całkowicie jego ciało, powoli odbierał mu jasność myślenia. przechodził do natarcia, którego być może nie będzie umiał odeprzeć. przeciwnik rósł w siłę, on przeciwnie. kurczył się. było mu zimno i od kilku minut myślał o swojej matce, która była uredną cipą.

4.

sprawa wyglądała następująco: prezydent nie miał szans wygrać z bólem bólów. złamię wam nos, postrzelę, dopadnie was migrena, nadal nie poczujecie tego, co czuł LELAND.

5.

pośpiesznie wypite zwykłe środki przeciwbólowe (najpierw zażył 4, potem łyknął kolejne 4 pastylki, po chwili połknął kolejne 3), w gruncie rzeczy nieskuteczne w tego rodzaju dolegliwościach, rozpuszczały się na podłodze, otoczone kałużami wody z cytryną.

zaraz po tym, jak wyrzucił ze swojego żołądka całą zawartość, poczuł w ustach gorycz, nie miał jednak siły wstać i nalać sobie wody z dzbanka. zamiast tego zaczął wyć jeszcze głośniejsze.

dawno temu banda obiboków z wąsami wytłumiła pianką akustyczną jego gabinet. mógł drzeć się jak baba rodząca bliźnięta. wszystko na nic.

w sąsiadujących z gabinetem LELANDA pokojach było cicho jak na egzaminie. normalny dzień w biurze – asystentki, kierowniczki, specjalistki – dla niego leniwe królowny w stanikach – nie interesowały się swoim szefem. zapewne gdyby wiedziały, jak cierpi, zrobiłyby coś. nawet leniwe królowny miewają dobre serduszka.

6.

jak powiedzieliśmy, w żołądku LELANDA nie znajdowały się już żadne środki, które uśmierzyłyby ból przeszywający lewą stronę jego ciała. ból, którego nie powstrzymałoby nawet dziesięć tabletek ANTIDOLU.

pomimo odcięcia od świata, ten dzielny mężczyzna, który swego czasu był na wojnie, nie poddawał się. co – przynajmniej to szczerze – jest piękną cechą, pożądaną u prezydenta miasta. na takich ludzi lubimy głosować – twardy jak spiż ojciec zawsze jest lepszy od gamoniowatego mięczaka bez charakteru. postawcie obok LELANDA dowolnego socjalistę – co się okaże? że ten drugi nie potrafi samodzielnie zabić kurczaka, spuścić lania gówniarzowi rysującemu auta. a szkoda o nich gadać.

7.

w kolejnych minutach sytuacja wyglądała następująco: gdy prezydent miasta dzwoni w własnej sprawie do POGOTOWIA RATUNKOWEGO, dyspozytor w pierwszej chwili nie traktuje go poważnie, nawet jeśli prezydent jest w stanie podać swoje dane, a dyspozytor jest w stanie je poprawnie zweryfikować – z takimi nastawieniami naprawdę trudno jest wygrać, nikt nie lubi takich telefonów. słusznie traktowane są jako żarty.

8.

prezydent zna bardzo precyzyjne określenia. wykrzykuje w złości, śliniąc się, plując, warcząc: skurwysynu – A!-A! – zdajesz sobie sprawę, komu robisz krzywdę? odpowiadaj! kurwa! nie wytrzymam – A!-A!-A!-A!-A! – zwolnij cię, pierdolony nierobie – A-A!-A!-A!-A! – wyślij po mnie karetkę! już!

po dwóch próbach przekonania socjalistycznego głupka,

Proza

Opowiadania

IAN KEMP

podjęli inicjatywę nocnego czuwania przy napełnianym zbiorniku. Solidaryzując się ze społeczeństwem, miejscowy zespół folklorystyczny „Kwaszunka” odwołał w symbolicznym geście protestu swoje najnowsze tournée po okolicznych gminach.

Rozpaczające niewiasty w trybie ekspresowym przewieziono do Ciechocinka na koszt wójta.

Historia Małego Władka

Rocznik 61. Syn Kazimierza i Eufrozyny. Wychowanek Unii Bolec Kujawski. Nie mały wpływ wywarł na niego sławny dziadek Konrad, od zawsze reprezentujący barwy ziemi mazowieckiej.

W rok po śmierci ojca, chociaż formalnie wciąż przebywał pod spódnicą matki, znalazł się w Krakowie jako protegowany wujka Bolesława, znanego szerzej pod ksywką „Wstydlivy”. Szybko usamodzielniał się, występując w Niedziale wraz z młodszymi braćmi, gdzie przejął niebawem opaskę kapitana, zastępując na tej funkcji legendarnego Leszka Czarnego. Seria transferów. Po zakończeniu kariery zawodniczej został managerem. Wkrótce po tym w ramach rozgrywek ligi europejskiej zmuszony był poddać się międzynarodowemu arbitrażowi w sporze z Borussią Malbork. Następnie seria spektakularnych porażek jego drużyny z Pogonią Wilno, po czym krótkotrwała fuzja z Bohemią Praga. W drodze po mistrzostwo ekstraklasy łatwiej wygrane z Jazdowem Mazowieckim tudzież Wisłą Płock. Na podwórku europejskim niestety ponowna przegrana z Pogonią, tym razem w Dobrzyniu. Z kolei zwycięstwo nad Siewierzem pozwoliło na przejście do Cracovii. Nie trwało to długo. Na szczęście owocna współpraca z węgierskim Arpadem, dodatkowo przyklepana wypożyczeniem szybkiego Fenenny, przyniosła cenny remis z Przemysławem Wielkopolskim, skutkujący ponownym triumfem w Krakowie. Był to prawdziwy majstersztyk, przez niektórych określany jako „Układ”.

Znany z awersji do Niemców, od zawsze popierał Piasta. W drodze na szczyty wciąż napotykał na znaną ze swojej arogancji wobec zasad fair play Nową Marchię Brandenburg, doznając porażek w Santoku oraz Drezdenku. Podział punktów w Krzywiniu niespodziewanie zapewnił przychylność Lechitów. Jego sytuację na rynku zupełnie zmienił pogrom doznany w spotkaniu z Bohemią. Na cztery lata wyjechał z kraju. Przygarnęła go stołeczna Roma. Następnie zbierał doświadczenia na Ukrainie oraz od zawsze przyjaznych mu Węgrzech. Powrót zawdzięczał pomocy tamtejszego sponsora Amadeja Aby, dzięki któremu znalazł się w Sandomierzu. Sukcesy w Wiślicy i Lelowie. Zaskakująca klęska Bohemii w Ołomuńcu zwiększyła szanse jego

drużyny na końcowy sukces. Po raz kolejny wybrany na managera Cracovii. Wielka owacja zgotowana przez fanów podczas uroczystej prezentacji. Poparcie w klubie początkowo nie przełożyło się, niestety, na sukcesy. Pasma klęsk na Pomorzu. Przegrana z Nową Marchią Brandenburg, a także Borussią Malbork. Dramatyczny konflikt w drużynie z rozgrywającym Janem Muskata, a na domiar złego z niemieckimi internacjonalami, wbrew początkowym obawom zakończył zarówno spory kompetencyjne, jak i przyniósł ostateczne wzmocnienie pozycji. Nieudane tournée po Danii, Szwecji, Norwegii, Meklemburgii i Pomorzu nie zachwiało jego pozycją. W końcu uzyskał upragniony tytuł. Było to zasłużone ukoronowanie drogi życiowej. Wzmocniony poprzez transfery i fuzje na Węgrzech, Ukrainie oraz Litwie, bez kompleksów przystąpił do rywalizacji z Nową Marchią, Borusią, a także niebywale silną po fuzji Bohemią, występującą odtąd pod nową nazwą: Bohemia Luksemburg. Spotkanie w Płowcach okazało ostatnim wielkim sukcesem. Na drodze do osiągnięcia kolejnych stanął nieuchronny upływ czasu... Pochowany z honorami na Wawelu ten nieodrodny syn ziemi kujawskiej, stał się idolem dla kolejnych pokoleń. To jemu zawdzięcza swą pozycję Jego ukochana Cracovia. Stawając w późniejszych czasach wielokrotnie wobec uznanych przeciwników jak równy z równym, wyrosła na prawdziwą potęgę, ale to już jest historia Dużego Kazka.

Duży Kazek

Przez szereg lat pod kuratelą Małego Władka. To jemu zawdzięczał pierwsze sukcesy. Ten wychowanek stołecznego Wawelu zyskał miano ostatniego z wielkich Piastów, zawsze eksponując więc łączącą go z Kujawami. Szybko osiągnął mistrzowską koronę, która należała mu się jak mało komu. Liczne fuzje i transfery z Arpadem Budapeszt, Pogonią Wilno i Dynamem Kijów spowodowały niesłychany wzrost pozycji wobec takich potęg, jak Bohemia Luksemburg, Marchia Brandenburg czy Borussia Malbork. W wieku dojrzałym dał się poznać jako wytrawny manager. Za jego kadencji Wawel zyskał na sile oraz niebywałym prestiżu. Solidny budżet, jak i sprawny manadżment, utrwaliły pozycję Wawelu w dłuższej perspektywie. Z na poły amatorskiego, wyraźnie lekceważonego przez europejskie tuzy piastowskiego grajdołka, na wiele sezonów uczynił liczący się na międzynarodowej arenie ośrodek. Bohater licznych monografii. ●



łożony w mrokach neolitu (choć niektórzy wspominają coś o paleolicie) przez lud będący pod wpływem kultury lendzielskiej (a wiadomo, że po węgiersku „Lengyel” to Polak), zbyt szybko popadł w ruinę za sprawą zbytniego oddania jej przedstawicieli ceremoniałowi

pucharków lejkowatych. Do dzisiaj znajdujemy w tamtych rejonach ślady neolitycznych biesiad w postaci szeregu stanowisk archeologicznych. Sklejanie porozbijanych pucharów niestety nie przychodzi łatwo, aczkolwiek te także charakterystyczne resztki mówią nam naprawdę wiele o życiu dawnych ludzi.

Omijany przez kupców, nie znalazł na bursztynowym szlaku, jednak o zamożności ówczesnych mieszkańców zaświadcza fakt, iż konieczną do procesu destylacji wodę sprowadzali aż z Gopła. Sukcesywny rozwój przerwał najazd wojowniczego księcia Kwaszunki. To z tamtych czasów datuje się upodobanie mieszkańców do soku z kwaszonej kapusty. Jego następca Stanisław z Wielkiego Łamańca próbował otoczyć osadę palisadą, ale mu się nie udało. Próby kolejnych zstępnych również spełzły na niczym. Dopiero Bernard z Poddąbia i Orzeszka zdołał zgromadzić odpowiednią ilość budulca, lecz wielka plaga korników udaremniła te ambitne plany. Kolejny pan na włościach, jakim był pleban Jan, położył kamień węgielny pod święty zbiornik kwaszonki. Bernard Łaskaty kontynuował inwestycję. To jemu właśnie zawdzięczamy dzisiejszy kształt zbiornika. Poważnym zastrzykiem finansowym dla włości okazał się posag Katarzyny z Janowskich, który przejęła Anna Chrząszczewska z domu Adam Dąbski. Warto przypomnieć to nazwisko w kontekście nocnych bitew z Krzyżakami, kiedy służyła ona za hasło naszym wojom. Tenże wspomniany kasztelan wstawia się roboracją intercyzy. Następcy wdają się w spór graniczny z posesorem Kąkolowej Woli, sędzią ziemskim, a tytułarnym. Stąd włoka to 30 mórg. W dalszym ciągu pirzok, czernina oraz chodzenie z kozą, które dotrwały do naszych czasów. Zwiedzając, warto zaopatrzyć się w kalosze, zwłaszcza po opadach. Sezon trwa 12 miesięcy, jednak najpiękniej po zmroku, kiedy nic nie widać. Z Brzegościa Kujawskiego trafić łatwo o każdej porze roku, nawet po ciemku, ponieważ kwaszonka daje tak mocno, że nie trzeba używać żadnych urządzeń samonaprowadzających.

Chopin w barwach Kujaw

Szafarnia, dn. 26 sierpnia 1825
Najukochańsi Rodzice!

Zdrowie wciąż, jak i tabletki, dopisuje. W Szafarni do-
brze mi się wiedzie, oby nie po raz ostatni. Przedwczoraj

miałem wielką okazję uczestniczyć w okrężnem. A było tak. Dojadamy kolację, gdy dobiegły nas dalekie chóry fałszujących dyszkantów, zarówno babin przez zapchane nosy gęgających, jako też na całe gardło piszczących dziewczyn. Za nimi posuwał się skrzypek z instrumentem altowym o trzech tylko strunach. Wychodzimy przede dwór, a tam wielki tłum włościan z Jaśnie Pannami na czele wyśpie-
wywuje strofy okrężne, a jedną i mnie nawet poświęconą. Wtenczas jak nie uciąłem dobrzyńskiego na skrzypcach, że wszyscy puścili w tany! W końcu i ja, zastąpiony przez wiejskiego muzykanta, poprowadziłem pierwszą parę. Wyobraźcie sobie piętnastoletniego wodzireja... Tańce szły tak ochotnie, aż się niektórzy wywracali. Tak gdzieś koło jedenastej dorwałem się do basetli o jednej zaledwie strunie i rzepoliłbym pewnie do rana samego, gdyby Gospodyni nie pogoniła do spania. Zatem Fryc grzecznie do łóżka, a reszta włościańskiej kompanii pewnie do karczmy do-
kańczać zabawę. Bardzom był tego wieczora kontent.

Dzisiaj do kajetu zapisywałem słowa ludowych przyspiewek, a jednemu włościaninowi zapłaciłem nawet za śpiew. Tak szczerzej pieśni dawnom nie słyszał. Wielce jestem wdzięczny najukochańszym Rodzicom za tak miłe, spędzane w dobrach szafarskich wakacje, bo choć to ziemia sensu stricte dobrzyńska, jednak z ducha kujawska, dziad z pradziada polska. Nigdy nie zapomnę tych melodii, równinnego krajobrazu, a w sercu mym Szafarnia, Dobrzyń, Dulsk, Ugoszcz i Nieszawa, których czuć nauczyłem.

Serdecznie i bardzo, bardzo całuję, wasz najprzysię-
żańszy syn F. Chopin

Profanacja w Brzyngdziółku

„Nowości Lubaranieckie” 2061, # 10, s. 4

Wczorej w godzinach nocnych podczas uroczystego zakończenia pikniku kwasiarzy, plantatorów, udeptywaczy i koneserów niewielka grupka wrogo nastawionych do rodzimej tradycji fanatyków, przeniknąwszy jak dotąd niepoznanym sposobem do świętego basenu, zdołała zbezczeszczyć to z dawien dawna uświęcone miejsce, bez pardonu wypuszczając sok z kwaszonej kapusty.

Bez mała przez całą noc zbiornik pozostawał pusty! Dopiero świtaniem w trybie ekspresowym sprowadzono z Lubarańca cysternę świeżego soku. Trwa napełnianie zbiornika. Sołtys zaalarmował wójta, który niezwłocznie powiadomił odnośne służby. Trwa intensywne śledztwo.

Mieszkańcy Brzyngdziółka, wstrząśnięci zaistniałym przejawem niezwyklego barbarzyństwa, samorzutnie

Dariusz Jacek Bednarczyk › Proza

Prawdziwa historia Brzyngdziółka

kim przez zalany Dolny Śląsk. Kawał narodu stracił dach nad głową, gdy moja konsola stała bezpiecznie gdzieś na półce w twierdzy Wrocław, żeby do mnie wyruszyć w odpowiednim czasie. Na kartę pamięci też się swoje wyczekałem, katując niejednokrotnie Playa po kilka dni bez wyłączania. Jest, co prawda, w co grać, ale co z tego? Co z tego, skoro o *Final Fantasy 7* mogę tylko pomarzyć?

Wróciłem do domu i kilka razy przeczytałem cały artykuł. Wpatriwałem się w niezbyt duże screeny, w dziesiątkę widniejącą jak byk w ocenie końcowej. Przejechałem w pamięci całą moją rodzinę, zastanawiając się, kto może sygnąć chociaż trochę grosza, ale u wszystkich byłem już od dawna pod kreską. W akcie desperacji chciałem nawet sprzedać, za pośrednictwem starszego kolegi, srebrną solniczkę i pieprzniczkę u pobliskiego jubilera. Okazało się jednak, że są srebrne tylko z nazwy. Nie było żadnej nadziei. A gdy nie ma nadziei, to najczęściej przychodzi ona znikąd.

W szkole, na lekcjach matematyki, siedziałem w ławce z kolegą, którego nazywaliśmy Sarną, właściwie sam nie wiem dlaczego. Jemu to właśnie pożaliłem się zupełnie przypadkiem, że właśnie omija mnie okazja grania w najważniejszy tytuł we wszechświecie. Żaden tam z niego był gamer. Zresztą, rodziców miał takich, że choćby średnią 6.0 trzy lata z rzędu przyniósł na koniec roku, to by mu i tak konsoli nie kupili. Mieli bowiem wobec swojego pierwotnego zupełnie inne plany i dość wyraźnie kolidowały one z graniem w gry. Tym sposobem Sarna został rękami swojej matki i ojca ubrany w komeżkę i zapierdalał w każdej wolnej chwili do kościoła odsłużyć swoje. Dzwonkami dzwonił, kadzidłem machał, kielich czyścił. A wszystko to robił, mając bardzo głęboko w dupie całą ideę. Ot, matka kazała, to poszedłem. I tylko czasami, gdy udało mu się jakimś cudem znaleźć kilka wolnych chwil od tego, by prowadzić swoje życie w stronę bycia świętym, wpadał do mnie lub innego znajomego na partyjkę w *Tekkena* albo inną gierkę. Jego matula myślała pewnie, że jej syn, ukochany niczym święty Franciszek, rozmawia właśnie ze zwierzętami albo planuje pielgrzymkę do Częstochowy. A on śleczął na mojej kanapie z padem w dłoni i cieszył się jak dziecko, klepiąc mordy kolejnych Tekkenowych przeciwników.

Sarna, jak się później okazało, miał jeszcze jedną ważną zaletę. Właściwie to wadę, ale w tym konkretnym przypadku trzeba to interpretować w specyficzny sposób. W każdym razie, miał dość znaczne problemy z kolanami i niekiedy nie mógł przez to odsłużyć całej mszy. Zwijął się wówczas bez słowa do zakrystii i nikt nie robił mu z tego żadnego problemu, bo księża i siostry zakonne doskonale wiedzieli o tym, że chłopak schorowany nieco. A że mu dobrze z oczu patrzyło, greczny był jak aniołek i w dodatku tak pięknie mówić potrafił, to komu by to miało przeszkadzać, że chwilę sobie odpocznie w kościelnym zaciszu? Wszak liczą się dobre chęci, a tych mu z pewnością nigdy nie brakowało.

Siedziałem wieczorem w domu, w dość marnym nastroju. Co chwilę włączałem kolejną grę, ale w żadną nie potrafiłem pograć dłużej niż kilkanaście minut. W którymś momencie usłyszałem łomotanie do drzwi. Chciałem już krzyknąć do matki, że mnie nie ma, ale w sumie i tak nie miałem nic ciekawego do roboty, więc ucieszyłbym się nawet z jakiegos towarzystwa. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je, zastanawiając się, kto przychodzi w odwiedziny w niedzielny wieczór. Przede mną stał Sarna. Zziąpany, ledwo łapiący powietrze

w płuca, w kolorowej kurtce zarzuconej na komeżkę, która groteskowo spod niej wystawała. W rękę trzymał banknot stużłotowy.

– Idź i kup *Final Fantasy 7* – wysapał po dłuższej chwili.

– Skąd ty to, kurwa, masz? – zapytałem.

– Z tacy, zajebałem z zakrystii, jak nikogo nie było.

Będę się pewnie smażył w piekle za to, że wziąłem te pieniądze, ale co znaczy wieczność w kotle ze smołą wobec perspektywy posiadania upragnionego tytułu? Jestem poza tym przekonany, że w tej konkretnej chwili, to raczej boskie aniżeli diabelskie siły zadziałały tak, abym mógł kupić trzy płyty *Finala*. Że sam Bóg, widząc Sarnę symulującego, tuż po zebraniu ofiary, ból kolan i wymykającego się chyłkiem do zakrystii, aby wyciągnąć z sejfu niezbędną stówkę, zamknął na chwilę oczy, mówiąc do siebie: a niech bierze, to na dobre pójdzie.

Następnego dnia, zaraz po szkole, ślecząłem pod domem Chemika tak długo, aż zjawił się i wypalił płyty. Przyszedł nowy czas.

Gwiazdy. Jak okiem sięgnął gwiazdy i zdaje mi się, że wszystko wiruje. Nic więcej, nawet księżyc, tylko jasne punkty na czarnym niebie. Ocknąć się, wstać, obudzić. Stoję w wąskiej alejce. Wysokie budynki, ale jest tak ciemno, że niemal nic nie widzę. Rozglądam się wokół i dostrzegam łopoczącą w oddali kolorową łunę neonów. Ruszam przed siebie, zupełnie nie wiedząc, gdzie jestem i dokąd idę. Ciężkie, wojskowe buty uderzają rytmicznie w ziemię. Jeszcze tylko kilka kroków i stanę tuż obok ruchliwego skrzyżowania. Zegar widniejący u szczytu ogromnego gmachu wskazuje dziesięć minut po północy. Mimo tego wokół wciąż tętni życie. Na ścianie za mną napis „Loveless” świeci ostrym żółtym światłem. Teatr? Wystawiają sztukę? Obok mniejszy czerwony neon „Goblins Bar”. Przez ulice co rusz przemyskają trójkołowe motocykle. W powietrzu kłębią się tumany kurzu i spalin. Światła reflektorów płyną po asfaltowej drodze. Warkot silników miesza się z coraz większym gwarem. Dopiero teraz dostrzegam, że niedaleko mnie, na rogu, przycupnęła kwiaciarka. Młoda dziewczyna o długich kasztanowych włosach związanych kokardką. Ma na sobie jasną, prosto skrojoną sukienkę sięgającą kostek. W rękach trzyma duży wiklinowy kosz wypełniony kwiatami. Sięgam do kieszeni, aby odnaleźć choćby kilka gil, ale nic w niej nie znajduję. Dziewczyna uśmiecha się ciepło i rusza niespiesznie przez ruchliwe skrzyżowanie. Nie wie jeszcze, że za jakiś czas w Mieście Starożytnych ktoś będzie kładł jej ciało na taflę jeziora. Że będzie to początek końca...

Obudziłem się późną nocą. Coś działo się na zewnątrz. Słyszałem pracę wielkich maszyn. Było jasno w moim pokoju, mimo tego, że przed snem zaciągnąłem wszystkie zasłony. W oddali słychać było odgłosy jadącego pociągu. Taki dźwięk dociera tu tylko wtedy, gdy niesie się przez świeże, podeszczowe powietrze, nigdy więcej i na pewno nie tak wyraźnie. Stalowe koła, tłoiki... coraz bliżej, wreszcie pisk zablokowanych kół, które suną z coraz mniejszym impetem po stalowych szynach. Podeszedłem do okna i odsłoniłem je. Gdzieś daleko, na czarnym niebie, majaczyły reaktory ●

u Majera, pojawili się z plikiem płyt marki Verbatim, podpisanych czarnym markerem. Same najnowsze tytuły, za które bez wahania skoczyłbym w ogień. Absolutnie wszystko, w co tylko chciałbym zagrać, a o czym trudno było pomarzyć, bo oryginały drogie jak cholera. Przysiedli przed konsolą i położyli wymownie swoją kolekcję na stole, tak, abyśmy mogli napatrzeć się na nią i zrozumieć, co możemy zyskać. Jeden z nich poprosił o kartkę i długopis, drugi o zapalniczkę i mały nożyk. Popatrzyliśmy po sobie, zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi, ale chwilę później Majer przyniósł wymagany sprzęt. Pierwszy quest zaliczony, jak w każdym szanującym się erpegu, powinno się spytać experience. Zaostrzona zapalniczka powędrowała na naszych oczach pod klapkę PSX-a, pozwalając uruchomić płytę bez jej zamykania.

– Podstawą jest to, że są dwie prędkości płyty – powiedział jeden z gości, a drugi w tym czasie notował wszystko na kartce. – Potrzebujemy jednego oryginału i jednego pirata, którego chcemy uruchomić. Wrzucamy oryginał, czekamy, aż się rozkręci i zwolni, przekładamy na pirata, znowu leci szybko, wolno, przekładamy na oryginał, a gdy ekran robi się czarny, znowu wrzucamy pirata.

Konsola zaszumiła. A my patrzyliśmy z niedowierzaniem na telewizor, na którym wyświetliła się właśnie czołówka Street Fightera Alfa.

– Jest w czerni i bieli, bo to wersja NTSC – tłumaczył ten od zapalek. – W każdym elektronicznym można kupić ScartCabel albo Pal-Converter i będzie kolor. Dwie płytki wam zastawiamy w prezencie, żebyście ogarnęli co i jak. Gierki chodzą u nas po trzy dychy, mniej więcej co tydzień mamy coś nowego.

To wszystko... wyszli, zostawiając nam dwa krążki oraz kartkę z rozpiską prędkości i numerem telefonu... a my staliśmy, wciąż nie do końca wierząc w to, co przed chwilą zobaczyliśmy. Pierdolona magia. Sprzęt marki Sony, maszyna rodem z kosmosu, zabójca automatów złamany za pomocą jednej zaostrojonej zapalniczki. Cud nad Odrą się właśnie dokonał przed naszymi oczami. Zamiana wody w wino. To wydarzenie powinno zostać zapisane złotymi zgłoskami we wszystkich annałach piractwa. Człowieka, który to wymyślił, powinni zatrudnić w NASA jako specjalistę do spraw nierozwiązywalnych. Polak to musiał być, nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości, bo kto inny wpadłby na coś równie absurdalnego? Zapalniczka, jedna oryginalna płyta, jedna piracka płyta i dwie prędkości. Niemożliwe, a działa. W każdym razie tamtego dnia pojawiła się odpowiedź na pytanie, które gnębiło mnie od dłuższego czasu. Jak za marne kieszonkowe uciąć kasę na pojawiające się w zastraszającym tempie nowości.

Wszystko zaczęło się wreszcie układać po mojej myśli. Dzień później przyszła bowiem wreszcie moja wyczekiwana przez wieki konsola i niewielki, bo piętnastocalowy telewizor. Sprzęt bez karty pamięci, z jednym padem, ale mój, własny. Rozsiadłem się w fotelu, odpaliłem demówkę *Crasha Bandicoota* i wreszcie mogłem powiedzieć, że jestem dumnym posiadaczem Sony PlayStation. O jakichkolwiek pieniądzach, choćby na memorówkę, mogłem tylko pomarzyć. Wiedziałem dobrze, że limit dobroci i szczodrości mojej matki został na długi czas wyczerpany. Przeliczyłem oszczędności i doszedłem do wniosku, że jakby się z kimś zrzucić, to dałoby się jednak kupić ze dwa nowe tytuły. Postanowiłem zatem zadzwonić do Bladego, podzielić się z nim rewelacjami dotyczącymi magicznej zapalniczki łamiącej zabezpieczenia „Szaraka”, a przy okazji namówić go na którąś z gier, jakie ostatnio

widziałem w gazetach. Złapałem za czerwoną słuchawkę stojącego w przedpokoju telefonu i wykręciłem na tarczy doskonale znany mi numer. Szybko okazało się, że informacje, które, jak mi się wydawało, znali nieliczni utajemniczeni, obiegły lotem błyskawicy całe miasto. Błady wiedział, tyle że od innej osoby – od Chemika. Tak, tego człowieka kojarzyłem dobrze, a to oznaczało, że dostęp do gier stał się jeszcze łatwiejszy.

Suikoden i *Blood Omen: Legacy* od Kain grane w czarno-bieli, bez karty pamięci. Japońskie erpegi, w których wszystkie opcje i dialogi zapisane były nic mi nie mówiącymi rzędami krzaków. Nie było jednak przeszkód, których nie dało się pokonać. Działała żelazna logika – jeśli porozmawiam z każdą postacią na świecie i wybiorę każdy możliwy zlepek japońskich szlaczków, to fabuła musi ruszyć... no i ruszała. W którymś momencie zacząłem się nawet łapać na tym, że orientuję się, co oznacza dany wyraz. Które to „yes”, a które „no”, albo że dany szlaczek oznacza z pewnością jakiś spell oparty na ogniu. Jakby docierały do mnie same gierki rodem z kraju kwitnącej wiśni, to niechybnie nauczyłbym się podstaw japońskiego.

Złote czasy dopiero się jednak zaczynały. Chemik co tydzień jeździł na wrocławską giełdę komputerową i przywoził całe stosy nowych tytułów, które natychmiast wypalał na ledwie dyszącej ze zmęczenia nagrywarkie. U Bladego, Majera i u mnie w pokoju rosły stosy płyt. Trudno było się zdecydować, za co się złapać w pierwszej kolejności.

Nastał październik. Wracalem właśnie skądś pociągami, mając w kieszeni dokładnie wyliczoną kwotę na trzeci numer PSX Extreme. Gazety były drogie, ale cholernie ważne. W czasach zerowego właściwie dostępu do Internetu stanowiły nieocenione źródło informacji. Zasada była prosta – trzeba było jak najszybciej dostać najnowszy numer, sprawdzić największe hity i złożyć zamówienie u Chemika, wręczając mu oczywiście odpowiednią kwotę. Po jego powrocie z giełdy miało się już w rękach płytkę, którą wiecznie otwarta gardziel PSX-a przyjmowała zwykle bez większych przeszkód. W przydworcowym kiosku kupiłem magazyn, a ten wysłiznął mi się z rąk i upadając na ziemię, otworzył się dokładnie na samym środku – jakby to był znak. Zobaczyłem Midgar.

Idź i kup *Final Fantasy 7*. Od takich słów zaczynała się recenzja. Nie było minusów, nie było wad, nie było innej możliwości niż wystawienie oceny 10/10. Stałem pod kioskiem i powoli, z jak największą starannością czytałem każdy akapit. Gra kompletna, erpeg wszech czasów. Dwie strony zachwycania się, omdlewania, zachłystywania się wszystkim tym, co przygotowała na trzech płytach ekipa Squer-softu. Na trzech płytach, kurwa? – zatrzymałem się na tej informacji i przeczytałem ją kilka razy, żeby się upewnić. Na trzech płytach? Przecież to oznaczało, że gra jest daleko poza moimi możliwościami finansowymi, bo ostatnią kasę, co do grosza, wydałem właśnie na gazetę. Jeszcze jakby to był jakiś staroć, albo tytuł, który nie będzie obiektem pożądania każdej osoby posiadającej Playę, to może za sześć dych dałoby się to kupić. Ale z taką recenzją? Dziewięć dyszek i nikt nawet nie będzie chciał słyszeć o targowaniu się. Zrzucić się we trzech? To kto będzie grał pierwszy, a kto ostatni? Dwóch będzie czekało, a jeden będzie powolutku sunął przez fabułę, żeby nie umknął mu żaden jej szczegół. Cholerna rozpacz. Na „Szaraka” się już wystarczająco wyczekałem. Przypląnął do mnie na statku pirac-

z płyty Tekken2, a na nim stojące w skąpych strojach przepiękne dziewczyny: Jun Kazama, Nina Williams, Michelle Chang. Ale co z tego, że mógłbym nawet mieć tę płytę, skoro nie mam konsoli? Konsola utonęła, zaginęła w akcji. A w dodatku nikt się tym nawet nie przejął. Posejdon nie wysłał swoich posłańców, aby przynieśli mi moją zgubę, wojsko się tym nie zajęło. Gdyby chociaż Snake opuścił na chwilę *Shadow Moses* i wyruszył na poszukiwania mojego „Szarak”! Gdyby *Hideo Kojima* dowiedział się o mojej tragedii, mógłby akcję pierwszego *Metal Gear Solid* ułożyć w podtopionym Brzegu. *War. war has changed* – powiedziałyby na samym początku gry Snake, patrząc z mostu w kierunku Wrocławia. Tutaj toczy się wojna o moją konsolę.

Chodziłem więc każdego dnia nad Odrę, coraz bardziej tracąc nadzieję, że ta powódź kiedyś się skończy. Sprawdzałem stan wody. Patrzyłem na wskaźnik, na którym przekroczone były wszystkie ostrzegawcze wysokości. Nic się nie zmieniało, było jak przed kilkoma dniami, jak przed tygodniem. Żadnych szans na to, żeby ktoś się przejął moją konsolą i wysłał ją z Wrocławia do Brzegu, bo są ponoć rzeczy ważniejsze – a przynajmniej tak sądzili wszyscy z wyjątkiem mnie. Co gorsze, w telewizorze smutni panowie w garniturach cały czas gadali o tym, że nieprędko wszystko wróci do jako takiej równowagi. Że stan klęski żywiołowej i nic nie funkcjonuje tak, jak powinno. W akcie desperacji zapytałem nawet któregoś dnia matkę o to, czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy w weekend wybrali się do Wrocławia pociągami, bo te przecież całkiem sprawnie kursowały, i kupili mój kochany sprzęt na miejscu, ale ta popukała się tylko wymownie w czoło.

Jedyną dobrą wiadomością, jaką przekazali mi przypadkowo spotkani znajomi, była informacja, że Błady i Majer zdążyli dostać swoje konsole jeszcze przed powodzią, co dość szybko wytłumaczyło fakt, dlaczego nie widziałem ich od tygodni. W jednej chwili porzuciłem chodzenie nad rzekę i rozpaczanie. Zebrałem się w sobie i następnego dnia, tuż przed południem, ruszyłem na drugi koniec miasta, aby odwiedzić dawno zapomnianego kolegę. Przemykałem przez ulice, zastanawiając się, co powiedzieć, jak się ubić, choćby siłą, do jego mieszkania. Jaki fortel wymyślić. Pędziłem przed siebie jak posłaniec. Jakby miasto było okupowane. A ja miałem nawet w kieszeni schowaną bibułę – było nią kilka czarnych jak smoła płyt z trzech pierwszych numerów PlayStation Magazynu, które kosztowały mnie grubo ponad połowę kieszonkowego. Same demówki, ale przecież zawsze coś, zawsze jakaś karta przetargowa.

Wdrapałem się na trzecie piętro wysokimi, drewnianymi schodami, ledwo łapiąc oddech. Stałem przed drzwiami i, dysząc ze zmęczenia, zapukałem.

– Mnie nie ma – rozległ się krzyk Błatego. Na chwilę wszystko umilkło, ureszcze usłyszałem powolne kroki. Matka mojego kolegi otworzyła drzwi i zerknęła na mnie zmieszana.

– Dzień dobry, już wiem, słyszałem – powiedziałem.

Kobieta nie miała wyjścia, musiała zawołać syna, żeby zachować twarz. Stałem tak w progu, trzymając przed sobą w dłoni kilka czarnych płyt. Błady nawet się nie odezwał. Zobaczył tylko, że nie przychodzę z pustymi rękami i machnął ręką, żebym wszedł.

W wąskim, długim pokoju stała kanapa, meblościanka, biurko z pecetem i on... „Szarak”. Postawiony na półeczce obok telewizora –

w szaczącym miejscu, jak na piedestale, jak monstrancja, jak Święty Graal. Na ekranie zapauzowany *Wipeout*. W pomieszczeniu panowała zupełna cisza, którą zakłócał jedynie przyjemny szmer kręcącej się płyty. A więc tak wyglądasz na żywo – maszyno, która zabiłaś automaty, która zjadłaś na śniadanie wszystkie dotychczasowe konsole, która zmieniłaś na zawsze świat gier. Tak wyglądasz – ty, na której za jakiś czas będę mógł grać we wszystko, o czym tylko zamarzę, nie martwiąc się o to, że w kieszeni kończą się żetony albo że jest wieczór i salon gier już zamknięty.

Usiadłem na kanapie i nie ruszyłem się z niej do późnego wieczora. Gier tyle, co nic. Prawie same demówki, ale co z tego? Przecież takiej grafiki nie widziałem, jak żyję, a już na pewno nie na domowym sprzęcie. Jak w rzeczywistości – powtarzałem w kółko – jak film. Śnieg się sypie spod snowboardowych desek w *Cool Boarders*, punkowa muza napierdała aż miło. Fury roztrząskują się w drobny mak w *Destruction Derby*. Kolory wylewają się wiadrami z telewizora, gdy Fargus i Nikki mkną przez psychodeliczną krainę w oszukanym trójwymiarze. Grafa zapiera dech w piersiach, kiedy George Stobbert przemierza ręcznie malowany Paryż. Kręci się płyta w czytniku „Szarak”. W ciemnym pokoju wyraźnie widać zielone oko konsolowej diody. Za oknem robi się zupełnie ciemno.

Następnego dnia, już z samego rana, ruszyłem do kolejnego szczęśliwca, któremu wielka woda nie odebrała Sony Playstation. Majer mieszkał raptem kilkaset metrów ode mnie. Poznałem człowieka, gdy byłem w trzeciej, a on w drugiej klasie podstawówki. Startowaliśmy razem w konkursie recytatorskim. Koleś zdeklasował przeciwników brawurową interpretacją „Ślonia Trąbalskiego” i wygrał bon na chałwę i cukierki, czy coś równie absurdalnego. Kto by wtedy pomyślał, że będzie miał PSX-a przede mną? A tu proszę, życie bywa okrutne. Wszedłem do jego ogromnego jak hangar pokoju i jest, stoi tuż obok potężnego telewizora Joymax, który posiada nawet w menu możliwość zagrania w Tetrisa. Wszędzie już, kurwa, było widać zbliżający się XXI wiek, tylko nie u mnie. U mnie dalej stał cielak 333 nie kręcony nawet i monitor z dupą tak wielką, że rysowała ścianę.

Szlag mnie trafił, gdy usłyszałem pytanie o to, co się stało z moją konsolą, ale nie dałem po sobie poznać. Usiadłem wygodnie w fotelu i dopiero wówczas ujrzałem leżące obok „Szarak” kwadratowe pudełko z napisem *Tekken2*. Boże mój, schowany w drewnianej szafie z ekranem i pożerający żetony, ile ja straciłem pieniędzy przez tę gierkę na automatach. Wcisnąłem przycisk i wsłuchiwałem się w głos lektora. Lei Wulong, Jun Kazama – to właśnie detektywem z Hongkongu i matką Jina, która bardziej przypominała jego siostrę, najbardziej lubiłem grać. Ale większości osób imponował Kazuya Mishima. Ta fryzura, ten zajebiście prezentujący się gajer, ten klimat. No i walka z Devilem w całkowitych ciemnościach. Tyle żetonów wrzuconych w bezdenne gardło maszyny, a tutaj tylko pad w rękę – przycisk start, przycisk „x” i można grać, ile się chce. Pomieszkowałem zatem u Majera, łapiąc w *Tekkena*, klepiąc pierwsze porządne juggle na *Practice Mode*, a następnie przenosząc je na nie mające końca pojedynki. I nawet nie wiedziałem, że najgorsze, co przyniosła ze sobą powódź, już prawie minęło, a moja wyczekiwana przesyłka ruszyła właśnie do Brzegu.

Po dziś dzień nie mam pojęcia, skąd wzięło się dwóch sporo od nas starszych gości, którzy pewnego dnia, gdy znowu koczowałem

Te dwa czerwone guziczki, krzyżak z czymś, co później nazwano by analogiem – na bank bym się skusił. Byłbym teraz kimś – jeśli zawierzmy gusłom mojej matuli – wygrałbym mistrzostwo Europy w League of Legends albo rywalizowałbym z Koreańczykami w Starcrafta. A tak, oszukali mnie jebanym kolorowym piórem i po temacie.

Dzień po zamówieniu „Szaraka” popełniłem kardynalny błąd. Poszedłem do pokoju mojej matki, gdy ta oglądała w telewizorni „Wiadomości”. Boże ty mój zbudowany z podzespołów Pentium, tak-towany zegarem 150 MHz, z dyskiem 1,6 GB i szesnastomegową pamięcią, akcelеровany Voodoo, duchu ty mój w maszynie – co ja tam usłyszałem! Powódź! Wielka woda do nas płynie. W Czechach już od jakiegoś czasu dramat pełną gębą. Ich zbiorniki retencyjne od dawna były jednak przygotowane. Nikt tam nie przejmuje się tym wszystkim aż tak bardzo. Taktyka już na samym początku została ustalona w myśl słów – niech armagedon idzie na północ. A u nas, rzecz jasna, nikt nawet nie pomyślał o tym, że Odra i Wisła, jak świat światem, z południa na północ płyną, aż po Bałtyk. Wszyscy zaskoczeni jak służby drogowe końcem grudnia. A woda płynie. Nadciąga nieubłagane. W sąsiadującej z nami Nysie zero kumania, bo nasze zbiorniki retencyjne pełne od dawna i nie ma już czasu, aby je opróżnić. We Wrocławiu władze miasta srają ze strachu pod siebie. No bo Ostrów Tumski, Panorama Racławicka, bo inne zabytki. Breslau pod wodą? To by była dopiero kompromitacja! A w drodze na ten Wrocław już tylko Brzeg. Jak bunkier pod Wizną, jak kapitan Raginis. Szanse zero-ue, granat w rękę, ale walczyć to będziemy do upadłego.

Idzie zatem ta wielka woda, a ja siedzę przed telewizorem, u mojej matuli w pokoju, i myślę sobie przerażony, że jak nas zaleje w piździet, to nici z mojego „Szaraka”. Boże ty mój kochany, posiadający 34 MHz CPU, jak smutno byłoby umierać, mając ledwie trzynaście lat i ani razu nie grając na własnej konsoli, postawionej z namaszczeniem na półeczce pod telewizorem. Zwłaszcza że przecież została obiecana. Że małe chińskie rączki już ją jakiś czas temu skręciły za miskę ryżu – a ja, dziecko z kraju europejskiego, już przeca prawie cywilizowanego, mogę zakupić ten cud techniki za pieniądze matuli, która tyle lat tyrała za komuny, a i po jej upadku, w sądzie i urzędzie gminy. Byłbym poszedł na sańce. Na wały przeciwpowodziowe. Walczyłbym z wielką wodą, jeśli to pomogłoby w tym, aby mój PSX dotarł na czas do Brzegu. Nosiłbym te worki z piaskiem i układał je w tamę, wiadrami wylewałbym wodę z podtopionych piwnic. Ale nie było żadnej nadziei, żadnego sensu.

W tamtych czasach nie wiedziałem jeszcze, że w moim pięknym mieście nikt się nigdy jakoś szczególnie nie pierdolił w tańcu. Brzeg był nawet kiedyś niemal festung z jednym czołgiem. Gdy przyszło co do czego, to spierdalał ponoć ten czołg aż miło. W każdym razie twierdza, a to do czego zobowiązuje. Zawsze stali tu żołdacy. Byli czerwonoarmiści, którzy dawali dzieciom konfietki i metalowe gwiazdочки. Są po dziś dzień chłopcy z białą-czerwoną flagą na mundurze. Co za różnica – kamasze i karabin przewieszony przez ramię. A na żołnierzy, jak się uczy każdego gówniarza, zawsze przecież można liczyć. Zrobiono zatem użytek z naszej saperskiej ekipy, no, bo saper z wodą sobie przecież poradzi. Ciemną nocą wysadzono wały przeciwpowodziowe i zrobiono jezioro z całej gminy graniczącej z miastem. A chuj tam ludzie, pola uprawne, sady i ogrody, dorobek całego życia. Solina też powstała w miejscu, w którym kiedyś ktoś

mieszkał – Teleśnica Sanna, Horodek, Sokole – w zamian woda, a proszę, jak tam teraz pięknie i nikt się jakoś nie obrusza.

Mnie jednak zupełnie nie obchodziło to wszystko, o czym gadano na każdym kroku, w każdym sklepie i na każdym chodniku. Nie ruszał mnie widok ludzi na pontonach, ciężki sprzęt wojskowy przetaczający się przez ulice miasta. Nawet to, że matka, aby wrócić z pracy, musiała pewnego dnia amfibią z saperami się przez Odrę przeprawiać. Interesował mnie jedynie fakt, że mój „Szarak” nie dojeżdże na czas, bo wszystko po horyzont doszczętnie zalane. Brzeg niemal jak wyspa. Fakt, dostarczano rzeczy pierwszej potrzeby – jedzenie, ubrania, lekarstwa. Z gminy zamienionej w jezioro ewakuowano ludzi. Po drugiej stronie miasta, z dala od rzeki, postawiono kontenery dla powodzian. Ale mnie to nie obchodziło, to tylko matula gadała jak najęta, oglądając telewizornię. Dom jej matki i siostry też zresztą zalało. Woda stała tam prawie pod strych. Przeniesiono je zatem, razem z całą resztą wioski, do tymczasowych kontenerów, a my pojechaliśmy je odwiedzić.

Nie pamiętam jednak niczego z tej wizyty. Przed wyjazdem, próbując zabić smutek spowodowany brakiem PSX-a, przegrzebałem stos kartridżów do GameBoya. Zmartwiony tym, że wszystko już dawno zrobione po kilka razy, niepewnie zerknąłem w stronę ogromnych regałów z książkami. Długo przyglądałem się tomom pokrytym wiecznym kurzem, aż wreszcie wzrok mój zatrzymał się na trzech mocno poniszczonych częściach *Władcy Pierścieni* – o, gimbaso, to były czasy, gdy o Tolkienie słyszeli tylko nieliczni. Skąd zatem mogłem wiedzieć, że oto na mojej półce cały czas leżał wśród stosów innych książek magiczny eliksir, prawdziwy potion na brak PSX-a? Tymczasowy, ale przecież lepszy taki niż żaden. I tak siedziałem, najpierw w kącie kontenera dla powodzian, nie zwracając nawet uwagi na to, o czym rozmawia z ciotką i babką moja matula, a następnie już we własnym pokoju. Kartka za kartką, rozdział za rozdziałem. Brnąłem dzielnie przez całe Śródziemie, po granice Mordoru, aż do Orodruiny, a czas płynął w niesamowitym tempie.

Dni mijały, a ja nie potrafiłem sobie już nawet przypomnieć, kiedy nie padało, kiedy chmury były innego koloru niż szary. Słońce nie wychyliło się zza nich od tygodni. Każda doba wydawała się identyczna, bo co może się zmieniać podczas wiecznego deszczu? Tylko wody ciągle przybywało w coraz obszerniejszych kałużach. Wszędzie jej było pełno i w jakiś niesamowity sposób odczuwało się ją nawet w domu. Ubrania, mimo tego, że wisiały w szafach, zdawały się być dziwnie wilgotne. Sól nie chciała się przesypywać przez otwory w solniczce, bo już dawno zamieniła się w grudę. Nawet nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby zamiast kwiatów w doniczkach pojawiły się wodorosty, a wannie zaległy się kijanki.

W telewizji na każdym kanale apokaliptyczne obrazy z całej Polski. Helikoptery latają nad zatopionymi wioskami, wszędzie jedno wielkie jezioro. Płyną depesze ze wszystkich stron świata – od prezydentów, premierów, królów, z którymi nikt się już nie liczy. Co chwilę Nosowska śpiewa kawałek „Moja i twoja nadzieja”. Frodo wrzucił już pierścieni w otchłani ognistej góry, a mojego „Szaraka” ani widu, ani słychu. Przepadł jak kamień w wielką wodę. „Nic, naprawdę nic nie pomoże, jeśli ty nie pomożesz dziś miłości” – dochodzi kolejny raz zza ściany sąsiedniego pokoju. A ja przecież kocham. Kocham Chun Li, a ostatnio też inne kobiety, bo widziałem w jednej z gazet tłoczek

Powódź z roku 1997 zapamiętam na zawsze. Miałem wtedy trzynaście lat i obietnicę wywalczoną u matki, po naprawdę wielkich bojach. Obietnicę kupna konsoli Sony PlayStation. A naprawdę nie była to łatwa sprawa. Błagać musiałem przez niemal sześć miesięcy. Pierwszy raz w moim niezbyt długim życiu byłem poukładany do bólu. Miałem wrócić do domu o 19.00, przekraczałem próg kwadrans przed czasem. Miałem uczyć się na sprawdzian przez dwie godziny, uczyłem się trzy. Miałem poprawić oceny z matematyki, poprawiłem i dorzuciłem do tego dobrze napisaną kartkówkę z fizyki. I przyniosło to efekt. Matka moja powiedziała bowiem pewnego pięknego dnia – będziesz miał konsolę swoją i nowy telewizor – a było to dla mnie ważniejsze niż boskie słowa – niech się stanie światłość.

Pokój mój przypominał w tamtym czasie miejsce niemal z innej epoki. Półki pełne były książek pokrytych grubą warstwą kurzu, nad łóżkiem wisiały dziesiątki plakatów piłkarzy i piosenkarzy, a nawet istne perełki – postery związane z gramami, zdobyte od starszego brata mojego sąsiada, który jeździł dość często za zachodnią granicę. Gdzieś w kącie walał się mocno wysłużony już GameBoy z monochromatycznym ekranem, a na biurku stał cielak 333 nie kręcący nawet i monitor z dupą tak wielką, że rysowała ścianę. Sprzęt ciągnął jeszcze co nieco, ale prawie dwa lata później, żeby skończyć Half Life'a, musiałem kolejny raz wybłagać matulę o pieniądze i kupić Rivę TNT 64. A grzało się to kurewstwo do tego stopnia, że komp pocił się, gaśł, umierał. Brało się więc towera pod pachę, niosło do serwisu i zostawiało na prawie tydzień, żeby sprawdzili, żeby wskrzesili dogorywającego trupa. A gdy cielak wreszcie uracał na biurko, to okazywało się, że specjaliści-czarodzieje podmienili płytę główną, bo nawet kolor miała inny. Tańsza pewnie dali, podróbę okropną, bo jakby była droższa, to by z pewnością nie zapomnieli mi o tym powiedzieć i skasować jeszcze parę złocisz. Ale nieważne, Celeron żył, nie pocił się, Half Life śmigał i dało się go skończyć. Gordon Freeman napierdalał obcych aż miło, jak trzeba, to nawet łomem. Wojna wymaga ofiar przecież. W czasie wojny milkną muzy, jak powiadał Cynceron.

Ale nie o Marku Tulliuszu miało być, a o moim PSX-e. W dzień przepiękny, w którym matka powiedziała, że mogę iść zamówić konsolę, pognałem przez miasto na złamanie karku. Przecinam ulicę Długą najpierw, gdzie tabliczka z nazwą wisi w miejscu starej, znacznie obszerniejszej, bo pomieścić musiała litery układające się w dwa wyrazy – Armii Czerwonej – i się jeszcze ta blizna na ścianie nie zagoiła, straszy w dalszym ciągu. I gnam dalej obok Hanki Sawickiej, a teraz Jana Pawła II. Po ręce prawej, zarzucanej zamazyście w biegu, mijam Świerczewskiego zamienionego w Wyszyńskiego. Przed siebie, aż pod różowe wieżowce, nie patrząc nawet na przejściach dla pieszych, czy coś jedzie, czy nie jedzie, bo biegnę przecież w sprawie ważniejszej niż wszystko inne. Jak posel na sejm biegnę.

Wpadam wreszcie zziąany do sklepu jedynego, jedynego takiego w całym mieście. Z miejsca pytam o PlayStation. A czasy były wtedy inne, gimbaz – ooo, inne to były czasy – i nie wszystko było w takim małym mieście na miejscu, od ręki. Co z tego, że mówię gościowi „Szarak”, że matka obiecała, że jak trzeba, to własną krwią podpiszę, duszę oddam, dawaj, chłopie, ten cyrograf, bądź nekromantą Mortaniusem, ja będę Kainem. Co z tego, skoro on do mnie, że za tydzień najwcześniej sprowadzi. The tavern's is closing – best be on your way, stranger!”. Jak się nie da inaczej, to niech będzie za tydzień – myślę so-

bie zrozpaczony. Trzynaście lat żyłem bez sprzętu marki Sony, bez dostępu do tego, co cywilizacja ludzka wytworzyła w trudach i znojach, to i tydzień przetrwam jeszcze. Siedem dni cholernych przetrwam o chlebie i wodzie. O GameBoy'u z monochromatycznym ekranem, cielaku 333 nie kręcącym nawet i monitorze z dupą tak wielką, że ścianę rysuje. Niech i tak będzie. Nie ma przecież wyjścia. And so I left – cold of heart and soul. Forced to the road, and the long, bitter night.

Ale zanim wyjdę, załatwić trzeba formalności – koleś za ladą, z wąsem takim, jaki nosili wtedy wszyscy goście zajmujący się sprzętem elektronicznym i ja, trzynastoletni, ze szczecina, agrestem pod nosem, jeśli dobrze pamiętam. Numer telefonu – stacjonarnego, gimbaz, kurwa, stacjonarnego, takiego z tarczą i słuchawką na zakręconym kablu. No to wałę z pamięci 416-26-12, bez kierunkowego, nie trzeba kierunkowego, bo ja z miasta tego jestem. Ja się w tym mieście urodziłem, wyrosłem w tym mieście, ja tym miastem jestem.

Nie tak jak moja matula, ona nie, ona pod miastem wyrastała, wśród stu ciotek i stu wujków. Każdy tam ciotka i wujek, bo jak ich kiedyś, dawno temu, wsadzili w wagon i wywieźli ze wschodu na zachód – bo wędrówki ludów niemal zawsze prowadzą w tym kierunku – to się okazało, że krew tę samą mają, mieszała się ze sobą przecież od wieków. Ale ja nie, ja stąd jestem i nawet mi to kiedyś w dowodzie wpiszą, zatem kierunkowego nie trzeba. A ty mi, Mario, Luigi, czy jak ci tam, wśaczysz złoty, obiecuję, że „Szarak” będzie najpóźniej za tydzień. Dzwoni sobie do matuli mojej, niech ci potwierdzi, że ma się stać wedle słowa mego, że są złotówki zachowane na ten cel szczytny, choćby nas obcy rodem ze Space Invaders najechali, choćby M. Bison z Shadaloo podbił cały świat, choćby nie wiem co, to ja czekam... here comes a new challenger.

Wracam do domu i zaczynam odliczać sekundy. Moje trzynastoletnie serce bije w szalenie szybkim tempie. Ile jest sekund w tygodniu? Liczę w pamięci, ale liczenie nigdy nie wychodziło mi dobrze. Gadać tylko umiem – w sensie zawsze umiałem – pierdolić bez sensu, najlepiej o niczym, wtedy osiągam poziom Insane, fucking God Mode. Bo gadanie jakoś mi w nawyk weszło, no i pisanie. Matka, po tym jak przyszedłem na świat, wymyśliła, że taki test mi robi – znaczący się jakieś ludowe bajdurzenie, ale koniec końców dość urocze. Kresowe pewnie, ale ona nie kresowa, chociaż z lędźwi kresowych, więc coś tam pewnie jej zostało z tych guślarskich wierzeń.

W każdym razie jeszcze „baba” dobrze nie potrafiłem powiedzieć, pod siebie srałem, a już mi test pierwszy przygotowany. Położono przede mną różne przedmioty symbolizujące zawody i czekano, aż coś sobie wybiorę, a wybór ten miał rzekomo oznaczać moją przyszłą profesję. Był tam ponoć śrubokręt, termometr, widelec, kluczyki do auta – szczerze powiedziaławszy, chuj wie, co jeszcze – ale na pewno było pióro, bo właśnie pióro wybrałem. Moja matka powiedziała wówczas pod nosem – pewnie bardziej do siebie niż do innych – pisarzem będzie. I gdybym tylko mógł mówić, gdybym nie był workiem ze skóry srającym pod siebie, to bym pięknie skwitował to słowami – no, Rodzico moja, to przejebane jak diabli, na wylot normalnie. A tak obśliniłem się tylko z zadowoleniem i tym sposobem podpisałem cyrograf dotyczący reszty mojego życia. Chociaż matka mi się kiedyś przyznała, że ten długopis był najbardziej kolorowy ze wszystkich przedmiotów i może dlatego go wybrałem. Cholera, pada do Atari by dali do wyboru, to bym z pewnością po niego sięgnął.

Fragment powieści

WIELKA WODA I ENERGIA MAKO

11111001101

Krystian Ławreniuk

– A jak nie, to co mu zrobią? Ile go tak będą tłuc?
 – Aż powie.
 – No ale jak nie powie? Co, będą go tłuc, aż zabiją?
 – Że tego... jego sprawa. Jak jest durny i nie gada.
 – A jakby się dowiedzieli, która to, co by jej zrobili?
 – Że tego... – odezwał się stary i kolejny raz machnął ręką.
 – Ech... – dodał – my mamy takie prawo. Jej mąż powiesiłby ją gołymi rękami.
 – Aha – odpowiedział dziadek.

– To nie nasza sprawa. – Cygan wyrzucił peta i zdeptał go podartym butem. – Ale z gęsiami też nie możesz teraz wyjść, szefie.

Cmoknął i kiwnął głową.

– Nie wiem, czego nie gada. Ale to jego sprawa, nie nasza, prawda?

– Prawda – zgodził się dziadek.
 – My mamy do załatwienia z tymi gęsiami.
 – No – dziadek zwrócił się do Cygana – zrobimy tak, posłuchaj: wyślesz chłopaka do mnie i mi odprucuje przy ziemniakach po dwa dni za każdą gęś.

Stary wziął znów kapelusz do ręki. Podrapał się.

– Leniwy jest...
 – Leniwy, nie leniwy, ja ci mówię, jak się ugodzimy. – Dziadek wzruszył ramionami.

– Cztery dni? – upewnił się Cygan.

– Tak.

– Dasz jeszcze papierosa?

Dziadek znów wyjął paczkę i ponownie zapalili.

Ja tymczasem dyskretnie podglądałem rozprawę: dwaj krewcy Cyganie podnieśli leżącego i przyciągnęli pod sąsiedni dom. Oparli pobitego o ścianę, ale ten osunął się i klapnął wprost pod nogi czterech kobiet stojących w drzwiach. Jeden z oprawców kopnął go w brzuch, drugi siarczyście uderzył w twarz. Zamknąłem oczy, czekając na krzyki, ale niczego nie usłyszałem. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem za to, że jeden z mężczyzn wyjmując nóż i mówi coś do kobiet, machając im ostrzem przed oczami. Wystraszyły się i cofnęły, nie jednak nie odpowiedziały. Nożownik podrzucił tę swoją kosę w powietrze, znów złapał za rękojeść, ale tym razem ostrzem w dół, i pochylił się nad leżącym.

– Nie patrz się tam! – krzyknął dziadek. – Co, do cholery, robisz? Gap się lepiej na tego durnego prosiaka. – I szarpnął mnie za ubranie.

Tymczasem prosiak wyciągnął się koło pieńka, gdzie mógł się czochrać do woli, ale ja byłem tak wystraszony, że to jego komiczne kiedy indziej smyranie teraz wcale mnie nie bawiło. Patrzyłem jednak w milczeniu na zwierzę, bo dziadek nie pozwalał mi przecież oglądać tego, co działo się na sąsiednim podwórku.

Stary milczał. Palił, gapiąc się w ziemię. Od czasu do czasu cmokał i spluwał pod nogi. W pewnej chwili zaczął mocno kaszleć. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, jak jabłko Adama dziwnie mu skacze w górę i w dół – wyglądało jak piłeczka schowana pod starczą skórą. W górę i w dół, w górę

i w dół. Wydawało się, że to coś żywego, mysz złapana pod dywanem. Kiedy skończył kasłać, poprosił dziadka o jeszcze jednego papierosa, a dziadek powtórzył rytuał częstowania. Palili w ciszy. Od czasu do czasu stary Cygan odwracał głowę w kierunku obejścia sąsiadów. W końcu wyrzucił peta, wstał i powiedział do dziadka:

– Możesz iść, szefie. Chodź, dam ci gęsi.

Dziadek poszedł za nim do obory. Ja też chciałem, ale zatrzymał mnie gestem dłoni.

– Ty siedź tutaj. Poczekaj z prosiakiem, zaraz wracam.

Tylko że prosiak gdzieś zniknął. Drzwi domu były szeroko otwarte, więc przypuszczalnie zwierzak wlaźł do środka, bo przecież nie miał dokąd pójść. Zrobiłem krok do przodu, odsunąłem się od ściany i popatrzyłem na podwórko za płotem.

Nie było już nikogo. Przynajmniej stojącego. Jedynie zatłuczony Cygan leżał wyciągnięty pod drzwiami. Pozostali gdzieś się rozeszli. Podeszedłem kilka kroków bliżej. Teraz widziałem go bardzo dobrze – miał twarz czerwoną od krwi. I nie tylko twarz. Od pasa w górę cały był pocięty, a z czerwonych bruzd wypływała krew, która teraz, krzepnąc, pokrywała całe jego ciało. Leżał nieruchomo z nienaturalnie skręconą jedną nogą. Dokładniej już nie mogłem się przyglądać, bo usłyszałem gęganie gęsi pędzonych przez dziadka. Gdy tylko mnie zobaczył, krzyknął:

– Co robisz, do cholery?! Mówiłem ci, że masz zostać z prosiakiem przy domu!

– Ale jego już nie ma – bąknąłem.

Dziadek spojrzał i wiedział, że nie kłamię. Stary maszerował za nim, a posłuszne gęsi w równym szeregu wędrowały w stronę wyjścia. Pomogłem dziadkowi zagonić ptaki do furtki.

– Zobaczysz, jak ci przetrzepię tyłek za to, że nie słuchasz! – usłyszałem.

Cygan otworzył ogrodzenie i gęsi wyszły na ulicę. Wyszedłem za nimi, ale dziadek zatrzymał się i pożegnał gospodarza uściskiem dłoni.

– To się dogadaliśmy, na cztery dni – powiedział na odchodnym.

Stary kiwnął głową na zgodę.

– Przykro mi, szefie. Nie gniewaj się, nie wiedziałem, że są twoje.

– Daj spokój, co się będę gniewał! – uspokoił go dziadek. – Zapomnijmy już o tym.

– Że tego... szacunek, szefie! – dodał na koniec stary.

Dziadek zasalutował mu i zajął się gęsiami. Szedłem z boku w milczeniu, raz z jednej, raz z drugiej strony, żeby ptaki się nie rozpierzchały. Opuściliśmy obozowisko. Przed nami ukażała się wieża ciśnieli. Dopiero wtedy dziadek odezwał się.

– Co jest, ślamazarusie jeden?

Tak czasami lubił się do mnie zwracać. ●

Tłumaczenie: Radosława Janowska-Lascar, oficyna Amaltea, Wrocław 2018. Przedruk za zgodą Wydawcy.

Przygnębiony Cygan włożył kapelusz.

– Oddam ci je – zamruczał – ale zostało tylko pięć.

– Co znaczy tylko pięć? Przecież ci mówiłem, że miałem siedem.

– Tyle miałeś, niech ja skonam, właśnie tyle miałeś.

– No więc?

– Że tego, więc... zabiłem dwie, bo skąd miałem wiedzieć, że są twoje, szefie? Popatrz. – I wskazał na pieniek, na którym siedział.

Świeża krew widoczna była i na pieńku, i wokół niego. Cygan pokazywał ślady palcem, a my patrzyliśmy.

– Dwie? – Dziadek wyglądał na zdziwionego.

– A skąd miałem wiedzieć, do kurwy nędzy, szefie?! – Popatrzył potem na dom i dodał: – Skręć kark gnojowi!

I znów kajał się: – Przysięgam, nie wiedziałem, szefie! Kobieta zrobiła pieczeń i zupę, jeszcze stoją gorące na piecu.

– Z dwóch? – Nie przestawał się dziwić dziadek.

Cygan zamachał rękami.

– No, jak się znalazły...

Dziadek westchnął.

– Dobra, biorę pięć. A z tymi dwiema jakoś załatwimy.

Ucieszyłem się, zwłaszcza że na twarzy starego widać było autentyczny żal. Byłem przekonany, że cała ta historia rozędzie się po kościach. Lecz dokładnie wtedy, kiedy zacząłem się cieszyć, z sąsiedniego podwórka, gdzie zgromadzeni byli inni Cyganie, zaczęły dobiegać ostre krzyki. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeliśmy w tamtą stronę: dziadek patrzył ponad głowę starego, ja obok niego, a stary Cygan szybko się odwrócił i również obserwował, co się dzieje.

Dwóch zyłastych i krzepkich Cyganów ciągnęło trzeciego, stłuczonego już na kwaśne jabłko. Chociaż dzieliło nas około trzydziestu metrów, dość dobrze było widać, że był nieźle poturbowany. Upuścili go na piach, a jeden z oprawców schylił się i rozerwał leżącemu koszulę na plecach. Drugi chwycił koński bat i zaczął okładać swoją ofiarę. Wystraszyłem się na dobre. A ponieważ pochylając się na bok, musiałem puścić dłoń dziadka, szybko ją odszukałem i ścisnąłem trzeci raz. Wtedy dziadek powiedział:

– Słuchaj, po co się gapisz? Nie masz co robić? Lepiej patrz na prosiaka.

Zwierzę siedziało spokojnie koło naszego pieńka, ale podniosło ryjek i węszyło naokoło. Stary Cygan wstał i zwrócił się do dziadka:

– Że tego... dajmy spokój, to nie nasza sprawa.

I przeciągnął umazany krwią pieniek pod dom.

– Ech, jak dasz nam geśi, to sobie pójdziemy. I potem ustalimy, jak się policzymy za tamte dwie.

– Teraz trzeba poczekać, szefie – odpowiedział już ze spokojem Cygan. – Trochę niedobrze trafiłeś. Dopóki tam się nie skończy, nie damy rady przegnać geśi przez ulicę.

Wtedy dziadek wstał i pociągnął mnie za rękę, bym podszedł bliżej ściany. Oparliśmy się o nią.

– Masz fajki, szefie? – zapytał stary, siadając na pieńku.

– Tak – odparł dziadek. Wyjął paczkę Mărășești i podsu-

nął papierosa Cyganowi, drugiego zaś włożył sobie do ust. Zapalili.

Mój dziadek przeważnie nie palił, a jeśli już, to bardzo rzadko. Zawsze jednak nosił przy sobie dyżurną paczkę, z której, jeśli była taka potrzeba, wyciągał papierosy. Teraz akurat się przydały.

– A co się tam dzieje? – spytał dziadek, wskazując na sąsiednie podwórko.

Uderzenia bicia i wrzaski bitego nie ustawały.

– Że tego... takie tam, nasze sprawy – mruknął stary.

Schyliłem się i spojrzałem w tamtą stronę – leżący wciąż dostawał ostre cięgi, mocno też się przy tym darł.

– To nie moja sprawa. Jego krewni go załatwiają. Jak jest durny, tyle mu trzeba – dodał Cygan.

Dziadek pociągnął mnie za głowę.

– Co robisz? Nie masz się na co gapić? Miałeś patrzeć w stronę prosiaka!

Znów spojrzałem na zwierzę, które tymczasem podeszło do gospodarza i po raz kolejny oberwało kopniaka.

– Hakana! – Cygan zwrócił się do prosiaka i splunął. – Hakana, kurewskie nasienie!

Stary zaciągnął się papierosem, a prosiak zmył się jak niepyszny.

– No, ale co się stało? – Dziadek nie dawał za wygraną.

– Ma za swoje. Dziecko jest z nami, nie mogę ci mówić, szefie, co i jak. Został osądzony.

– Mów – nalegał dziadek. – Dzieciak jest już duży.

– Że tego... co ci będę gadał, szefie. Dlaczego nie trzymał interesu przy sobie? Zachciało mu się kurwienia z jakąś pizdą, to ma teraz za swoje!

– Aha – zareagował dziadek. Ja nic nie zrozumiałem. Dziadek ciągnął dalej:

– I co, tak go osądzili? To już człowiek nie może sobie tego... jak mu się zachce...?

Machnął ręką w powietrze w nieokreślonym geście.

– Nie no, może! – odparł stary. – Ale nie z mężatymi babami, i to jeszcze od nas...

– Aha – znów rzucił dziadek, a ja zacząłem z grubsza pojmować, o co poszło.

– I co, złapali go? – Dziadek chciał poznać szczegóły.

– Gorzej. Jak jest durny, to co mu zrobisz? Schlał się winem i zaczął się przechwalać. Że niby to jakaś, co ma siedemnaście lat, ale nie gadał która. Że tego... a u nas są cztery, co się już ochajały i mają siedemnaście lat. Tamte cztery.

Cygan pokazał palcem. Dziadek pochylił się do przodu. Ja też się pochylałem. Faktycznie, w drzwiach stały cztery kobiety, które patrzyły na leżącego. Nie płakały, nawet nie były wystraszone. Nic nie robiły, stały tylko obojętnie i nieruchomo. Leżący przestał wrzeszczeć, ale nawet z tej odległości było widać, że jest cały zalany krwią.

– Żadna się nie przyznała. A teraz ich rodziny i jego krewni tłuką go, żeby powiedział. A ten, nie wiadomo czego, nie chce gadać. Ja tam bym od razu wskazał, nie broniłbym pizdy własną skórą. Ale ten to durny. Będą go lali, aż powie.

Ale lubił mi nimi grozić i nawet nie wiem dlaczego, ale czasami trochę się go bałem. Myślę sobie teraz, że może z powodu głosu. Dziadek miał mocny głos i zawsze sprawiał wrażenie takiego, który spełnia wszystko, co zapowiada.

Weszliśmy do obozowiska. Były to rudery, które do tej pory widziałem jedynie z daleka. Nawet przy drodze wyczuwałem dziwny, intensywny zapach – mieszanek starości z wilgocią. Muszę przyznać, że widok mnie zszokował i już zacząłem kombinować, jak ukrótce będę się chwalił chłopakom, że byłem w cygańskiej osadzie, jak będę im opowiadał o czymś, czego oni nigdy nie widzieli. Jednocześnie czułem dumę z powodu mojego dziadka, bo inni dziadkowie czy rodzice za nic w świecie nie mieliby odwagi tu przyjść, a tym bardziej z wnukami czy dziećmi pod opieką.

Gdy spojrzałem w prawo, dostrzegłem nieopodal na podwórku grupę kilku mężczyzn i kobiet. Myślałem, że właśnie tam idziemy, bo w miarę jak przybliżaliśmy się, dziadek cały czas spoglądał w tamtą stronę. Zatrzymał się jednak przy domu wcześniej, przed płotem o starych, zmurszałych i w większości połamanych sztachetach, i otworzył furtkę. Wszedł na podwórko, ciągnąc mnie za sobą. Zamiast psa przywitał nas chudy prosiak ryjący pod drzwiami. Chybocące się drzwi ledwo trzymały się na jednym zawiasie i gdy prosiak rył pod nimi, miałem wrażenie, że za moment runą na ziemię. Dziadek kopnął zwierza, ten zakwiczął, spojrzał w kierunku dziadka, ale się nie przesunął. Dopiero gdy zainkasował kolejnego kopniaka, w końcu niechętnie odsunął się z kwikiem. Zachciało mi się śmiać, strasznie był komiczny ten prosiak. Oddalił się na jakieś dwa metry i wydawało się, że nerwowo patrzy na dziadka.

Dziadek zastukał pięścią w te ledwo trzymające się na jednym zawiasie drzwi, a ja naprawdę przez moment myślałem, że zaraz wszystko runie. Nie runęło, otworzyło się. Zobaczyliśmy Cygana o lekko siwiejących włosach wystających spod kapelusza. Gospodarz powitał nas nieśmiałym:

– Że tego...

Dziadek pozdrowił go jak zwykle:

– Uszanowanie!

– Al – Cygan zorientował się, z kim ma do czynienia. – Uszanowanie, szefie!

Zamilkł i popatrzył na dziadka. Ten nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę.

– Że tego... – usłyszeliśmy znów.

– Ej, wyjdź no na chwilę, pogadamy.

Cygan popatrzył na sąsiednie podwórko, gdzie stała grupka mężczyzn i kobiet, pokręcił głową, zdjął kapelusz, poprawił go, potem założył ponownie i znów spojrzał na dziadka.

– Wyjdę.

Dziadek odsunął się, stary Cygan wyszedł, zamknął drzwi i wskazał dziadkowi leżący na podwórku pień służący za ławkę. Usiedliśmy. Cygan rozejrzał się po podwórku i trafił wzrokiem na inny pień, z którego sterczała wbita siekiera. I na pieńku, i na siekierze widoczne były ślady krwi. Nie przejmując się nimi, przysunął pień do nas i usiadł.

– Że tego... O co chodzi, szefie? Będziesz robił awanturę?

– Nie – zaprzeczył dziadek. – W domu czeka robota, nie mam czasu na awantury.

– No to?

– No to tak... – Dziadek podrapał się w czubek głowy. – Ktoś mi powiedział o twoim chłopaku.

– Że co niby?

– Miałem siedem gęsi – zaczął dziadek. – I dzisiaj ich już nie było.

Cygan nagle się zachmurzył. Podniósł dłoń do kapelusza i go zdjął.

– Ktoś mi powiedział, że widział twojego chłopaka, jak je tu prowadził.

Cygan wstał. Zamachał jedną ręką, jakby chciał powiedzieć: „co ja do diabła mam zrobić”, w drugiej zaś dalej trzymał nakrycie głowy. Później rzucił kapeluszem w sam środek zakurzonego podwórka. Natychmiast pojawił się chudy prosiak, który zaczął obwąchiwać nowy przedmiot, ale gdy po chwili zaliczył od swojego gospodarza wściekłego kopniaka w brzuch, uciekł, kwicząc z bólu na cały głos. Cygan wszedł do domu.

Pociągnąłem dziadka za rękaw. Chciałem, żeby na mnie spojrzał.

– Co jest? Dlaczego poszedł do domu?

– Zamknij się – wycedził dziadek przez zęby.

I natychmiast po tych słowach ledwo trzymające się na jednym zawiasie drzwi znów się poruszyły i zobaczyliśmy, jak Cygan ciągnie za ubranie małego Cyganka, tego, który ukradł nam piłkę, kiedy graliśmy z chłopakami w futbol na boisku przy dworcu. Zatrzymali się przed nami i młody zainkasował jeszcze pięść w kark.

– Ojjoj, dado! – wrzeszczał jak opętany. – Nie bij!

– Idź w pizdu, bydlaku jeden! – odpowiedział mu ojciec. – Podprowadziłeś gęsi pana szefa! Niech cię krew jasna zaleje, akurat te musiałyś rąbnąć?

Ciężka ręka starego Cygana ponownie spadła na kark młodego, but zaś mocno potraktował jego tyłek. Na taki obrót sprawy zacząłem się trochę bać, ścisnąłem mocno dłoń dziadka, ale poczułem, że dziadek ściska moją i uspokoiłem się trochę.

Stary dalej tłukł syna, a ten darł się wniebogłosy: „Dada, nie bij już, nie bij!”. W pewnym momencie między kolejnymi ciosami młody spojrzał na mnie z taką nienawiścią, że zamarłem i znów ścisnąłem dziadkową dłoń. Dziadek odpowiedział tak samo jak poprzednio i to znów dodało mi otuchy. Koniec końców stary albo wyrzucił z siebie całą złość, albo zmęczył się wreszcie, bo w pewnym momencie zakończył wymierzać karę ostatnim ciosem w kark i odesłał obitego syna do domu. Potem otarł pot z czoła, spojrzał wokół, splunął, podniósł kapelusz, podszedł do nas i usiadł na pieńku umazanym krwią.

– Że tego... szefie, nie wiedziałem. Stało się, co mam teraz zrobić?

– No – odpowiedział dziadek. – Oddaj mi je i zapomnij o wszystkim.

Pewnego dnia ktoś ukradł siedem naszych gęsi łąjących samopas po okolicy. Przy drodze koło naszego domu rośło sporo trawy, więc nasze ptaki, podobnie jak gęsi i kaczki naszych sąsiadów, miały sporo wolności i pasły się same. Nie było z tym żadnego problemu, gęsi nie mieszały się między sobą, wykazywały instynkt stadny, czy jak się to u ptaków nazywa, i łączyły gromadami dokładnie według podwórek, z których pochodziły. Gospodarze wprawdzie liczyli się i z tym, że zawsze mógł trafić się jakiś zwariowany ptak, który opuściłby grupę i poszedł w cholerę, dlatego znakowali swoją własność farbą. Naszym wymalowaliśmy na prawym skrzydle coś w rodzaju czerwonej falki, przypominającej dzisiejsze logo Nike, chociaż w tamtych czasach nie miałem pojęcia, że jest coś takiego jak Nike, a tym bardziej nie wiedzieli tego moi dziadkowie. Gęsi innych gospodarzy nosiły znaczki w postaci krzyżyków czy złotych kropek. A trafiały się też całkiem odjechane znaczki. Na przykład jeden z naszych sąsiadów namalował na skrzydłach swoich siedemnastu gęsi choineczki. Oczywiście zieloną farbą. Inny z kolei wywołał zgorszenie u ludzi, między innymi i u mojej babci, ponieważ oznaczył swoje ptaki brązowymi fallusami. Liczyłem sobie wtedy coś koło ośmiu lat i babcia się wściekła, że nie powinienem oglądać takich sprośności, więc poskarżyła się na milicję, zresztą wraz z innymi sąsiadami. I dowcipny gospodarz musiał potem wyrwać te tak „uszlachetnione” pióra z lewych skrzydeł swoich gęsi, a zamiast haniebnego znaku na prawych skrzydłach biednych ptaków wymalował po brązowym kwadracie. Trzeba dodać, że miał o to później do nas żal i wręcz nas chyba znienawidził, bo kwadrat nic mu nie mówił – i to było dla niego najbardziej wkurzające. Tylko że w pośpiechu nie wpadł na lepszy pomysł, ponieważ milicjant stał wtedy nad nim, bo chciał uczestniczyć w całej operacji, to znaczy w wyrzucaniu wstydlivych piór i ponownym znakowaniu ptaków. Trwało to wszystko mniej niż pół godziny, co dla sąsiada okazało się za krótko, by upaść na bardziej inteligentny pomysł, zwłaszcza że wisiała nad nim groźba poważnego mandatu, chociaż tak naprawdę nie istniało żadne prawo zabraniające malowania fallusów na gęsiach. Wiem o tym, bo podczas wyrzucania piór sąsiad wciąż się upierał, że chciałby poznać ten przepis, ale milicjant powtarzał mu – na początku spokojnie, ale potem już coraz bardziej nerwowo – że w naszej wiosce to on jest prawem i to on jest przepisem. W końcu wściekły rzucił pod adresem upierdliwego gospodarza kilka ostrych słów i pogroził mu milicyjną pałą.

Dziadek, kiedy zorientował się, że nasze gęsi przepadły jak kamień w wodę, również nie zdzierzył i ostro zaklął. Po czym zaczął chodzić od domu do domu w poszukiwaniu zguby. Poszedłem za nim, bardziej z ciekawości niż z innych powodów. Z kolei dziadek zabrał mnie ze sobą, bo był przekonany, że ja jako ośmioletnie dziecko mam bystrzejszy wzrok niż on i zobaczę to, czego on, sześćdziesięciolatek, już nie zauważy. Koniec końców okazało się, że dobrze zrobił. Kiedy w pewnym momencie wszedł na podwórko kolejnego sąsiada i zaczął z nim rozmawiać, ja zostałem na drodze i bawiłem się lekko sflacza-

łą piłką, którą wziąłem, żeby się nie nudzić na tych poszukiwaniach, wtedy wyrósł koło mnie mój młodszy, szczerbaty jeszcze kolega, w dodatku z zajęczką wargą. Opowiedziałem mu, że ukradli nam gęsi, na co chłopak oświadczył:

– Wies, ja chyba wiem, kto zabrał wasze gęsi. Były tam, na logu. – Wskazał ręką. – Psyset ten Cygan, co nam łaz zabrał piłkę, jak glaliśmy w nogę na boisku koło dworca. Naplawdę. Miał w łęce gałązkę i widziałem, jak płowadził wasze gęsi do góły, do wieży ciśnień. To znaczy nie wiem, czy były wasze, ale miały znaczki, i pomyślałem sobie, co jest, psecies Cyganie nie malują swoich gęsi.

Wszedłem na podwórko sąsiada i prędko zawołałem dziadka. Dziadek powiedział, żebym dał mu spokój, że ma tu do pogadania, ale wyjaśniłem, że usłyszałem coś ważnego o gęsiach. Przerwał więc szybko rozmowę i wyszedł. Mój szczerbaty kolega z zajęczką wargą opowiedział dziadkowi tę samą historię i dziadka to strasznie zdenerwowało. Po opisie chłopaka zorientował się, że chyba zna tego Cygana – był synem jakiegoś tam gościa.

Wieża ciśnień znajdowała się dokładnie na początku drogi prowadzącej do obozowiska Cyganów, ulokowanego na wzgórzu. W tamtych czasach raczej nikt z nas nie zapuszczał się w te okolice, ponieważ wtedy Cyganie żyli w swoim własnym świecie. Nawet milicja się nimi nie zajmowała. Wiejski milicjant, ten sam, który rzucał mięsem i groził pałą sąsiadowi od gęsi z fallusami, zawsze powtarzał, że Cyganie to nie jego problem, i jeśli chcą, niech sobie zrobią własną milicję, on się nie będzie wtrącał. Tymczasem mój dziadek się nie bał. Znał tych Cyganów, ponieważ pracował jako konduktor. Wielu z nich nazywało go nawet kierownikiem pociągu. Jego cygańscy znajomi mnóstwo razy jeździli na różnych trasach bez biletów, więc szanowali dziadka za to, że był im życzliwy, i kiedy go spotykali, mówili: „Szanowanko, szefiel”. Byli wdzięczni, że pozwalał im jeździć na gapę, i czuli respekt, bo wciąż był przydatny – na emeryturę miał przejść dopiero za parę lat. Jednego razu na przykład, kiedy zniknęła krowa sąsiada, który przyjaźnił się z dziadkiem, ten udał się sam do ich obozowiska i po niecałych dwóch godzinach przyprowadził zwierzę. Cyganie szanowali mojego dziadka.

Teraz dziadek klął na czym świat stoi – tym razem chodziło o nasze gęsi, a nie o jakąś tam krowę sąsiada. Kazał mi iść do domu, bo powiedział, że sam przyprowadzi zgubę. Ale ja się uparłem i koniecznie chciałem iść z nim. Wtedy dziadek się wkurzył i zagroził, że strzeli mnie dwa razy w dupę, tak że się nie pozbieram. Miałem jednak na niego swój sposób, który sprawdzał się wiele razy. Podszedłem z boku, objąłem go w pasie i poprosiłem, żeby mnie wziął. Dziadek mnie uwielbiał, więc powiedział tylko:

– Dobrze, zabiorę cię, ślamazarusie jeden, ale masz mi się nie odstępować na krok, bo zamiast dwóch wlepię ci na tyłek dziesięć, jasne? I masz siedzieć cicho – nie wolno ci się wtrącać do dyskusji z Cyganami, rozumiałeś?

Prawda jest taka, że dziadek nigdy mnie nie tknął nawet palcem, a co dopiero mówić o dwóch czy dziesięciu na tyłek.

Proza

Wyprawa po gęsi

Lucian Dan Teodorovici

fragment książki
Inne historie miłosne

potrzebny był ważny człowiek. Skądinąd wiedziałem, że za takiego mnie szef uważa, ale każde potwierdzenie tego faktu dobrze mi robiło.

Przy okazji podumałem jeszcze nad tym, jak przez wieki wyglądała komunikacja międzyludzka. Myślałem o językach indoeuropejskich, których historia liczy już sobie minimum pięć tysięcy lat, potem przeskoczyłem do grawerowanych i wiązanych rzemykami chińskich tabliczek, do pergaminu z owczej skóry i do papieru. Dalej skoncentrowałem się na druku, który powstał pięćset lat temu, a z biegiem czasu doprowadził do powstania gazet. Myślałem o alfabecie Morse'a i wynalazku Bella, o Hertz i Marconim, a nawet o Bairdzie. Nie w takiej kolejności, tylko w płątaniu myśli, w porządku, którego nie mogłem ani nawet nie chciałem kontrolować. I nie było to tylko myślenie dla samego myślenia, sztuka dla sztuki, jak to się mówi. Doszedłem do wniosku, że nauka nie jest jednak w stanie zdradzić nam tajemnicy komunikacji. Owszem, daje narzędzia, ale czasami człowiek nie jest zdolny do ich używania. A tymczasem porozumiewanie się wciąż ma się dobrze, dwoje ludzi może być blisko siebie bez Morse'a, Bella, Hertza, Marconiego czy Bairda.

Z takim mniej więcej mętlikiem w głowie wreszcie usnąłem, jeszcze tylko zdążyłem, choć dokładnie nie pamiętam, w którym momencie, pomyśleć również o kobiecie z torbą Adidas, z którą spotkałem się przy wyjeździe z wioski. Udało mi się zdążyć przed czternastą. Chyba nawet ta gonitwa myśli zrodziła się właśnie w związku z przywołanym obrazem owej kobiety.

Wyglądała na ucieszoną z naszego spotkania, a ja poczułem się jak jej stary znajomy. Na samym początku opowiedziała mi ze śmiechem, że jej synowa natychmiast rzuciła się na torbę i wręcz wyrywała stamtąd kiełbasę i kizkę. Nawet nie zdążyły się przywitać, kiedy synowa już miała pełną buzię. Opowiadając to, na potwierdzenie słów moja towarzysząca pomachała pustą torbą.

– Ale to dobra dziewczyna – powiedziała. – A tobie jak poszło? – dodała po małej przerwie.

– W porządku.

– Napiszesz źle o dziadku w gazecie?

– Nie będę o nim pisał. – Spróbowałem jej wyjaśnić, ale nie miałem za bardzo ochoty udawać się w szczegóły.

– Tak, akurat, już ja was znam. Ale musisz wiedzieć, że nie powinieneś pisać o nim źle. To dobry człowiek.

– Przecież pani nie wie, co robił, to skąd może pani wiedzieć, że jest dobry? Może bił ludzi albo nawet zabijał?

Cmoknęła z dezaprobatą.

Wtedy podeszło do nas troje dzieci z sankami. Do jednych sanki przywiązany był sznurek i kawałek folii, na której siedziało małe dziecko. Chłopczyk ciągnący sanki był bratem malucha, tak mi się wydawało, bo wyglądali jak dwie krople wody. Wszystkie dzieci powiedziały grzecznie „dzień dobry”. Bardzo mi się to spodobało, chociaż ani ja ich nie znałem, ani one mnie. Potem mali sankarze odeszli, śmiejąc się głośno, a kobieta zapytała, która godzina. Było po drugiej.

Powiedziała:

– No przecież nie spodziewasz się, że przyjedzie punktualnie? Czasami człowiek się spóźnia, no i co z tego?

– Skąd pani wie, że nikogo nie zabił? Albo przynajmniej nie pobił?

– Kto, ubek?

– Tak.

– No po prostu wiem. Eee. – Machnęła ręką.

– Co?

– Cała wioska to wie...

– Ale ja nie jestem stąd. Nie mam skąd wiedzieć.

Kobieta zaczęła chichotać.

– No właśnie... – Uśmiechnęła się. – No właśnie, niech cię licho...

Uderzyła mnie lekko torbą Adidas w nogę. Nie broniłem się, wygiąłem usta w uśmiechu, bardziej po to, żeby zrobić jej przyjemność.

– Miał tu we wsi kobietę. Moja synowa ją znała, bo tu się wychowała, a potem przyjechał do niej mój syn. Kobieta pracowała u ludzi, gdzie się dało. Podobno za Ceaușescu siedziała. Albo przed nim, cholera wie. Chyba jednak przed nim. I to właśnie ten twój staruch, nie kto inny, przywiózł ją tutaj. Kochał ją, ale nie mógł się z nią ożenić, bo była „na indeksie”, rozumiesz?

– Myślę, że tak – odpowiedziałem.

Znowu zaczęła się śmiać.

– No nic nie rozumiesz, niech cię kule biją. Zapytałam tak na próbę, jak to się mówi. Bo to jeszcze nie usłyszałam. On ją tu przywiózł w czasie, kiedy był wielką ubecką szyczą. Nie wolno mu było, bo gdyby zaczął z nią kręcić, to sprzątnęliby go natychmiast. On wielki ubek, a ona bandytka, bo była przeciw komunistom. Staruch nawet nie przyjeżdżał do wsi. Wtedy zresztą nie był jeszcze staruchem, młody był jeszcze. Ale nie przyjeżdżał. Pomagał jej tylko z tym czy owym przez kuzyna, który tutaj mieszkał. A ten kuzyn znał sołtysa i sołtys dał tej kobiecie kawałek ziemi, a potem pomógł jej zbudować dom. Gadali we wsi, jak to we wsi, bo kuzyn ubeka był żonaty, lecz też pomagał na budowie. Wtedy nikt nie wiedział, co i jak. Dowiedzieli się dopiero po rewolucji w osiemdziesiątym dziewiątym. Oho! Prawie po trzydziestu latach, odkąd kobieta przyjechała do wsi. I wtedy pojawił się też staruch. To znaczy, nawet wtedy nie był jeszcze staruchem, ale trochę go latka już przygięły, że tak powiem. Patrz, jedzie nasz autobus...

Faktycznie, zbliżał się.

– No i co zrobili? – zapytałem, nie patrząc na nią, tylko na autobus. – Pobraли się?

– Mieszkali razem jakiś rok. No co? To nic takiego, ludzie mieszkają przecież razem i bez ślubu. A potem któregoś dnia ta kobieta zmarła. A ubek został tutaj na wsi, no bo dokąd miał pójść...

Autobus zatrzymał się, wsiedliśmy. Pomogłem jej przy wchodzeniu, tak samo jak za pierwszym razem. Teraz w sumie nie było potrzeby, torba została opróżniona, ale wydawało mi się, że tak powinienem zrobić. Podziękowała, usiedliśmy obok siebie i opowiedziała mi, jak syn radzi sobie we Włoszech, i że maksymalnie za dwa lata, jak tylko skończy dom, ma zamiar wrócić do wsi, bo tam jest jego miejsce. ●

Tłumaczenie: Radosława Janowska-Lascar, oficyna Amaltea, Wrocław 2018. Przedruk za zgodą Wydawcy.

nie wydarzył się za kratami, tylko po drodze. W transporcie. Kobieta z rozbity głową leżała potem przez kilka miesięcy w szpitalu. Gdy trochę doszła do siebie, znów wsadzili ją do więzienia, o którym ci opowiadałem, gdzie komendant był kretynem. I był pewien problem, to znaczy kobieta miała problem, nie komendant. Okazało się, że po tym zdarzeniu ta polityczna mogła mówić i mogła się ruszać, ale niczego nie potrafiła sobie przypomnieć. Absolutnie niczego, kapujesz? Wraz z tym uderzeniem przypadł dla niej poprzedni świat. Jakby została kompletnie wyczyszczona. Musiała się uczyć wszystkiego od nowa. I wtedy ja tam przyjechałem. Dokładnie wtedy, kiedy w więzieniu uczyła się wszystkiego od początku. Nieźle mnie to ruszyło, jak by ci to powiedzieć... Na jakiejś popijawie komendant opowiedział mi historię tej kobiety. Ale kiedy opowiadał, śmiał się. Wiesz, jak się śmiał? Jak przygłup. Śmiał się w kółko, bo wydawało mu się, że ja chcę, żeby on się śmiał. Wyglądał, jakby miał zdechnąć podczas tego śmiechu. Opowiadał, jak ta durna, tak o niej mówił, niczego nie pamięta. Jak wydaje się jej, że życie jest takie, jak w celi. Całe życie. Że kiedyś przestraszyła się okropnie, bo w dziurze zobaczyła ptaka. Że aż się wtedy chyba zesrała ze strachu, tak śmiał się ten komendant. Zesrała ze strachu, tak mówił. Dokładnie tak, zesrała. Taa...

Przez chwilę milczał. Wypił jeszcze łyk wina.

– No i?

Wypsnęło mi się to pytanie, chociaż nie powinno. Powinienem był milczeć. Potrzebowałem tych dokumentów i w trakcie rozmowy zacząłem już trwożliwie spoglądać na zegarek, czy aby zdążyć na autobus. No i czy dostanę to, po co przyjechałem. Lecz nie wytrzymałem i spytałem:

– No i?

– I zrobiło mi się jej żal, cholera wie dlaczego. Jak Boga Kocham, nie wiem. Teraz wiem, ale wtedy nie miałem pojęcia, dlaczego było mi żal. Wcześniej widziałem wielu pobitych. Sam też kilku miałem na sumieniu, nie myśl sobie, że nie.

Nie myślałem.

– Tymi rękami ich biłem, a niektórym to potem kazałem nawet zbierać zęby z posadzki i łykać po jednym. Taa... Takie rzeczy robiłem, nie myśl sobie, że nie. Ale wtedy zrobiło mi się jej żal. I kazałem, żeby komendant zaprowadził mnie do tej politycznej. Zrobił to na drugi dzień i... hmm, to było wtedy. Kazałem przenieść jej koleżanki do innych cel. Do innych cel. A ja spędziłem z nią cały dzień. Siedziała w tych swoich szmatach i śmierdziała. Ale mnie to wcale nie brzydziło. Usiadłem na łóżku i zacząłem jej opowiadać. Mówiłem, jak jest na zewnątrz, opowiadałem o ptakach, bo wspominałem ci, że wystraszyła się jednego.

Nagle podniósł się, położył kubek na krześle i powiedział:

– Popatrz, tak zrobiłem. Pokazałem jej, jak latają ptaki.

I zaczął machać rękami, wykonywać jakiś powolny taniec. Niewiarygodny widok. Miał osiemdziesiąt lat, a kiedy tak tańczył i powoli poruszał dłońmi, podnosząc je i opuszczając, wydawało się, że jest o wiele młodszy. Dopiero po kilku dobrych chwilach, zmęczony, wrócił na miejsce.

– Uff, zasapałem się. Kości mi się zestarzały, mówię ci, chłopaku. Taa... No, wszystko jej opowiedziałem. O komunizmie też jej mówiłem, musiałem, co miałem zrobić. O nowym społeczeń-

stwie, które się wtedy budowało. Powiedziałem, że kiedy wyjdzie z więzienia, to będzie jej dobrze. Będzie taka sama jak inni. Będzie mogła wrócić na łono społeczeństwa. Ucieszyła się. Zapewniłem ją, że czeka na nią raj na ziemi. Potem... musiałem jej wyjaśnić, o co chodzi z tym rajem, bo nie załapała. A mój raj, to też ci powiem, polegał na tym, że żyli w nim i chłopci, którzy cieszyli się z kolektywizacji, i kułacy, którzy zostali pokonani. No, tak było. Ale opowiadałem jej też o miłości i o małych przyjemnościach w życiu. To był dobry raj, tak jej mówiłem. Pod wieczór wydałem rozkaz komendantowi, że ma się nią opiekować. A ten mnie spytał, śmiejąc się przy tym jak kretyn: jak to, co to znaczy, że ma się nią opiekować? To było pytanie podchwytliwe, bo wtedy opiekować się znaczyło coś zupełnie innego.

– Rozumiem – powiedziałem, bo wydało mi się, że skończył.

– Jestem pewien, że rozumiesz – kontynuował – na pewno rozumiesz.

Nie mogłem się zorientować, czy ironizuje, czy mówi poważnie.

– Taa... Właśnie takie pytania zadawał mi ten kretyn. I śmiał się... No i tego... – Były ubek znów podniósł dłonie z rozpostartymi palcami. – No więc tak... Strzeliłem mu z liścia w zęby tymi rękami, a potem dołożyłem jeszcze parę razy z pięści, i to bez zmruczenia oka. Skulił się koło swojego biurka i jęczał. Nie rozumiał, co mam do niego. A ja zagroziłem mu wtedy, że jak nie będzie się nią opiekował, ale w dobrym znaczeniu tego słowa, to go zabiję. Zabiję dziada i pójde do pierdła, ale przynajmniej będę wiedział, że go zabiłem. Taa... Mógłbym to zrobić. Miałem wtedy takie chody, że w życiu nie poszedłbym za to za kratki...

Milczał i ja też milczałem. Stary wbił wzrok w kubek i przez długie sekundy, a może nawet przez całą minutę nie odrywał oczu od naczynia. A ja milczałem, bo czułem, że jakiś głos podpowiada mi, że niedobrze jest mówić, kiedy człowiek obok siedzi ze zwieszoną głową i gapi się w kubek.

Po chwili wstał i znów zniknął bez słowa. Wrócił szybko, tak jak poprzednim razem, lecz teraz przyniósł segregator. Bez słowa wyciągnął go w moim kierunku.

– Dokumenty? – spytałem

Potwierdził ruchem głowy.

– Róbcie z nimi, co chcecie. Nie interesują mnie już.

– Opublikujemy je – wyjaśniłem.

– Wiem. Ale nie interesuje mnie to.

Kolejne chwile milczenia były znakiem, że powinienem już sobie pójść. Wstałem. Odprowadził mnie do drzwi. Pomachał mi ręką na pożegnanie. Widziałem, że poweselał. W zasadzie to nie byłem już pewien, czy w ogóle podczas tej naszej rozmowy był przez moment smutny. Stojąc tak, wydawał się po prostu zwykłym starszym.

Wieczorem, kiedy leżałem w łóżku obok dziecka, pomyślałem sobie, że to był w sumie udany dzień, tym bardziej że w pracy szef był nareszcie zadowolony. A to nie zdarzało się często. Z jednej strony wiedziałem, że nie zrobiłem Bóg wie czego, po prostu pojechałem zabrać jakieś tam dokumenty. Szef już za nie zapłacił, negocjował nawet stawkę, ja byłem jedynie kurierem. Ale z drugiej strony ucieszyłem się, że do tego zadania wybrał właśnie mnie. Pomyślałem, że to były ważne dokumenty, więc do ich przywiezienia

stoi obskurna buda.

Odcodząc, wyciągnęła jeszcze rękę, by wskazać mi drogę:

– Patrz, pójdziesz tą ulicą. Zatrzymasz się przy... raz, dwa, trzy, cztery, pięć... przy szóstym domu po prawej. Z czarnym dachem. Tam mieszka ubek.

Pożegnaliśmy się, choć z perspektywą, że za dwie godziny znów się spotkamy. Nie zamierzałem długo siedzieć u starego. Ruszyłem do wskazanego domu. Przywitała mnie zniszczona bramka z desek. Zatrzymałem się przed drzwiami i zapukałem. Otworzył staruszek około osiemdziesięcioletni. Zza drzwi buchnął w moją stronę ciężki, trudny do opisania zapach wilgotnych ścian, pomieszany z wonią palonego w piecu drewna, a wszystko razem dopełniał zapach starości. Nie było to jednak nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie, aż musiałem choć trochę opisać to wrażenie.

Usiadłem na krześle wskazanym przez gospodarza i zostałem poczęstowany kubkiem grzańca zaczerpniętego z kociołka. Pod płytą pieca buzował ogień. Umościłem się na krzeselku, łyknałem wino z cynamonem. Czulem lekkie emocje, bo nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę o tych dokumentach. Powiedziałem więc jedynie:

– O dokumentach...

Podniósł palec na znak, żebym był cierpliwy, bo właśnie nalewał wino do swojego kubka. Przysunął sobie stołek, upił trochę, a potem mlasnął z zadowoleniem.

– Czyli jesteś z gazety – powiedział.

– Tak.

– I co tam robisz w tej gazecie? – pociągnął dalej rozmowę.

– Pracuję w politycznym.

– Politycznym? – wydawał się zdziwiony.

– Tak, w dziale politycznym – dodałem, próbując się uśmiechnąć.

– Aha, w dziale politycznym – wyszeptał, akcentując dwa ostatnie słowa. Przewrócił oczami. – W dziale – zamruczał jeszcze. – Tak was podzielili na działy?

Przez to pytanie wydał mi się trochę zeskleroślały, ale przytaknąłem.

– Hmm – odezwał się. – Taaa.

Umilkł. Po chwili siorbnął łyk wina, ale znówu zamilkł.

– Dokumenty są jeszcze u pana? – zapytałem po pewnym czasie.

Stary podniósł rękę i poruszył palcem wskazującym, jak gdyby prosił mnie o jeszcze chwilę cierpliwości albo sobie o czymś przypominał, nie rozumiałem dokładnie. Potem wstał, postawił kubek na brzegu pieca i wyszedł z pomieszczenia. Przypuszczałem po dokumenty. Wrócił po chwili, ale nie z dokumentami, tylko z wiązką drewna, której część od razu wrzucił do pieca. Zamknął drzwiczki, odwrócił się do mnie i powiedział:

– Taa...

Nie wiedziałem, co mam teraz zrobić, więc milczałem i gapiłem się na niego jak głupi. Przyglądał mi się uważnie, potem wziął kubek i wrócił na krzesło. I znów patrzył na mnie spod przymkniętych powiek.

– Pewnie myślisz, że ja to jestem jakiś pieprzony ubek, prawda? – odezwał się w końcu. – Który chce wydoić gazetę z pieniędzy, co? Pieprzony ubek, co niszczył życia i unieszczęśliwiał ludzi...

Oczywiście, że tak właśnie myślałem, a wręcz dokładnie coś w tym stylu przemknęło mi przez głowę niespełna minutę wcześniej, kiedy widziałem, jak się na mnie gapi. Ale szybko zaprzeczyłem:

– Nie, nawet mowy nie ma!

Parsknął śmiechem. Albo nawet zaśmiał się, jeżeli dwa ochrypłe dźwięki, które z siebie wydał, można uznać za śmiech.

– Taa – powiedział. – Właśnie tak było. Dokładnie tak. Niszczyłem ludzi, oj, nie byłem świętym.

Podniósł dłonie z rozcapierzonymi palcami i zatrzymał je przy mojej twarzy, jakby tym gestem chciał mi coś przekazać. Potem opuścił ręce, a wraz z nimi wzrok. Wydawało mi się, że się trochę zgrywa jak aktor, ale nic nie powiedziałem.

– Lecz nie tylko tak było – usłyszałem po chwili jego głos.

– To znaczy? – Udałem, że mnie to interesuje, bo nie miałem ochoty znów tkwić w krępującym milczeniu.

– Wtedy, chłopaku, to ja byłem kimś. Zajmowałem się więzieniami, odpowiadałem za nie. Przyjeżdżałem do komendantów więzień, a im trzęsły się dupy ze strachu. To znaczy, wystarczyło, że tylko im przekazałem, że przyjeżdżam, a oni już umierali z nerwów. Czasami się zjawiałem, a czasami nie. A oni panicznie bali się moich wizyt. W takim jednym więzieniu dla kobiet komendant był kretynem. Taki kretyn w całej krasie, rozumiesz?

Przytaknąłem.

– I była tam taka kobieta, więźniarka. I właśnie o niej chcę ci opowiedzieć. Wybuchła afera. Ona była polityczna, dlatego tak zareagowałem, kiedy ty powiedziałeś, że jesteś polityczny. To znaczy... dla mnie to słowo znaczy co innego. Mniejsza z tym. Kiedy przenosili ją do innego pierdła, wybuchła jakaś awantura z jedną pospolitą. Nie wiem dokładnie, o co poszło. I ta pospolita zdzieliła polityczną przez głowę kamieniem tak mocno, że prawie wyprawiła ją na drugi świat. W głowę. Mocno. Mocno jak cholera. Diabli wiedzą, co do siebie miały. Nie mam pojęcia do tej pory. Strzeliła jej w głowę tak, że prawie zbierali mózg z chodnika. Może nie aż tak, ale było blisko. Kapujesz?

– Próbuje – powiedziałem. – Czytałem dość sporo o więzieniach komunistycznych.

– Hm, czytałeś, mówisz – pokręcił głową. – Tak wszyscy mówią: czytałem. Jakby tam było co czytać. Czytałeś, taa... Ja już nie mam ochoty nic czytać. Nie interesuje mnie czytanie.

– Wydaje się panu, że to kłamstwa?

– Kłamstwa? Skąd. Czasami tylko niektórzy trochę podbarwiają.

Słowo to wydało mi się głupie – każde inne może być i pasowało, ale nie to z barwą, kiedy mowa o ofiarach więzień. Milczałem jednak.

– Ale kłamstwa to nie. Tylko że ci, co o tym piszą, znajdują mało prawdy. Jak by ci to powiedzieć? To jest ich prawda. Tylko ich. I jest okropna. Tak. Mówię ci, ta ich prawda jest strasznie okropna. Mają rację. To ich prawda, dla nich była okropna. Ale prawda jest o wiele szersza. Może ta szersza prawda też jest okropna. Ale ludzie są i tacy, i tacy. Hmm?

Tym mruknięciem żądał chyba, żebym potwierdził to, co powiedział. Skinąłem więc głową.

– Co to ja mówiłem? No więc tak... Mówiłem, że ten wypadek

Był początek marca, śnieg prawie stopniał, ale mróz jeszcze nie odpuszczał. Stałem na przystanku autobusowym. Tak tylko się mówi – przystanek, bo w rzeczywistości była to obskurna buda ze zbitych, zamarzniętych teraz, bali drewna, którą wskazał mi zawiadowca stacji. No więc czekałem sobie. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, na co właściwie czekam. Zasadniczo to na autobus. Uczynny człowiek w kolejarskiej czapce spotkany na dworcu, na którym wysiadłem, oznajmił, że autobus przyjeżdża raz na dwie–trzy godziny. A gdyby nie przyjechał, to można skorzystać z ciężarówki. Ten sam zawiadowca poinformował mnie też, że kierowca autobusu czasami lubi sobie gołnąć i kiedy z obiektywnych powodów nie ma siły prowadzić tego swojego złomu, jest na tyle taktowny, że wysyła kuzyna, by ten zamiast niego pełnił honory na ciężarówce. A zatem w perspektywie rysowała mi się jazda autobusem (lub też ciężarówką) do pewnej zabitej dechami wioski, z której musiałem zabrać jakieś dokumenty. A dokładniej powinny to być skserowane akta dawnej bezpieki, które teraz miały się stać źródłem zapewniającym ich posiadaczowi (do niedawna jeszcze pracownikowi owej instytucji) znaczący dodatek do emerytury. Nazwiska byłych esbeków i informatorów, wśród których znalazły się też osoby z naszego miasta – takie właśnie cuda obiecywał posiadacz dokumentów. A każdy dziennikarz wie, że kwity tego rodzaju to prawdziwe złoto.

– Wiesz, że to wariat? – uprzedził mnie szef. – Gdyby nim nie był, nie chowałby się przecież w takiej miejscince, gdzie wrony zauracają. Ale potrzebuję tego wariata – dodał. – I ty też go potrzebujesz – uzupełnił prawie szeptem.

Oczywiste więc było, że jedyne, co mogłem zrobić, to ruszyć w podróż, której etap stanowiło teraz opieranie się o słupek wskazujący kilometry i czekanie na autobus. Albo na ciężarówkę. Wszystko jedno na co, bylebym tylko dojechał. Po czterech godzinach spędzonych w pociągu kolejne pół godziny w innym środku transportu nie wydawało się jakąś męczarnią. Mógłbym wprawdzie wybrać się w podróż samochodem służbowym gazety, ale wizja dziur w wiejskiej drodze, o których uprzedził starzec, sprawiła, że szef stał się uważniejszy i zdecydował się wysłać mnie transportem publicznym. Bądź co bądź funkcja szefa dawała mu prawo do interesowania się stanem samochodu znajdującego się na wyposażeniu instytucji, którą kierował.

Na przystanku, jeśli w ogóle można było tak nazwać to miejsce, oprócz mnie czekała jeszcze sześćdziesięcioletnia na pierwszy rzut oka kobieta. Siedziała na pieńku, a ubrana była w grubą, męską koszulę i narzucony na to kubraczek. Koszula, nawet gruba, wciąż pozostawała tylko koszulą, kubraczek zaś również nie prezentował się zbyt solidnie. Wydawać by się więc mogło, że kobiecie na pewno jest zimno. Tymczasem wcale tak nie było. Przeciwnie. Oczekująca nic sobie nie robiła z chłodu, nie nosiła nawet rękawiczek. Ja zaś tuż obok trząsałem się jak osika. Kobieta od czasu do czasu wkładała rękę do różowej, brudnej torby z widocznym jeszcze napisem Adidas i wyciągała stamtąd a to kawałek parującej kiełbasy, a to kiszki. Rozglądając się wokół, jadła z rozmysłem i mam wrażenie, że również ze smakiem.

– I co? – powiedziałem, kiedy spóźniony autobus wciąż nie nadjeżdżał, a mróz zaczął mnie powoli ukurzać.

Popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami.

– Dokąd pani jedzie?

– Do synowej.

– Aha.

Zamilkła. Ja też. Potem znów otworzyła torbę i wyjęła kolejny kawałek kiszki. Niechcący głośniejsz przełknąłem ślinę, na co moja sąsiadka z przystanku przygwoździła mnie wzrokiem.

– Może chce pan trochę?

I wyciągnęła kiskę w moim kierunku. Znów głośno przełknąłem, ale tym razem świadomie. Machnąłem ręką i uprzejmie odmówiłem.

– Oj tam, nie wstydz się – nie dała za wygraną. – Wstydem się przecież nie najesz. Bierz, bo jeszcze ciepłe. Pół godziny temu z ognia zdjęłam. Wiozę dla synowej, chociaż i tak jest gruba – śmiała się. – Ale to dobra dziewczyna – dodała jakby przepraszająco. – I cholernie lubi moje kiełbasy i kiszki.

Przysunąłem się i wziąłem kawałek. Podziękowałem. Zaczęliśmy rozmowę. Dowiedziałem się, że kobieta jedzie do tej samej wioski co ja, że dobrze wie, gdzie mieszka dawny ubek, bo jej syn przeprowadził się tam już jakieś trzynaście lat temu. Teraz od dwóch lat pracuje we Włoszech i ma się dobrze. Buduje wielki dom na działce, którą kupił zaledwie po sześciu miesiącach pracy.

A potem dostałem jeszcze kawałek kiełbasy. Usiadłem na pieńku obok.

– Nie myśl sobie – usłyszałem – że jak jesteś z gazety, to ho, ho. Ten ubek nie zrobił nikomu krzywdy. To dobry człowiek, wszyscy ludzie go tu znają. Więc nic złego o nim nie pisz.

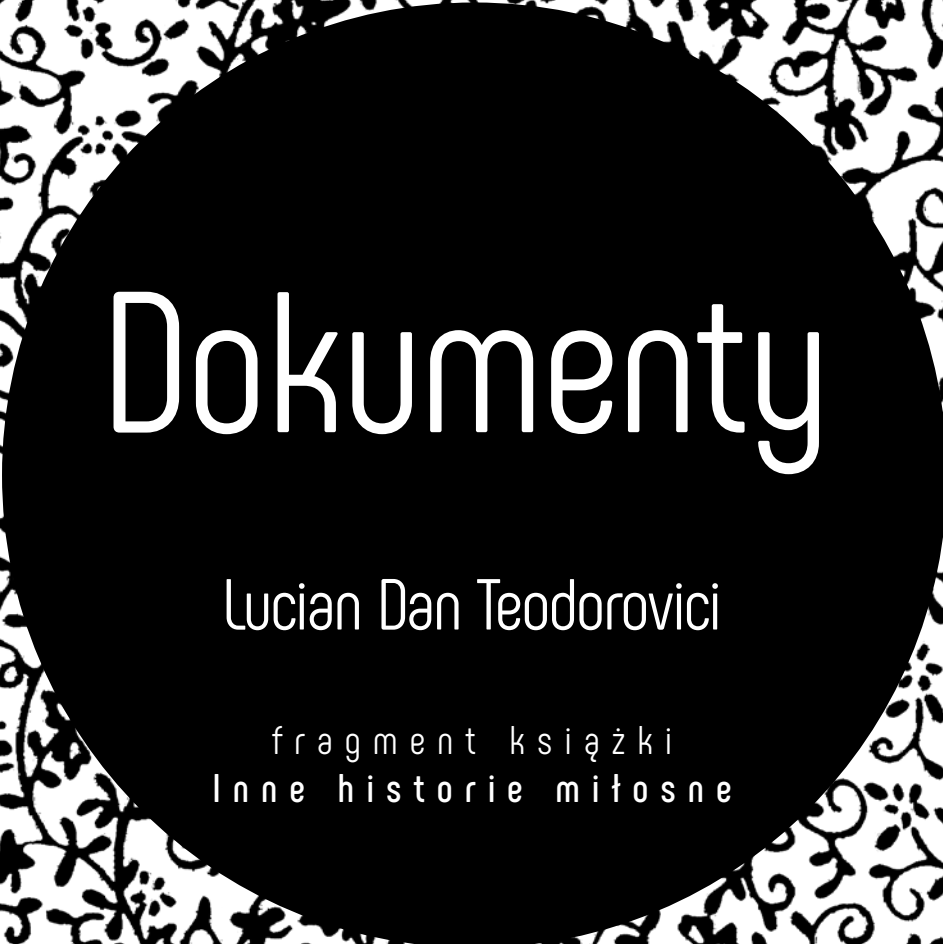
– Ale ja nie chcę o nim źle pisać.

– Dajże spokój, przecież głupia nie jestem. Wiem, jak się sprawy mają w tych waszych gazetach.

Wcale nie byłem taki przekonany, że wie, jak się sprawy mają w tych naszych gazetach, ale powiedziała to dość przekonująco, a nawet puściła do mnie oczko. Z daleka dał się słyszeć jakiś hałas i zza zakrętu wytoczył się autobus. Wstaliśmy więc i w milczeniu czekaliśmy, aż podjedzie.

Kiedy otworzyły się drzwi, zauważyłem, że kierowca ma okropne, sine wory pod oczami. Teraz był trzeźwy, a przynajmniej chyba nie pił od paru godzin, ale zawiadowca raczej się nie mylił, kiedy mówił, że kierowca lubi sobie chlapanąć. Tak, miły był z zawiadowcy facet, a w dodatku nie zmyślał.

Wraz z moją sześćdziesięcioletnią na oko towarzyszką z przystanku, targającą dla synowej torbę z logo Adidas, wypchaną kiełbasą i kiską, byliśmy jedynymi, którzy wysiedli w tej wiosce. W autobusie siedzieliśmy obok siebie, dlatego zdążyła mi opowiedzieć mnóstwo historii: i o synu pracującym we Włoszech, i o grubej synowej, o tym, że siedem lat temu umarł jej mąż i że mimo to nie chciała przeprowadzić się tam, gdzie mieszkał jej syn z żoną, bo nie była z tych, co na starość przenoszą się z miejsca, w którym przeżyli całe życie. Opowiedziała też parę ciekawostek o człowieku, do którego właśnie jechałem, a na odchodne dodała, że jeżeli chce wrócić do domu jeszcze dzisiaj, to mam stawić się na przystanek nie później niż o drugiej po południu – tylko wtedy złapię autobus powrotny. Wiedziała to na bank, bo często tu bywała, ale zawsze wracała do miasteczka, w którym zamiast przystanku



Dokumenty

Lucian Dan Teodorovici

fragment książki
Inne historie miłosne

Trycjator (pseudonim)

Rocznik 74. Świadomość artystyczna kształtowana na muzyce wykonawców: Slayer, Jimi Hendrix, Nirvana, Pearl Jam, King Crimson, Bjork, The Beatles, Meredith Monk, J.S. Bach, H.M. Górecki, Chóry Bułgarskie; na filmach Davida Lyncha, Stanleya Kubricka, Stanisława Barei i Witolda Leszczyńskiego; na książkach Fiodora Dostojewskiego i Stanisława Lema. Żonaty, dzieciaty. Pracował m.in. jako elektryk w Hucie Katowice, kurator społeczny, operator wózka widłowego w magazynie z papierem toaletowym. Urodzony w Olkuszu, od paru lat mieszka w Warszawie.

Mariusz Wieteska

Urodzony w 1973 r. w Szczecinie. Ukończył US (socjologia). Autor powieści: *Zielona Wyspa*, Anagram, 2010; *Ołowiany Żołnierz*, Anagram, 2011; *Pewnego dnia przyszedł do mnie...*, Anagram, 2012; *Isabelle*, Anagram 2013 (uraz ze współautorką Sabiną Waszut).

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A
tel. 502 405 437, 668 118 267
www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl
Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny
Agnieszka Zub – sekretarz redakcji
Jarosław Nowosad – redaktor

Stali współpracownicy:
Marcin Bałczewski, Michał Domagalski, Piotr Gajda, Rafał Gawin, Paweł Garwol, Mirosław G. Majewski, Kamil Pietrzyk

Okładka: Zbigniew Bajek, Światło III z cyklu Relikwiarze, 100x70 cm, lightbox, 2015

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów. Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie w pełni podziela wyrażane w nich poglądy. Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.



MAŁOPOLSKA

Projekt realizowany przy
wspieraniu finansowym
Województwa Małopolskiego

Zbigniew Masternak

Urodzony w 1978 r. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, reportażysta, piłkarz. W 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Jako prozaik debiutował na łamach „Twórczości” w 2000 r. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym *Księstwo*; w latach 2006–2008 ukazały się 3 księgi: *Chmurolap*, *Niech żyje wolność* i *Scyzoryk*, na podstawie których reżyser Andrzej Barański nakręcił film „Księstwo” (2011). W 2014 r. ukazała się książka czwarta pt. *Nędzole*. Jest autorem noweli filmowej „Jezus na prezydenta!” (2010), stypendystą „Homines Urbani” w Willi Decjusza w Krakowie (2007) i laureatem Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011). W 2012 r. został uhonorowany Nagrodą im. Władysława Orkana. Jego książki i opowiadania tłumaczono na języki: niemiecki, serbski, bułgarski, rosyjski, białoruski, ukraiński, macedoński, wietnamski i mongolski. Jest kapitanem Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej.

Jarosław Nowosad

Patrz noty w części: poezja.

Mateusz Skrzyński

Urodzony w 1988 r. Poeta i prozaik. Studiował dziennikarstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Publikował m.in. w „Fabulariach”, „Helikopterze”, magazynie „Rzeczy”, „Migotaniach”, „Krytyce literackiej”, „Nowych Peryferiach”, „Obszarach Przepisanych”, „Toposie”.

Jarosław Sujczyński

Urodzony w 1956 r. Studia: 1980–1985 Ecole nationale des Beaux arts, Bourges; 1990–1993 College International de Philosophie, Paris. Wystawiał i publikował w Polsce, Włoszech, Francji, USA.

Lucian Dan Teodorovici

Urodzony w 1975 r. Rumuński pisarz, reżyser teatralny, scenarzysta filmowy i telewizyjny. Obecnie dyrektor Muzeum Literatury w Jassach oraz Międzynarodowego Festiwalu Literatury i Przekładu tamże (FILIT, Iași). Autor powieści: *Cu puțin timp înaintea coborîrii extraterestrilor printre noi* (*Tuż przed przybyciem do nas istot pozaziemskich*; 1999, 2005), *Cercul nostru vă prezintă* (*Nasz cyrk przedstawia państwu*; 2002, 2007), *Celelalte povești de dragoste* (2009, wyd. polskie: *Inne historie miłosne*, Amaltea 2018), *Matei Brunul* (2011, Amaltea 2014), *Cel care cheamă câinii* (*Zaklinacz psów*, 2017), zbiorów opowiadań: *Lumea văzută printr-o gaură de mărimea unei țigări marijuana* (*Świat widziany przez dziurkę wielkości skręta*; 2000), *Atunci i-am ars două palme* (*Wtedy strzeliłem mu dwa razy w twarz*; 2004), oraz sztuki teatralnej *Unu + unu (+ unu...)* (*Jeden + jeden (+ jeden...)*; 2014). Jego książki ukazały się w USA, we Francji, w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Włoszech, na Węgrzech, w Hiszpanii, w Egipcie, Macedonii, Bułgarii. Powieść *Matei Brunul* (2011) zdobyła najważniejsze nagrody krajowe i została uznana za „Książkę Roku”.

Maksymilian Truteń

Wywiadowca bez dorobku, ale z pasją. Z potrzeby chwili także rysownik. Mieszka w Małopolsce.

i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi). Laureat Nagrody Otoczaka 2014. Stypendysta Funduszu Popierania Twórczości ZAIKS w roku 2016. Jego wiersze przetłumaczono na język niemiecki. Prowadzi bloga Hostel – <http://pgajda.blogspot.com/>.

Paweł Garwol

Urodzony w 1976 r. w Katowicach. Malarz i rysownik. Ukończył z wyróżnieniem szkołę Opus Art w Sosnowcu, zdobywając dyplom z projektowania wizualnego i przestrzennego. Jest stypendystą Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury. Jako artysta oprócz malarstwa tworzy formy przestrzenne, komiksy, para się też fotografią artystyczną. A tak w ogóle to „punk rocker na emeryturze”.

Radostawa Janowska-Lascar

Tłumaczka, legniczanka, absolwentka II LO w Legnicy, magister muzykologii i filologii rumuńskiej UJ, doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu A.I. Cuza, Iași, Rumunia. 1993–1995 sekretarka Ambasady RP w Bukareszcie, 1995–2001 lektor języka polskiego na Uniwersytecie Alexandru Ioan Cuza, 2006–2012 lektor języka rumuńskiego na Uniwersytecie Wrocławskim. Od 2005 r. zajmuje się tłumaczeniami z i na język rumuński. Od 2012 r. prezeska Stowarzyszenia Kobiet „Babiniec” w Legnicy. Przekłady na język polski, powieści: *Matei Brunul*, Lucian Dan Teodorovici (Amaltea, Wrocław 2014), *Inne historie miłosne*, L. D. Teodorovici (Amaltea, Wrocław 2018), *Medgidia miasto u kresu*, C. Teodorescu (Amaltea, Wrocław 2015), *Dni króla*, F. Florian (Amaltea, Wrocław 2016), *O dziewczynce, która bawiła się w Boga*, D. Lungu (Amaltea, Wrocław 2017); teksty dla teatru: *Stop the tempo*, G. Cărbunariu (2004), Teatr Polski w Poznaniu (2004), Teatr Modrzejewskiej w Legnicy (2015) *Jeden dzień z życia Nicolae Ceaușescu*, D. Dinulescu (2007), *Duże drukowane litery*, G. Cărbunariu (2014), Festiwal Teatralny w Lublinie (2014). Przekłady na język rumuński: S. Mrozek, *Opowiadania* (Polirom, Iași, Rumunia, 2001), Z. Herbert, *89 wierszy*, (Timpul, Iași, Rumunia 2001), H. Krall, *Tam już nie ma żadnej rzeki* (Curtea Veche, Bukareszt, 2002), P. Huelle, *Mercedes Benz* (Polirom, Iași, Rumunia, 2004), P. Huelle, *Byłem samotny i szczęśliwy* (Polirom, Iași, Rumunia, 2014).

Ian Kemp

Urodzony w 1988 r. Autor zbioru opowiadań *Chcemy się tylko podpalić*. Publikował także w „Lampie”, „Arteriach”, „Ricie Baum”, „Inter-”, „eleWatorze” i „FA-arcie”. Model, ankieter, ghostwriter. Większość dorosłego życia spędził w Kopenhadze, Strasbourgu, Krakowie oraz Hamburgu. Od połowy 2018 r. przygotowuje powieść pod roboczym tytułem *Homer Moskowitz cytuje 45. prezydenta, Donalda Trumpa*.

Krzysztof Ławreniuk

Urodzony w 1984 r. w Brzegu. Prozaik i poeta. Absolwent Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Autor tomu poetyckiego *Arkansas* i zbioru opowiadań *Ziemia Wrózek*. Od lat związany z organizacjami pozarządowymi działającymi na rzecz promocji sztuki. Wiceprezes Klubu Integracji Twórczych SŻP, współzałożyciel Fundacji Rozwój. Gamer. Psychofan Japonii. Mieszka i pracuje w Brzegu.

Miroslaw G. Majewski

Urodzony w 1961 r. Prozaik, dramaturg i poeta. W Polsce miał się różnych zajęć, był robotnikiem w fabrykach i na budowach, prowadził własną działalność gospodarczą, był listonoszem i agentem ubezpieczeniowym. Następnie pracował w Anglii, Austrii, Grecji, Niemczech i Norwegii. Debiut poetycki w „Wiadomościach Kulturalnych” w 1996 r. Powieści: *Performance* (2009), *Asymetria albo galimatiasy rzeczywistości* (2015), *wpływ księżyca* (2016). W 2011 r. atelier teatralne Scena na Lwowskiej wystawiło jego sztukę *Upside down*. Mieszka w Olsztynie.

Autorzy › Proza

Zbigniew Bajek

Urodzony w 1958 r. w Bojanowie. Polski artysta współczesny, profesor krakowskiej ASP.

Studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w pracowni prof. Zbigniewa Grzybowskiego – dyplom z wyróżnieniem obronił w 1984 r. Od 1983 r. jest pracownikiem tejże uczelni – przedmiot: Wiedza o działaniach i strukturach wizualnych. Od 2005 r. jest kierownikiem Katedry Interdyscyplinarnej. Realizuje przedsięwzięcia, do których zaprasza uznanych artystów, ale także doktorantów i studentów. Uprawia malarstwo, rysunek, fotografię, realizuje instalacje oraz działania parateatralne. Artysta zorganizował około 60 wystaw indywidualnych (m.in. w Berlinie, Brukseli, Paryżu, Nowym Jorku, Monachium, Gdańsku) i wziął udział w ponad 250 wystawach zbiorowych prezentowanych w kraju i za granicą. W 2009 r. Zbigniew Bajek uzyskał tytuł profesora.

Dariusz Jacek Bednarczyk

Urodzony w Jeleniej Górze. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Mgr administracji. Parokrotnie wyróżniony w ogólnopolskich konkursach literackich. Próby publikacji zasadniczo od 2010. Dotychczasowe publikacje, zarówno w sferze poetyckiej, jak i prozatorskiej, m.in.: „Protokół kulturalny”, „Fabularie”, „Poezja dzisiaj”, „Migotania”, „Kultura”, „Connect Magazine” (Australia), „Inter-”, częstochowski magazyn literacki „Galeria”, „Dworzec Wschodni”, „Menażeria” – toruński magazyn kulturalny, „Akant”, „Mole”, „Kozirynek”, Magazyn literacki „aha!” (Kanada). Tłumaczony na angielski oraz rosyjski.

Łukasz Drobnik

Rocznik 1982; autor minipowieści *Nocturne* i *Cunninghamella* wydanych w jednym tomie w 2011 r. (Forma) oraz krótszych form publikowanych m.in. w „Lampie”, „Ricie Baum”, „Dwutygodniku”, „Dodatku Literackim”, „Wyspie”, „Fabulariach”, „Lighthouse”, „Bare Fiction”, „The Gravity of The Thing” oraz zbiorach „2014...” i „2017. Antologia współczesnych polskich opowiadań” (Forma).

Erasm Furman

Urodzony za późnego Gomułki. Recenzent. Czyta wszystko, co wpadnie mu w ręce, poza wezwaniami do „skarbowki”. Mieszka w Krakowie.

Piotr Gajda

Urodzony w 1966 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Poeta, autor książek poetyckich *Hostel* (Łódź 2008), *Zwłoka* (Łódź 2010), *Demoludy* (Mikołów 2013), *Golem* (Mikołów 2014) i *Śruba Archimedes* (Łódź 2016). Krytyk muzyczny, współpracownik „Arterii” oraz Gazety Literackiej „Migotania”. Wiersze publikował m.in. w „44”, „Tyglu Kultury”, „Opcjach”, „Toposie”, „Frazie”, „Gazecie Wyborczej”, „Odrze”, „Cegle”, „Ricie Baum”, „Czasie Kultury” oraz w pismach internetowych, m.in. „sZAFa”, „Helikopter”, „Fragment”, w antologii łódzkich debiutantów *Na grani* (Łódź 2008) oraz w antologiach: *Pociąg do poezji. Intercity* (Kutno 2011), *Węzły, sukienki, żagle. Nowa poezja, ojczyzna i dziewczyna* (Kutno 2013), *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2016), *Ani ziemia jałowa, ani obiecana / Weder wüstes Land noch gelobtes* (Dom Literatury w Łodzi, 2016). W 2018 r. ukazał się tom wierszy *To bruk* (Dom Literatury w Łodzi).

Fundacja Kultury AFRONT

Fundacja Kultury AFRONT zajmuje się kulturą i sztuką. Nie boimy się wyzwań, niegroźne nam wszelakie rzucane pod nogi kłody, bośmy przyzwyczajeni, a poza tym wiemy, że determinacją i uporem człowiek jest w stanie pokonać każdą przeszkodę. Jeżeli nie zgadzacie się ze stwierdzeniem, że kultura i sztuka są niepotrzebne, że są afrontem wobec takich ludzkich potrzeb jak pełny brzuch i pusta głowa, jeśli chcecie działać, zapraszamy do współpracy.

Cele Fundacji:

1. Działalność na rzecz kultury i sztuki.
2. Wspieranie edukacji artystycznej i kulturalnej oraz wszelkich działań zmierzających do rozwoju i promocji szeroko pojętej kultury poprzez promowanie, inicjowanie i kreowanie działań na ich rzecz.
3. Podtrzymywanie tradycji narodowej, świadomości narodowej, regionalnej i kulturowej.
4. Działalność na rzecz wymiany kulturowej: promocji kultury polskiej za granicą, kultur innych narodów w Polsce, integracji europejskiej oraz rozwijanie kontaktów i współpracy międzynarodowej.
5. Wspieranie artystów, twórców i szeroko pojętej działalności artystycznej. Integracja twórców, działaczy, podmiotów kulturalnych i turystycznych oraz jednostek samorządu terytorialnego.
6. Inicjowanie i wspieranie działalności służącej rozwojowi turystyki.
7. Przeciwdziałanie poprzez kulturę i sztukę problemom społecznym i wykluczeniom.
8. Ochrona dziedzictwa narodowego i kultury materialnej.

Wesprzyj nas!

Fundacja Kultury AFRONT
NIP: 637-21-98-591
REGON: 365383662
KRS: 0000636325

Nazwa banku: Bank Pekao SA

Numer rachunku bankowego: 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339

Na rachunku prosimy o podanie informacji, na jaki cel wpłacają Państwo daną kwotę, np.:

- cele statutowe Fundacji,
- zakup kwartalnika „Afront” (nr...),
- zakup książki (podać tytuł książki wydanej przez Fundację).



Książkę wysyłamy jako dodatek do kwartalnika AFRONT nr 1.



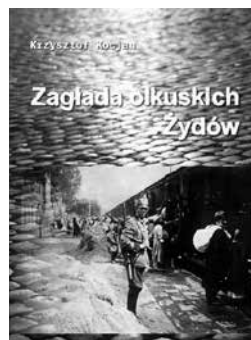
15 zł + 7,20 koszty przesyłki



15 zł + 7,20 koszty przesyłki



40 zł + 7,20 koszty przesyłki



30 zł + 7,20 koszty przesyłki

Fundacja Kultury AFRONT – kontakt:

32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A

tel. 502 405 437, 668 118 267; e-mail: afront.fundacja@wp.pl

Spis treści

Proza i inne

Fundacja Kultury AFRONT	202
Autorzy – Proza	201
Lucian Dan Teodorovici – „Dokumenty”, „Wyprawa po gęsi” (fragmenty powieści <i>Inne historie miłosne</i>)	197
Krzysztof Ławreniuk – „Wielka woda i energia Mako 11111001101” (fragment niepublikowanej powieści)	187
Dariusz Jacek Bednarczyk – „Prawdziwa historia Brzyngdziółka”	181
Ian Kemp – „We the people”, „Proszę, zostaw mój krawat w spokoju”, „Założę się, że Betty go nie kocha”, „Los na loterii” (opowiadania z przygotowywanego do wydania tomu).....	178
Mateusz Skrzyński – „Akt na dziesięć wściekłych kotów i kilku niegodziwców”, „Ormiańska piosenka dla zadziornych chłopczyków”, „Wartka rzeka płynących egoistów”, „Zmagający się z chytrymi lisami namiętności” (opowiadania).....	164
Łukasz Drobnik – „Skomplikowane przecucie”, „Waleń” (opowiadania)	157
Mariusz Wieteska – „List znaleziony w butelce”, „Zdobycza” (opowiadania)	152
Zbigniew Masternak – „Viva San Escobar!” (proza)	148
Piotr Gajda – „Niczego nie będzie” (felieton)	146
Jarosław Nowosad – „Robert Brylewski. Odejdzie legendy”	144
Jarosław Nowosad – „Wstęp do cranberrologii?!” (esej)	143
Erazm Furman – Afronty Furmana (recenzje książek: Aleksander Kaczorowski, <i>Ota Pavel. Pod powierzchnią</i> , Alice Munro, <i>Kocha, lubi, szanuje...</i> , Marcin Świetlicki, Rafał Księżyk, <i>Nieprzysiadalność</i> , Karl Ove Knausgård, <i>Moja walka. Księga 6</i> , Alain Mabanckou, <i>Kielonek</i> , Arnon Grunberg, <i>Ból fantomowy</i>)	138
Tako rzecz Trycjator – „gluten & laktoza”	132
Jarosław Nowosad – „Tylko dla tych, którzy słuchają” (recenzja płyty Tadeusza Ślawka i Bogdaa Mizerskiego „kiedyś zostanie BYŁO”)	131
Jarosław Sujczyński – „Lucius Aurelius Verus do Marcusa Aurelius” (proza)	129
Wywiad – Specjalnie dla kwartalnika AFRONT: „Na szczęście trzeba sobie trochę zapracować” – z Arturem Barcisiem rozmawia Mirosław G. Majewski	127
Wywiad na 100-lecie niepodległości Polski: „Żyć, nie umierać” – z Henrykiem Sienkiewiczem rozmawia Maksymilian Truteń	122
Zbigniew Masternak – „Tarzan z Zawichostu” (recenzja książki Andrzeja Nowaka-Arczewskiego <i>Pseudonim TARZAN</i>)	117
Paweł Garwol – Komiks	116
Zbigniew Bajek – Galeria AFRONTU	113

AŁFRONT

kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 2(5)
2018

ISSN 2544-3070



PROZA